

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWISŁA I-ZULAW • NR 3 (41) • 2020





Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2020 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos Invest

POJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
DZIAŁ REGIONALNY
80-806 Gdańsk, ul. Targ Rakowy 5/6
☎ 58 301-48-11 w. 227, 237

PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 3 (41)

2020

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny

Wacław Bielecki – sekretarz redakcji

Piotr Napiwodzki

Janusz Ryszkowski

Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy:

Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Bogumił Wiśniewski, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

Projekt okładki: Mariusz Stawarski

Str. III okładki – zdjęcia najbardziej aktywnych autorów „Prowincji”

Str. IV – prace wybranych artystów publikowane na łamach „Prowincji” – Jacek Albrecht, Jerzy Wojciech Bielecki, Beata Białecka, Zbigniew Chrostek, Małgorzata Dobrowolska, Janusz Hankowski, Aleksandra Hońko, Marta Judkowiak, Benedykt Kroplewski, Andrzej Krzemiński, Katarzyna Smeja, Mariusz Stawarski, Zofia Sumczyńska, Hanna Uchmańska, Paweł Wyborski

Skład komputerowy i przygotowanie do druku:

KIMSO Marcin Żakiewicz

Druk: Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81-574 Gdynia

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie

82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614

prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Spółdzielni Socjalnej Fabryka Inicjatyw w Malborku, Sztumskim Centrum Kultury,
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim,
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury – sklep Tabularium

Sztumskie Centrum Kultury

Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19

Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy –
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl
Nakład 400 egzemplarzy

CZTERDZIESTA PIERWSZA „PROWINCJA”

SPIS TREŚCI

Czterdziesta pierwsza „Prowincja”	5
---	---

Poczja

Tadeusz Majewski	6
Agnieszka Smugła	9

Proza

Krzysztof Bochus – Wachmistrz	10
Marcel Woźniak – Tyrmand. Pisarz o białych oczach	14
Adam Kamiński – Jedni go uwielbiali, a inni nienawidzili.....	17
Izabela Foerster – Rose.....	21

Esej

Andrzej Kasperk – „Maria Janion – nauczycielka. Pro memoria”	24
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	30

Na tropach historii

Grażyna Nawrońska – Las, drewno i średniowieczny Elbląg	36
Bogumił Wiśniewski – Drzwi katedry „przemówiły”	40
Jan Chłosta – Powiśle po plebiscycie w 1920 roku	43
Henryk Michalik – Wielka manifestacja w Janowie z okazji 10-lecia przyłączenia do Polski	50
Piotr Podlewski – Niekomercyjny przewodnik po ziemi sztumskiej (7)	60
Ryszard Rząd – Historie nie tylko malborskie (1)	72

Wędrówki po prowincji

- Janusz Ryszkowski – Przypis do Gombrowicza79
Krzystian Zdziennicki – Powiślańska wspólnota żywych i umarłych84

Wspomnienia

- Barbara Kozdroń – Anny Kopisto długa droga do domu91
Marta Psuja – Pamiętnik Martysi105
Wiesław Olszewski – Czas ostatnich świadków121
Danuta Zalewska – Żuławskie opowieści,
Lasowice Wielkie – dobra wieś do mieszkania128

Prowincje bliskie i dalekie

- Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (12)136
Paweł Zbierski – Dziennik kataloński (9)149
Radosław Wiśniewski – Listy do Tymoteusza (2)160

Muzyka

- Wacław Bielecki – Zapiski melomana w czasie zarazy, (2)164
Leszek Sarnowski – Muzyczny Jerzwałd czyli Mastalierz i przyjaciele177

Recenzje

- Janusz Ryszkowski – Z mojego wierszonotatnika186
Katarzyna Gentkowska – W chocholim objęciu. Obraz mikoszewskiej prowincji... 189
Maciej Badowicz – Kawa czy nie kawa?193

- Noty o autorach** 196

CZTERDZIESTA PIERWSZA

„PROWINCJA”

Koń jaki jest każdy widzi. Może trochę zabawkowy, bo na kółkach, a może trojański, bo też był na kołach? Może też być tak, aby do klasyki nawiązać, że my tym koniem „otwieramy oczy niedowiarkom”, i że „to nasze, przez nas wykonane, i to nie jest nasze ostatnie słowo”. A może to po prostu sympatyczny konik, autorstwa oczywiście Mariusza Stawarskiego, który jest z nami od początku świata. Bo tak się właśnie składa, że tym konikiem z dziesiątką na grzbiecie chcemy pokazać, że właśnie rozpoczynamy świętowanie dziesiątej rocznicy naszego istnienia. To już naprawdę dziesięć lat. Kilka setek autorów, ponad 8 tysięcy stron i wielu Czytelników. Wielkie, wielkie dzięki. Nie ustajemy i jedziemy dalej.

Rocznicowy numer zaczyna poezja autorstwa Agnieszki Smugły i Tadeusza Majewskiego, a proza tym razem w wykonaniu Marcela Woźniaka o Tyrmandzie i fragment najnowszego kryminału Krzysztofa Bochusa.

Andrzej Kasperek składa hołd, nie tylko swojej, mistrzyni prof. Marii Janion, a Andrzej C. Leszczyński snuje filozoficzne rozważania o narcyzmie. Nasi redakcyjni archeolodzy - Grażyna Nawrońska i Bogumiła Wiśniewski piszą o drewnie. Jan Chłosta i Henryk Michalik kontynuują rocznicowe wspominki związane z plebiscytem na Powiślu, a Piotr Podlewski i Ryszard Rząd przypominają sztumsko-malborskie ciekawostki. Janusz Ryszkowski kontynuuje swoją opowieść znad ziemiańskich progów, a Krystian Zdziennicki odwiedza powiślańskie nekropolie.

Przebogaty jest tym razem dział wspomnień: Barbara Kozdroń pisze o syberyjskiej i dalekowschodniej wędrowce Anny Kopisto do domu w czasie wojennej zawieruchy, Marta Psuja o swoich trudnych losach, Wiesław Olszewski o ostatnich świadkach z obozu Stutthof, a Alicja Łukawska spisuje kolejny żuławski życiorys - Danuty Zalewskiej.

Krzysztof Czyżewski z sejneńskiego pogranicza wspomina między innymi Jerzego Ficowskiego, Petra Krala, ale też Dylana i Billy Holiday. Paweł Zbierski ze „swej” Katalonii śle nam słowa o strachu, murach, Grottgerze i powstaniu Białorusinów. Radek Wiśniewski kontynuuje swoje rozmowy z synkiem Tymoteuszem na europejskich szlakach.

Nie jest to łatwy czas dla kultury, ale Waław Bielecki zawsze znajdzie coś dla melomanów spragnionych koncertowych sal, a Leszek Sarnowski daje relację z niezwykłych koncertów w klimatycznym Jerzwałdzie z wyjątkowymi muzykami: Leszkiem Możdżerem, Krzesimirem Dębskim czy Januszem Olejniczakiem. I na koniec jak zwykle garść recenzji poetycko-historycznych.

W „Galerii Prowincji” tym razem nie prezentujemy żadnego lokalnego artysty, ale na ostatniej stronie okładki w specjalnym kolażu przedstawiamy dzieła kilkunastu artystów, których gościliśmy do tej pory na naszych łamach. A stronę wcześniej, kilka wybranych fotek naszych autorów, którzy najczęściej publikują w naszym kwartalniku. Nie wszystkich, bo było ich do tej pory ponad pięćset i ciągle pojawiają się nowi.

Życzymy przyjemnej i ciekawej lektury z nieustającą nadzieją na ciąg dalszy, a przede wszystkim na rychłe odejście pandemii i upragnione spotkanie w realu.

Redakcja „Prowincji”

Tadeusz Majewski

KĄŻDE MIASTO MA SWOJEGO MINOTAURA

Każde miasto ma swojego Minotaura
niech ciebie nie zwiodą
słoneczne pejzaże dni
lazuryt mórz
Minotaur biedne dziecko potwór
jakiś defekt to przykre
i tragiczne

Minotaur krąży po labiryncie
każdego miasta nocą cichaczem skacze
po rzędach lśniących aut
w podziemnych garażach z monitoringiem
wsącza się do umysłów wyobraźni najodważniejszych
halabardników pilnujących twoich snów
porywa zabija losowo
w różny sposób
statystyki policji są bezlitosne
wiem to straszne
ale w pewnym sensie Minotaur pilnuje porządku sumień
który by nie istniał bez lęku przed śmiercią
i tym co po niej
czy można kochać takie miejsca?
czy można kochać Labirynt?

Tak już jest
życie jest okrutnie piękne
ktoś z nas bezlitośnie zakpił
- mówiłaś na pożegnanie
patrzyłem w twoje wielkie szare oczy w jasnym
owału twarzy
- wcale nie są wielkie
- są olbrzymie
- wcale nie są wielkie
- są olbrzymie
tak blisko staliśmy twarzą w twarz nad jeziorem
słońce kładło delikatne cienie na twoją twarz
makijaż ze szczerego złota
twoja twarz tak blisko mojej aż traciłem rytm oddechu

to niewiarygodne ile mogą mówić oczy
zachwyty i szczęście patrzenia
w twoich źrenicach wirujące plamki wszechświatów
nagle stwardniałe piersi pod dotykiem palców
- nie dotykaj raz mnie dotkniesz
będziesz cierpieć do końca życia
marząc o takim dotyku
i nigdzie go już nie znajdziesz
dotknąłem!
łśnienie wilgoci i potem łza w kącie oka
życie jest okrutnie piękne
- szeptałaś ściskając drobną rączką moje palce
- przekroczyliśmy granicę
- nie przekroczyliśmy
- przekroczyliśmy
- nie przekroczyliśmy
- nie wolno już nigdy
już nigdy
w marzeniach wyobrażeniach tak ale pieśczoć ciała
to co innego wiesz - Minotaur
- czym to się różni? proszę nigdy nie mów
nigdy jeśli nawet ma być nigdy
boli jak tak mówisz
chcę się łudzić
- uważaj jak prowadzisz
przekroczyłeś linię ciągłą na zakręcie
przekroczyliśmy granicę
nie wolno
wiesz że kochałabym się tobą wczoraj dzisiaj i jutro zawsze
ale nie wolno
Minotaur patrzy Midas na mnie czeka takie
zaszły okoliczności

Synu startujemy zakładaj gogle
tato jeszcze spojrzę na dół
nie mogę się oderwać
nie chcę opuszczać tego labiryntu
kocham ten labirynt
wiem Minotuary złośliwe raki wybuchy w metrze zamachy
zupełnie nieprzewidywalne wypadki bomby jądrowe świat na krawędzi
ale ja tam zostawiłem Szarotkę

Piszę w myślach pieśń
pieśń dostojnych amfor
matron czasu
marzę o dokończeniu nagle urwanego tańca z tobą
raz dwa trzy
slow slow
quck quck
wiem wiem zgubiłem rytm nie zdążyliśmy zatańczyć zorby
pa pam pa pam pa pam
wiesz sytuacja jak z Nikosa Kazantzakisa
scena z wdową
koniecznie muszę dzisiaj skończyć tę pieśń
gdy będziemy już daleko od siebie
nie zdołam już wyśpiewać cię takiej
jaką teraz cię widzę
płochliwie uciekną szczegóły
zamilknie śpiew we mnie
śpiew nie znosi tęsknoty rozstań
to już mnie gwałtownie ogarnia
niepokój że zapomnisz
tęsknota gdy patrzę z wysoka w twoje szare oczy
w delikatnym owalu twarzy

Synu przekraczamy strefę ptaków
Wieżę Dubaju pod nami
jest dobrze agencje ratingowe milczą nawet Moody's milczy
nie drgnęły giełdy
nie wybuchł Wezuwiusz Midas nie wystrzelił patriotów
świat nie zauważył naszego odlotu
i tak miało być
jest dobrze popatrz ostatnie sępy pod nami
tato słyszę kłamstwo ptaków
ehe ehe ehe - słyszę jak dychawicznie stękają przy
każdym ruchu skrzydeł
próbując dorównać nam w wysokości
a z dołu wydawało się że szybują bez wysiłku
to dziwne
wszystko na tym świecie pracuje
poci się i stęka
mieli w sobie energię
co za geniusz tak nas stworzył?

Agnieszka Smugła

*

Proszę, nie naciskaj
I nie oczekuj ode mnie cudów
Nie jestem w środku śnieżnobiała
I nie pachnę miętą.

*

Listy z odległych zakątków świata
bardzo nas zbliżyły
To dlatego chcę
żebyś znowu wyjechał

*

Pielęgnuję w sobie żółć
Bo niby czemu
miałabym szanować
tylko zieleni

*

- Nie zdążę - pomyślałam
Spojrzałam na zegar
a on rozłożył ręce
Było piętnaście po dziewiątej

*

Upojne czerwcowe noce
Gwiazdy po nich
długo
dochodzą do siebie

*

Wrocław Kino Dworcowe
Mój pierwszy raz
z Bondem
Przespałam

Krzysztof Bochus

WACHMISTRZ¹

Abell zawsze lubił tę świątynię z jej wspaniałą gotycką wieżą zdobioną misternym hełmem, który widać było z oddali. I jej anielskim carillonem rozbrzmiewającym nie tylko kościelnymi melodiami. Niegdyś często tu wstępował, by pomodlić się o łaskę dla swojej umierającej matki. Jednak jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Bóg miał widocznie do załatwienia coś ważniejszego niż pochylanie się nad losem zwijającej się z bólu kobiety.

Msza już trwała. Kościół Świętej Katarzyny pogrążony był w mroku. Abell dawno tu nie był. Nie spodziewał się aż tylu wiernych. Widział przed sobą wielogłowy tłum siedzący w ławkach i tłoczący się w bocznych nawach: parujący wilgocią, przestępujący z nogi na nogę, szmerzący cicho modlitwą i chrząknięciami w zgrabiале dłonie.

Znalazł miejsce niedaleko ołtarza z obrazami Antona Möllera. Ukrzyżowany Jezus, już pogodzony z losem, spoglądał w dół ku grupce oplakujących go wyznawców. Abell zawsze zastanawiał się, kim była niewiasta czule obejmująca nasadę krzyża, symbolizująca cały ból po śmierci Odkupiciela. Kogo wielki Anton namaścił do tej roli? Maryję czy Marię Magdalenę? Kto cierpiał bardziej: matka czy ulubienica, młoda kobieta, której był szczególnie bliski? W tle malarz umieścił panoramę siedemnastowiecznego Gdańska wraz z jego wałami, wieżą kościoła Mariackiego i bramą Wyzynną. Tak jakby scenerią męki pańskiej nie były surowe mury Jerozolimy, ale łąki pod patrycjuszowskim Gdańskiem.

Czy to dlatego pastor Ernst wybrał sobie właśnie ten kościół na miejsce swojej posługi kapłańskiej? Czy to dlatego, niczym Savonarola, piętnował zepsucie i upadek moralny swoich ewangelickich owieczek? Ernst wskazywał przy tym oskarżycielskim tonem na źródło tego upadku: odwrót od Boga i nieprzytomną gonitwę za złotym cielcem. Jego kazania przyciągały tłumy. Jedni łaknęli jakiegoś pocieszenia. Drudzy moralnej busoli i wytłumaczenia, dlaczego świat, który tak dobrze rozumieli, nagle stał się dla nich obcy i wrogi.

Świątynię wypełniali ludzie wszystkich stanów: dawni burżuje ze sklepów zabitych dzisiaj deskami. Spauperyzowani mieszczenie, którzy stracili dorobek swojego życia, i bankierzy, którzy zostali z plikami nic niewartych weksli. Robotnicy, którzy mieli na twarzy wypisany bunt, i wdowy po mężach wołających samobójstwo niż poniżenie. Słowem: ludzie nieradzący sobie z kryzysem, który niczym średniowieczna dzuma, rozlewał się coraz szerzej i szerzej, zatruwając ulice tego złotego niegdyś miasta.

Nagle w kościele ucichło jak nożem uciął. Na ambonie pojawił się pastor. Skupionym spojrzeniem wędrował po rzędach stojących przed nim ludzi. Był niepozornego wzrostu,

¹ Fragment najnowszego kryminału Krzysztofa Bochusa *Wachmistrz*, który ukazał się 14 października

podobno pod nogi we wnętrzu ambony podkładano mu klęcznik. Wieść gminna niosła, że chodzi w pocerowanym ubraniu, śpi cztery godziny na dobę i czas spędza na duchowych kontemplacjach. A jednak widać było, jak wielką ma władzę nad parafianami.

— Pytacie mnie, dlaczego Bóg się od nas odwrócił? — Pastor wznosił ręce ku górze. — Dlaczego opuścił nas w nieszczęściu? Czyżby ślepy był i nieczuły na nasz los? On, który wszystko może, bo sam jest i Początkiem, i Końcem wszechrzeczy? A ja się pytam: dlaczego wy odwróciście się do niego plecami? Czyż nie zawarliśmy z nim wiecznego przymierza, zyskując w zamian obietnicę, że w nagrodę za życie cnotliwe trafimy kiedyś do raj? Szukam odpowiedzi na te pytania. Tak jak i wy powinniście wejrzeć w dusze swoje. I odpowiem wam. Gdańsk zasłużył na swój los. Jest bowiem jak grzeszny Babilon wypełniony nieprawościami po brzegi, jak biblijna Sodoma, która zapłacić musiała straszliwą cenę za zepsucie swoje. Co czytamy o zagładzie Sodomy i Gomory w dziewiętnastym rozdziale biblijnej Księgi Rodzaju? *Wczesnym rankiem udał się Abraham na to miejsce, na którym stał niedawno przed obliczem Jahwe. Popatrzył w stronę Sodomy i Gomory, a potem rozejrzał się po okolicy, na wszystkie strony, i oto co zobaczył: gęsty dym unosił się ponad całą ziemią jakby z ognistego pieca do wytapiania metali. Kiedy Bóg obracał w perzynę okoliczne miasta, miał wzgląd na Abrahama i pozwolił ocalić życie Lotowi, gdy skazywał na zagładę miasta, w których Lot przebywał. — Pastor potoczył rozognionym wzrokiem po zgromadzonych. — Z jakiego powodu Bóg zesłał na te miasta deszcz ognia i siarki? Na czym polegało przewinienie mieszkańców? Odpowiedzi udzielił nam prorok Ezechiel: *Oto taka była wina siostry twojej, Sodomy: odznaczała się ona i jej córki wyniosłością, obfitością dóbr i spokojną pomyślnością, ale nie wspierały biednego i nieszczęśliwego, co więcej, uniosły się pychą i dopuszczały się tego, co wobec Mnie jest obrzydliwością. Dlatego je odrzuciłem, jak to widziałeś². — Pastor urwał, jakby chciał, aby te słowa odpowiednio wybrzmiały w kościele. Miał wysoki, przenikliwy głos, któremu głuchego pogłosu dodawały mury świątyni. — Moi drodzy, to ludzka pycha zrodziła nieszczęście, to ona kroczy przed upadkiem! — Jego głos, wysoki i wibrujący, chłostał teraz niczym batem. — Pokorę, chrześcijańską skromność i zdolność do dzielenia się z innymi zastąpił kult mamony! Ewangelię wyparła ideologia egoizmu i bezbożnego materializmu. Ludzie zapomnieli, że powinni być dla siebie braćmi. Bogacze bogacili się jeszcze bardziej, biedniejsi popadali w coraz większą nędzę i ubóstwo. Uznali się za panów świata nieożywionego, gwałcąc i podporządkowując sobie ziemię, wodę i powietrze... Pomylili nawet odwieczne porządki, mieszając to, co ludzkie, z tym, co zwierzęce... — Urwał na chwilę. Miał nieprzytomny wzrok, którym wędrował po ciżbie ludzkiej. — Czy to Jezus jest temu winien? — kontynuował. — Czyż nie odkupił naszych win swą bezprzykładną ofiarą na krzyżu? Czyż nie otrzymaliśmy od jego Ojca najcudowniejszego prezentu: wolnej woli? Zgubiła nas chciwość, kochani! Żarłoczna, niepohamowana jak wieloryb, który połknął Jonasza nieposłusznego poleceniom Bożym. Dlatego naszym światem wstrząsa ten bezprzykładny kryzys, jakiego ludzkie oczy nie widziały... Jest jak biblijna kara za grzechy, jak czarny deszcz spadający na nasze dusze i domy. Powiem to głośno! Nie szukajcie ratunku we wszystkich tych bezbożnych ideologiach zatruwających wasze umysły! W komunizmie, nacjonalizmie czy hedonizmie. Ocalenie jest w wierze! Musicie powrócić**

² Ez 16,49

do Chrystusa, który jest Światłością świata, do Ewangelii, do tej Prawdy jedynej o Bogu, Jego Synu Jezusie Chrystusie. Musicie odnaleźć w sobie skromność, pokorę i cnotę, te trzy stopnie wiodące do zbawienia...

Abell słuchał ze ściśniętym sercem. Już od dawna nie był praktykującym chrześcijaninem. Słowa pastora poruszały w nim jednak jakąś zapomnianą już czułą strunę. Rzeczywiście, wszyscy zesłi na manowce. Wszyscy, bez wyjątku.

— Na koniec chcę wam powiedzieć, że Bóg jest pamiętliwy. Ale jest też cierpliwy. Miłosierny i ufny. Potrafi dawać znaki. Prawie ćwierć wieku temu piorun z nieba poraził nasz kościół³. Spłonęły dzwonnica i pierwszy carillon. Tak jakby Bóg chciał nas ostrzec: odchódzcie ode mnie... Nie posłuchaliśmy. Wkrótce wybuchała wielka wojna, która pochłonęła całą tę bezbożną erę. W swej niepohamowanej pysze sami nazwaliśmy ją *la belle époque*. Potem zesłał na nas zarazę, straszliwą hiszpankę, która pochłonęła dziesiątki milionów istnień ludzkich. Teraz znowu nas ostrzega. Karze nas za grzechy, wzywa do opamiętania. Czy znajdziemy w sobie dość siły i mądrości, aby posłuchać tego głosu? Czy zejdziemy ze ścieżki nieprawości, moralnego zepsucia, chciwości i grzechu? Czy znajdują się wśród nas potomkowie Lota, którzy wyprowadzą nas na czyste łąki i pastwiska boże? To zależy tylko od was!

Abell opuszczał świątynię ze ściśniętym sercem. Mijał go tłum milczących, stropionych ludzi. Zaaferowany pracą i zanurzony w bolesnych wspomnieniach, zapomniał, jak wygląda prawdziwy świat na ulicach. A był on parszywy, zagubiony i wytracony z równowagi. Każdy dzień był gorszy niż poprzedni. Kazanie Ernsta nim wstrząsnęło. Chciałby z kimś na ten temat porozmawiać, ale nie miał z kim. Czekąco na niego puste mieszkanie, pełne cieni i szeptów przeszłości. Eva była daleko i nic nie wskazywało na to, żeby miała kiedykolwiek powrócić.

³ To tragiczne wydarzenie miało miejsce 3 lipca 1905 roku. W 2006 roku kościół ponownie stanął w płomieniach.

Doskonały głos na europejskiej scenie kryminalnej. Pomędzy *Blaszany bębenkiem* Güntera Grassa a *Nocą generałów* Anatole'a Litvaka. Brawo, maestro! — BERNARD MINIER



Wachmistrz

KRZYSZTOF
BOCHUS

Marcel Woźniak

TYRMAND

Pisarz o białych oczach¹

(fragment)

Sierpień 1944, Oslo

Leopold Tyrmand idzie właśnie na umówione spotkanie z ruchem oporu, kiedy zostaje aresztowany. Ktoś go sygnął. Czy Klimek? Tak jak w Wilnie Babinicz?

Gdzieś go wiozą.

Gdy więźniarka się otwiera, widzi buty niemieckich oficerów, a zaraz za nimi – kolczasty drut i tablicę informacyjną: „Obóz koncentracyjny w Grini”.

– O kurwa – mówi po polsku. – Teraz to już naprawdę czapa.

Wrzesień 1944, Grini pod Oslo

Lolek, razem z innymi, rozbiera się. Po przeglądzie zostają wysłani do łaźni, a potem muszą zanurzać się w kadziach z dezynfekującym lizolem. Potem jest golenie głowy. Pozbawienie człowieka nazwiska, dokumentów, ubrań, a na końcu włosów – wszystko, co tylko możliwe, by ludzie stali się bezkształtną i bezimienną masą obozową. Więźniowie nie dostają tu jednak pasiaków, a granatowe mundurki. Lolek z opaską z literą P wchodzi do obozu, skierowany do baraku numer 19.

Tyle razy w ciągu wojny trafiał między obcych ludzi w obcym miejscu, że nauczył się działać szybko. Jak na razie po raz kolejny wymknął się śmierci, ale czy na długo?

Po kilku metrach otacza go grupka więźniów. Nie wygląda to na miłe powitanie. Tyrmand zaciska zęby i spogląda po gębach.

– Ty – mówi najgroźniejszy z nich.

– Co? – Lolek odpowiada hardo.

Facet zbliża się i pyta:

– Co z Warszawą?

Pytanie zmienia napięcie. Leopold patrzy po nich i kiwa głową, pokazując, że w Warszawie źle. Jest już jednym z nich.

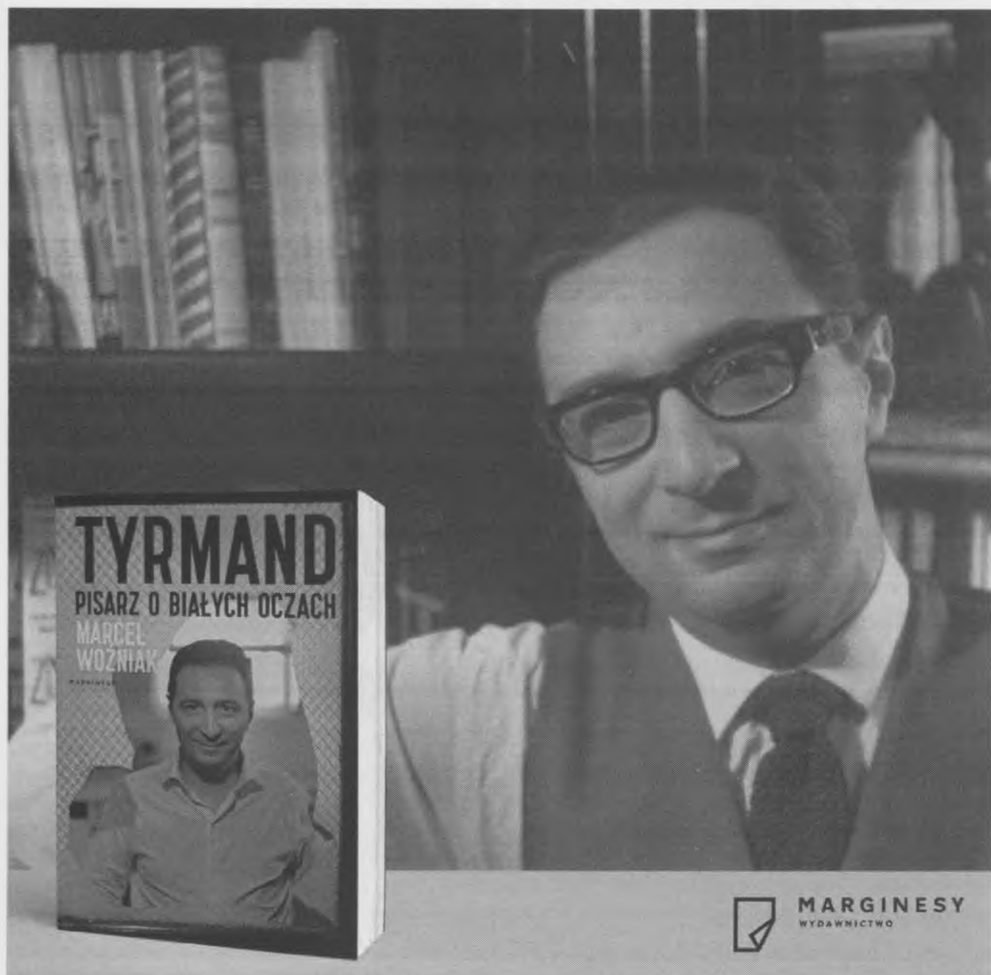
1943, obóz koncentracyjny Majdanek

Tu nie ma nadziei na życie, jest tylko cicha nadzieja, że nie będzie się następnym. Trudno powiedzieć, ilu jest wszystkich ludzi w obozie, raz więcej, raz mniej. Ale wciąż jacyś znikają bez śladu.

¹ Fragment książki Marcelgo Woźniaka – Tyrmand. Pisarz i białych oczach, Wydawnictwo Marginesy 2020.

JEDNI GO LUTYMI BIAŁI, A INNI NIE ENAWIEDZILI

A JAKIŚ KRAJOWY PRACOWNIK I JAKIŚ POLSKI



Mieczysław Tyrmand, ojciec Leopolda, stoi nago wśród setki innych więźniów. Ma kłębowski wszy na głowie. Podchodzi do niego strażnik i mówi po niemiecku:

– Śmierdzisz. Buty!

(...) Po wyjściu z baraku ten sam strażnik wyrasta znów przed nim.

– Buty – mówi groźnie.

– Buty? – powtarza Mieczysław i patrzy po towarzyszach niedoli.

Wszyscy zdjęli posłusznie obuwie, a on się zapomniał. Szewc co w butach chodzi. Następnie wszyscy pędzeni są szpalerem, po czym przechodzą przez rozcięte ogrodzenie. Są już za polem V. Jest rzeński ranek.

Teraz każą mu wskoczyć do dołu. Nogi uginają się pod nim z głodu. A więc to są te rowy, które kopano, tak głębokie, że nie widać z nich pola. Tylko buty. Setki oficerskich butów.

Rów zakręca dwukrotnie, wykopano go zygakiem.

Widzi jego koniec. Ścianę ziemi.

– Halt! – krzyczy oficer.

Mieczysław spogląda do góry i już wie, że choć zna datę swoich urodzin, nigdy nie pozna daty swojej śmierci. Nie wie, jaki jest dokładnie dzień. Wie tylko, że jest to dzień ostatni.

A teraz został zastrzelony i za chwilę umrze. Po chwili spada na niego kolejne ciało. Ostatnim, co widzi, są wojskowe buty stojącego nad dołem niemieckiego oficera. Sam nie uszyłby lepszych.

3 października 1944

Znajomy łącznik z ruchu oporu przekazuje Lolkowi najsmutniejszą wiadomość, jaką otrzymał podczas tej wojny.

– Radio Londyn podało, że...

Tyrmand wraca do baraku, wchodzi na ławę.

– Chłopczy! – krzyczy.

Sala zamiera, wszyscy spoglądają w jego stronę. Przetyka głośno ślinę i mówi cicho:

– Warszawa upadła.

Po sali przechodzi szmer niedowierzania.

– Jak to?! – krzyczy ktoś.

– To niemożliwe! – odpowiada inny.

Tej samej nocy żaden z Polaków nie może zmrużyć oka. Każdy przewraca się z boku na bok, wszystkich dławi w gardłach kłęska.

Tyrmand myśli o Warszawie. Dom, szkoła, biblioteka, willa na Frascati, każdy z budynków rozpada się w jego wyobraźni cegła po cegle, aż nie zostaje z nich nic poza pyłem.

JEDNI GO UWIELBIALI, A INNI NIENAWIDZILI

Z pisarzem Marcelem Woźniakiem o jego książce „Tyrmand. Pisarz o białych oczach” rozmawia Adam Kamiński

- Adam Kamiński - W życiu, chyba jak każdy, imaleś się wielu rzeczy. W Twoim życiorysie można by znaleźć wiele podobieństw do biografii Tyrmanda. Czy może to podobieństwo tak mocno Was zbliżyło? Bo w zasadzie to dziwne, że jako młody chłopak zainteresowałaś się kimś z innej, odległej epoki...

- Marcel Woźniak - Wszystko musi mieć jakiś początek. U mnie zaczęło się od lektury „Złego”. Wiedziałem, że ktoś kto stworzył taką książkę musi być kimś wyjątkowym. Ja także jak Tyrmand zacząłem tworzyć powieści, opowiadania, pisałem do prasy i do różnych pism branżowych i szybko znalazłem wiele podobieństw między nami. Nie ukrywam, że samo zbieranie materiałów o Tyrmandzie, poszukiwanie po nim śladów czy też ludzi, którzy go znali stanowiło niesamowitą pracę. Kiedy już to wszystko miałem zebrane, to ogarnął mnie strach – że jest tego tak dużo – i jak ja mam to wszystko ogarnąć i pomieścić w jednej książce. Dlatego też w książce „Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka jak moje życie” skupiłem się przede wszystkim na faktycznym życiorysie twórcy. Kolejna książka o nim „Pisarz o białych oczach” jest nieco inna i pozwala mi na nieco mocniejsze rozwinięcie skrzydeł i pokazanie wielu niuansów z życia pisarza.



- Jak wspomniałeś realizujesz się jako dziennikarz. Często krytycznie oceniasz pracę współczesnego dziennikarstwa.

- No tak. Dziennikarz od zawsze spełniał ogromną i jakże pożyteczną rolę. Kiedyś aby zostać dziennikarzem trzeba było ukończyć specjalne studia i posiadać odpowiednie wykształcenie. Dziś media są tak różnorodne, że trudno to nawet ogarnąć. Różnych redakcji są setki a nawet tysiące. Każdy z nas może stworzyć swoją własną redakcję i przedstawiać swoje opinie za pomocą bloga, czy też vloga, czy jeszcze innego medium. Niestety, za informacją także szły zawsze spore pieniądze i niestety, co często ostatnio możemy zauważyć: niektórzy dziennikarze tracą swoje dobre imię sprzeniewierzając się za odpowiednio duże pieniądze czy też posadę. Ale to już jest chyba niestety znak naszych czasów.

- Czy pisanie książek w dzisiejszych czasach to praca czy pasja?

- Myślę, że bez pasji chyba żadna praca w naszym życiu nie miałaby sensu. Wspominając jeszcze o dziennikarstwie trzeba wspomnieć o prostocie tego zawodu dzięki współczesnej technice. Szybkość w zbieraniu informacji, prędkość przesyłu materiału, no i co najważniejsze, to czas wydruku dzielący nas od napisania artykułu skurczył się straszliwie. Artykuły do prasy, które autor tworzy, ukazują się drukiem, ludzie je czytają a potem trzeba sięść przy biurku i pisać kolejne. W prasie te krótkie formy „żyły” określony czas i umierały. Dziś w internecie żyją dłużej i w zasadzie nigdy nie znikają. Jakiś ślad w necie zostaje po nich zawsze. Jest taka scena w filmie *The Spotlight*, kiedy jeden z głównych bohaterów napisał właśnie tekst, który wstrząsnie światem. Siedzi w aucie, o świcie i patrzy przez szybę, jak na rampie drukarni wrzucane są paczki z najnowszym numerem do ciężarówka. Gdy załadowana ciężarówka rusza w miasto, bohater wdycha z ulgą. Wie, że wykonał swoją robotę i za kilka minut gazety trafią do kiosków, a stamtąd w ręce czytelników, i że po lekturze numeru świat nie będzie taki sam. To symboliczne, ale oglądałem ten film na pokładzie samolotu, lecąc gdzieś nad Kalifornią, kiedy pisałem swoją książkę. I wzruszyłem się razem z bohaterem. Obiecałem sobie, że któregoś dnia zrobię dla świata coś równie ważnego, jak on.

Jeśli chodzi o książki to tworzenie ich było zawsze moim ogromnym marzeniem. I cieszę się z tego ogromnie, a najbardziej z kontaktu z czytelnikiem, kiedy mogę z nim porozmawiać o bohaterach moich utworów. Na przykładzie Tyrmanda możemy zaobserwować jak przez lata zmieniała się o nim opinia jako o twórcy. Przez lata 60 i 70 był pisarzem wręcz zakazanym i nielubianym przez zawiść wielu kolegów po piórze. Większość z wówczas prezentowanych rzeczy to były półprawdy i fałszywki. Tezy przeze mnie przedstawione w pierwszej książce były dużym ryzykiem, bo jak ktoś tak nieznany jak ja, mógł podważać to, co mówili i pisali inni. Dlatego zbierając materiały o Tyrmandzie i pisząc jego biografię wiedziałem, że na wszystko muszę mieć twarde dowody. I ja je znalazłem i zebrałem.

Nie bałeś się ostracyzmu ze strony tych wszystkich starych wyjadaczy i także – nie bójmy się tego powiedzieć – ze strony osób, które przyczyniły się do wyjazdu pisarza z kraju i to wcale nie w chwalebny styl.

- Żeby to dobrze zrozumieć to musielibyśmy zrozumieć tamte czasy. Szarzyzna, szarzyzna i jeszcze raz szarzyzna. Hasła, idee i równość dla wszystkich. Nie miał prawa istnieć w tamtych czasach i wśród tamtych ludzi taki kolorowy ptak jak Tyrmand. On wiedział, że przeciwstawia się czemuś wielkiemu, ale wiedział też, że swoim postępowaniem wlewa

otuchę w serca swoich czytelników. Kolorowe skarpetki i ubranie to był jego styl i znak rozpoznawczy, choć wtedy najmodniejsza była szarość. Władza nigdy nie lubiła ludzi innych niż miliony, bo takie jednostki doprowadzały najczęściej do zmian naszego świata. Tyrmand zaszczepiał w melomanach miłość do jazzu, choć muzyka ta według współczesnych mu politycznych kacyków, była wytworem najgorszego zła, które przywędrowało ze świata kapitalizmu. Pisarz zawsze swoim postępowaniem dodawał innym otuchy i sprawiał, że ten jakże smutny wówczas obraz Polski, choć chwilami stawał się dzięki niemu barwny i weselszy. Ludzie uczyli się mody, przywracali sobie godność tym, co mogli sobie uszyć, stworzyć, czy zdobyć na tzw. „ciuchach”. Tyrmand nosił garnitury nie dlatego, żeby pokazywać, że jest ponad wszystkimi, a po to, by mieć swoją godność! Pisał o tym w *Dzienniku 1954*, że kiedy spruł mu się kołnierzyk, to wycinał z pleców fragment materiału i szedł do krawca, który dosztukowywał mu z tego kołnierzyk. Ludzie i tak gadali, że skoro Tyrmand tak dobrze wygląda, to mu się nie dzieje źle.



W pierwszym rządzie Andrzej Trzaskowski i Leopold Tyrmand, fot. Jerzy Matuszkiewicz

- Czym różni się Twoja książka „Tyrmand. Pisarz o białych oczach” od pierwszej biografii?

- Jest to taki zbiór chyba najbardziej poruszających historii i wspomnień o Tyrmandzie. Był on swego rodzaju magikiem tamtych czasów. Za to też właśnie jedni go uwielbiali a inni nienawidzili. Nawet jego najwięksi wrogowie wspominali go zawsze z pasją. Znajomi po jego wyjeździe do USA twierdzili, że duch Leopolda dalej jest z nimi. On miał potężny apetyt na życie, ale zawsze coś mu kazało gnać przed siebie i nigdy nie pogodzić się z tym stanem, który wówczas w Polsce panował. Pisał cudowne książki, ale ówczesna władza robi-

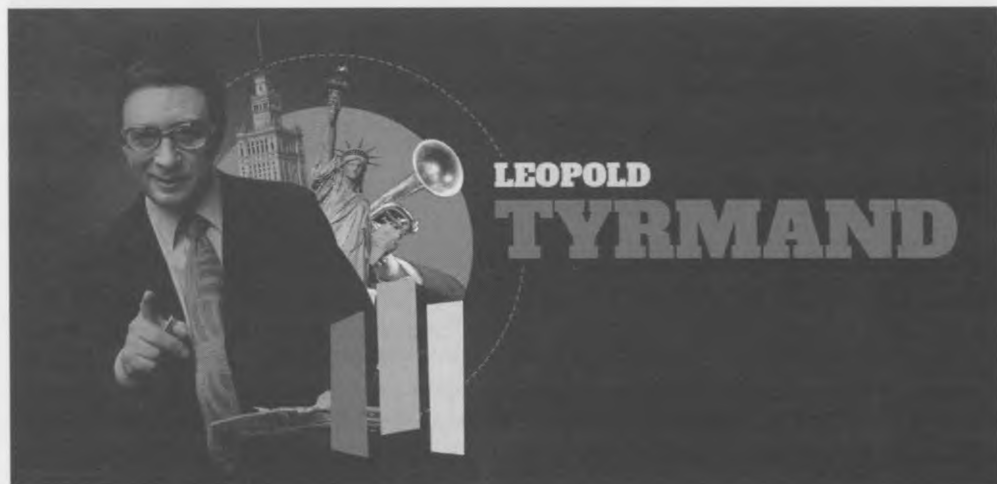
ła wszystko co mogła, aby pamięć o nich nie przetrwała. Najlepszym przykładem był chyba „Zły”. Im bardziej był zakazany, tym bardziej pożądany przez rynek czytelnicy. Niestety, to chyba taki polski paradoks, że taki pisarz jak Tyrmand pisał do jednej z największych amerykańskich gazet „The New Yorker”, a w tym samym czasie w magazynie satyrycznym „Szpilki” ukazywały się szydercze wierszyki o nim. Już pomijam fakt, że choćby ekranizacja „Złego” i historia podejść filmowców do tej powieści stanowić mogłyby kanwę niejednej książki. Musimy pamiętać o Tyrmandzie, ale o Tyrmandzie takim jakim był. Czyli jednym z najlepszych pisarzy jakich mieliśmy w historii polskiej literatury.

- **Dziękuję za rozmowę.**

Nota Wydawnictwa Marginesy

Podróż śladami Leopolda Tyrmanda i ludzi, których wyobraźnią zawładnął, to scenariusz hollywoodzkiego filmu. Warszawskie zautki, kalifornijskie bezdroża, nowojorski zgiełk i moskiewskie mrozy. Reporterska opowieść o legendzie Warszawy i autorze „Złego” to historia znikania i powrotów. Gdy NKWD przystawia mu pistolet do głowy, Tyrmand w ostatniej chwili ucieka od zsyłki na Sybir. Gdy czeka go komora gazowa, zmienia tożsamość z polskiego Żyda na Francuza i jedzie do nazistowskich Niemiec. W Polsce jego książki znikają z księgarń w godzinę. Marek Hłasko nazywa go geniuszem, Witold Gombrowicz – spadkobiercą romantycznej tradycji, a Tadeusz Konwicki i Maria Dąbrowska połączyli Złego w jedną noc.

Biografia Tyrmanda, to opowieść o optymizmie i wierze w szczęście, gdy nie ma się żadnych szans. O Złym, który okazuje się Dobrym, oraz o całej szajce Złego. Jest w niej rzeźbiarka, który lepi Tyrmanda z gliny. Jest dziennikarz, którego od Tyrmanda dzieli śnieżycą. Jest siwy autostopowicz, Zbyszek Herbert, agenci CIA, Sławomir Mrozek i człowiek gotowy pisać o Tyrmandzie arię operową. Jak potoczą się ich losy? Znikające dokumenty, zagubiony grób, tabliczka na oceanicznej wyspie, skarpetki, jazz, mroczna Warszawa i tajemnicze zdjęcie sprzed wojny. I jeden Tyrmand – pisarz o białych oczach.



Izabela Foerster

ROSE

MALBORK, LIPIEC 2019

Spojrzała na fotografię. Przetarła oczy i jeszcze raz przyjrzała się dokładniej. Wyraźnie widziała na niej dwie dziewczynki, stojące na pierwszym planie. Trudno było jej określić porę roku, zdjęcie było czarno białe, ale sądząc po koronach drzew w pełnych czuprynach z liści, to chyba zimno nie było. Chociaż obie dziewczynki ubrane były ciepło, w czapczkach i krótkich płaszczkach. „To ja i moja siostra cioteczna”. Obie uśmiechały się słodko, ale to nie one przykuły jej wzrok... W tle, pod parkiem stała mała, drobna dziewczynka. Ubrana bardzo odświętnie, choć sukienka była dość staromodna, nie miała żadnego płaszczka, ani innego cieplejszego okrycia. Smutne, ogromne, jasne oczy odwracały uwagę od lekko zapadniętych policzków. Burza blond loczków okalała tę śliczną twarzyczkę.

Wzięła do ręki telefon i wysłała sms „To ona? Nie wierzę...”. Odpowiedź przyszła błyskawicznie, zupełnie jakby ktoś tam już czekał... „Tak. To ona... Musisz uwierzyć”.

Zosia odłożyła fotografię i sięgnęła do szafki biurka. Wyjęła z niej małą buteleczkę po jakiejś wódce, w której kusiła teraz ciemnoczerwona malinowa nalewka i napełniła kieliszek.

- Żeby nie było, tylko trochę... - mruknęła. - Ale muszę, bo oszaleję.

Szybkim ruchem przechyliła lampkę i w tym momencie zobaczyła ją... W oknie naprzeciw którego siedziała, odbijała się postać stojąca w drzwiach, dokładnie za jej plecami. Usłyszała cichutki, dźwięczny głosik, który szepnął „Napisz, proszę...”. Kiedy odwróciła głowę nikogo już tam nie było. Zrobiło jej się gorąco, czuła, jakby serce miało zaraz wyskoczyć z piersi. Fotografię oparła o monitor i otworzyła nową kartę dokumentu tekstowego. Z wyiekami na twarzy zaczęła pisać...

MALBORK, UL. CIEPŁA, 1 LISTOPADA 1967

Biegła szybko, ze strachem, żeby nikt jej nie zobaczył. Przed wejściem na cmentarz potknęła się i upadła. Na szczęście w stertę liści, ale w rajstopkach zrobiła małą dziurę. Potarła bolące kolano, nie mając czasu rozmyślać, jak bardzo mama się zdenerwuje. Musiała się spieszyć. Widziała jak ludzie wychodzili z cmentarza, więc pewnie prawie nikogo nie będzie. Jednak niedługo będzie się ściemniać, a pięciolatce nie wolno o takiej porze samej po dworzu chodzić. W rączce ścisnęła bukiet z kolorowych, jesiennych liści. Stanęła przed grobem, przy którym stało sporo zniczy, dygnęła grzecznie i uroczysto przemówiła:

- Witam pana bardzo serdecznie - przyjrzała się fotografii nagrobnej, czy aby na pewno był to mężczyzna, po upewnieniu się ciągnęła dalej - Ja pana bardzo przepraszam. Mój tatuś powiedział, że nie wolno kraść. Proszę mnie zrozumieć. Moja przyjaciółka też ma dziś swoje święto, a nikt nie przyjechał na jej grób. Ja nie pracuję i nie mam pieniędzy, bo sama bym jej kupiła. Nie mogę też poprosić tatusia, ani mamusi, bo chyba nie lubią, że ja się z Różą przyjażnię. A ja bardzo Różę kocham. I dlatego proszę się nie gniewać, że ja jeden ten znicz sobie wezmę. Ale za to mam dla pana taki bukietek liści. Wolałabym, żeby to były kwiatki,

ale sam pan rozumie, że kwiatki, to ja dopiero wiosną mogę panu przynieść. Obiecuję, że przyniosę. Ustroję panu pięknie tutaj, tylko za to wezmę sobie jeden znicz dla Róży, dobrze?

Pocieszna istotka dygnęła bardzo uważnie, położyła kolorowe liście na płycie i zabrała najpiękniejszy, ozdobny znicz. Odchodząc dodała:

- Taki znicz, z kwiatkami, to bardziej dla dziewczynki, więc pewnie pan się nie pogniewa.

Ostrożnie, żeby nie zgasić płomienia podbiegła do stojącego nieopodal grobu z wielkim, przepięknym krzyżem z marmuru. Postawiła go na środku, otarła płytę z pożółkłych liści i ucałowała fotografię, z której patrzyły na nią wielkie, jasne oczy drobnutki dziewczyneczki, z blond loczkami...

- Kochana, ja cie bardzo przepraszam, że dopiero teraz przyszedłam, ale musiałam poczekać, aż wszyscy sobie pójdą. Nie chcę, żeby nam przeszkadzali. Ten znicz jest od tamtego miłego pana - bródką wskazała miejsce, skąd go wzięła. - Ale nie martw się, on się wcale nie gniewa. Dałam mu za to bukiet z liści. Różyczko, wiesz, jak piękne kolory mają teraz liście w parku?! No tak, ty wiesz, przecież widzisz je. Głuptasek ze mnie.

Zaśmiała się sama z siebie i usiadła na skrawku nagrobka. Zaczęła opowiadać jak minął jej dzień. O tym, że starsza siostra trochę jej dokuczała, że mama była na tatę zła, bo długo siedział w pracy, a także o swoim niefortunnym upadku. Relacje skończyła słowami:

- To ja już muszę iść, bo zaraz mama będzie się denerwować. Przyjdę jutro i trochę ci tu posprzątam.

Rączką przetarła brudny marmur, ale niewiele to pomogło. Zmarszczyła brwi i wpadła na pomysł, który postanowiła jutro zrealizować. Teraz jednak musiała już wracać. Tym razem ostrożnie przeszła drogę z cmentarza do stojącego zaraz naprzeciw domu, w którym mieszkała. Nie miała pojęcia, że zza firanki obserwuje ją tata, którego zaczęły niepokoić często wizyty córeczki wśród tych, którzy już odeszli...

GRUDZIEŃ 1967

- Ale co chcesz od dziecka?- kobieta krzątała się po wielkiej kuchni usiłując ugotować obiad i jednocześnie zrozumieć męża. - Czepiasz się niepotrzebnie. Nie będę się stąd wyprowadzała tylko dlatego, że nasza córka fantazjuje. Wiesz, ile dzieci ma wymyślonych przyjaciół!?

Edek spojrzął na żonę z niedowierzaniem. Przecież to nie jest normalne, że jego mała córeczka chodzi na cmentarz i odwiedza tam grób małej dziewczynki. Postanowił pójść tam pewnego dnia i dokładniej przyjrzeć się tej sytuacji. Na razie rozważał przeprowadzkę. Szansa była, bo jak na czteroosobową rodzinę mieli spory metraż. Wystarczyło powiedzieć, że chcieliby coś trochę mniejszego, ale w nowym budownictwie. Z chęcią zamieniłby ten dodatkowy, zbędny pokój, ale i piec kaflowy na nowocześniejsze ogrzewanie. No i Alicja miałaby przyjaciółki. Żywe...

Michalina podeszła do męża. Siedział zamyślony, smutny. Widać było, że naprawdę przeżywa się tym wszystkim. Zrobiło jej się go żal. Poglaskała go po głowie i przytuliła mocno.

- Będzie dobrze, kochanie. Dajmy sobie jeszcze trochę czasu, może Alusia z tego wyrośnie. Musimy proponować jej częstsze zabawy z Krysią i Basią. Przecież są tylko o rok starsze. Nie rozumiem, dlaczego nie bawią się z małą.

Edek wiedział. Ponad dwa miesiące temu był świadkiem ich rozmowy.

- Dla nas jesteś bardzo dziwna - rudowłosa Krysia stała nad wystraszoną Alicją jak kat nad ofiarą. - Taka wiecznie dobra, kochana i miła. Dziewczynki muszą takie być, ale nie zawsze. Jeśli chcesz się z nami bawić, to musisz coś dla nas zrobić.

Mała podniosła główkę i czekała na swoje zadanie.

Krysia i Basia odeszły na chwilkę i coś szeptały sobie do ucha. Zaczęły chichotać zerkając co chwile w jej stronę.

- Musisz coś ukraść - padł wyrok z ust starszej, bo siedmioletniej Basi.

Stał w kącie klatki schodowej niewidoczny dla dzieci i musiał użyć całej siły woli, żeby nie wyjść z ukrycia i dać smarkulom klapsa. Czekał na ciąg dalszy.

- Tylko w ten sposób udowodnisz, że jesteś warta naszej przyjaźni.

Do końca miał nadzieję, że jego córeczka odmówi, postawi ważne wartości na szczycie, odrzuci nic niewartą znajomość z rozpuszczonymi dziewczuchami.

O tym, że się mylił, przekonał się dwa dni później.

- Kochanie, brałeś pieniądze z mojej portmonetki?- Michalina od paru minut nerwowo przeszukiwała całą torebkę.

Podniósł głowę znad gazety i pokręcił przecząco. Wtedy zobaczył Alicję, stojącą w drzwiach. Jej twarzyczka była niemal purpurowa, oczy zaszczyły łzami. Już wiedział, co się stało...

Przez kwadrans nie mógł jej uspokoić. Mała płakała przejmująco, ale wiedział, że musi być twardy. Musi dostać lekcję, która zapamięta na całe życie. Kiedy Michalina nakryła do stołu wziął talerz z najmłodszej córki i zaniósł do kuchni:

- Alicjo, dziś zjesz sama - zdecydował starając się nie patrzeć na małą, bał się, że jej smutne oczy spowodują, że zmieni decyzję.

- Ale dlaczego?- Ala nic nie rozumiała.

- Bo ja nie będę siedział przy jednym stole z kimś, kto kradnie.

- Ale...- Michalina chciała coś powiedzieć, wytłumaczyć, że to jeszcze dziecko i w ogóle, ale spojrzenie męża powstrzymało ją. Usiadła ponownie przy stole i spuściła głowę.

To był najgorszy posiłek, jaki jedli i ostatni, który jedli osobno w tym domu.

Wieczorem, kiedy Edek przykrywał córeczki do snu zapytał najmłodszą:

- Nauczyłaś się dziś czegoś?

Wystający spod kołdry czerwony, zapłakany nadal nasek kiwnął na znak, że tak. Tata odetchnął z ulgą i poszedł przeczytać gazetę.

Cmentarz w Malborku przy ulicy Ciepłej kryje wiele tajemnic. Kto pochował tam bliskich i ile osób spoczęło oplakanych przez rodziny, nie wiemy... Historia dziwnej przyjaźni zmarłej przed II wojną światową Rose i jej równolatki Alicji zdarzyła się naprawdę. To zaledwie fragmenty tej historii.

Andrzej Kasperek

**„MARIA JANION –
NAUCZYCIELKA.
PRO MEMORIA”**





Angielski poeta Thomas Stearns Eliot pisał, że „kwiecień to najokrutniejszy miesiąc”... Jednak wydaje mi się, że dla polskiej kultury i nauki to tegoroczny sierpień jest najokrutniejszy - co kilka dni dowiadujemy się o śmierci wybitnych artystów, działaczy społecznych i naukowców. Umarli: Ewa Demarczyk, Henryk Wujec, Wojciech Karpiński, Maria Janion. Każdy z nich to strata nie do powetowania, to ikony polskiej piosenki, polityki, eseju i humanistyki...

Profesor Janion była moją promotorką - jestem listkiem numer 291 na Drzewie Janion zawierającym nazwiska magistrów i doktorów, którzy wyszli „spod Jej ręki”. Pochodzi ono z „Księgi Janion”, która powstała na osiemdziesiąte urodziny Mistrzynie, zamieszczono tam teksty Jej ofiarowane, m.in. esej „Kod Hansa Holbeina” mojego autorstwa. Większość osób z tego drzewa (stworzonego na wzór genealogicznego) pewnie mogła by powiedzieć: „My wszyscy z Niej”. Profesor była jedną z najważniejszych osób w moim życiu. Wiele Jej zawdzięczam. Czasami do Niej pisałem. Kilka lat temu posłałem Jej parafrazę zakończenia „Fausta” Johanna Wolfganga Goethego - zamiast „Das ewig Weibliche [zieht uns hinan]” napisałem: „Das ewig Janioniche”. Na język polski różnie to przekładano. Najczęściej tak: „wieczna kobiecość ciągnie nas wwyż”. Kobiecość jest tu boskim pierwiastkiem, który pozwala ludziom wstąpić na wyższy stopień rozwoju. Tak to odczuwałem i tak nadal to czuję – „wieczna janionskość” ciągnęła nas ku górze... Sprawiała, że zaczynaliśmy wierzyć w nasz rozum, dawała nam skrzydła, na których udawało się nam wlatywać w rejony, o których istnieniu jeszcze niedawno nie mieliśmy pojęcia... Nikt Jej nie zastąpi.

Jeśli ktoś wybierał studia na filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim w latach 70. (choć wcześniej pewnie też tak bywało), to mógł np. migać się od wojska, szukać męża lub żony. Albo być poetą, który naiwnie myślał, że na polonistyce rozwinie swój talent. Bywało jednak, że był ambitnym, głodnym wiedzy człowiekiem, który niechybnie musiał trafić na seminarium prof. Janion. Tak jak ja.

Colloquia gdańskie, konwersatoria oraz seminaria we wszelkich możliwych wersjach kuśify. Życzliwi przestrzegali jednak, że Janionowa to wampir, który tylko czyha na te naiwne duszyczki, aby je omamić i wyssać z owych istotek wszystkie soki, całą ich młodzieńczą świeżość, ich odkrywczy pomysły oraz dziewicze interpretacje... Że tym się żywi, bo bez tej młodej krwi uschnie i sczeźnie. Niniejszym informuję postronnych, że pogłoski o wampiryzmie Mistrzynie były mocno przesadzone i trudno doszukać się w niej współczesnej odmiany Elżbiety Batory. Przeżyliśmy! I jeśli ktoś tu kogoś żywił - to tylko na zasadzie wzajemności, wymiany energii i wzajemnej inspiracji, synergii. Bo tak to na zajęciach przez Nią prowadzonych działało.



Drzewo Janion, fot. Andrzej Kasperek

Kiedy w 1980 r. wraz z kolegami zakładaliśmy NZS – Niezależne Zrzeszenie Studentów – oczywiście było dla nas, że pismo gdańskich studentów musi się nazywać „Reduta”, tak jak Jej książka o romantycznej poezji niepodległościowej. Była to „oczywista oczywistość”, żeby zacytować klasyka... Wiem, że Profesor była zadowolona, że ten tytuł stał się nazwą studenckiej bibuły. W grudniu 1981 r. wielu jej studentów poszło strajkować do Stoczni Gdańskiej, która stała się wówczas dla nas prawdziwą Redutą.

W stanie wojennym nie pozwolono Jej wznowić seminarium na Uniwersytecie Gdańskim. Niektórzy z nas, Jej studentów i współpracowników, zaczęli wtedy jeździć do Warszawy, gdzie Profesor organizowała dalszy ciąg swych seminariów. Bardzo byłem dumny, że mnie zaprosiła na te spotkania, że należałem do Jej „spółuczniów”. W zapchanym książkami i papierami mieszkaniu na ulicy Niemcewicza kilka osób spotykało się prawie jak na tajnym komplecie. Czuliśmy się wyróżnieni. Ale najważniejsze było to, że nasze mózgi mogły pracować na najwyższych obrotach. Po to się tam przyjeżdżało. Pani Profesor nie stosowała nigdy taryfy ulgowej. Do zajęć trzeba się było dobrze przygotować. Bo jedną z najcenniejszych rzeczy, którą każdy z nas wyniósł z tych spotkań, był etos pracy.

Było coś jeszcze – uczestnicząc w Jej zajęciach czuliśmy się studentami prawdziwymi. Nie mieliśmy kompleksów, że jesteśmy z prowincji, że gdzieś tam jest ta prawdziwa Europa. Do Gdańska Profesor przywoziła francuskie i niemieckie książki oraz czasopisma; byliśmy na bieżąco informowani, co się dzieje w europejskiej humanistyce. Jak zdobywała te publikacje? I że chciało się Jej taszczyć te ciężkie tomy? Ale ona robiła to dla nas, swoich uczniów. Dla Niej to my byliśmy najważniejsi. Dla nas zawsze miała czas, dla przyjaciół nie zawsze. Do legendy przeszła Jej odpowiedź skierowana do znajomego: „A co ty jesteś student, że-bym miała dla ciebie czas?”

Jej zajęcia – wykłady, seminaria, konwersatoria przyciągały ludzi spoza uniwersytetu – nauczycieli, naukowców innych dziedzin, osoby głodne wiedzy i wolnej myśli, bo tam nie było cenzury. Nie było przypadkiem, że prowadziła później zajęcia w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych, czyli niezależnego stowarzyszenia, które w latach 1978-1981 przełamywało państwowy monopol nauczania na poziomie akademickim. Zachowywała się tak, jak napisał Zbigniew Herbert: „miał[a] odrobinę koniecznej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku”.

Spotkania z Nią były niczym misterium. Dobrze to ujął Paweł Huelle we wspomnieniu pośmiertnym: „Miała w sobie coś, co upodabniało ją do przewodnika chóru, do guślarza z „Dziadów”. Potrafiła zaczarować tematem, puentą, modulacją głosu, nie mówiła matowo, jej głos się zmieniał. To było coś magicznego, ale nie polegało to na tanich sztuczkach, bo na ogół w procesie pedagogicznym była dość surowa, wymagająca. Potrafiła bardzo pochwalić, ale też mocno zganić. Czasami, bardzo rzadko, zdarzały jej się liryczne momenty, kiedy odchodziła od tematu. Kiedy była rozluźniona, mówiła do nas „per dzieci”. Zapraszała do Gdańska Mirosława Białoszewskiego, Jerzego Grotowskiego, Günthera Grassa. Pokazywała nam filmy Wernera Herzoga, zapraszała do Teatru Wybrzeże na „Dziady” w reżyserii Macieja Prusa...

Stefan Chwin, jeden z Jej „spółuczniów” (używam tego określenia z dedykacji do III części „Dziadów”, bo romantyzm i Mickiewicz byli dlań szczególnie ważni), we wspomnieniu napisanym na dziewięćdziesiąte urodziny Mistrzynie w 2016 roku zauważył: „Była nie tyl-

ko „pracownikiem naukowym”, sumiennym, mądrym i odpowiedzialnym, ale prawdziwą artystką uniwersytetu, łącząc niebywałą erudycję z błyskotliwym talentem słowa i gestu”. Dobrze to uchwycił – w swej pracy naukowej i nauczycielskiej była artystką. Iluż spotkaliśmy znakomitych naukowców, którzy nie potrafili uczyć? Ona potrafiła! W swych rozmowach z Kazimierą Szczuką („Janion. Transe – traumy – transgresje”) Profesor kilkakrotnie mówi o sobie po prostu: NAUCZYCIELKA. Bardzo mnie to zawsze krzepiło. Jeśli czasem w mojej belferskiej karierze udało mi się jakąś dobrą lekcję przeprowadzić to wielka w tym Jej zasługa! Nota bene w drugim tomie wywiadu-rzeczki rozmówczynie wspominają o mojej „Koronczarce” i jest tam passus: „Znam te opowiadania oczywiście. Dostałam je z dedykacją. Na pewno oddają coś z tamtej atmosfery”.

Na 80. urodziny wysłałem Jej zdjęcie, które zrobiłem w ruinach pałacu w Mykenach. Jestem z niego bardzo dumny. Widnieje na nim Brama Północna. Lubię myśleć, że wyglądała przez nią Agamemnon. Dlaczego tę fotografię wybrałem? Dla mnie (a myślę, że wielu się ze mną zgodzi) Janion była bramą do poznania humanistyki. I wcale nie potrzebowaliśmy tak, jak u Huxleya w jego „Drzwiach percepcji”, żadnych substancji wzmagających nasze doznania. To Maestra była naszym narkotykiem. Dostałem później kartkę ze słowami: „Najserdeczniej dziękuję za pamięć i życzliwość” i Jej podpis. Równe, ładne i czytelne litery. To ważne, bo pisała wszystkie swe książki ręcznie! Ktoś je później musiał czytać i przepisać.

Z listy tematów dla swych przyszłych studentów (bo to Ona proponowała temat) wybrałem: „Motywy samobójcze w twórczości Adama Mickiewicza”. Po wielu latach i po wielu trudach (stan wojenny bardzo mi zaszkodził) w marcu 1986 roku, będąc na przepustce z jednostki wojskowej przy lotnisku w Pruszczu Gdańskim przebrałem się z munduru wojskowego w tzw. cywilki i obroniłem swą pracę magisterską, za którą Profesor wstawiła mi ocenę: bardzo dobry plus. Oj, rzadko kto na tego plusa zasłużył... Z Jej konwersatorium związany jest także mój debiut - mieliśmy dyskutować o twórczości Bohumila Hrabala – napisałem wówczas swój pierwszy esej: „Klaun, animator, gawędziarz, nauczyciel domowy tak samo, jak wielka świnia, donosiciel i autor anonimowych listów z pogroźkami”; miał być tekstem wprowadzającym do dyskusji. Tytuł pochodzi z Hrabala i tak mi później z wyborem tytułów do swoich utworów zostało... Szkic opublikowany został w 5 numerze (1988) gdańskiego kwartalnika (wydawanego poza cenzurą) pt. „Podpunkt”. Mógłbym też powiedzieć, że to Marii Janion zawdzięczam po latach wyrwanie się z belferskiego kołowrotu, bo na Jej cześć Wydawnictwo słowo/obraz/terytoria przygotowało wspomnianą jubileuszową księgę. Zaproponowano mi napisanie do niej tekstu. Tak powstał tekst „Kod Hansa Holbeina”, który traktuję jako ponowny debiut i swoiste przebudzenie.

Gdy w 2006 roku temu odwiedziłem Mistrzynię w jej mieszkaniu, ledwo precisiłem się przez wążutki przesmyk wśród ton papieru i ksiąg wszelakich. Pamiętałem to mieszkanie sprzed dwudziestu lat, ale wówczas miałem nieodparte wrażenie, że książek przybyło, że się już nigdzie nie mieszczą, zawładnęły nawet ubikacją. Półki już ich nie mieściły, a one zawłaszczyły całą przestrzeń. Tam już żadni seminarzyści by się nie zmieścili... Miałem wrażenie, że zaraz wszystko runie i lawina pisanego słowa zasypie nas. Przypomniał mi się Hańta z hrabalowskiej „Zbyt głośnej samotności”, który bał się, że umrze przysypany książkami.

Żegnając się z Marią Janion powiedziałem Jej, że należy do najważniejszych kobiet mojego życia. Uśmiechnęła się leciutko. Widziałem Ją wtedy ostatni raz i zrobiłem to zdjęcie. Później Profesor odsunęła się od życia publicznego, przestała się pojawiać i wydawać nowe książki. Może siły Ją opuściły, a może obrzydła ta nasza koślawa rzeczywistość. Wycofała się, wybrała dumne wygnanie albo po prostu usunęła się, jak kiedyś starzy ludzie to czynili. Umarła czytając. Kiedy o tym myślę, to przypomina mi się Moliere umierający na scenie. Umarł wykonując swą pracę, coś co było sensem jego życia. Lektura była Jej pracą, ale także namiętnością, miłością, sensem życia...

Tony przeczytanego i zaczernionego papieru, tytaniczna praca formacyjna, którą wykonała. Czy umieliśmy z tego skorzystać? Ile z tego zostanie? Może niewiele, ale to nic. Ma rację profesor Chwin, gdy zauważa: „Dla mnie jednak – i dla jakiejś części Polaków – ten ślad będzie równie cenny i ważny jak słowa Brzozowskiego, Żeromskiego, Gombrowicza, Dąbrowskiej, Kołakowskiego i kilku jeszcze innych wielkich duchów polskiej kultury, o których większość obywateli zamieszkujących równinę między Bałtykiem a Karpatami nawet nie słyszała i nigdy słyszeć nie będzie; mocne i trafne, rozgrzewające słowa wielkich duchów, którzy dla naszej garstki pozostaną niezastąpionymi światłami w ciemnościach świata”.

PANI PROFESOR, DZIĘKUJĘ ZA WSZYSTKO!

Andrzej C. Leszczyński

OKRUCHY

WKRZYWIENI W SIEBIE

Zauważyłem, że niektórzy spośród moich znajomych przywożą z podróży zdjęcia przedstawiające krajobrazy i napotkanych ludzi, zaś inni uwidaczniają na nich siebie, najczęściej na tle znanej budowli bądź w towarzystwie równie znanej osoby. Zauważyłem też, że podczas telewizyjnych transmisji z zawodów sportowych uwaga wielu kibiców w niemniejszym stopniu niż na grze, choćby to były zmagania o najwyższą stawkę, momenty walki najbardziej zacieklej, skupiona jest na wielkich telebimach, na których od czasu do czasu mogą zobaczyć własne twarze. Szturchają się wtedy, pokazują palcem, śmieją się i machają rękami. Czytam właśnie książkę napisaną i wydaną własnym sumptem przez znajomego przedsiębiorcę. Pełen szacunku do siebie, wręczył mi ją z błyskiem w oku mówiąc o wrażeniu, jakie wywarła na wszystkich, którym ją podarował. Pełno w niej „mądrościowych” passusów, do tego nieustanna autokreacja autora, który odnajduje się obok znanego dyrygenta, zawiera „intelektualną przyjaźń” z popularnym artystą plastykiem, nie ma obiekcji, by określać mianem przyjaciół kilkadziesiąt postaci, m.in. Williama Szekspira, Tomasza Manna i Jacka Kerouaca, żalując, że minęli się z nim w czasie: „A byłoby przecież tyle do przegadania”. Marek Kędzierski swój esej poświęcony wybitnemu rzeźbiarzowi i malarzowi kończy złośliwą uwagą: „Kiedy umiera artysta taki jak Giacometti, cała chmara tych, co chępli się znajomością z nim czy przyjaźnią, czy jego protekcją i opieką, zaczyna oddziobywać dla siebie część artysty. Twierdzić, że ich uwielbiał i popierał. Nawet błogosławił. Lepiej nie dawać im wiary”¹.

Można znajdować artystyczne uzasadnienie dla posługiwania się własnymi wizerunkami, obrazami twarzy i ciała, co widać w przedstawieniach Mariny Abramović, Katarzyny Kozyry, Ewy Partum czy Julity Wójcik. Natomiast eksponowanie siebie w mediach społecznościowych, kreowanie swego wizerunku w sieci jest wyłącznie chorobliwym przymusem związanym z nieustającym konkursem popularności. Świadczy o tym poszukiwanie ekstremalnych sytuacji, bywa że przekraczających granice intymności i bezpieczeństwa, dla zrobienia selfie mającego zaimponować znajomym, a także wzbudzić ich zazdrość². Zdaniem Jean Marie Twenge, psycholog z uniwersytetu w San Diego, tyczy to w szczególności ludzi urodzonych po 1982 roku: nazywa ich badaczka najbardziej narcystycznym pokoleniem w dziejach świata. Na społeczną obecność młodych narcyzów reaguje język. Iwona

¹ Oddziobywać artystę może także państwo, o czym jeszcze w międzywojniu pisał Jerzy Waldorff: „Z popieraniem żywych artystów jakoś w Polsce nie idzie. Za to niech tylko który umrze! Co za pogrzebik, co za mówka, co za nagrobek”.

² Ekstremalne selfie zyskało bardziej stosowną nazwę: killfie. Ze smartfonów korzysta dziś ponad 3 mld ludzi. Codziennie powstaje prawie sto milionów fotografii, z tego ok. 10%, to killfie.

Burkacka, polonistka z Uniwersytetu Warszawskiego, dostrzega w dzisiejszej polszczyźnie takie odpowiedniki selfie, jak slitfotka (slitfocia), fotka z rąsi czy samejebka. Pisze Joanna Bojańczyk, krytyk mody: „Zdjęcia są emocjonalnymi wehikułami czasu. Przenoszą w miejsca, o których marzymy, przypominają zdarzenia, o których zapomnieliśmy, pobudzają do przyszłych działań. Ale nie tylko to: pomagają świadomym ich siły zręcznie budować wizerunek, aby go potem korzystnie spieniężyć. Reklamie, przemysłowi rozrywkowemu, producentowi telewizyjnemu, mediom. To się nazywa personal branding”. Są też wyrazem samoobserwacji i samoakceptacji. Trudno nie zauważyć, że rzeczywistość Facebooka przypomina tę z filmu „Truman Show” Petera Weira (1998) – miłą, wygodną, schludną i nieprawdziwą. Różni się od niej świadomym odgrywaniem ról wyznaczonych przez kabotyńskie reguły społeczne. To jedno z największych nieszczęść w historii ludzkości, sądzi prof. Agata Bielik – Robson. Pewnie dlatego wiele osób usuwa z FB swe konta.

Niegasnąca potrzeba wyrażania siebie. Przestrzegano przed nią wielokrotnie. Laozi Daojiejing (Księga Drogi i Cnoty): „Kto wie, nie mówi. Kto mówi, nie wie”. Artur Schopenhauer w „Erystyce...” pisze, że głupszym z dyskutantów jest ten, który częściej używa słowa „ja” („Myśleć potrafi niewielu, ale opinię chcą mieć wszyscy”). Witold Gombrowicz w „Dzienniku”: „Ja mówię, oni słuchają. Hm... to mi się nie podoba... gdy z Buenos Aires wybrałem się na prowincję, do Santiago del Estero, ja milczałem a mówili tamtejsi pisarze... zawsze mówi ten, co chce się wykazać, ten z prowincji”. Antoni Libera („Godot i jego cień”) pisze o spotkaniu z Samuelem Beckettem. Gdy pyta go o Sławomira Mrożka, Beckett odpowiada: „Oczywiście że znam. Spotkaliśmy się kiedyś, i nie tak dawno w Stuttgarcie. Nadzwyczaj miły człowiek. Milczący, wycofany. Mieliliśmy świetny kontakt”.

Filozofia (czy raczej „filozośka”, jak mawiał Witkacy) dzisiejszych narcyzów wyzbyta jest podobnej samowiedzy. Trzeba pokazać się, wykreować, zaprezentować, spodobać, istnieć dzięki świadkom. Prawie tak, jak u George’a Berkley’a: „Esse est percipi” (istnieć to być postrzeganym). Coraz więcej ludzi pisze książki, coraz mniej je czyta. Św. Augustyn Aureliusz, a po nim Marcin Luter, używali określenia „homo incurvatus in se”, mówiącego o człowieku wkrzywionym w siebie. Zwrot ten miał oznaczać antropocentryczne odwracanie się od Boga. Zdaje się, że te same słowa nie najgorzej wyrażają współczesne zakochiwanie się w sobie z wzajemnością (Gustaw Holoubek mawiał o takich osobach, że „staje im do środka”³). Wielu badaczy pisze o „narcystycznej osobowości naszych czasów” (homo narcissus). O traktowaniu kontaktów międzyludzkich jako chwilowej interakcji obliczonej na korzyść, o skupieniu się na realizacji własnych potrzeb, o chłódzie i emocjonalnym oddaleniu od najbliższych. Jak pisze Kinga Dunin („Narcyz i sadzawka”): „Wszędzie tylko ja i ja, brane za cały świat”. Oto niektóre cechy narcyza wskazane przez Paula J. Hanninga, psychologa zajmującego się zaburzeniami osobowości: Przesadne poczucie własnej ważności. Przekonanie, że jest się kimś „specjalnym”, kto może być zrozumiany i może utrzymywać stosunki z innymi specjalnymi ludźmi. Oczekiwanie nadmiernego podziwu. Przekonanie o posiadaniu prawa do bycia podziwianym. Wykorzystywanie innych do realizacji własnych celów. Brak empatii. Okazywanie wyższości czy też pogardy w stosunku do innych.

³ Oscar Wilde lubił opowiadać historyjkę o Ewie, której po wygnaniu z Raju nie cieszyły żadne prezenty Adama; zadowolono ją dopiero lusterko. Arystoteles mówił o samolubstwie (φιλαυτία) uznając je za stan pozytywny wtedy, gdy kocha się w sobie zalety duchowe.

JA, ARTYSTA

Przyjęło się uznawać, że artysta – ów wybraniec bogów⁴ – to niejako z konieczności egocentryk, który w sztuce ujawnia swą wyjątkowość (mania grandiosa). Przeczenie temu byłoby hipokryzją, której unika Witold Gombrowicz zaczynając swój „Dziennik” znaną wylicznką: „Poniedziałek. Ja. Wtorek. Ja. Środa. Ja. Czwartek. Ja”. Dopiero w piątek zajął się rzeczywistością, czyli gazetami przyniesionymi przez Józefę Radzywińską. Inna sprawa, że eksponowane przez Gombrowicza „ja” jest w ostateczności złudzeniem - „recytacją”, „grą”, maskowaniem wewnętrznej pustki i społecznej „gęby”. Oto słowa Henryka ze „Ślubu”: „Nie, ja nie istnieję/ Nie jestem żadnym »ja«, ach, ach, poza mną/ Poza mną ja się tworzę”. „Poza mną” - czyli w tzw. kościele międzyludzkim, w relacjach zewnętrznych. Tak czy inaczej, do wyjątków należy Sławomir Mrożek, który po śmierci Jana Lebensteina pisał, że żaden z nich nie myślał o sobie jako o artyście, nie nazywał tak siebie, obaj gardzili tym słowem, zaś artystyczność była dla nich synonimem błazeństwa i hucpy. Podobnym wyjątkiem jest Iwona Kempa, reżyser teatralna, która mówi, że chce pozostać niewidzialna, przezroczysta, i że czuje się nieswojo, gdy ktoś mówi o niej „artystka” (długo nie śmiała nazywać siebie reżyserem). Także Jacek Podsiadło, poeta chroniący swą prywatność przez zakaz publikowania jego podobizny, robienia mu zdjęć podczas występów publicznych. Wojciech Karpiński we wspomnieniu o Józefie Czapskim zauważa, że niezwykle rzadko używał on takich słów, jak artysta czy sztuka. „[...] mówił najczęściej o »mojej pracy«, o »ustawianiu pracy«, o »tempie pracy«, mówił o »malowaniu«, o »robotcie«, o »piłowaniu«”. Kiedy czytam Józefa Czapskiego piszącego, że sztuka to publiczne zdejmowanie gaci, i że kto się na to nie zdoberdzie, niczego nie osiągnie – wyobrażam sobie jego twarz wykrzywioną w sardonicznym grymasie.

Przychodzi mi do głowy więcej podobnych wyjątków, może więc nie są aż takimi wyjątkami? Wisława Szymborska w swych wierszach marginalizowała siebie, odsuwała się na bok, by zrobić miejsce dla drobiazgów składających się na rzeczywistość dookólną. Thomas S. Eliot powtarzał, że poezja nie służy do wyrażania uczuć, przeciwnie, służy do uciekania od nich. Bliski Eliotowi jest Stéphane Mallarmé, którego zdaniem wierszy nie tworzy się z emocji, nastrojów, wrażeń; wiersze tworzy się ze słów. Simone Weil tak wyraża swój pogląd: „Cel poety to zrozumieć każdy przedmiot i każde stworzenie w jego istnieniu osobnym, autonomicznym. Nie narzucać mu siebie. Nie ustawiać się w centrum świata [...]”. Podobnie o powinności artysty pisze Oscar Wilde: „stwarzać piękno, ale nie wkładać w nie nic ze swego życia”. Jeszcze wyraźniej ujmuje rzecz André Gide: „L'êtrę pensant qui n'a que soi pour but souffre d'une vacance abominable” [Istota myśląca, która za cel ma tylko samą siebie, cierpi z powodu straszliwej próżni]. By uwolnić się od siebie, Edward Stachura zastępował „ja” bezosobowym „się” oznaczającym przebudzenie, osiągnięcie jedności ze światem, przekroczenie opozycji „ja” (podmiot) – „to” (przedmiot). Skarżył się znajomym na redakcję miesięcznika „Twórczość”, że nie chce drukować jego tekstów bez nazwiska autora.

Oto co o Narcyzie – symbolu próżności i ofierze poznawczego zgłębiania siebie - pisał Owidiusz w „Przemianach”: „Wieszcz, spytany, czy Narcyz szczęśliwych dni dozna/

⁴ W nazistowskich Niemczech, w 1933 roku, sporządzono nawet listę artystów „obdarzonych łaską bożą” (Gottbegnadeten-Liste).

Odpowiedział – »Jeżeli sam siebie nie pozna«./ Wróżba zdała się nie mieć prawdy podobieństwa,/ Lecz ją potwierdził skutek i nowość szaleństwa». Jacek Antoni Zieliński, malarz i grafik, autor podręczników do wychowania plastycznego, przestrzega przed wyrażaniem w sztuce „siebie”, przed „autentycznością” będącą wynikiem świadomego zamysłu. Pisze, że gdy „ja” wybija się na plan pierwszy, gdy jego znaczenie staje się celem samym w sobie, natychmiast – zamiast ogromnieć – malejemy. To prosta droga do kabotyństwa. Zieliński przytacza wskazanie swego mistrza Stanisława Szczepańskiego, by malować to, co się widzi, a nie to, co się wie o widzianych przedmiotach. Co znaczy: należy zwracać się ku rzeczywistości, nie ku sobie; malować coś, co nie będzie kolejnym „autoportretem”. „Narcyzm stanowi przekleństwo artystów. Ale jest też ciekawe, że wybitni artyści mają w sobie jakiś sygnał ostrzegający ich przed narcyzmem. Sygnał ten sprawia, że [...] nie dopuszczają, aby narcyzm zawładnął ich twórczością, aby stał się pobudką tworzenia”.

Zapewne słyszała ten ostrzegawczy sygnał Karen Blixen, autorka „Pożegnania z Afryką” i „Uczty Babette”. Broniła się przed rolą osoby publicznie identyfikowanej jako artystka, pisarka. Uważała, że wiązanie życia artysty z jego sztuką zawsze stwarza zawstydzające problemy. Radykalnego wyboru dokonuje inna pisarka ukrywająca się pod pseudonimem Elena Ferrante („Genialna przyjaciółka”, „Historia ucieczki”). Nie zidentyfikowana do dziś, tak tłumaczy swą decyzję: „Zrobiłam już wystarczająco dla tej książki – napisałam ją [...] Wierzę, że gdy książki zostają napisane, nie potrzebują autorów. [...] Bardzo Kocham te dziwne tomy, zarówno staro-, jak i nowożytny, które nie mają znanego z nazwiska autora, a mimo to do dziś żyją własnym życiem. Są podrzuconym pod osłoną nocy cudem, jak dary Befany [wróżki podrzucającej prezenty - ACL], na które czekałam w Boże Narodzenie. Sprawcy prawdziwych cudów są bezimienni”.

Od kabotyńskiego „to ja, artysta” odżegnują się twórcy tacy, jak Oscar Wilde („Objawiać sztukę, ukrywać artystę, oto cel sztuki”), czy Balthus, który zażądał, by w katalogu do jego wystawy w Tate Galery zamiast biogramu napisano: „Balthus jest malarzem, o którym nic nie wiadomo. Oglądajmy jego obrazy”. Także Milan Kundera, który tak oto sformułował swój książkowy biogram: „Urodził się w Czechosłowacji. Od 1975 roku mieszka we Francji”⁵. Że nie jest to łatwe, mogą świadczyć słowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z „Dziennika pisanego nocą”: „Boże, zabij we mnie ambicję i spraw, abym umiał pisać z myślą, że nikt tego nie będzie czytał”. Podobnej pomocy szuka Zbigniew Herbert: „[...] wzywam was Starzy Mistrzowie/ w ciężkich chwilach zwątpienia// sprawcie niech spadnie ze mnie/ wężowa łuska pychy// niech pozostaną głuchy/ na pokuszenie sławy// [...]”.

Muszę przyznać, że nie oburzył mnie zaudalenie los Fidasza, opisany przez Ewę Kuryluk: „Gdy dostał zlecenie na wyrzeźbienie bitwy Amazonek, sportretował na jednej z ich tarcz twarz (odbitą jakby w lustrzanym metalu) starszego łysego mężczyzny. Rozpoznano w nim artystę i wybuchł skandal. Fidasza wtrącono do więzienia, następnie wygnano. Zmarł na zesłaniu w Olimpii”.

⁵ Nawiązując do poglądu Gustawa Flauberta („Artysta powinien ukrywać się w swojej twórczości, podobnie jak Bóg nie ukazuje się w przyrodzie”), Kundera zauważa ze smutkiem, że dziś to dzieło niknie przestłonięte postacią autora.

WOBEC SZTUKI

Filozofia pierwszej osoby ugruntowała się w Europie za sprawą Kartezjusza. Odniesienia przedmiotowe zastąpiła podmiotowość, zaimek „ja” (jestem, myślę, wątpię, widzę, chcę itp.) stał się fundamentem i uzasadnieniem osobowego prymatu. Europejczyk mówi: stoję przed obrazem. Azjata powiedziałby: obraz wisi przede mną. Twórca europejski chce w dziele sztuki unieśmiertelnić siebie, wystawia sobie „pomnik trwalszy niżli spiże” (Horacy). Dzieło ma pozostać, gdy zgaśnie pamięć o artyście. Mówi o tym znany wiersz Emily Dickinson: „Poeci tylko zapalają lampy/ sami – gasną - / lecz światło/ - jeśli życiodajne - // trwa jak słońca/ każdy wiek to soczewka/ ich krąg/ powiększająca” (tłum. Stanisław Barańczak). I jego trawestacja autorstwa Ewy Kuryluk: „Malarki tylko przyszpilają cień/ same - giną w mroku - / ale obrazu kontur/ - jeśli spocznie w cudzym oku - // póki jest słońce/ rzuca cień/ z każdym wiekiem/ dłuższy”. Inaczej Azjata: oddaje się pięknu chwili nie myśląc o wieczności swojej ani dzieła. Tamtejszy mistrz zachwyca się kunsztem wykonanej przez ucznia kompozycji z płatków róży, po czym zmiata ją do kosza.

(Na marginesie: O wiele bardziej niż artystów, narcyzm zaraża polityków, także byłych. Czytałem niedawno w „Więzi” wspomnienie Aleksandra Halla poświęcone Pawłowi Adamowiczowi. Niczym minister Feliks Kosiubidzki z „Transatlantyku” Witolda Gombrowicza, który sobą zaszczycił niezmiernie, pisze Hall o Adamowiczu: „poznał mnie w 1980 roku”. *Nie używa naturalnego dla wspomnieniowej formy zwrotu „poznałem go”,* czy choćby „poznaliśmy się”. Młodziutki pierwszoklasista licealny poznał mnie, jednego z liderów Ruchu Młodej Polski).

Egocentryczny odbiór dzieł i tekstów kultury widoczny jest w takim podejściu, które zrównuje „czytanie” z „pisanem”, recepcję z kreacją. Zakłada się tu, że jedynym miejscem dla tekstu jest interpretująca go indywidualna świadomość (tekst to każdorazowo czyjś tekst). Obiektywizujące wyjaśnianie tekstu, jego egzegeza, zastępowane jest odnajdywaniem tego, co wiadome i oczekiwane. Przeciwno takiej subiektywizacji protestuje prof. Maria Prussak mówiąca o potrzebie próbowania choćby wejścia w „skórę autora”, rozpoznania jego słownika, kontekstu, w jakim usytuował swój tekst itp. Można sądzić, że uczciwy odbiór sztuki winien być oparty na zawieszeniu „ja”, wzięciu w nawias posiadanej wiedzy (w tradycji fenomenologicznej określano to greckim mianem epoche [ἐποχή]). Coś bodaj podobnego postulowali europejscy dialogicy, m.in. Emmanuel Lévinas, mówiąc o gotowości do przyjęcia nowego stanu rzeczy. Gotowość taka nie jest pozbawiona egzystencjalnego ryzyka - po rzetelnym spotkaniu z człowiekiem bądź dziełem nie mogą być taki sam jak wcześniej.

By wejść w skórę autora, trzeba wyjść z własnej skóry, odnaleźć się poza doznaniem, jakie towarzyszą poznanym wcześniej wierszom, filmom czy utworom muzycznym. Trzeba wydobyć się z barier umysłu ścisłego, którym chwalił się inżynier Mamoń w „Rejsie” Marka Piwowskiego mówiąc: mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem. Trzeba zawiesić najprostsze odczucia typu: podoba mi się, nie trafia do mnie, wzruszyłem się itp. Przedrzeć się do rzeczywistości jeszcze nie oswojonej, nie przynoszącej poznawczego spokoju i psychicznego bezpieczeństwa. Znaleźć kody, w jakich zaszyfrowane zostało dzieło sztuki, rozpoznać jego styl bądź konwencję. Jeśli nie dysponujemy pojęciami obejmującymi sty-

listyczne charakterystyki dzieł, „nie potrafimy przejść od pierwotnej warstwy znaczenia, którą da się przeniknąć na podstawie egzystencjalnego doświadczenia, do warstwy znaczeń dalszych” (Erwin Panofsky).

Przychodzą mi do głowy te myśli w związku z lekturą książki Dariusza Czai i Wiesława Juszcza pt. „Ruiny czasu. Rozmowy o twórczości”. Myślowa pożywność tej książki jest podobnej miary, co „Notatki” Nicoli Chiaromonte, może też „Miłość i nicość” – rozmowy Anny Kostrzewskiej - Bednarkiewicz z Władysławem Stróżewskim. Profesor Juszcza, znawca i pasjonat z zakresu wielu dziedzin kultury (mówiono o takich: polihistor), składany jest przez Dariusza Czaję do wynurzeń m.in. na temat ważnych dla niego filmów. Mniejsza o to, jakie są to filmy. Fascynująca wydała mi się rzetelność, z jaką odnosił się do poszczególnych obrazów, wysiłek przedzierania się do ich wnętrza, do tego, co w sobie zawierają.

Oto dopiero po latach oglądania „Czarodziejskiego fletu” Ingmara Bergmana pojął siłę finału tego filmu. Po kilkakrotnym obejrzeniu „Tokijskiej opowieści” Jasuirō Ozu dostrzegł jeden ważny dla narracji ruch kamery, wcześniej niezauważony. Filmy Antonioniego oglądał po kilkanaście razy (o „Zaćmieniu” mówi: „Dopiero za trzecim razem zauważyłem, że taki jest finał: niespełnione uczucie”). Przyznaje, że dopiero po latach i wielu „podejściach” odkrył wielkość „Giulietty od duchów” Felliniego („Giulietta degli spiriti” – tytuł źle przetłumaczony w Polsce jako „Giulietta i duchy”). W „Drodze mlecznej” Buñuela odnajduje istotny dla absurdałnego zamysłu twórcy napis, nazwę oberży. Na uwagę Dariusza Czai, że nazwa ta przemyka w filmie bardzo szybko i jest niezauważalna, odpowiada, że jak ogląda się film kilkanaście razy, to w końcu staje się wyraźna. Żałuje, że zbyt mało razy oglądał „Amarcord”. „La Stradę” widział wielokrotnie w młodym wieku („Chodziłem na to w kółko i za każdym razem ryczałem jak siedem bobrów”). By zbliżyć się do „Zwierciadła” Bergmana, załatwił salę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, w której wynajęty operator puszczał mu taśmę, a on siedział i notował. W kółko chodził na „Stalkera” Tarkowskiego („Pamiętam, że raz wchodząc do Luny, spotkałem wychodzącą właśnie z kina Małgorzatę Szejnert, która mówi: »Nie idź na to«. A ja: »Idę już czwarty raz«”).

Andrzejowi C. Leszczyńskiemu, naszemu redakcyjnemu koledze,
z powodu śmierci syna Wojtka, przesyłamy serdeczne wyrazy współczucia.

W tych trudnych chwilach jesteś z Tobą.

Redakcja Kwartalnika „Prowincja”

Grażyna Nawrońska

LAS, DREWNO I ŚREDNIOWIECZNY ELBLĄG

Las, jako formacja roślinna, zawsze był i nadal jest obecny w życiu człowieka. Na przestrzeni dziejów pełnił wiele funkcji służących człowiekowi, ale również środowisku naturalnemu. Początkowo był miejscem schronienia i zamieszkiwania, dostarczał różnorodnego pożywienia, a drewno było podstawowym surowcem dla budownictwa i wytwarzania różnorodnych przedmiotów. Las odgrywał ważną rolę w kulturze duchowej społeczeństw, w kształtowaniu wierzeń, będąc równocześnie przez jego mieszkańców uznawanym za siedzibę różnych bóstw.

Na ziemiach polskich około dziewiątego tysiąclecia p.n.e. dobiegło końca ostatnie zlodowacenie. Przemieszczanie się lodowca w kierunku Skandynawii spowodowało rozprzestrzenianie się lasów na naszych obszarach. Dzisiejszy teren Polski leżący na granicy wpływów klimatycznych: atlantyckich (zachodnich) i kontynentalnych (wschodnich) odznaczał się bardzo urozmaiconą rzeźbą terenu i różnorodnymi glebami, stwarzającymi doskonałe warunki dla rozwoju bogatych zbiorowisk leśnych. Te obszary, jak i sąsiadujące z nimi terytoria, pokrywały nieprzebyte puszcze oraz inne formacje roślinne typu zarośla, trzęsawiska, bagna, liczne rzeki i jeziora.

Okolo czwartego tysiąclecia p.n.e. plemiona neolityczne, prowadzące koczowniczy tryb życia i trudniące się myślistwem i zbieractwem, zaczęły przystosowywać się do prowadzenia osiadłego trybu życia. Rozpoczęto wówczas trzebienie leśnych obszarów (oczywiście na małą skalę) przekształcając je w tereny uprawne i sady, które stanowiły znikomą część leśnych przestrzeni. Oddziaływały one również poszczególne społeczności czy plemiona będąc naturalną zaporą, pełniąc tym samym ważną rolę obronną.

Najstarszymi sposobami użytkowania lasów, oprócz pozyskiwania drewna były zbieractwo i łowiectwo. Szczególnie istotną rolę odgrywały one w życiu ubogich warstw społecznych, zwłaszcza w okresach prowadzonych wojen, klęsk żywiołowych czy nieurodzajów. Zbiory owoców leśnych, różnorodnych nasion drzew i orzechów stanowiły nie tylko pożywienie dla ludności, ale zbierane i magazynowane przeznaczone były na paszę dla zwierząt. Las dostarczał ściółki w postaci m.in. liści i mchów, wykorzystywanych w hodowli zwierząt. W celach leczniczych i spożywczych wykorzystywano soki i kory drzew, np. z wierzby uzyskiwano salicyl, z jesionu substancję podobną do chininy, a wywar z kory dęby miał uśmierzyć ból zębów. Formą zbieractwa, które we wczesnym średniowieczu przekształciło się w formę gospodarki leśnej było bartnictwo. Uzyskiwane miód i wosk były towarami luksusowymi dostępnymi jedynie dla najbogatszych grup społecznych. Wosk poza wykorzystaniem do produkcji świec, był również stosowany w warsztatach rzemieślniczych. Istotną rolę odgrywały żywice pozyskiwane z drzew igła-

stych, z których produkowano smołę, sadzę i pak. Kora drzew liściastych (głównie dębu) była wykorzystywana w farbiarstwie i garbarstwie.

Źródłem żywności związanej z lasem było myślistwo. Początkowo każdy miał nieograniczony dostęp do dzikiej zwierzyny. Od wczesnego średniowiecza systematycznie wprowadzano ograniczenia dotyczące polowania, które jednak mimo coraz większej kontroli nie zawsze były przestrzegane. Na przełomie X i XI wieku prawo polowania na tzw. grubą zwierzynę – m.in. tura, żubra, niedźwiedzia – zastrzeżone były dla władcy i uprawnionego rycerstwa. Natomiast poddani mogli w różnym stopniu polować na drobną zwierzynę.

Na przełomie XII i XIII stulecia rozpoczęła się w Europie Środkowo-Wschodniej wielka akcja kolonizacyjna związana z lokacjami miast na prawie niemieckim. Wprowadzała ona szereg nowych zasad związanych, m.in. z zagospodarowaniem terenów leśnych wokół powstających wokół ośrodków miejskich. Na rozległych puszczańskich terenach otaczających nowe miasta, wyznaczano granice poszczególnych obszarów, tzw. *zapowiedzi*, co oznaczało zniesienie zwyczaju wspólnego nieograniczonego użytkowania i korzystania z dóbr leśnych przez ogół ludności. Tylko właściciele obszarów leśnych, np. pan feudalny, biskup, rada miasta, mogły wydawać zgody na wyrąb drzewa na cele budowlane, zbiórkę suszu, wypas inwentarza czy łowy na drobną zwierzynę. Przekroczenie tych zakazów skutkowało licznymi, nieraz bardzo dotkliwymi karami.

Las zawsze był źródłem pozyskiwania drewna, podstawowego surowca dla budownictwa miejskiego, wiejskiego i obronnego, elementów infrastruktury miejskiej, przemysłu stoczniowego, materiałem niezbędnym dla różnorodnych rzemiosł, a także w zasadzie jedynym źródłem energii. Ogromne ilości drewna, głównie dębowego i sosnowego, używano do wznoszenia budynków mieszkalnych i obiektów gospodarczych, a częste pożary nękające miasta potęgowały zapotrzebowanie na ten surowiec. Elementy miejskiej infrastruktury w postaci studni, latryn, rur wodociągowych, rynsztoków, ulic, mostów i grobli wymagały stosowania drewna do ich budowy; podobnie jak najstarsze umocnienia obronne w postaci palisad i ostrokołów.

Podstawowym surowcem dla najważniejszych rzemiosł było również drewno. Dla ciesielstwa, stolarstwa, bednarstwa czy kołodziejstwa – jednych z najstarszych rzemiosł w historii – stanowiło bazę do wytwarzania różnorodnych przedmiotów, uzupełnianych w niewielkim stopniu żelazem lub innymi metalami. Stosowano je także do budowy maszyn, obiektów gospodarczych – np. młynów, tartaków, warsztatów tkackich - środków komunikacji – np. sanie, wozy. W warsztatach skutniczych funkcjonujących zarówno w miastach nadmorskich jak i w głębi lądu nad rzekami, budowano m.in. kogi i łodzie. Na przykład, na zbudowanie średniej wielkości statku zużywano drewno z około czterech tysięcy potężnych drzew. Wytwarzanie węgla drzewnego od początku XIII w. w znacznym stopniu przyczyniło się również do wycinania lasów. Podobnie jak wypalanie popiołu, z którego uzyskiwano potaż stosowany m.in. w farbiarstwie, piwowarstwie i rzemiośle szklarskim. Dziegieć jako środek leczniczy, a także używany do konserwacji drewna i wykorzystywany w przemyśle okrętowym był także w dużych ilościach eksportowany na zachód. Podobnie jak destylowana z żywic maź smołowa, z której uzyskiwano czarną smołę, terpentynę i kalafonię.

Wycinanie lasów od starożytności aż po okres średniowieczny i wczesną nowożytność możemy dzisiaj traktować jako pewną formę gospodarki rabunkowej. Jednak bardzo rozległe leśne przestrzenie - pokrywające w 90 proc. ówczesne obszary - były podstawą do uzyskiwania drewna - surowca niezbędnego dla wszelkiej działalności ludności, zarówno w miastach jak i w obszarach wiejskich.

Tereny po obu stronach rzeki Elbląg pierwotnie były obszarem bagiennym, porośnięte zaroślami i roślinnością trawiastą. Po północnej stronie miasta, na tzw. Piaskach (*Saudland*) występował las sosnowy określany jako *Heide* (bór). Na zachód od rzeki większe przestrzenie zajmował las olchowy (*Ellerwald*). Na Wysoczyźnie Elbląskiej dominowały lasy liściaste z przewagą dębu, buku i grabu.

W średniowieczu kompleksy leśne dzielono na dwie podstawowe grupy: lasy użytkowe (*Nutzwald*) i chronione (*Hegewald*). W lasach użytkowych wycinka drzewostanu przebiegała w sposób intensywny, niekontrolowany i wręcz rabunkowy, a po dostatecznym wyeksploatowaniu zamieniano je na pola uprawne względnie lasy chronione. Duże wykorzystanie drewna znajduje potwierdzenie odnotowane w dokumencie z roku 1286, w którym zawarto wzmiankę o przyznaniu mieszczanom elbląskim w nadanych wówczas dobrach Stagnity i Gronowe Pustki prawa cięcia drewna budowlanego i na opał, kiedy będą tego potrzebowali, jednak z zastrzeżeniem by nie czynili szkód na obsianych obok polach. W tym najwcześniejszym okresie dziejów miasta wytwarzano również popiół drzewny, a w rejestrze czynszów z lat 1308-1310 wzmiankowany jest piec do produkcji popiołu. W pierwszej połowie XIV w. rada miasta zaczęła kontrolować wyręby drzewostanu, zatrudniając w tym celu strażników leśnych i sługi miejskie. W okresie zimowym byli oni zobowiązani do pilnowania lasów przed nielegalnymi wycinkami, a od wiosny do jesieni ich obowiązkiem był nadzór nad pracami leśnymi.

W elbląskich księgach miejskich zawarte są informacje o normie drewna, jaka przysługiwała mieszczanom posiadającym działki pełnowartościowe typu *Erbe*, jak również właścicielom parcel typu *Bude*, dla których norma była odpowiednio mniejsza.

Ścięte drzewa były transportowane na place składowe, które były usytuowane na lewym brzegu rzeki Elbląg. Po dużym pożarze placów i spichlerzy w 1396 r. nowym miejscem ich przechowywania były tereny po północnej stronie miasta - w okolicy Łasztowni i kościoła pod wezwaniem św. Jerzego. W tym miejscu wytyczono 422 place, potem jeszcze 174 na lewym brzegu rzeki i 142 koło Zawodzia. Każdej pełnowartościowej działce typu *Erbe* przydzielono jeden plac składowy. Wszystkie były przeznaczone do składowania drewna budowlanego i opałowego. Ze względu na duże niebezpieczeństwo wybuchu pożaru pomiędzy poszczególnymi placami wykopano oddzielające je rowy.

Nowe Miasto Elbląg i okoliczne wsie żuławskie również miały prawo do wycinki lasów w posiadłościach miejskich Elbląga. Jednak nie mogły drewna wywozić poza granice zamieszkiwania. Wsie miały także prawo do prowadzenia wyrębu drzew z przeznaczeniem na cele publiczne, a więc do budowy mostów, dróg czy systemu przeciwpowodziowego na Żuławach. W poszczególnych przypadkach niektóre wsie rybackie otrzymały dodatkowe przywileje związane z użytkowaniem lasów, które pozwalały m.in. na prowadzenie karczm w leśnych siedliskach.

Rada Miasta Elbląga, poprzez specjalnych strażników, pilnowała zasad ochrony lasów przed nielegalnym wyrębem przez mieszkańców wsi żuławskich. W źródłach odnotowany został przypadek skazania na śmierć niejakiego Markwarda z Myszewa za cięcie i kradzież drewna w lasach koło Marzęcina.

W 1422 r. Rada Miasta Elbląga za zgodą elbląskiego komtura wydała decyzję o zakazie wywozu i sprzedaży wszelkiego rodzaju drewna poza granice miejskich posiadłości, z których go pozyskiwała. Trudno orzec, czy kierowano się ochroną zasobów leśnych należących do miasta czy utrzymaniu cen na rynku. W rachunkach miejskich Starego Miasta odnotowane są pewne ilości drewna, które były sprzedawane głównie do Anglii z przeznaczeniem na budowę statków. Również do Niderlandów elblążanie eksportowali drewno z Wysoczyzny Elbląskiej, które jak wykazały specjalistyczne badania dendrochronologiczne, używane było, m.in. przez malarzy tworzących na drewnie. Kiedy dochody Elbląga ulegały zmniejszeniu, zwłaszcza po wielkiej wojnie polsko-krzyżackiej w latach 1409-1411, rada zdecydowała się na większą sprzedaż drewna i surowców z niego wytwarzanych w celu zwiększenia budżetu miasta.

W średniowiecznym Elblągu, podobnie jak w wielu innych miastach hanzeatyckich, drewno było podstawowym surowcem używanym do wznoszenia budynków mieszkalnych i gospodarczych. Było także materiałem dla budowy studni, rynsztoków, latryn, elementów systemu wodociągowego i urządzeń gospodarczych, np. młynów. Większość warsztatów rzemieślniczych używała tego surowca do produkowania wyrobów codziennego użytku, jak i do urządzeń służących ich produkcji. Wnętrza domów elbląskich mieszczan, które często posiadały drewniane podłogi, były wyposażone w różnorodne meble – szafy, ławy, stoły. Drewno, głównie lipowe i dębowe, było także doskonałym materiałem dla wyrobów artystycznych i przedmiotów kultu. Liczne przykłady ołtarzy skrzydłowych i pojedyncze rzeźby dobitnie świadczą o wysokim kunszcie elbląskich rzeźbiarzy.

Od około czterdziestu lat drewno jest nam pomocne w ustalaniu chronologii zbudowanych z niego obiektów. Opracowana przez badaczy metoda dendrochronologiczna - wprowadzona na szeroką skalę po raz pierwszy w Elblągu - pozwala na określenie daty ścięcia drzewa (po zachowanych słojach) użytego do budowy obiektów. Dla Elbląga i Polski północnej została opracowana chronologia dla dębu i sosny, często z dokładnością do jednego roku lub kilku lat. Datowanie poszczególnych elementów z dawnej zabudowy i fragmentów infrastruktury miejskiej w połączeniu z odnalezionymi zabytkami archeologicznymi pomaga nam dość precyzyjnie określać chronologię obiektów i zespołów.

W przeszłości bardzo odległej i tej bliższej las zawsze odgrywał doniosłą rolę. Był rozległym obszarem schronienia, zamieszkiwania, miejscem kształtowania się wierzeń przyszłych pokoleń, gospodarczą podstawą działalności człowieka, a pozyskiwane z lasu różnorodne surowce stwarzały podstawy bytowania i życia. Dziś las musimy chronić, bo:

Był las – nie było nas

Nie będzie lasu – co z nami będzie?

Bogumił Wiśniewski

DRZWI KATEDRY „PRZEMÓWIŁY”

Mówi się sprawdzam. 24 sierpnia 2020 roku, za zgodą proboszcza ks. Ignacego Najmowicza i dzięki sponsorowi badań prof. dr hab. Grzegorzowi Ojcwiczowi, mogły zostać przeprowadzone badania dendrochronologiczne drugich zabezpieczających drzwi, które znajdują się w przedsionku południowej kruchty katedry pod wezwaniem św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie. Wykonał je prof. dr hab. Tomasz Ważny z Torunia, który już wcześniej zajmował się badaniem trumien z krypty wielkich mistrzów.

W 2013 roku na łamach „Prowincji” zadałem pytanie i przypuszczenie, jak do tej pory bez potwierdzenia: „Czy drewno z przedsionka pustelni przetrwało? Uważam, że przetrwało i że ma się dobrze, ale dla dobra zabytku, nie mogę wskazać ich położenia w katedrze. Być może kiedyś badania dendrochronologiczne potwierdzą moją hipotezę, byłoby to - zwieńczenie moich długoletnich prac poszukiwawczych grobu i relikwii bł. Doroty z Mątów i wielkich mistrzów krzyżackich”¹.

Jak widać, ten ekscytujący moment nadszedł. Już niedługo dowiemy się, czy rzeczywiście drewno użyte do wykonania drugich drzwi zabezpieczających wejście do katedry od strony południowej jest tym samym drewnem, które zostało użyte do budowy przedsionka dla bł. Doroty. Badania odpowiedzą, czy artefakt zachował się do naszych czasów, czy też nie.

W tym miejscu zacytuję moje śmiałe przypuszczenie z powyższej publikacji: „Mogę więc założyć, że wolnostojąca chałupa - pustelnia typu kartuskiego - była ceglana lub ceglano-drewniana (według – kolejności widzenia przez Dorotę od strony celi), natomiast dostawiony przedsionek do chaty pustelni został wykonany z drewna. W drewnianym przedsionku odprawiano Mszę i stał tam połowy ołtarz, przy którym znajdował się schówek - tabernakulum z ukrytą hostią. Przesionek pełnił rolę nowego kościoła w Kwidzynie: *była wtedy to godzina, w której ksiądz, mający odprawiać w obecności oblubienicy, przywdział szaty kapłańskie*”².

Skoro zaś upragniony sakrament nie mógł być codziennie przynoszony z zewnątrz [czyli z katedry - B.W.] bez ujawnienia komunii, a spowiednikowi nie było wolno celebrować przy niej w zamknięciu przed światem, dlatego po naradzie z oblubienicą i prepozytem, w odpowiednim

¹ B. Wiśniewski, *Pustelnia Doroty*, „Prowincja” 2013, nr 1, s. 107-113; B. Wiśniewski, *Kwidzińska pustelnia błogostawionej Doroty, w: Kwidzińska rekluza. Uniwersalne i regionalne przejawy kultu bł. Doroty z Mątów Wielkich*, pod red. Janusza Hochleitnera, Kwidzyn 2014, s. 225-233.

² Jan z Kwidzyna, *Żywot Doroty z Mątów*, przeł. bp J. Wojtkowski, Lublin 2011, s. 309.



Prof. Tomasz Ważny nawierca drewno na pobranie próbki, fot. B. Wiśniewski

miejscu tego kościoła, mianowicie przedsionku pustelni, w pewnym schowku, w którym trzymano w zamknięciu kielich i inne przybory mszalne, z uszanowaniem ukrył czcigodny sakrament, a w godzinie komunii sam jeden, zamykając się we wspomnianym przedsionku pustelni, zapalwszy świece, przy użyciu innych ceremonii, tylko bez dzwonka, udzielał eucharystii³.

Na potwierdzenie faktu, że przedsionek znacznej szerokości i długości wykonany był z desek, przytoczę opis pustelni zaczerpnięty z *Żywota Doroty z Mátów* - Jana z Kwidzyna: *nadto wspomniany schowek był przed pustelnią po stronie okna pustelni umieszczony, tak daleko, że nie mógł być przez oblubienicę widziany oczami cielesnymi. Nawet gdyby mogła zobaczyć schowek, nie mogłaby jednak zobaczyć tam sakramentu ułożonego do korporatu. I dalej: i tak widziany był sakrament przez mur i deski schowka, przez pektorat i jego torebkę, i to dokonywało się bez wielkiego i otwartego cudu⁴.*

Byłem bardzo blisko ustalenia faktów, co do przedsionka. Po dwóch tygodniach prof. dr hab. Tomasz Ważny określił parametry drzwi do katedry od strony kruchty.

Brak bielu oraz nieznaney liczby odciętych słojuw twardzieli nie pozwolił na precyzyjne ustalenie daty ścięcia drzew użytych w konstrukcji drzwi, ale rozkład wyników wyraźnie wskazuje, że drzwi kruchty powstały jako całość, tzn. w tym samym czasie. Najwcześniejsza możliwa data powstania drzwi to rok 1402, a data najbardziej prawdopodobna to „około 1408 roku”. Wynik ten otrzymujemy poprzez dodanie brakującej warstwy bielu (minimum 9 lat, średnia 15 przyrostów rocznych) do daty powstania najmłodszego przyrostu, który powstał w 1393 roku. Decydującym dowodem wskazującym na powstanie drzwi kruchty jako całości jest występowanie elementów wykonanych z pnia tego samego drzewa w różnych skrzydłach. Dotyczy to desek nr 2 z lewego skrzydła i nr 22 z górnego skrzydła oraz desek nr 1 z lewego skrzydła oraz nr 17 z prawego skrzydła⁵.

Ale co najważniejsze w sentencji badań: *Nie zaobserwowano istotnych różnic pomiędzy obydwoima grupami - zarówno deski, jak i listwy oraz zastrzały zostały wyprodukowane mniej więcej w tym samym czasie. Możliwa jest najwyżej kilkuletnia różnica.*

Drewno pochodziło z całego dorzecza Wisły, a więc materiał wykorzystany do produkcji drzwi pochodził ze statków wiślanych transportujących rozmaite sortymenty drewna do Gdańska. Dorzecze Wisły było w tym okresie głównym dostawcą drewna dębowego do Europy Zachodniej. Wojna pomiędzy Polską a Państwem Zakonnym spowodowała istotne zakłócenia w handlu wiślany, tym niemniej drewno było przez cały czas transportowane i spławiane w dół rzeki piętrząc się ostatecznie na brzegach Motławy i u ujścia Wisły. Umożliwiło to z pewnością zakup kosztownego drewna dębowego przez fundatorów katedry w Kwidzynie po korzystnych cenach. Zbliżające się działania wojenne uzasadniały potrzebę wstawienia solidnych, dębowych drzwi obitych blachą.

Powstałe około 1408 roku drzwi katedry p.w. św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie są zachowane w bardzo dobrym stanie i są jednymi z nielicznych zachowanych w Polsce średniowiecznych drzwi⁶.

³ Tamże, s.268-269.

⁴ Tamże, s.272.

⁵ T. Ważny, *Analiza dendrochronologiczna drzwi katedry p.w. św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie*. Toruń, dn.05.09.2020 r., maszynopis s. 4.

⁶ Tamże, s. 6.

Jan Chłosta

POWIŚLE PO PLEBISCYCIE W 1920 ROKU

Przed stu laty Polska przegrała plebiscyt. Pozostali tu jednak Polacy. Część miejscowej ludności nigdy nie potrafiła się pogodzić z tak przeraźliwą klęską. Pisał prezes Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego ks. Antoni Ludwiczak, że *wynik jest Wam już znany, jest on dla nas niekorzystny. Stało się to, cośmy przewidzieli. Zwyciężyła niesprawiedliwość, nieprawda, także przemoc, gwałt, terror [...]. Zwracamy się przeto przede wszystkim do Was Rodacy, którzy odważnie opowiedzieli się za Polską, nie traćcie ducha, miejcie otuchę, że słuszna i dobra sprawa zwycięży. Wzmacniajcie Waszą polskość. Niech nikt nie wątpi, że czy prędzej czy później zapanuje sprawiedliwość [...]. Nie rzucajcie języka i obyczajów Ojców Waszych, starajcie się poznać tę Polskę, do której z krwi i kości należycie, a którą - przed Wami tak oczerniano, czytajcie uczciwe polskie gazety i książki, ucztę odróżniać prawdę od kłamstwa*¹. W odniesieniu do Powiśla jeszcze dodał jeszcze słowa nadziei: *Jeszcze przyszłość tej ziemi nie jest rozstrzygnięta, będzie ona przedmiotem zabiegów dyplomatycznych i obrad w Paryżu. Sam tylko wynik plebiscytu nie będzie decydować, zaważą na szali względy gospodarcze i geograficzne*².

Nie można było pominąć faktu, że właśnie na Powiślu w 28 gminach padła większość głosów za Polską, poza 5 gminami na prawym brzegu Wisły: Janowie, Nowych Lignowych, Kramrowie, Borsztuchu i Małym Pólku, które zostały przyłączone do Polski. Tamte 27 miejscowości tworzyły zwartą, lecz całkowicie odciętą od granicy z Polską enklawę. Były to w powiecie kwidzińskim: Brokowo, w którym oddano 99 głosów za Polską, a 26 za Prusami Wschodnimi, w Dubielu 126:49, w Lubowie Małym 22:16, w Szadówku 28:8 i w Tychnowych 286:197, gdzie duszpasterzował ks. Eryk Gross, a w powiecie sztumskim: w Balewku (26:24), Buchwałdzie (51:50), Cygusach (35:16), Czerninie (73:22), Dąbrówce Pruskiej (83:5), Dziewięciu Włókach (36:35), Górkach (26:20), Krasnej Łące (38:36), Małych Ramzach (12:8), Mątkach (19:18), Michorowie (40:13), Miranach (87:41), Pierzchowicach ((147:46), Postolinie (285:190), Pułkowicach (74:36), Sadłukach (107:52), Starym Targu (391-388), Starym Targu - majątku (35:15), Straszewie (231:148), Trzcianie (177:98),



Ks. Antoni Ludwiczak, fot. archiwum

¹ Ks. A. Ludwiczak, *Odezwa prezesa Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego do ludność polskiej na Warmii i powiatów nadwiślańskich*, „Gazeta Olsztyńska” [dalej GO], 1920, nr 86 z 17 VII.

² Tenże, „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich”, 1920, nr 89 z 15 VII.

Wielkich Ramzach (34:7), Zajezerzu (72:28). Oprócz tego pięć wsi, a więc: Bursztych, Janowo, Kramrowo, Nowe Lignowy i Małe Pólko z większością Polaków zostały włączone do Polski³.

1

Nadzieje ks. Ludwiczaka były jednak płonne. Rada Ambasadorów w Paryżu, głównie pod wpływem Anglii, zrezygnowała ze skierowania na tereny, gdzie odbyło się głosowanie 11 lipca, specjalnej komisji w celu dokonania jakichkolwiek zmian. Nakazano tylko francuskiemu generałowi Jules Jusserandowi, szefowi Misji Francuskiej w Polsce i lordowi a`Edgar Vincent Abernonowi, przewodniczącemu misji brytyjskiej, zbadać stosunki ludnościowe na terenach plebiscytowych i w wyniku przeprowadzonej analizy oraz samych wyników głosowania, przygotować propozycje granicy polsko-niemieckiej. Oprócz tego Radzie Ambasadorów przekazany został projekt tej granicy przez władze niemieckie, a Polacy z niewiadomo z jakich przyczyn, spóźnili się z dostarczeniem własnych propozycji rozwiązań terytorialnych⁴. Na pewno nie wierzyli w jakiegokolwiek zmiany. Członkom Komisji Międzysojuszniczej, może poza Francuzami, chodziło wszak o jak najrychlejsze zakończenie swojej działalności i powrót do domu.

Tymczasem na terenach głosowania wzmógł się terror niemiecki. Powołana wcześniej policja plebiscytowa, w znacznej części złożona z Niemców, podporządkowana była inspektorowi z ramienia Komisji Międzysojuszniczej, po głosowaniu całkowicie ignorowała polecenia zwierzchników i była wobec ekscesów bojówek zwyczajców całkowicie bierna. Mnożyły się więc napady na mieszkania prywatne działaczy polskich, na siedziby polskich organizacji, m. in. w Olsztynie i Ostródzie. Odbywały się manifestacje pod różnymi hasłami: „precz do Warszawy!” Także wojska koalicyjne odmawiały pomocy Polakom. Już w nocy z 10 na 11 lipca w Kwidzynie miały miejsce próby szturmu na polskie lokale „Casina” i „Resursy”, które pełniły rolę Domu Polskiego, lecz przy pomocy oddziału wojska włoskiego udało się je obronić. Dalsze wydarzenia miały miejsce 12 lipca, a kiedy w Kwidzynie tłumy Niemców starały się wdrzeć do Domu Polskiego, na którym nadal powiewała polska flaga, a Polacy mimo gróźb, nie chcieli jej zdjąć⁵. Gdy Włosi prosili o usunięcie flag, to przewodniczący Polskiej Rady Ludowej na powiat kwidzyński Tadeusz Odrowski przystał na to pod warunkiem, że zgromadzony tłum się rozejdzie.

Kolejne miesiące przyniosły nowe działania antypolskie. W końcu przeobraziły się one w akcję mającą doprowadzić do odzyskania pięciu miejscowości na Powiślu, które zostały przyłączone do Polski, o czym pisał w raporcie z 15 maja 1922 r. do Ministerstwa Spraw Zagranicznych konsul Józef Gieburowski. Przewodziła jej wychodząca w Kwidzynie gazeta „Weichsel Zeitung” z dodatkiem „Westpreussische Heimat”, która *nieustannie jątrzyła przeciw Polakom, chwytając się każdej nadającej się sposobności, by napastliwymi artykułami dyskredytować państwo polskie. [...] I Niemcy nie poprzestali na wiecach protestacyjnych tak,*

³ Archiwum Akt Nowych w Warszawie [dalej AAN] Konsulat RP w Kwidzynie [dalej KK] sygn. 3659, k. 72 Rządowy wynik plebiscytu w powiatach nadwiślańskich. Por. Selbstbestimmung für Ostdeutschland. Eine Dokumentation zum 50. Jahrestag der Ost- und Westpreußischen Volksabstimmung am 11 Juli 1920, Göttingen 1970, s. 117-128.

⁴ W. Wrzeziński, *Polska – Prusy wschodnie. Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu w 1920 roku*, Olsztyn 2010, s. 419.

⁵ Tamże, s. 413.

jak 22 marca 1922 r. w Kwidzynie, lecz został utworzony oddzielny komitet, który nieustannie działał, aby wpłynąć na zmianę decyzji Rady Ambasadorów w Paryżu. Jedną z głównych sprężyn całej tej akcji, jak z wiarygodnych źródeł Konsult informowano, był Deichhauptmann (czyli zarządzający groblą) o nazwisku Dirksen, członek tej komisji, zażarty hakatysta⁶.

W dalszej części raportu konsul informował, że utworzony komitet pracował dość intensywnie. Potwierdzały to zwołane liczne wiece miejscowej ludności, bezpłatne projekcje filmowe z widokami z tych pięciu gmin, wskazujące na zaniedbania Polaków i panujący w tych wsiach nieporządek. Urządono nawet zjazd dziennikarzy niemieckich w Kwidzynie 28 kwietnia 1922 r., na którym reprezentowane były gazety „Grenzlandkorepondentz”, „Berliner Tageszeitung”, „Lokalanzeiger”, „Deutcher Tageszeitung”, „Der Hannoversche Kurier”, tak aby nadać większy rozgłos. Dziennikarze rzekomo ze zrozumieniem przyjęli intencję zjazdu i z aprobatą przyjęli propozycje zmiany granic, o czym z zadowoleniem informowała „Weichsel Zeitung” (nr 99 z 28 kwietnia).

Miejscowym Niemcom nie brakowało tematów w agitacji za powrotem tych pięciu wsi do Niemiec. W „Weichsel Zeitung” pisano, że polska straż graniczna urządziła sobie szalet w poniemieckiej wieżycze strażnicy w Korzeniowie. W wystawach sklepowych Kwidzyna umieszczono fotografie tego obiektu i widokami zaniedbania. Głównym zarzutem nadto były rzekomo trudności z utrzymaniem wału chroniącego pola uprawne przed zalaniem przez Wisłę. W tym celu zachęcono różnego rodzaju stowarzyszenia i organizacje do składania petycji do rządu Niemiec. W końcu konsul stwierdził, że przekazanie Niemcom tych wiosek byłoby wielką klęską dla Polaków.

W innych doniesieniach zwracano uwagę na wadliwe połączenie komunikacyjne z powiatowym Gniewem, leżącym po drugiej stronie Wisły. Tylko przy niskiej fali czynny był prom, a nie zawsze kursował parowiec. Przez to były trudności ze sprowadzeniem lekarza bądź z dojazdem do szpitala. Zmarła rzekomo przez to kobieta w połogu, do której nie udało się sprowadzić akuszerki. Wskazywano na potrzebę rychłego wzniesienia mostu na Wisłę⁷, na co Polaków nie było stać.

Temat powrotu pięciu wsi powiślańskich do Niemiec pojawił się również podczas manifestacji w Malborku i Elblągu 31 maja 1922 r. z udziałem feldmarszałka Paula von Hindenburga, kiedy odsłaniano pomnik plebiscytowy w Malborku. W tych uroczystościach brały udział reprezentanci wszystkich organizacji nacjonalistycznych, włącznie z kriegervereinami. W wystąpieniach dominowały hasła walki o utrzymanie niemczyzny na wschodzie, walka z wrogami Niemiec, do których zaliczano: Francję, Belgię i Polskę⁸.

2

Jeszcze 18 listopada 1920 r. polskie Rady Ludowe z obszarów plebiscytowych na wspólnym posiedzeniu w Kwidzynie przedstawiły rządowi polskiemu postanowienie, że są rzeczywistymi i legalnymi przedstawicielami miejscowej ludności polskiej i występowały wobec władz niemieckich jako uprawnionymi do obrony ich interesów. Stąd w obecności

⁶ AAN, KK, sygn.. 3641 k. 44 raport Konsulatu RP w Kwidzynie do MSZ z 15 V 1922 r.

⁷ AAN, KK, sygn.. 3621, k. 157. Pismo Związku Obrony Kresów Zachodnich do MSZ z 5 VI 1924 r.

⁸ AAN, KK, sygn., 3621, k. 1. Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie z 12 VI 1922 r.

redaktora „Gazety Grudziądzkiej” Wiktora Kulerskiego, komisarza rządu przy Komisji Uprawnionej do Ustalania Granic i delegatów Rady Pomorskiej, upoważnionych przez wojewodę pomorskiego Jana Brejskiego, wyrazili życzenie, aby rząd polski w sprawach dotyczących opieki nad tutejszą ludnością działał w porozumieniu z nimi. Zgromadzeni podjęli uchwałę o przystąpieniu do ukonstytuowania się związku wszystkich Polaków mieszkających w Prusach Wschodnich i Zachodnich. Wyznaczyli na 30 listopada w Olsztynie zebranie konstytucyjne Centralnego Komitetu Związku Polaków w Prusach Wschodnich. W skład tegoż związku mieli wstąpić przedstawiciele całej polskiej ludności ziem nadwiślańskich, Warmii i Mazur.

Zaapelowali równocześnie do rządu polskiego, aby powstrzymał dalsze kroki Komisji Likwidacyjnej [chodzi o majątek plebiscytowy], której zadania przyjął później Związek Polaków, jeśli chodzi o pozbywanie się tego majątku⁹. Pismo sygnowali w imieniu Polskiej Rady Ludowej w Sztumie Paweł Nawrocki, Józef Domański, ks. Władysław Demski, Kazimierz Donimirski, za Polską Radę Ludową w Kwidzynie: Wojtecki, Czerwiński, Wiśniewski, Tadeusz Odrowski. Ostatecznie w zebraniu konstytucyjnym Związku Polaków w Prusach Wschodnich, powtórzmy to jeszcze raz 30 listopada 1920 r. w olsztyńskim Domu Polskim, brali udział: J. Domański, ks. W. Demski, K. Donimirski, T. Odrowski, poza nimi z Powiśla w dziewięcioosobowej delegacji znaleźli się Paweł Muchowski, Stanisław Haertle, Leon Liebrecht, Helena Sierakowska i Stanisław Górski. Z Warmii: Jan Baczewski, ks. Walenty Barczewski, Wiktor Szulc, Seweryn Pieniężny, Jan Brzeszczyński, Michał Lengowski, Franciszek Kwas i z Mazur: Kazimierz Jaroszyk. Prezesem Związku Polaków w Prusach Wschodnich został ks. *Wacław Osipiński*.



Ks. Władysław Demski, fot. archiwum

Powołana organizacja przyjęła statut, w którym podkreślono, że „Związek Polaków jest przedstawicielem całej ludności polskiej w Prusach Wschodnich bez jakiegokolwiek zabarwienia klasowego. Woec tego ZP popierać będzie taka politykę, która zagwarantuje ludności polskiej spokój w Niemczech i podniesienie dobrobytu całej ludności polskiej bez uwzględnienia jakiegokolwiek uprzywilejowanej klasy”¹⁰.

W okresie dwóch lat członkami ZP w Prusach Wschodnich zostało 3700 osób, w tym aż 2500 członków z Powiśla¹¹. Z początkiem 1923 r. Związek Polaków w Prusach Wschodnich przekształcił się w IV Dzielnicę utworzonego 22 sierpnia 1922 r. Związku Polaków

⁹ AAN, KK, sygn.. 3773, k. 1-3, Pismo Polskiej Rady Ludowej w Kwidzynie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie z 20 XI 1920 r.

¹⁰ J. Chłosta, *Statut utworzonego w Olsztynie 30 listopada 1920 roku Związku Polaków w Prusach Wschodnich*, w: *Olsztyn w dokumentach. Wybór źródeł do historii miasta 1353-1949*, pod naukową redakcją D. Bogdan, Olsztyn 2015, s. 105.

¹¹ AAN, KK, sygn.. 3681, k. 418, Pismo do Poselstwa RP w Berlinie z 30 X 1922 r.

w w Niemczech. Wykorzystując doświadczenia z Powiśla i Warmii w trakcie powołania ogólnoniemieckiej organizacji Polaków, znaczny wkład wnieśli reprezentanci z Prus Wschodnich, poseł do Landtagu Jan Baczewski i ks. Wacław Osiński, którzy weszli do Rady Naczelnej, a pierwszym prezesem Związku Polaków w Niemczech został Stanisław Sierakowski z Waplewa na Powiślu.

3

Bezpośrednio po plebiscytach w porównaniu z południową Warmią, działalność Polaków na Powiślu była lepiej zorganizowana. Wpływ na to miał udział miejscowych ziemian jako przewodników narodowych. Tak więc członkami dwunastu stowarzyszeń ludowych było 1730 Polaków. Znajdowały się one w Mikołajkach Pomorskich, Krasnej Łące, Waplewie, Nowym Targu, Tropach, Starym Targu, Pierzchowicach, Kalwie, Sztumie, Kwidzyń i Tychnowach.

Rozwijało działalność sześć kótek rolniczych. Obejmowały one 290 członków i znajdowały się w Starym Targu, Pierzchowicach, Mikołajkach, Tychnowach i Trzcianie. Istniało siedem kół śpiewaczych w Postolinie, Sztumie, Sadłukach, Mikołajkach, Trzcianie, Kwidzynie i Tychnowach. Założono pięć oddziałów Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Sztumie, Starym Targu, Tropach, Krasnej Łące, Kwidzynie z blisko pół tysiącem członków.

Jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej utworzono na Powiślu sześć banków ludowych. Znajdowały się one w Sztumie (otwarty w 1910 roku), Starym Targu, aż dwa w Pierzchowicach, Kwidzynie i Tychnowach. Każdy z nich miał niewielkie środki obrotowe, ale były w stanie drobnymi pożyczkami wspierać miejscowych rolników.

Utworzono dziesięć polskich przedszkoli (nazywanych tu ochronkami): w Sztumie, Mikołajkach, Sadłukach, Starym Targu, Nowych Targu, Tropach, Kalwie, Postolinie, Kwidzynie i Tychnowach z 163 dziećmi.

Znacznie rozwinięty był tu ruch kobiecy. Skupił się ten ruch w Towarzystwach Kobiet Chrześcijańskich pod wezwaniem św. Kingi w Sztumie, Starym Targu, Postolinie, Pierzchowicach, Mikołajkach i Waplewie z 1075 członkiniami. Prowadziły one szeroka działalność kulturalno-oświatową i charytatywną. Pieczę nad nimi sprawiały członkinie Towarzystwa Ziemianek, któremu przez wiele lat przewodziła Helena Sierakowska z Waplewa. Poza tym powołane zostało Towarzystwo Młodzieży w Sztumie, także Młodych Kupców, Towarzystwo Robotników w Starym Targu, nauczycieli polskich w Sztumie, kółko Oświatowe Panien w Małych Ramzach¹².



Stanisław Sierakowski, fot. ze zbiorów Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie

¹² AAN, KK, sygn.. 3671 . Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie z 21 VI 1921 r.

Do powstania Towarzystwa Nauczycieli Polskich przyczynił się Antoni Malewski ze Sztumu. Zarząd tworzyli: Sierodziński jako prezes, Nałęcz został sekretarzem, a Stanisław Ronowski - skarbnikiem. Jednym z zadań towarzystwa była wzajemne pomoc w nauce języka polskiego na Powiślu. Swoją pomoc wyrazili księża: Bronisław Sochaczewski z Postolina i Władysław Demski ze Starego Targu¹³.

Utrzymane zostało na Powiślu wprowadzone przed plebiscytem nauczanie języka polskiego w niemieckich szkołach ludowych. Jeszcze w 1921 r. takie nauczanie po 3 godziny w tygodniu odbywało się w 18 szkołach. Naukę pobierało 1042 chłopców i dziewcząt. Po roku takich szkół było 14. Znajdowały się one Pruskiej Dąbrówce (23), Dubielu (35), Jerzewie (18), Nowej Wsi (25), Nowym Targu (46) Pierzchowicach (70), Postolinie (47), Tychnowych (50), Pułkowie (20), Starym Targu (90), Waplewie (104), Brokowie (10) i Sztumie (6).

Podobnie jak na południowej Warmii urządzono w Sztumie trzymiesięczny kurs kroju i szycia. Na zajęcia uczęszczało 25 dziewcząt. Oprócz zajęć praktycznych odbywały się wykłady z historii i kultury polskiej. Także z Powiśla kierowano chłopców do seminarium nauczycielskiego w Lubawie, synów gospodarzy na kursy rolnicze odbywające się w Koźminie pod Poznaniem, krótkie kursy bankowe w Poznaniu. Utrzymywano bliskie kontakty z krajem. W 1923 r. zorganizowano trzy wycieczki młodzieży do Polski: do Gdańska na uroczystości związane z kolejną rocznicą uchwalenia Konstytucji 3 maja, do Brodnicy na

¹³ Z bliskich i dalszych stron, GO, 1920, nr 24 z 21 II.



Towarzystwo Kobiet Św. Kingi. W białym stroju Helena Sierakowska, Waplewo, ok. 1924 r., fot. ze zbiorów Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie

wystawę przemysłowo-rolniczą oraz do Grudziądza 23 czerwca na tradycyjne puszczenie wianków na Wiśle.

Powisłe w naturalny sposób swoje działania narodowe wiązało z Warmią i Mazurami. Jako jeden z trzech okręgów IV Dzielniczy Związku Polaków w Niemczech, obok Warmii i oddzielnie Mazur. Taki stan utrzymał się do połowy 1927 roku, kiedy działacze z Powiśla uznali, że otrzymywali mniejsze środki finansowe od pozostałych okręgów, przekazywanych do Olsztyna w przez centralę w Berlinie. Odtąd dotacje dla Powiśla przekazywano bezpośrednio do Banku Ludowego w Sztumie. Wiele działań, jak m. in. w zakresie działalności kulturalno-oświatowej Związku Towarzystw Młodzieży w Prusach Wschodnich odbywało się wspólnie z inicjatywami Warmiaków i Mazurów.

Henryk Michalik

Wielka manifestacja w Janowie z okazji 10-LECIA PRZYŁĄCZENIA DO POLSKI

I wojna światowa zakończyła się 11 listopada 1918 roku podpisaniem rozejmu z przegrany Niemcami. Przez następne kilka miesięcy zwycięskie mocarstwa przygotowywały warunki kapitulacji i „urządzenia” Europy. 28 czerwca 1919 roku został podpisany Traktat Wersalski, który miał na długie lata ustanowić „porządek” w Europie, a czuwać nad realizacją tych postanowień miała Liga Narodów. Najbliższe miesiące miały zdecydować, za kim w plebiscycie opowiedzą się mieszkańcy Powiśla w trakcie głosowania: za „Polską” czy za „Prusami Wschodnimi”. Czas ten bardzo krótki, militarnie niekorzystny dla Polski, gdyż już bolszewickie wojska docierały do Warszawy, a i sytuacja gospodarcza i międzynarodowa była dla nas bardzo niekorzystna. Z kilkunastu wsi, które opowiedziały się na Powiślu za Polską, tylko Janowo i okolice przyłączono do Polski.

Plebiscyt na Powiślu przeprowadzony został 11 lipca 1920 roku. Do Polski przyłączono 5 gmin leżących na prawym brzegu Wisły w okolicach Janowa. Tam za Polską głosowano następująco: Janowo (Johannisdorf) – na 231 głosujących za Polską było 111 osób (48,05 %), Bursztych (Aussendeich) – odpowiednio 126/99 (78,57 %), Kramrowo (Kramershof) – 16/8 (50 %), Małe Pólko (Kleinfelde) – 27/12 osób (44,44 %), Nowe Lignowy (Neudörfchen) – 38/22 osoby (57,89 %).

Łącznie w okręgu janowskim głosowało 438 osób, z czego za Polską opowiedziały się 252 osoby (57,53 %). Ten niewielki skrawek ziemi, leżący na prawym brzegu Wisły, naprzeciw miasta Gniew znalazł się w granicach państwa polskiego 16 sierpnia 1920 roku i od tego



Przeprawa promowa Janowo – Gniew, z panoramą na zamek gniewski. W latach 1920 – 1939 jedyna droga łącząca z Polską, fot. H. Michalik

czasu był zarzewiem nienawistnych wystąpień niemieckich przeciw Polsce. Kolejne lata i obchody polskie wywoływały coraz większe niezadowolenie wśród hakatystów niemieckich. Olbrzymia manifestacja polska w Działdowie z okazji 520 rocznicy bitwy pod Grunwaldem i 10 rocznicy przegranego plebiscytu wywołała furję w wielu kręgach niemieckich.

Natomiast największe poruszenie w Polsce miało miejsce za sprawą słów ministra niemieckiego, Treviranusa z 10 sierpnia 1930 roku, który powiedział m.in.: (...) *musimy być rzeczywiście wolni. Mamy tu na myśli (...) rozszarpaną krainę nadwiślańską, tę niezagojoną ranę we wschodniej rubieży Rzeszy. (...) Granice bowiem, ustalone na podstawach nielegalnych, nie mogą się utrzymać na stałe wbrew woli pokrzywdzonego narodu i przyjdzie dzień, w którym wola ta zwycięży i wschodnia część Rzeszy znowu będzie połączona z macierzą.*

Jednak najbliższe wydarzenia z 17 sierpnia 1930 roku w Janowie spotęgowały jeszcze bardziej negatywne nastroje niemieckie wobec Polski. Postawa solidarnościowa mieszkańców Pomorza i solidaryzującej się całej Polski zaskoczyły naszych zachodnich sąsiadów. Ale po kolei, jak to widziała nasza prasa i jak przebiegały uroczystości dziesiątej rocznicy przyłączenia do Polski prawego brzegu Wisły, Rzeczypospolitej Janowskiej albo Małej Polski.

Przygotowania do manifestacji w Janowie miały pokazać jedność i pełną współpracę wszystkich organizacji i stowarzyszeń. Powołany został „Powiatowy Komitet Obchodu 10-lecia przyłączenia 5 wiosek, leżących na prawym brzegu Wisły” i składał się z następujących osób: Weiss Seweryn – starosta powiatowy, przewodniczący Komitetu, Ałaszewski Jan – rolnik – członek Wydziału Powiatowego – Gręblin, Błaszkievicz – komendant Powiatowy Policji Państwowej – Gniew, Borzyszkowski Józef – rolnik – członek Wydziału Powiatowego Lipiagóra, Cejrowski Stanisław – naczelny sekretarz Wydziału Powiatowego – Gniew, Ciążyński Kazimierz – właściciel ziemski – Cierzpice, Czarnowski Franciszek – właściciel ziemski, członek Wydziału Powiatowego – Brodzkie Młyny, Czyżewski Augustyn – rolnik, członek Wydziału Powiatowego – Janowo, ks. prałat dr Gustaw Działowski – członek Wydziału Powiatowego – Pieniążkowo, Dziegielewski Jan – emerytowany burmistrz – Gniew, ks. dziekan Franciszek Filariski – Lignowy, Górny Bronisław – inspektor szkolny – Gniew, Goc Stanisław – naczelnik Urzędu Poczтового – Gniew, Golnik Waclaw – burmistrz – Gniew, Doktor Kamiński – lekarz powiatowy i jego żona – Gniew, major Lucjan Józef Kępiński – dowódca II/65 p.p. i Komendant Garnizonu – Gniew, Libal – naczelnik Sądu Powiatowego – Gniew, podporucznik Lesiecki – Powiatowy Komendant P.W. – Gniew, Ludwíg Bronisław – zastępca procesowy i przewodniczący Rady Miejskiej – Gniew, Małolepszy Antoni – dyrektor Komunalnej Kasy Oszczędnościowej – Gniew, Markowski – naczelnik Urzędu Skarbowego – Gniew, Napiątek Andrzej – rolnik – Janowo, ks. Ignacy Niklas – proboszcz – Janowo, Nowacki Antoni – właściciel hotelu i prezes Towarzystwa Kupców Samodzielnych – Gniew, Obrębski – naczelnik Kasy Skarbowej – Gniew, Porbardnik Franciszek – mistrz krawiecki – Gniew, Porębski Jan – dyrektor gimnazjum – Gniew, Raabe Czesław – właściciel ziemski – Piaseczno, ks. Sobisz – patron Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej – Gniew, Tetzlaff Klemens – kupiec – Gniew, Tollík Tadeusz – właściciel ziemski – Janowo, Tarnowski Feliks – właściciel składu biżuterii i prezes Towarzystwa śpiewu „Kociewiak” – Gniew, Wańtowski Ksawery – emerytowany nauczyciel i prezes Towarzystwa Ludowego – Gniew, ks. profesor Fabian Wierzchowski – prezes Towarzystwa

Czytelnicy Ludowych – Gniew, Wiśniewski Władysław – dyrektor Powiatowej Kasy Chorych – Gniew, Wódkowski Franciszek – rolnik, członek Wydziału Powiatowego – Dąbrówka, Wysocki – zawiadowca stacji kolejowej – Gniew.

Zadaniem Komitetu było przygotowanie w najdrobniejszych szczegółach: przydzielenia zadań i przeprowadzenie perfekcyjnie całej imprezy. Należało tak ustalić obowiązki, aby w każdym miejscu, na każdym odcinku, wszyscy wiedzieli co i jak mają robić, aby wszystko związane było na ostatni guzik, a przybyli goście zostali najserdeczniej obsłużeni. Miała to być wielka manifestacja całego społeczeństwa polskiego, potwierdzająca jedność wszystkich stowarzyszeń i towarzystw w proteście przeciw zaborczym żądaniom niemieckim i pokazująca jedność Macierzy z Warmią, Mazurami i Powiślem. Miano tutaj, 17 sierpnia 1930 roku potwierdzić nieuznawanie wyników sfałszowanego przez Niemców plebiscytu i podtrzymać na duchu Polaków zza kordonu. Dlatego też Komitet obchodu wydał następującą odezwę:

RODACY

Niedawne to czasy, gdy wśród pożogi szalejącej na wszystkich naszych rubieżach zawieruchy wojennej męstwem i krwią bohaterskiego naszego żołnierza w trudzie i znoju całego narodu polskiego budowaliśmy granice Rzeczypospolitej. Pokonaliśmy niebywale trudności, które zwłaszcza w lecie 1920 roku osiągnęły kulminacyjny punkt, w okresie kształtowania się naszej granicy wschodniej i północnej. Nadzieje wrogów, przygotowanych na pewny upadek naszego Państwa okazały się utrudą.

Bohaterski duch narodu zwyciężył. Odparciem najazdu bolszewickiego ocaliliśmy istnienie Polski – jednakowoż ogromny nasz wysiłek i ówczesna sytuacja na wschodzie – stworzyła ciężkie nadzwyczaj dla nas warunki w odbywającym się w lipcu 1920 roku plebiscycie w Prusach Wschodnich.

Plebiscyt na Warmii i Mazurach przegraliśmy. Zorganizowana niemieczyzna użyła wszelkich środków aby sterroryzować Polaków. Wypadki plebiscytu w 1920 r. znów dorzuciły wiele palm męczeńskich do martyrologii ducha polskiego, nieugiętego mimo to w obronie własnych przastarych siedzib słowiańskich. A jednak podczas plebiscytu, który wobec zachowywania się Niemców parodią trzeba nazwać, mimo szalejącej hakaty władz niemieckich, które pozostały niezmiennione na stanowiskach, terroru bojówek nacjonalistycznych groźby zbliżającej się pod mury Warszawy armii czerwonej, znaleźli się ludzie pełni poświęcenia i miłości dla tej „Co jeszcze nie zginęła” – i nie zawahali się oddać swego głosu za Polską.

W dniu 17 sierpnia 1930 r. na terenach pięciu wiosek przed 10-ciu laty zdobytych dla Polski w plebiscycie warmińskim odbędzie się Wielka Manifestacja Narodowa, jako wyraz hołdu dla tych, którzy w walkach plebiscytowych okazali przywiązanie i miłość dla Ojczyzny. Ich zdecydowane i pełne poświęcenia stanowisko niechaj będzie wyrazem niezłomnej woli całego społeczeństwa polskiego obrony Ziemi Zachodnich przed zakusami wrogiemu i wiecznie nowych zdobywczy żądnego sąsiada.

W dniu 17 sierpnia oddajmy należną cześć znanym i nieznanym Wojownikom o polskość w Prusach Wschodnich, napelnijmy ich otuchą i wiarą nastania lepszego i jaśniejszego jutra!

Za Komitet Obchodu 10-lecia Przyłączenia 5 wiosek leżących na prawym brzegu Wisły w powiecie gniewskim.

- *Seweryn Weiss – Starosta Powiatowy*
- *Tadeusz Tollik - Wójt w Janowie*
- *Ks. Prałat dr Gustaw Działowski – członek Wydziału Powiatowego.*

Równocześnie w prasie ukazał się program tej manifestacji:

W sobotę, dnia 16 sierpnia o godz. 19:30 Capstrzyk w Gniewie. Udział w nim brały: Kompania wojska 65 p.p., wszystkie organizacje Przynależności Wojskowej, Wychowania Fizycznego i społeczne z pochodniami.

W niedzielę 17 sierpnia: o godz. 9:30 ogólna zbiórka wszystkich organizacji i pocztów sztandarowych, delegacji, itd. w Janowie przy kościele, o godz. 9:45 powitanie J.E.X. Biskupa, Pana Wojewody i przybyłych przedstawicieli władz oraz przegląd zebranych organizacji, o godz. 10:00 uroczysta Msza św. polowa w Janowie, celebrowana przez J.E.X. Biskupa z kazaniem, po Mszy św. zjednoczone chóry okręgu tczewsko-starogardzkiego odśpiewają pieśń „Gaude Mater Polonia”, o godz. 12:00 powitalne przemówienie Starosty Powiatowego, przemówienia przedstawicieli władz i społeczeństwa, powzięcie uchwał i odśpiewanie hymnu narodowego, o godz. 13:00 Kantata Nowowiejskiego „Ojczyzna” odśpiewana przez zjednoczone chóry okręgu tczewsko-starogardzkiego, defilada na boisku, o godz. 14:30 przerwa obiadowa (bezpłatny obiad dla pocztów i delegacji na boisku), o godz. 15:00 zawody organizacji WF i PW, o godz. 15:30 popisy chórów na specjalnie wzniesionej trybunie w Janowie, o godz. 17:00 przedstawienie amatorskie Towarzystwa Młodzieży Katolickiej w Janowie. W czasie uroczystości przygrywać będą dwie orkiestry.

Poczty i delegacje, przybywające już 16 sierpnia, otrzymały wyżywienie oraz zakwaterowanie w koszarach wojskowych na zamku.

Dla wygody gości wstawiono dodatkowy pociąg do Morzeszczyna, mający połączenie do Tczewa i Bydgoszczy w dniu 17 sierpnia o godz. 22:40. Zostały również zapewnione zniżki kolejowe 50% w drodze powrotnej. Legitymacje, upoważniające do zniżek, wydawane były na dworcu kolejowym i w hotelu „Centralny”.

Zalecano, aby w uroczystościach tych brały udział jak najszerze warstwy społeczeństwa polskiego, a przynajmniej delegacje stowarzyszeń i towarzystw.

Pamiętajmy, podkreślano w odezwach, że Powiśle nie oddali swój głos wtedy, gdy hordy bolszewickie zbliżyły się do polskiego Pomorza i gdy zdawało się, że cała Polska pochłonięta będzie przez Bolszewie. Za ich silną i niewzruszoną wiarę w Polskę należy im się cześć i hołd!

W trakcie zebrań Komitetu organizacyjnego manifestacji w Janowie ustalono z Miejskimi Komitetami PW i WF w Tczewie i Starogardzie zorganizowanie marszu gwiazdowego organizacji PW do Janowa. Ustalono osoby odpowiedzialne oraz zasady startu. Każda drużyna reprezentowana będzie przez 13 osób i startować będzie w pełnym umundurowaniu. Marsz odbędzie się wyznaczonymi trasami liczącymi około 30 km i będzie prowadzona punktacja według czasów uzyskanych przez poszczególne drużyny. Przygotowania do startu rozpoczęły się 17 sierpnia 1930 roku już o godzinie 2 w nocy. Pierwsze drużyny z powiatu starogardzkiego wypuszczone zostały przez kierownika trasy – porucznika rezerwy Skórnygo o godzinie 4:20. Również o tej samej godzinie startowały drużyny z Tczewa, Nowego i Pelplina.

W kilku gazetach ukazały się informacje o manifestacji janowskiej oraz gorące apele do wzięcia udziału w nich. Do społeczności miasta i powiatu Grudziądz wydano odezwę w której czytamy m.in. (...) *Każda organizacja wystąpić musi pod sztandarem, a członkowie o ile możliwości w mundurach. (...) Towarzystwa i organizacje zbierają się w niedzielę, 17 sierpnia o godz. 6-tej rano nad Wisłą (...)* *Statek pasażerski ojedzie do Janowa punktualnie o godz. 6:30 rano. Przejazd do Janowa i z powrotem prawie za darmo, ponieważ cena biletu (za 7 godzin jazdy w obie strony) wynosi tylko 2 złote.*

Również z portu w Tczewie zapowiedziano przyplyniecie dwóch statków przewożących chętnych z Tczewa i ze Starogardu. Wiadomo było, że przez Wisłę będą przewożeni bezpłatnie wszyscy uczestnicy manifestacji przez trzy promy. Zdecydowano również o mocno ograniczonej ilości pojazdów samochodowych, które będą przewiezione, a to ze względu na brak miejsca po drugiej stronie rzeki.

Do mieszkańców miasta i powiatu gniewskiego wystosowano następujący apel: *Chorągwie wywiesić należy poczynszy od dnia 16 sierpnia godzina 12 w południe do rana 18 sierpnia.*

Uroczystości janowskie rozpoczęły się w sobotę 16 sierpnia capstrzykiem w Gniewie, w którym wzięły udział: kompania 65 p.p., wszystkie organizacje przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego oraz organizacje społeczne z pochodniami, a centralnym miejscem uroczystości był rynek. Niesamowite wrażenie na mieszkańcach miasta i przybyłych już uczestnikach manifestacji wywarł przemarsz po mieście z pochodniami. Wprawdzie deszcz nie rozpieszczał maszerujących, ale atmosfera podniosłości i ważności chwili



Wielka patriotyczna manifestacja mieszkańców Pomorza i całej Polski w Janowie 17 sierpnia 1930 roku. Pierwszy z lewej Augustyn Czyżewski (najbliższy wieloletni współpracownik Tollika). Następnie ks. kanonik dr Zygmunt Rogala, ksiądz proboszcz dr Gustaw Działowski, w głębi w okularach wojewoda pomorski Wiktor Lamot. Z lewej strony salutujący gen. Józef Burhardt, fot. Zbiory Izba Pamięci w Janowie

udzielała się wszystkim. Każdy z maszerujących wiedział, że stanowi ważne ogniwo tej manifestacji, co podkreślali mówcy na Rynku.

Miejscem, do którego i z którego szły wszelkie „nici” organizacyjne, był hotel „Centralny” w Gniewie. To tu ulokował się sztab ludzi odpowiedzialnych za właściwe przeprowadzenie całej operacji. Wszyscy z niepokojem spoglądali w niebo, bo pogoda początkowo nie rozpieszczała uczestników manifestacji, jeszcze o godzinie 5 rano padał ulewny deszcz. Jednak powoli chmury rozstępowały się i widać było coraz więcej nieba. To dawało skromną nadzieję na poprawę pogody.

Od samego rana z każdej strony do Gniewu zbliżały się kolumny samochodów, autobusów, pojazdy konne, motocykle, rowery oraz niekończące się szeregi i kolumny pieszych. Każdy z pojazdów był udekorowany, a na ciężarówkach znajdowały się transparenty o treści patriotycznej. Z wielu pojazdów słychać było śpiew. Wszystkie miejscowości w powiecie gniewskim były udekorowane sztandarami. *Miasto Gniew, również bogato udekorowane, od samego rana robiło wrażenie jednego wielkiego obozowiska. Pociąg za pociągiem zwoził dalszych jeszcze gości. Wszędzie sztandary, pochody, orkiestry...*

Wszyscy przyjezdni kierowali się w stronę Wisły, gdzie już od godziny 5 rano „nieustannie pracowały trzy wielkie parostatki wiślane, które ciągnęły za sobą jeszcze trzy wielkie promy.” Przewieść tak olbrzymią ilość gości było zadaniem niełatwym, a udało się to jedynie dzięki sprawnej i perfekcyjnej organizacji. Do Janowa przybyło około 14-15 tysięcy ludzi. Na tak niewielkim skrawku ziemi trudno byłoby wszystkich pomieścić, gdyby nie wykorzystano okolicznych pól, na których po zebranych zbożu pozostały tylko ścierniska. Po przeprawie na prawy brzeg Wisły gości witały bramy triumfalne wspaniale udekorowane kwiatami, zielenią, napisami i girlandami, a każda następna w drodze do kościoła wydawała się wspanialsza od poprzedniej. Koło kościoła ustawiony był „wysoki biało-amarantowy ołtarz polowy, umieszczony w głębi specjalnie dla śpiewaków wzniesionej estrady”.

Przed ołtarzem ustawiono ławki dla kilkuset osób, przedstawicieli władz państwowych, kościelnych, samorządowych, działaczy narodowych i społecznych, weteranów walk niepodległościowych oraz prasy.

Wśród przybyłych gości byli: wojewoda pomorski Wiktor Lamot, pomorski starosta krajowy dr Wincenty Łącki, przedstawiciel ministerstwa spraw wojskowych gen. Józef Burhardt, członek honorowy Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego inż. Bąkowski z Warszawy, Henryk Lewandowski ze Lwowa – autor wielu publikacji o Prusach Wschodnich, Generalny Wikariusz ks. kanonik dr Zygmunt Rogala.

Zgodnie z programem o godz. 9:45 zebrały się przed kościołem wszystkie poczty sztandarowe i wśród gromkich braw nastąpiło powitanie przedstawicieli władz państwowych, kościelnych, samorządowych oraz pozostałych gości.

O godzinie 10 ks. Ignacy Niklas, proboszcz miejscowej parafii, rozpoczął mszę św. polową. Właśnie wtedy (...) *słońce rzuciło swe piękne promienie i oczom przedstawił się niezmiernie wspaniały widok. Las sztandarów, a było ich około 200, i różnobarwność tłumów rozmodlonych, ze stóp ołtarza pięknie w zieleń przystrojonego, sędziwy i brzemieniem pracy pochylony kapłan, przed ołtarzem przedstawiciele duchowieństwa i władz oraz polskie wojsko, robiły wrażenie czegoś tak podniosłego i rzewnego, czego opisać trudno.*

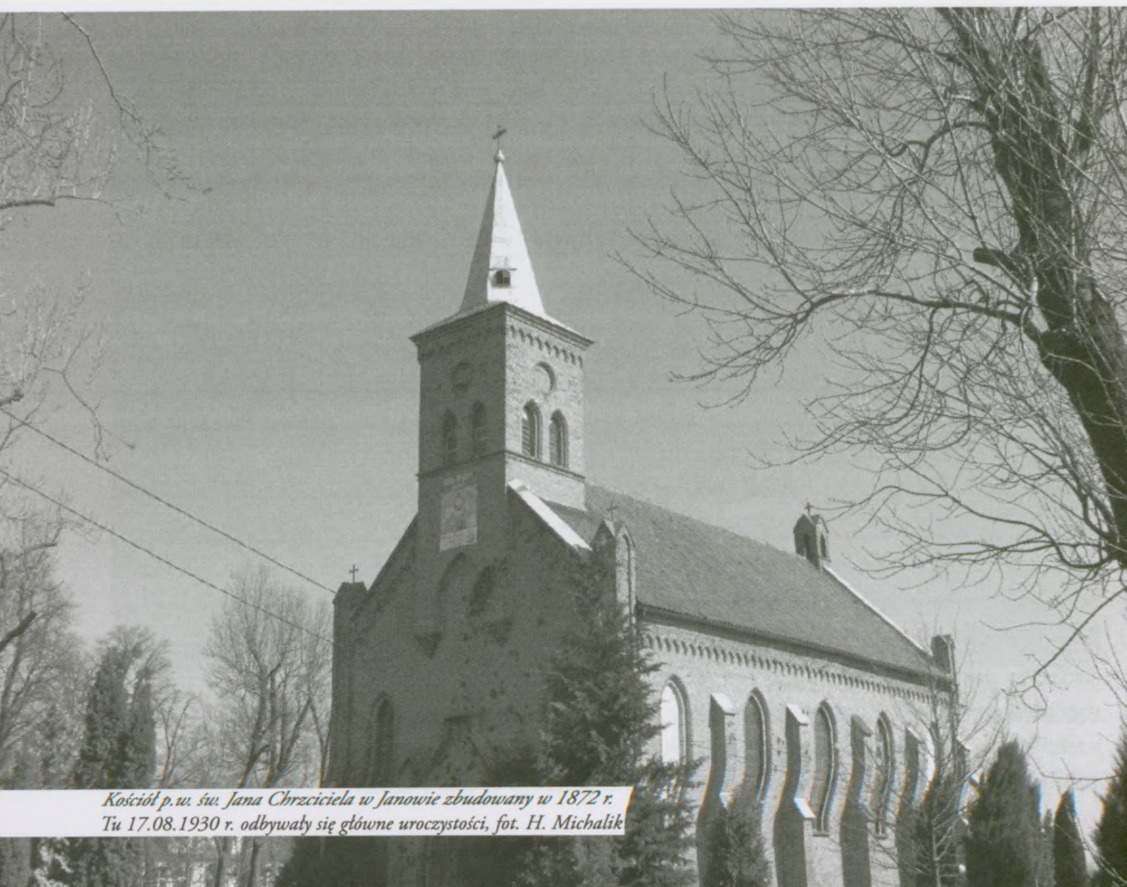
W czasie mszy św. chór z Pelplina pod batutą pana Szczypińskiego uświetniał nabożeństwo pieśniami religijnymi.

Po mszy św. zabrał głos ks. kanonik dr Rogala, który wygłosił patriotyczne kazanie, w którym m.in. (...) *złożył podziękę, hołd i cześć ludności pięciu wiosek za jej wytrwałą walkę w obronie o tą drogą ziemię.*

Po wystąpieniu ks. Rogali zebrani odśpiewali „Boże coś Polskę”. Następnie zjednoczone chóry okręgu tczewsko-starogardzkiego pod batutą pana Szczypińskiego, odśpiewały pieśń „Gaude Mater Polonia”.

Głos zabrał gospodarz całych uroczystości, starosta powiatu gniewskiego, Seweryn Weiss, który powitał przedstawicieli władz, duchowieństwa i społeczeństwa, równocześnie dziękując za bardzo liczny udział w manifestacji.

Kolejną osobą, która zabrała głos był wojewoda Wiktor Lamot, który wskazał „na wielowiekową walkę, jaką z zachłannym sąsiadem zachodnim naród polski zmuszony jest prowadzić i wskazał na siłę moralną, jaka stoi po stronie naszej, nie obciążonej krzywdą innych narodów. Ta siła moralna stawia nas wysoko i każe nam śmiało patrzeć w przyszłość, bo słuszność jest po naszej stronie, a silna wola wspierana przez Boga oprze się wszelkim atakom wrogów zewnętrznych. Braciom za kordonem życzę wytrwania i zapewniam Was, że Polska o Was nie zapomni”. W dalszej części swego wystąpienia wojewoda pomorski *Zapewnił imieniem władz i społeczeństwa, że w obronie każdej piędzi ziemi wystąpi cały naród*



*Kościół p.w. św. Jana Chrzciciela w Janowie zbudowany w 1872 r.
Tu 17.08.1930 r. odbywały się główne uroczystości, fot. H. Michalik*

i że sprawiedliwości dziejowej musi się stać zadość i dawne ziemie polskie i nasi bracia zrosli z tą ziemią znajdują się pod panowaniem Orła Białego.

Orkiestra wojskowa odegrała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Kolejnymi mówcami byli: kurator Okręgu Pomorskiego Szkolnego Jan Szwemin z Torunia – który mówił m.in. *o pragnieniach tej ludności, która z powodu sfalszowanego plebiscytu została poza kordonem oraz wskazał na znaczenie oświaty, dla której się na tym odcinku pracuje*”. Jednak największą owację otrzymał, gdy „ogłosił miłą wiadomość, iż znalazły się fundusze na budowę nowej szkoły w Janowie, ksiądz prałat dr Działowski z Pieniążkowa – złożył w imieniu ludności powiatu gniewskiego podziękowanie i najwwyższy hołd ludności pięciu wiosek za jej wytrwałość w czasie najgroźniejszego dla Polski położenia oraz odpowiedział w mocnych słowach na niepoczytalne ataki niemieckich mężów stanu, pan Olech z Torunia, sekretarz Związku Obrony Kresów Zachodnich, w mocnych słowach wypowiedział się przeciwko „zachciankom” polityków niemieckich, na czele z ministrem Treviranusem.

Głos zabrał również burmistrz miasta Gniew, Wacław Golnik, który na zakończenie swego wystąpienia odczytał rezolucję, która „jednogłośnie wśród żywiołowego entuzjazmu została uchwalona”.

Zebrani na wielkiej manifestacji narodowej w Janowie w dniu 17 sierpnia 1930 r. w związku z 10-leciem przyłączenia na podstawie plebiscytu 5 wiosek na prawym brzegu Wisły, stwierdzili co następuje:

1. *Plebiscyt na Warmii i Mazurach dokonany był w warunkach niestychanego terroru, uniemożliwiającego miejscowej ludności polskiej swobodne i nieskrępowane wyrażenie swej woli złączenia się z całością własnego Narodu. Odbywał się on w momencie, gdy Rzeczypospolita broniąc swej Niepodległości i zastaniając całą Europę, uginiała się pod naporem bolszewickiego najazdu, a propaganda niemiecka straszyla tereny plebiscytowe wtargnięciem czerwonej armii w wypadku wypowiedzenia się ludności za Polską. Okres ten był równocześnie okresem całkowitego wyczerpania sił finansowych i gospodarczych w Polsce, zrujnowanej przez wojnę światową i przez bezwzględne rekwizycje niemieckich armii okupacyjnych. Stąd też plebiscyt z dnia 11 lipca 1920 r. nie może stanowić podstaw potwierdzających słuszność praw niemieckich do władania krajem odwiecznie zamieszkałym przez ludność polską i związanym z Polską tysiącnymi niemi wspólnoty narodowej, historycznej, politycznej i gospodarczej. Przeciwnie nadawaniu takiego znaczenia ówczesnemu głosowaniu ludności protestujemy jak najkategoryczniej, równocześnie wyrażamy serdeczne uznanie i hołd tym, którzy mimo terroru i gwałtów niemieckich wypowiedzieli się za Polską i w ten sposób doprowadzili do przyłączenia 5-ciu wiosek na prawym brzegu Wisły do Państwa Polskiego.*

2. *Stojąc na stanowisku poszanowania traktatów międzynarodowych, jako podstawy pokojowego współżycia narodów, nie możemy jednak patrzeć obojętnie na stałe poniewieranie praw ludu polskiego Powiśla, Mazur i Warmii do pielęgnowania swej mowy ojczystej i swego charakteru narodowego. Żądając dzisiaj dla braci naszych zza kordonu jedynie swobody narodowego, kulturalnego i językowego rozwoju, wzywam równocześnie Rząd Polski do kategorycznego domagania się, by prawa polskiej mniejszości w Niemczech były szanowane i zachowane.*

3. Stwierdzamy, że polski lud Powiśla, Mazur i Warmii jest nierozdzielną częścią Narodu Polskiego i stanowi wraz z nim całość kulturalną i duchową, której żadne granice nie rozerwą. Stwierdzamy, że ziemię przez lud ten zamieszkałą, łączą się najściślej z Pomorzem, które stanowi podstawę niezależnego bytu Państwa Polskiego, nierozłącznie związaną po wszystkie czasy z resztą ziem Rzeczypospolitej.

Ślubujemy, że ani jednej piędzi tej ziemi pomorskiej nie damy, a wszelkie zakusy na całość Rzeczypospolitej i wolność naszego dostępu do morza odeprzeć potrafimy.

Wzywamy całe społeczeństwo polskie do ofiarnej akcji na rzecz polskiej ludności terenów przygranicznych, a braciom naszym z tych terenów zasyłamy zapewnienia braterskiej łączności i wzywamy ich do wytrwania w ciężkiej walce o utrwalenie podstaw ich narodowej egzystencji oraz poczucia żywej łączności z całością Narodu Polskiego.

4. Z oburzeniem odpieramy prowokacyjne ataki niemieckiego ministra Rzeszy Treviranusa z dnia 10 sierpnia 1930 r. przeciwko całości naszych granic zachodnich i stwierdzając odpowiedzialność oficjalnych czynników niemieckich za wytwarzanie nastrojów i warunków możliwości wybuchu wojny polsko-niemieckiej zwracamy się do Rządu Polskiego z apelem, o jak najenergiczniejszą interwencję dyplomatyczną, a całe społeczeństwo polskie wzywamy do mobilizacji wszystkich swych sił pod hasłem „Frontem ku morzu i Pomorzu”.

Po raz kolejny zaprezentowały się połączone chóry tczewsko-starogardzkie tym razem pod batutą księdza kanonika Wacława Lewandowskiego z Pelplina, które wykonały kantatę Feliksa Nowowiejskiego „Ojczyzna”.

Największe wrażenie na zebranych wywarła defilada trwająca ponad godzinę. Przy dźwiękach 6 orkiestr maszerowali w stronę Pastwy, do przejścia granicznego z Niemcami, i stamtąd w stronę centrum wsi członkowie wszystkich towarzystw i stowarzyszeń w strojach organizacyjnych i ze sztandarami: Sokoli, członkowie przysposobienia wojskowego, powstańcy i wojacy, stowarzyszenia młodzieży katolickiej, drużyny hallerowskie, bractwa kurkowe, związki kolejarzy, straże pożarne, kółka rolnicze. Natomiast przemarsz kompanii honorowej 65 p.p., pozostawił niezatarte wrażenie. Tak wspaniale i dziarsko maszerujący żołnierze dodali wszystkim otuchy.

O godzinie 14 nastąpiła przerwa obiadowa. Obiad dla pocztów i delegacji odbył się na boisku z kuchni polowych, a dla przedstawicieli władz i wybitniejszych gości oraz dla przedstawicieli prasy w domu wójta gminy Janowo Tadeusza Tollika. Tu wygłoszono i wzniesiono szereg toastów. Miłe chwile podczas obiadu uprzyjemniała znakomita orkiestra 66 p.p., a na boisku orkiestra 2 pułku szwoleżerów ze Starogardu.

Gospodarz witając wszystkich przybyłych, a było ich około 200 osób, nawiązał do pogody, która jeszcze rano „strasznie płakała, a gęste łzy były świadectwem tych upokorzeń i lat ciężkiej niewoli, które wylewała miejscowa ludność pod batem pruskim. Jednak i dla nich zaświeciło słońce w 1920 roku, kiedy zostali przyłączeni do Macierzy. Tak dziś już wystarczy tych łez, i Najjaśniejszy Pan dał nam pogodę, a ciepłe promienie słoneczne są balsamem dla naszych skołatanych serc. Serc, które nigdy nie przestały wierzyć w swoją Ojczyznę – Polskę.” Na zakończenie dodał, że uroczystość pozostawiła po sobie niezatarte wrażenie na jej uczestnikach, a najbardziej na ludności Janowa, która oby była pomostem Polski z resztą ziem Pomorza,

jeszcze nie wyzwolonych. Ksiądz prałat Działowski podziękował prasie za wykonaną pracę, na co prezes Syndykatu Dziennikarzy Pomorza redaktor Jan Teska z Bydgoszczy powiedział: „że tam, gdzie chodzi o wspólne dobro całego kraju – tam prasa polska stanie zawsze w jednym szeregu!”. Po obiedzie odbyły się zawody Towarzystwa Przystosowania Wojskowego, a o godzinie 17 amatorskie przedstawienie, przygotowane przez młodzież z Janowa.

Prawdziwą ucztą duchową dla wszystkich miłośników pieśni był koncert w hotelu „Centralny” w Gniewie, wykonany przez orkiestrę 66 p.p. oraz występy chórów.

Uroczystości janowskie odbiły się głośnym echem w całej Europie. Najgłośniejszą jednak w Niemczech, gdzie wszystkie dzienniki komentowały z wielkim niezadowoleniem i wręcz złością polską manifestację. Ukazały się artykuły we Francji, Włoszech, Anglii, Szwajcarii, na Węgrzech, w których zamieszczano „Rezolucję” lub jej skróty, dodając komentarze przychylnie Polsce.

Bibliografia: Barganowski A., *Plebiscyt na Ziemi Kwidzyńskiej*, [w] Zeszyty Kwidzyńskie, Nr 1, *Plebiscyt na Powiślu – 11 lipiec 1920 rok*, red. H. Michalik, Kwidzyn 2000; Kordowski M., *Jubileusz 70-lecia gniewskiej księżnicy*, [w] Teki Kociewskie, Zeszyt 11, red. M. Kargul, Tczew 2017, *Opalenie. Zarys dziejów wsi kociewskiej*, Opalenie 2007; Michalik H., *Obrona polskości na Ziemi Kwidzyńskiej 1918 – 1939*, Kwidzyn 2015; Przybyszewski K., *Toruński Słownik Biograficzny*, UMK, Toruń; Sołdecki A., *Hotel „Centralny” w Gniewie*, Kociewski Magazyn Regionalny, nr 15, 1996; Wiśniewski J., *Polskość i plebiscyt na Powiślu ze szczególnym uwzględnieniem roli duchowieństwa katolickiego*. [w] „Studia Pelplińskie”, T. XXI i XXII, 1994.

Prasa: „Czas”, „Drwęca”, „Dziennik Bydgoski”, „Dziennik Poznański”, „Gazeta Bydgoska”, „Gazeta Gdańska”, „Gazeta Jarocińska”, „Gazeta Sępoleńska”, „Gazeta Wągrowiecka”, „Pielgrzym”, „Słowo Pomorskie”.



Przeście graniczne w Pastwie od strony polskiej. Z lewej Urząd Celný polski, z prawej Urząd Celný niemiecki. Tu doszła defilada Polaków, gdzie odpiewano „Rotę”, fot. H. Michalik

Piotr Podlewski

Niekomercyjny przewodnik po ZIEMI SZTUMSKIEJ

część 7

TULICE - ODKRYCIE GRODZISKA

W artykule „Między Santyrem a Malborkiem. Z dziejów osadnictwa wzdłuż północno-zachodniej krawędzi Pojezierza Iławskiego w XIII w.” (Długokęcki W., Haftka M.) natrafiłem na wzmiankę o znanym z literatury, a niezwyfikowanym jeszcze w terenie, grodzisku w Tulicach mającym być w XIII wieku punktem oporu plemion pruskich przeciwko zakonowi krzyżackiemu.

Krzyżacy od 1230 roku konsekwentnie zajmowali ziemię Prusów, zamykając etap podboju Pomezanii i Pogezanii do roku 1242. Wybuch I powstania Prusów zakończonego klęską zmusił Prusów do podpisania w 1249 roku układu w Dzierżoniou. Prusowie uznali



Tulice - teren grodziska z widoczną ceramiką, fot. T. Wiktoriażak

władzę Zakonu i przenieśli się za rzekę Pasłękę. Świeżo zdobyte tereny zostały skolonizowane przez osadników z Mazowsza, Śląska i Niemiec. Prusowie uznający władzę Krzyżaków otrzymali szerokie przywileje i nadania ziemskie.

Wróćmy na terytoria sztumskie, które były jedną z aren zmagania Prusów z Zakonem Najświętszej Marii Panny. Żyjący na przełomie XIII/XIV wieku kronikarz niemiecki Piotr z Dusburga podaje, że w 1236 roku Zakon zdobył, m. in., umocnienia w Sztumie, w Wielbarku i koło Nowej Wsi. Dodatkowo, potwierdzono później archeologicznie, stanowiska obronne w Kalwie i Starym Targu. W literaturze pojawia się też gród w Tulicach nieodnaleziony do tej pory w terenie. Pojawiło się więc wyzwanie.

Analiza ukształtowania terenu za pomocą map LIDAR pokazała w rejonie Tulic zarys grodu położonego na kulminacji wydłużonego wzniesienia, wyznaczonego przez dwa poprzeczne, odcinkowe wały na przeciwległych krańcach założenia. Obiekt znajduje się na krańcu zalesionego, ciekawego w swym kształcie wzgórza, ciągnącego się przez około 1,5 kilometra w kierunku Wąplewa. Wchodząc na wzniesienie, jego wąski szczyt przeciął nam pierwszy wał, przedzielony w środkowej części. Możliwe, że w tym miejscu znajdowała się brama. W obrębie założenia występuje bardzo liczna wczesnośredniowieczna ceramika.

Drugi wał, wschodni, jest lekko zniwelowany. Od północy i południa nie znaleźliśmy śladów umocnień wałowych. Strome skarpy były wystarczającym elementem obronnym, wzmocnionym być może jedynie drewnianą palisadą. Mnogość występującej ceramiki sprawia, że obiekt może być cennym stanowiskiem archeologicznym w naszym powiecie.

Pomorski Wojewódzki Konserwator Zabytków oraz pracownicy Nadleśnictwa Kwidzyn i Gminy Stary Targ dokonali w lipcu oględzin grodziska pod Tulicami. Obiekt wzbudził duże zainteresowanie urzędników. Jest plan objęcia go ochroną konserwatorską oraz wyeksponowania w terenie. Mnogość ceramiki wczesnośredniowiecznej jak i starszej pozwoli ustalić czas użytkowania obiektu.

POCZĄTKI SZTUMU - NOWA HIPOTEZA

Jak wiadomo zamek sztumski objęto badaniami archeologicznymi. Z zaskoczeniem odkryto, że przed budową zamku, wbrew temu co do tej pory sądzono i publikowano, nie było w tym miejscu żadnego osadnictwa, a tym bardziej grodu pruskiego, który miał być kolebką Sztumu. Zamek postawiono na tzw. „surowym korzeniu”. Cała historia początków miasta musi więc zostać zweryfikowana.

Pierwsza wzmianka o Sztumie pochodzi z kroniki Piotra z Dusburga, z opisu wyprawy do Pomezanii, która miała miejsce w 1236 r. Dowodził nią margrabia Miśni Henryk III Dostojny. W ten sposób zachodnie i polskie rycerstwo pomagało krzyżakom podbijać ziemie plemion pruskich. Dusburg w swojej kronice informuje: *W ziemi pomezkańskiej znajdował się niegdyś obszar zwany Rezją, w którym mieszkali sławni i doświadczeni wojownicy. Na nich to - wspomniany książę mężnie natarł, niszcząc raz po raz grabieżą, ogniem i wielkim rozlewem krwi niewiernych. Gród ich położony w pobliżu rzeki Mokrej oraz wszelkie umocnienia, jakie mieli w tym miejscu, które nazywa się Sztum, i jakie mieli w pobliżu Postolina, w pobliżu jeziora Druzine i Wielbarka, przemocą zbyły i obróciwszy w perzynę zrównał z ziemią, a niewiernych zabił lub wziął do niewoli.*

Pojawia się więc pytanie, jakie umocnienie o nazwie Sztum zdobyli krzyżacy i Henryk III w 1236 roku, skoro wiemy już, że na miejscu zamku nie było w tym czasie umocnień pruskich?

Jakiś czas temu przeglądając wydania „Altpreussische Zeitung” natrafiłem na artykuł z dnia 8 lutego 1896 roku dotyczący Sztumu. W luźnym tłumaczeniu brzmi on następująco: *Na polach posiadłości na Zajezierzu niedaleko Sztumu wykopano kamienne fundamenty. Te potężne kamienie mają zostać wysadzone, zatadowane i postużyć mają do budowy nowego budynku poczty (obecna poczta w Sztumie - przyp. PP). Miejsce to leży nad jeziorem na Parlecie w środku pól uprawnych na wzgórzu, który ma kształt trójkąta. Zaczyna się między jeziorem, a drogą prowadzącą do Benowa. (...) Znaleździło to jest historycznym miejscem daremnie przez setki lat szukanym przez historyków. Przed 1236 rokiem stał tam pogański gród Pomazan. Warownia ta dawała schronienie różnym szczepom Prusów i była dogodnym przyczółkiem do walk z Polakami i Zakonem Niemieckim. Walki toczone w 1236 roku doprowadziły do zniszczenia grodu i spalenia go do fundamentów. Nie zachowały się żadne szkice warowni i na przestrzeni lat uległ zapomnieniu.*

Kolejną informację podaje w „Geschichte Des Stuhmer Kreises” dr F.W.F. Schmitt (1868 r.). Schmitt powołuje się na opinię zmarłego w 1863 roku Johanna Voigta, który pisał w wydanej w 1827 r. „Geschichte Preußens” (Tom II), że Stuhm - castrum, można znaleźć na drodze prowadzącej ze Sztumu do Białej Góry (za jego czasów do Białej Góry jechało się wzdłuż Parlety w kierunku Benowa). Opisywał, że: *w pobliżu lasu jeziora na Zajezierzu i jeziora Parleta na wzniesieniu wciąż jest ślad starej fortyfikacji, która wydaje się być zamkiem.*

Te informacje świadczą o tym, że na początku XIX wieku dla niemieckich historyków i lokalnego społeczeństwa lokalizacja grodu/strażnicy z 1236 na miejscu zamku w Sztumie nie była tak oczywista, a wręcz wskazywali miejsce koło Parlety. Skoro początki Sztumu to nie wyspa zamkowa, to może tkwią one w fundamentach budynku poczty?

Wzgórze opisywane w „Altpreussische Zeitung” i „Geschichte Preußens” wznosi się naprzeciwko cmentarza „Parleta”. Można na nim dziś znaleźć fragmenty wczesnośredniowiecz-



Sztum i okolica z zaznaczonym koleś wzgórzem, miejscem lokalizacji grodu

nej ceramiki, co potwierdza, że było ono zamieszkałe przed przybyciem na te tereny zakonu krzyżackiego. Ślady fortyfikacji, prawdopodobnie wałów, które opisywał w 1827 roku Johannes Voigt, musiały zostać zniwelowane podczas prac rolnych, a kamienne podstawy wykorzystano do budowy obecnej poczty w Sztumie. Po konsultacjach ze znawcami tematu otrzymałem potwierdzenie, że Prusowie wykorzystywali kamienie jako podstawy wałów obronnych. Przedstawiony tekst to oczywiście własna hipoteza. Temat zostawiam otwarty.

BOROWY MŁYN - GRÓDEK STOŻKOWY (?)

Czas kwarantanny sprzyjał przeglądaniu notatek, książek i nagromadzonych przez lata wszelakich materiałów historycznych. W wydanej w 1980 roku książce Huberta Górnowicza pt. „Toponimia Powiśla Gdańskiego” natrafiłem na następującą wzmiankę: „Szwedzki szaniec - długi pagórek porośnięty świerkami 300 m. na pn. od młyna w Borowym Młynie”.

Sprawdziłem ten teren w trybie LIDAR, na którym doskonale widoczne są wszelkie wzniesienia i zagłębienia terenu z dokładnością do około 15-30 centymetrów, i rzeczywiście widać tam podłużny, eliptyczny obiekt, który może być nienaturalnym nasypem. Nie pasowała tutaj jedna rzecz. Szwedzi nie budowali umocnień o takim kształcie, a dodatkowo na przełomie XIX i XX w. za sprawą niemieckich kartografów wiele grodzisk i wałów średniowiecznych zanotowano właśnie jako „Schwedenschanze”. Tak też przetrwały w świadomości ludowej. Na powstanie nazw wpłynęły czasy wojen z XVII wieku, jednak wiele obiektów pochodzi z czasów wczesnej epoki żelaza oraz średniowiecza.

Miejsce w Borowym Młynie nie zostało również wymienione w niemieckich opracowaniach i nie występuje na przedwojennych mapach. Trzeba więc było dokonać wizji lokalnej. Po przybyciu na miejsce od razu wykluczyliśmy naturalną formę ukształtowania terenu. Wyniosłość stożkowego wzniesienia w stosunku do naturalnego terenu nie jest dziełem natury. Długie na około 70 m eliptyczne wzniesienie różni się poziomami wysokości.



Borowy Młyn - widok na stronę zachodnią pagórka, fot. P. Podlewski

Część wschodnią stanowi wysoki na ok. 6-7 m okrągły kopiec (stożek) o średnicy ok. 30 m posiadający spłaszczony wierzchołek. Wydłużona część zachodnia jest niższa i ciągnie się w kierunku skarpy opadającej ku Postolińskiej Strudze. Wygląd oraz wymiary skłoniły do postawienia tezy, że mamy, być może, do czynienia z gródkiem strażniczym (stożkowym) pochodzącym z czasów średniowiecza. Był to rodzaj obiektu o cechach obronnych, którego głównym elementem była drewniana wieża mieszkalno - obronna.

Dokumentację miejsca wysłałem do dr Roberta Klimka z Olsztyna, który jest specjalistą od średniowiecznych fortyfikacji ziemnych na terenach Warmii i Mazur i otrzymałem odpowiedź, że obiekt w Borowym Młynie jest ewidentnym stanowiskiem średniowiecznym, obronnym, o cechach gródka strażniczego. Temat został więc wstępnie potwierdzony.

Analogiczne fortyfikacje występują licznie m.in. na terenie zamieszkałym dawniej przez plemiona pruskie. Część z nich wybudowali krzyżacy we wczesnym etapie podboju tych ziem w XIII wieku. Według badań wieże na gródkach budowano z reguły na planie kwadratu o podstawie w granicach od 6x6 m. do 8x8 m. Znane dotychczas wieże drewniane były kilkukondygnacyjne o wysokości 10-12 m. Otwory komunikacyjne często znajdowały się na poziomie wyższej kondygnacji. Dachy kryto gontem, słomą lub trzcina. Ogrzewano je paleniskiem. Całość otaczano palisadą. Celem budowy gródków strażniczych było zabezpieczanie szlaków, przejść oraz obserwacja terenu. Były to strażnice, których zadaniem było ostrzeganie w przypadku zagrożenia najczęściej za pomocą znaków dymnych. Nie były to konstrukcje służące do dłuższej obrony.

Opisywany obiekt położony jest w miejscu dogodnym do prowadzenia obserwacji i charakteryzuje się doskonałą widocznością w kierunku południowym i wschodnim. Dodatkowo od strony południowej i wschodniej zabezpieczony był skarpią i rozlewiskiem dzisiejszej Postolińskiej Strugi. Z pozostałych stron strażnicę mogła zabezpieczać specjalnie wykopana sucha fosa, której przypuszczalną pozostałością jest obecne zejście w kierunku rzeki. Na zakończenie trzeba podkreślić, że wszelkie wątpliwości zostaną rozwiane tylko i wyłącznie jeżeli zostaną przeprowadzone w tym miejscu prace archeologiczne. Domniemany gródek mogli zbudować Prusowie, jako strażnicę powiązaną z leżącym w linii prostej, ok. 800 m na pn-w., znanym grodziskiem w Nowej Wsi. Może być też to fortyfikacja zakonu krzyżackiego z XIII wieku zabezpieczająca okolicę w czasie zajmowania terenów pruskich?

Wszystkie te informacje zostały przekazane władzom leśnictwa z prośbą o objęcia miejsca ochroną, jak i zgłoszenia tematu do wyższych instancji.

W POSZUKIWANIU TWIERDZY: ŻUŁAWKA SZTUMSKA - ZWIERZNO

Jak byście Państwo zareagowali na informację, że Wasz dom stoi w miejscu XVII-wiecznej twierdzy?

Otóż jadąc z Żuławki Sztumskiej w kierunku Zwierzna mijamy pola uprawne, niewielkie wioski i zabudowania gospodarcze. Nic nie wskazuje na to, że na tym krótkim odcinku, przy samej drodze, w 1634 roku wojska szwedzkie wzniosły twierdzę, której zadaniem było pilnowanie wjazdu na teren Żuław od strony południowego- wschodu. Był to samodzielny

obiekt obronny, wpisujący się w cały ciąg umocnień ziemnych otaczających żyzne Żuławy, tak ważne strategicznie i zaopatrzeniowo dla ulokowanej tutaj armii.

Na trop tej fortyfikacji trafiłem studiując mapę Schroettera z przełomu XVIII i XIX wieku. Opisywane umocnienie jest tam podpisane jako „schanze”. Jednak podczas prób ustalenia przybliżonej lokalizacji (Google Maps) okazało się, że na obszarze twierdzy znajdują się zabudowania gospodarcze oraz bardzo zniwelowany teren. Przez wieki ziemne umocnienia nie wygrały z pracami rolnymi.

Niezawodny okazał się jednak LIDAR, który odsłonił dość czytelny jeszcze wśród pól i zabudowań zarys umocnień. Dzięki temu urządzeniu wyłonił nam się na ekranie komputera zarys twierdzy bastionowej o wymiarach ok. 130 na 130 m, otoczonej fosą. Nie ulega wątpliwości, że reduta obronna została zbudowana na planie kwadratu według szkoły staroholenderskiej powszechnej w XVII wieku. Twierdza w każdym z narożników czworoboku posiadała bastion na planie pięcioboku, wysunięty ostrym końcem w przedpole. Ta technika projektowania umocnień pozwalała pod różnymi kątami ostrzeliwać atakującego przeciwnika. Każdy bastion łączyła kurtyna, czyli wał ziemny. Całość otoczono fosą. Wewnątrz znajdował się rozległy majdan (dziedziniec), na którym znajdowały się drewniane zabudowania dla załogi, która mogła liczyć około 200 - 300 osób. Niestety nie ma już większych szans na zlokalizowanie bramy wjazdowej poprzedzonej przerzuconym nad fosą mostem.

Co przetrwało do dziś z tak dużego założenia obronnego?

Majdan pełni dziś funkcję pastwiska, którego południowo-wschodnia część to dość dobrze zarysowany jeszcze bastion z zachowaną w tym odcinku fosą. Wzdłuż kurtyny wschodniej wznoszą się domy, a w miejscu bastionu północno-wschodniego postawiono gospodarstwo. Ślady kurtyny północnej ciągną się wzdłuż drogi Żuławka - Zwierzno, podobnie jak północny wał bastionu północno-zachodniego. Reszta bastionu w tym miejscu nie istnieje, zniwelowana przez zabudowania kolejnego gospodarstwa i budynek dawnej karczmy. Od zachodu widać zachowaną część fosy, pełniącą rolę zbiornika wodnego. Bastion południowo-zachodni wybiegający już w pole uprawne nie jest dziś czytelny. Warto dodać, że 7 kilometrów na północ, koło Jegłownika, znajdują się resztki analogicznej fortyfikacji bastionowej o starszej metryce, będące zapewne wzorem dla umocnień koło Zwierzna. Na dzień dzisiejszy nie opowiem o losach zabytku. Nie trafiłem na wzmianki, poza datą budowy twierdzy podaną w *Studiach i Materiałach do Historii Wojskowości, tom XX, Warszawa 1976*. Bardzo możliwe, że umocnienia mogły być wykorzystane podczas wojny z lat 1655-1660, zwanej „Potopem”. Na mapie z 1925 roku miejsce podpisane jest jako „Schweden Schanze”, ale nie widać już zarysów reduty. Zapytałem wiekową już panią o jakiegokolwiek informacje, ale zdziwiła się na wieść, że mieszka na miejscu dawnej twierdzy. Przetrzała legenda mówiąca o tym, że umocnienia usypali Szwedzi nosząc ziemię we własnych kapeluszach, ale biorąc pod uwagę, że na terenie zabytku znajdowała się dawniej karczma, to i pewnie niejeden snuł opowieści przy kuflu jak to ze szwagrem twierdzę zdobywali...

WĘGRY - KAMIEŃ NAGROBNY RODZINY VON SCHACK

Nazwa Węgry pojawiła się po raz pierwszy w źródłach w 1530 r., kiedy to król Zygmunt I Stary zezwolił Janowi Balińskiemu na budowę „kanału w kierunku wsi swojej Polski

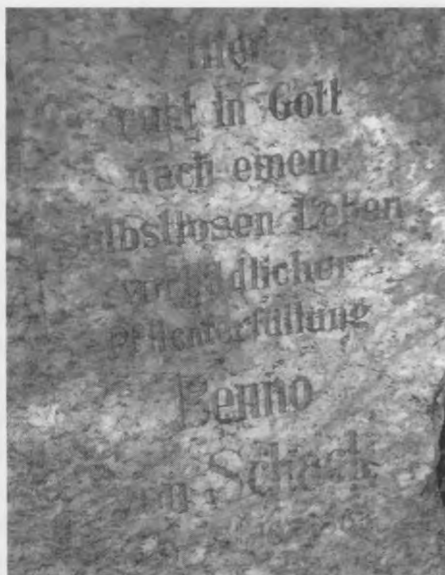
Brunswald alias Wanger”. Sama wieś to dawne dobra rycerskie, po których pamiętką jest zachowany po dziś dzień dwór z budynkami folwarcznymi, z których korzysta stajnia „Rotmistrz”. Historia wsi sięga jednak głębiej. Węgry mogą poszczycić się największym grodziskiem na Pomorzu pamiętającym czasy Kazimierza Odnowiciela oraz cmentarzyskiem z czasów rzymskich.

Dzisiaj jednak opowiemy o miejscu spoczynku Benno von Schack i jego żony Klary.

Zarządzali oni majątkiem Węgry w czasach międzywojennych i zostali pochowani w pobliżu dworu, w miejscu nad jarem, który stanowi odnogę rezerwatu „Parów Węgry”, będącego przed wiekami korytem rzeki Nogat. Żeby dotrzeć do nekropolii rodziny von Schack należy przejść przez jar i trochę poblądzić w terenie, pomiędzy sztucznie wykopanymi kilkudziesięciometrowymi zagłębieniami oddzielonymi wałem. Zastanawiające jest przeznaczenie tych zagłębień, które finalnie łączą się z jarem, tworząc przemyślany układ komunikacyjny. Trudno ustalić do czego owe przekopy mogły służyć. Warto sprawdzić ich chronologię, ponieważ rosnące na wałach dęby mogą mieć już ponad 400 lat. W miejscu pochówku, na niewielkim wyodrębnionym wzgórzu otoczonym starodrzewiem, znajduje się przewrócony z cokołu głaz z inskrypcją. Inskrypcja w języku niemieckim zachowała się w bardzo dobrym stanie i jest nadal czytelna.

Napis umieszczono w dwóch kolumnach oddzielonych ornamentem z motywem roślinnym, po prawej, w tłumaczeniu: *Tutaj spoczywa w Bogu po bezinteresownym życiu i wzorowym wykonywaniu swoich obowiązków Benno von Schack ur. 17.10.1863, zm. 25.5.1939*; po lewej stronie: *Tu odpoczywa po bogatym życiu w miłości, pracy i wiernie wykonywanych obowiązkach w niedoli ojczyzny Pani Clare von Schack z domu Wien ur. 24.4.1872, zm. 17.1.1920*. Na samym dole widnieje napis: *Na Węgrach żyli i pracowali od 1.7.1895 do 25.5.1939*. Na górze wygrawerowano lilię - herb rodziny von Schack.

Schack to bardzo stary, szlachecki ród niemiecki, którego początki sięgają XII wieku. Wywodził się z Saksonii i wraz z upływem wieków członkowie rodu posiadali majątki w całych Niemczech oraz Danii. Przedstawiciele rodu posiadali tytuły hrabiowskie, stopnie generalskie, pełnili funkcje dyplomatyczne, byli feldmarszałkami oraz baronami. Część rodziny osiedliła się także w Prusach. Schackowie zarządzający Węgrami posiadali m.in cegielnię Węgry. Benno von Schack był najemcą posiadłości i członkiem parlamentu prowincji Prus Wschodnich w latach 1929–1933. Miał stopień majora i tytuł Oberamtmana nadawany w Prusach zasłużonym najemcom. W Sztumie był członkiem komitetu okręgowego, czyli organu zarządzającego związanego z powiatem. Zachowało się zdjęcie z roku 1928 oraz



Węgry - fragment inskrypcji poświęconej pamięci Benno von Schack, fot. P. Podlewski

kolejne z lat późniejszych, na których Benno von Schack pozuje z innymi posiadaczami ziemskimi wchodzącymi w skład komitetu okręgowego.

Ostatni właściciel majątku Węgry, Heinfried Graf von Lehndorff skończył tragicznie. 25 stycznia 1945 r. Węgry zajęła Armia Czerwona. W wyniku szamotaniny Lehndorff został raniony nożem, a następnie wraz z matką zastrzelony.

Grób Benna von Schack i jego żony Klary został zdewastowany, o czym świadczy widoczne zagłębienie powstałe w wyniku kopania. Leżący na nim głaz z inskrypcją został zrzucony z leżącego obok cokołu. W pobliżu na krańcu wzniesienia stoi nadal murowany element ozdobny, prawdopodobnie cokół pod figurę lub związany ze zmarłymi symbol. Do lat 80. stała jeszcze ozdobna, metalowa, kuta brama oraz ogrodzenie.

Miejsca jest bardzo urokliwe. Po przekroczeniu ściany lasu, wędrując wśród jarów i wzniesień można na chwilę zapomnieć o codzienności i побыć przez chwilę sam na sam troszkę w innej czasoprzestrzeni. Teren nekropolii jest pod opieką Nadleśnictwa Kwidzyn, także każde naruszenie miejsca może wiązać się z konsekwencjami.

KOLEJ ZE SZTUMU DO KWIDZYNA - POCZĄTKI

Opowiemy trochę o początkach linii kolejowej łączącej Sztum z miastem Kwidzyn, a także o pierwszych torowiskach z XIX wieku, których ślady do tej pory możemy oglądać w naszych lasach. W oczekiwaniu na ponowne otwarcie lokalnych stacji kolejowych zapraszamy do lektury.



Fragment nasypu kolejowego z końca XIX wieku, fot. P. Podlewski

W 1873 roku dobiegła końca wojna francusko-pruska. Pokonana Francja musiała zapłacić zwycięzcom potężną kontrybucję w wysokości 5 miliardów franków w złocie. Dodatkowo musiała oddać Prusom Lotaryngię i Alzację, czyli regiony o dużym potencjale górniczo-hutniczym. Oznaczało to dla Prus czas wielkiego rozwoju gospodarczego. Z miejsca ruszyła budowa nowych domów, fabryk, stoczni, zakładów pracy. To wszystko wymagało sprawnego i ekonomicznego transportu. Prywatni przedsiębiorcy zaczęli więc inwestować w kolej, której pierwsza linia Berlin-Poczdám pojawiła się w 1838 r.

Sztum, będący wtedy jednym z miast pruskich, został ujęty w planach rozwoju kolei w ustawie z dnia 9 marca 1880 roku. Stało za tym duże lobby miejscowych kupców, którym linia kolejowa na trasie Malbork - Toruń była niezbędna w prowadzeniu dochodowych interesów, związanych z działaniem licznie powstających cegielni oraz cukrowni.

I tak powstała Kolej Miast Nadwiślańskich (Weichselstädtebahn). Uroczyste otwarcie linii Grudziądz - Malbork (76,8 km) odbyło się 15 sierpnia 1883 r. Kolej przebiegająca przez Sztum i miasta Powiśla została zaprojektowana jako linia boczna, czyli w założeniu posiadała liczne wąskie łuki i stosunkowo duże nachylenia toru. Oszczędna budowa wynikała głównie z jej przemysłowego charakteru. Dość szybko zorientowano się, że nie była to dobrze przemyślana inwestycja. Zarząd kolei pruskich (KPEV) zainwestował kolejne pieniądze, przebudowując w latach 1900-1913 najtrudniejsze fragmenty torów, wzorem parametrów linii głównej (Vollbahn). W ten sposób, usuwając zakręty torowisk, uzyskano obecny, sprawniejszy przebieg linii kolejowej, zwiększając mobilność o 40 proc.

Na południe od Sztumu, w lesie między Parowami a Borowym Młynem możemy oglądać pozostałości po tamtych inwestycjach. Tuż za dzisiejszą linią kolejową, równoległe do niej, przez około pół kilometra, ciągnie się nasyp po dawnym torowisku pierwszej linii kolejowej z końcówki XIX wieku. Jest to łuk, którego przebieg podyktowany był topografią terenu ułatwiającą przejazd parowozom. Po 1900 roku odcinki torów biegnące po łukach zastąpiono odcinkami prostszymi, często przekopanymi przez trudniejszy teren. Szybkość transportu wzrosła. Wspinając się na dawny nasyp kolejowy możemy podziwiać zakres pruskiej inwestycji. Południowy odcinek zakrętu przecięty jest rzeczką, nad którą musiał wznosić się most kolejowy o długości ok. 60 m, łączący przedzielenie torowiska.

Ciekawostką terenową jest idealnie prostokątne wzniesienie leżące po zachodniej stronie nasypu. Prowadzi do niego nasyp ziemny pełniący pierwotnie zapewne funkcję dojazdową dla pojazdów kołowych. Wzniesienie mogło być dawną rampą przeładunkową. Pierwotny przebieg torów po łuku dobrze jest widoczny na mapie z 1889 roku. Czekaemy zatem na ponowne otwarcie stacji Sztum oraz na kolejny rozdział w dziejach linii kolejowej Sztum - Kwidzyn.

SZTUM - BUDYNEK POCZTY I CIEKAWOSTKA ARCHEOLOGICZNA

Przyjrzyjmy się teraz budynkowi, który tak mocno wrył się w sztumski krajobraz, że zapewne większość z nas nie zwraca uwagi na jego architekturę i historię. Stylowy budynek poczty, bo o nim mowa, oddano do użytku po 1896 roku pod nazwą „Kaiserliches Postamt”, czyli Cesarzowski Urząd Poczty. Sztum należał wtedy do Cesarstwa Niemieckiego, w którym panował Wilhelm I Hohenzollern (od 1861 król Prus, a od 1871 także cesarz

niemiecki). Napis „Kaiserliches Postamt” zdołał frontową ścianę poczty, co widać na zachowanych zdjęciach z tego okresu. Dziś wprawne oko odnajdzie jeszcze na ceglach jego wyblakły zarys pozostały po literach. Nad napisem, na wysokości piętra, wmurowano herb Cesarstwa Niemieckiego, czyli czarnego, jednogłowego orła zwróconego głową w prawo, z tarczą herbową Królestwa Prus na piersi. Dziś prostokątne miejsce po herbie zamurowane jest jasną cegłą.

Budynek poczty otrzymał typowy dla pruskiego budownictwa wygląd. Wykonany jest z czerwonej, glazurowanej cegły, przykryty dwuspadowym dachem oraz postawiony na fundamentach i podmurówce z granitowych ciosów. Wysokie kondygnacje podkreślają pionowe, prostokątne okna. Pierwotnie wejście główne umieszczono w rogu budynku, projektując nad nim niewielki balkon. Na przełomie XIX i XX wieku pocztę zaczęto rozbudowywać, co można prześledzić na fotografiach. Poczta istniejąca w Sztumie od 1885 roku pierwotnie miała swoją siedzibę w innym, skromniejszym miejscu. Podczas późniejszej przebudowy zlikwidowano wejście narożne, a balkon zamieniono na pomieszczenie zamknięte instalując we wnękach okna.

Poczta wraz z istniejącą infrastrukturą techniczną była wówczas nowoczesną placówką. Instytucja na swoje potrzeby zajmowała parter i pewnie też część pokoi na piętrze. Pozostałe pomieszczenia na piętrze przeznaczone były na mieszkanie urzędników zarządzających pocztą. Na podwórzu stały budynki gospodarcze, w tym zapewne stajnia i powozownia. Na wyposażeniu urzędu, tak jak w innych placówkach, był konny wóz pocztowy.

JEZIORO GORAJ - KURHANY I SPALONA LEŚNICZÓWKA

Wracamy jeszcze do lasu, w miejsce zwane potocznie „Łąkami”, które dawniej zwano jeziorem Goraj. Jest to teren rozlewiska dawnego jeziora pomiędzy Grzepsą i Gorajem, mającego w czasach międzywojennych powierzchnię liczącą około 3,25 ha. Dziś podczas leśnych spacerów można dostać się w jego okolicę, kierując się na północ od dawnej strzelnicy w Grzepsie. Ukształtowanie terenu i charakterystyczna dla podmokłych terenów roślinność zdradza zasięg dawnego zbiornika wodnego. Przed wojną jezioro otaczał z trzech stron las zwany Królewskim, a od wschodu pola uprawne. Jezioro w tamtych czasach było bardzo płytkie i niezbyt zarybione. Łowiono w nim głównie przewłoką, czyli siecią o kształcie wielkiego worka z dwoma skrzydłami używaną w połowach latem.

Według mapy Schröttera z przełomu XVIII/XIX wieku jezioro łączyło się z jeziorem Kaniewskim w Koniecwałdzie nieistniejącym już kanałem wodnym lub odpływem, którego przebieg jest dziś już trudny do ustalenia w terenie. Śladem po nim mogą być niewielkie, bagniste zagłębienia widoczne na polach na północ od jeziora Kaniewskiego oraz miejsce wpływu do tegoż zbiornika czytelne w ukształtowaniu linii brzegowej. W późniejszych latach wody jeziora Goraj zostały obniżone, a sam zbiornik zamienił się w łąkę i raj dla ptactwa.

Analizując ukształtowanie terenu można śmiało stwierdzić, że przed wiekami zasięg jeziora był o wiele większy. Rozlewało się ono bardziej na południe i częściowo na wschód, o czym świadczą widoczne dzisiaj rozlewiska i bagna. Pomiędzy nimi, a dawnym jeziorem znajduje się podwyższenie terenu, które dawniej mogło być trudno dostępną wyspą. Do-

datkowo znajduje się na nim cmentarzysko kurhanowe będące pod ochroną Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Miejsce specyficzne z indywidualną atmosferą. Przy wschodnim brzegu jeziora Goraj stała dawniej leśniczówka Neu-Hakenberg.

W 1945 roku rozegrał się tam dramat. Dowództwo niemieckie, którego sztab dywizji znajdował się w dworku w Goraju, zorganizowało w leśnictwie szpital polowy dla żołnierzy walczących na froncie wschodnim. W styczniu 1945 roku leśniczówka została otoczona przez żołnierzy Armii Czerwonej. Wywiązała się walka zakończona spaleniem przez Rosjan całej zabudowy. Według zdobytych informacji obok leśniczówki stały także domki dla pracowników leśnych, a na wschód od jeziora jest miejsce, w którym Niemcy detonowali resztki amunicji. Prawdopodobnie w parku koło dworu w Goraju pochowano zwłoki Ukrainek pracujących w majątku i zamordowanych przez żołnierzy Armii Czerwonej. Obecnie po leśniczówce zostały tylko zarysy fundamentów oraz potłuczone kafle i fragmenty spalonych elementów drewnianych będących świadkami starcia z 1945 roku.

BIAŁA GÓRA - SCHRONISKO MŁODZIEŻOWE Z 1932 ROKU

W Białej Górze, pod lasem, stoi drewniany budynek, dziś własność prywatna, dawniej siedziba Grenzlandschule (szkoły przygranicznej) utworzonej m.in. dla późniejszego Hitlerjugend. W zasobach internetowych jednego z archiwów niemieckich natrafiliśmy na zdjęcia z lat 30. XX w. na których widać ów budynek, a także zajęcia młodzieży Hitlerjugend.

Jest to o tyle interesujący temat i praktycznie nieznany, że wypada nakreślić tutaj kilka słów. Grenzlandschule i sama Biała Góra były silnym ośrodkiem propagandy niemieckiej i antypolskiej w czasach międzywojennych.

W 1930 roku wzniesiono tutaj, przy trójkącie granicznym polsko-niemiecko-gdańskim, 8-metrowy kamienny krzyż. Symboliczny krzyż spoglądał w stronę Wisły na tzw. „korytarz polski” i dalekie zachodnie Cesarstwo Niemieckie. Wschodnie Niemcy, po 1920 roku miały nadzieję, że skutki traktatu wersalskiego (przywrócenie państwa polskiego i wynikające z niego oddzielenie geograficzne od Rzeszy Niemieckiej) były jedynie tymczasowe. Krzyż miał świadczyć o męczeństwie i udręce narodu niemieckiego pogiębionego traktatem wersalskim po I wojnie światowej. Przypomnijmy, że po I wojnie odrodzona Polska otrzymała Pomorze dzieląc tym samym Niemcy na dwie części. Stąd nazwa „korytarz”. Cokół krzyża został niegdyś ozdobiony herbem zakonu krzyżackiego, Prus Wschodnich i Prus Zachodnich, a także pustą rozetą przeznaczoną dla Gdańska - gdyby to miasto ponownie stało się stolicą prowincji Prus Zachodnich. Uzupełniał go napis „Prusy Zachodnie, niepodzielna niemiecka Weichseland”. U stóp wzgórza ustawiono głaz z wyrytymi nazwami 4 miast z obszaru Wolnego Miasta Gdańska. Krzyż po wojnie wysadzono, a głaz został przewrócony napisami do dołu.

W 2008 r. uczestniczyłem w wydobyciu i przewiezieniu głazu na wał wiślany obok śluzy w Białej Górze. To ten sam kamień, na którym umieszczono tablicę pamiątkową upamiętniającą 90-lecie odrodzenia się państwa polskiego. Podczas wycieczki do Białej Góry proszę sprawdzić jego tył (dawny front). Nadal widać wyryte nazwy miast: Danzig, Tigenhof, Neuteich, Zoppot.

U stóp krzyża odbywały się w latach 30. XX wieku zloty młodzieży nacjonalistycznej i manifestacje, a lokalna szkoła (Grenzlandschule) kształciła przyszłych germanizatorów Powiśla. Podczas zajęć dla młodzieży szkolnej i partyjnej na pewno poruszano temat „krwawiącej granicy”. Prym wiodła książka Arnolda Zelle pt. „100 Korridorthesen”, w której można było przeczytać o celach polskiej propagandy w „korytarzu”, studiować mapy potwierdzające germańskość Pomorza, itp.

W 1932 r. w Białej Górze, z pomocą państwa, powstał piękny i funkcjonalny hostel młodzieżowy, który zapewniał odpowiednie zakwaterowanie wielu młodym ludziom. Okręgowy budowniczy Hoerschen wyposażył schronisko w dwie sale - dla chłopców i dziewcząt (każda z 14 łózkami), w toalety i wbudowane wieszaki na ubrania oraz inne urządzenia do przechowywania bagażu. Była też sala rejestracyjna, kuchnia i mieszkanie dla opiekuna miejsca. Projekt techniczny był podobny do projektu drewnianych domów menonickich na Nizinie Wiślanej. Po południowej stronie schroniska znajdowała się altana z ciągłą ławką wykonaną z desek dębowych, z której roztaczał się wspaniały widok na niziny ryjewskie (wokół nie było jeszcze lasu). 23 czerwca schronisko młodzieżowe zostało oficjalnie otwarte przez starostę sztumskiego dra Aloisa Zimmera.

W 1934 roku patronat nad schroniskiem, które z czasem zaczęło pełnić funkcję szkoły pogranicza przejęło Bund Deutscher Osten (Związek Niemieckiego Wschodu). Celem związku było umocnienie narodu niemieckiego na wschodzie. W rzeczywistości BDO było zakamuflowaną agendą NSDAP, działającą na terenach pogranicznych w III Rzeszy, której celem było zwalczanie mniejszości etnicznych oraz opozycji politycznej. Organizacja miała działać w nazistowskim duchu z pominięciem rygorów prawnych. Na czele związku stało kierownictwo ogólnokrajowe z siedzibą w Berlinie, które kontrolował tzw. Komitet doradczy, na czele którego stał Rudolf Hess, jeden z najbliższych współpracowników Adolfa Hitlera, do maja 1941 jego zastępca oraz formalnie trzecia osoba w III Rzeszy. Przewodniczącemu podlegała sieć oddziałów prowincjonalnych tzw. „grup krajowych”, niem. Landesgruppe, w tym Untergruppe Westpreußen z siedzibą w Sztumie. Organizacja była agresywnie antypolska i wywoływała szereg napięć napędzanych niemieckimi roszczeniami terytorialnymi wobec Polski.

W lesie, nieopodal Białej Góry, zachowała się strzelnica przeznaczona do ćwiczeń młodzieży z Hitlerjugend. Jak widać na załączonych zdjęciach młodzież niemiecka, jednolicie ubrana spędza czas szkoląc się na potencjalnych działaczy politycznych i wojskowych. Wszystko zostało przerwane w 1945 roku po klęsce Niemiec w II wojnie światowej.

Ryszard Rząd

HISTORIE NIE TYLKO MALBORSKIE (1)

CZAS PLEBISYTU

Wiosną 1920 r. Powiśle przygotowywało się do plebiscytu, który zdecydować miał o przynależności państwowej tej ziemi. Sytuacja była bardzo napięta, mnożyły się prowokacje i napaści na polskich działaczy. Dlatego też 17 maja 1920 r. doszło w Warszawie do spotkania prezesa Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego w Kwidzynie ks. Antoniego Ludwiczaka (1878-1942) z por. Witoldem Gołębiowskim (1885-1931) z Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Podjęto wówczas decyzję o utworzeniu na Powiślu Lotnych Oddziałów Bojowych (LOB), podległych bezpośrednio Naczelnej Komendzie Straży Mazurskiej w Olsztynie. Jej komendant, por. Jan Niemierski (1886-1941), na dowódcę LOB w Kwidzynie wyznaczył por. Józefa Kowalkowskiego.

W czerwcu 1920 r. liczebność oddziałów w powiecie sztumskim przekraczała dwieście osób. Zostały one podzielone na siedem „sotni”. Najliczniejsza znajdowała się w Sztumie i liczyła ok. 80 członków. Ich podstawowym uzbrojeniem były tzw. laski plebiscytowe – czyli grube kije. „Sotnie” posiadały jednak też granaty ręczne, pistolety, karabiny, a nawet kilka lekkich karabinów maszynowych. Bojówki pochwalić mogły się kilkoma znaczącymi sukcesami, m.in.: 24 maja w czasie wiecu w Kwidzynie doszło do starcia z podobną bojówką niemiecką, którą rozpędzono (w czasie tego zajścia Polacy użyli 20-osobowego „oddziału” konnego). 3 lipca rozbito niemiecki wiec w Sztumie, a dzień później w Sztumskiej Wsi i Postolinie.

Niestety, jak się niebawem okazało, Lotnymi Oddziałami Bojowymi dowodził... zdrajca, porucznik Józef Kowalkowski (alias „Josef Berger”). Do 1918 r. był oficerem niemieckim, odznaczonym Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Po zakończeniu wojny rozpoczął służbę w Wojsku Polskim. Budził powszechne zaufanie swoją operatywnością i rzekomą niechęcią do Rzeszy, dlatego też powierzono mu m.in. wspomniane wyżej dowodzenie LOB na Powiślu. Po zakończeniu plebiscytu został pracownikiem ekspozytury Oddziału II Sztabu Generalnego WP w Grudziądzu (prowadzącego wywiad na terenie Niemiec), placówki, którą wkrótce zlikwidowano z powodu zbyt wielu dekonspiracji agentów. Na początku 1921 r. przeniesiono go do ekspozytury poznańskiej, skąd wkrótce zbiegł do Niemiec.

Okazało się, że od dłuższego czasu dostarczał Niemcom informacji o agentach wywiadu polskiego. Efektem jego zdrady było m.in. aresztowanie czteroosobowej polskiej rodziny

Mayów ze Szczecina, którzy w latach 1919-21 byli jednymi z najcenniejszych źródeł informacji o Pomorzu Zachodnim.

W 1921 r. Kowalkowski pojawił się w Gdańsku, już jako agent niemiecki. Szef ekspozytury polskiego wywiadu w Wolnym Mieście rtm. Karol Dubicz-Penther (1892-1945) postanowił... porwać go do Polski i tam postawić przed sądem. Akcja miała być znaną wśród agentów, klasyczną „sztuczkę husarską” („Husarenstück”). Jak wspominał jeden z podwładnych rotmistrza: *Wynajęte dziewczynki mają spoić Kowalkowskiego, nasypać mu do kieliszka środek nasenny i wtedy śpiącego faceta zabierze, jak dziecko, pan rotmistrz i przewiezie na polską stronę przez Kolibki. Jakie to proste i łatwe. I jakie piękne. Prosto prelest (po prostu cud). Na szczęście dla Dubicza, ten numer się nie udał. Panienki albo mu za mało wyspały proszku, albo on miał naturę Rasputina i nie działały na niego trucizny. Kowalkowski obudził się ze snu w chwili, gdy go rotmistrz chciał brać do wozu. Myślał, że to taksówka. Kazał się odwieźć do hotelu. Tak się skończyła próba porwania. Udawaliśmy, że nic o tym nie wiemy, choć Dubicz podejrzewał, że wiemy, że się ośmieszyl.* (S. Z. Zakrzewski, *Na wozie i pod wozem. Autobiografia oficera wywiadowczego „dwójki” 1890–1945*, Warszawa 2010).

Powodzenie akcji doprowadziłoby rzeczywiście do skandalu. Prasa gdańska z radością opublikowałaby bowiem doniesienia o oficerze i pracowniku Komisarjatu Generalnego RP, który porywa obcokrajowca i wywozi do Polski. Wiadomość z pewnością dotarłaby do Ligi Narodów, a był to okres negocjacji nad zakresem uprawnień Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście. Jakie były dalsze losy Kowalkowskiego, vel „Bergera”, nie wiemy.

Mimo iż porwanie to nie doszło do skutku, podobne działania były częstą praktyką ówczesnych wywiadów działających nad Motławą. Starano się jednak „dopadać swoich”, którzy przeszli na stronę wroga: Niemcy – obywatele Niemiec, Polacy – Polaków. W maju 1927 r. porwano polskiego agenta Czesława Dziocha i via Kałdowo-Malbork przerzucono do Królewca. Pięć lat później, w lipcu 1932 r., zgodnie ze schematem „alkohol w Gdańsku – samochód – pobudka w Gdyni”, przed polski sąd trafili dwaj agenci niemieccy, Georg Reschotskowski i Władysław Mamel.



Na zdjęciach od lewej: ks. Antoni Ludwiczak (1), por. Witold Gołębowski (2), por. Jan Niemierski (3) i rtm. Karol Dubicz-Penther (4)

KAŁDOWO

Zgodnie z traktatem wersalskim zniesiono granicę gospodarczą pomiędzy Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem, który włączono do polskiego obszaru celnego. Celników gdańskich pozostawiono jedynie na granicy morskiej i z Prusami Wschodnimi. Nadzór nad nimi powierzono polskim inspektorom. Było to zadanie trudne do realizacji. Celnicy byli bowiem w większości dawnymi żołnierzami Reichswery, a od lat 30-tych aktywnymi SA-manami, którzy w praktyce wspomagali przemysł i nie interweniowali w coraz powszechniejszych przypadkach nagonki na polskich inspektorów.

Nie inaczej było na najważniejszym przejściu gdańsko-niemieckim w Kałdowie, przez które przebiegał kolejowy szlak tranzytowy, miał też miejsce intensywny ruch samochodowy i pieszy. Inspektorom uniemożliwiano zakwaterowania, odmawiano sprzedaży artykułów żywnościowych, etc. Dochodziło do zaczepek i napadów. W szkołach uczono, by dzieci pluły na nich. Od wiosny 1939 r. po zakupy musieli jeździć do Tczewa. W kwietniu „nieznani sprawcy” obrzucili petardami ich dom w Kałdowie (ob. ul. Główna 2) wybijając szyby w oknach. Sytuacja powtórzyła się w nocy z 8 na 9 maja. Za każdym razem żandarmeria nie potrafiła znaleźć sprawców.

Apogeum prowokacji zaplanowano na wieczór 20 maja. Na oczach tłumu wykrzykującego antypolskie hasła wymalowano na frontowej ścianie budynku napis: „Polscy inspektorzy celni – Walczak – Deckert gwałcą niemieckie dziewczęta”. Na budynek najpierw posyłał się grad kamieni i petard, następnie podpalono go. Zgromadzeni wewnątrz inspektorzy początkowo usiłowali ugasić pożar, lecz nie dali rady i uciekli przez ogrody w stronę torów kolejowych, którymi udali się do Szymankowa. Jeszcze tej samej nocy do Kałdowa przybyła



Urząd celny przy moście w Kałdowie

z Gdańska polska komisja, która po dokonaniu oględzin udała się do budki dyżurnego ruchu na nasypie kolejowym celem spisania protokołu. W tym czasie kierowca, który pozostał samochodzie, został napadnięty przez grupę miejscowych SA-manów. W obronie własnej użył broni i postrzelił śmiertelnie jednego z napastników. Wiadomość o jego śmierci błyskawicznie rozniosła się w Wolnym Mieście powodując liczne protesty i manifestacje. Kierowca był bowiem jedynie pracownikiem pomocniczym i nie miał prawa do noszenia broni na terenie Gdańska. Oskarżono go więc o nielegalne jej posiadanie i zabójstwo, a inspektorów o udostępnienie pistoletu. Śmierć ta stała się oczywiście okazją do kolejnej antypolskiej nagonki, a na pogrzeb ofiary gauleiter Forster osobiście przywiózł wieniec od samego Führera. Imieniem tego wątpliwego bohatera nazwano też ulicę na której zginął (Max-Grübnaustrasse, obecnie to ul. Solskiego i al. Celników Polskich).

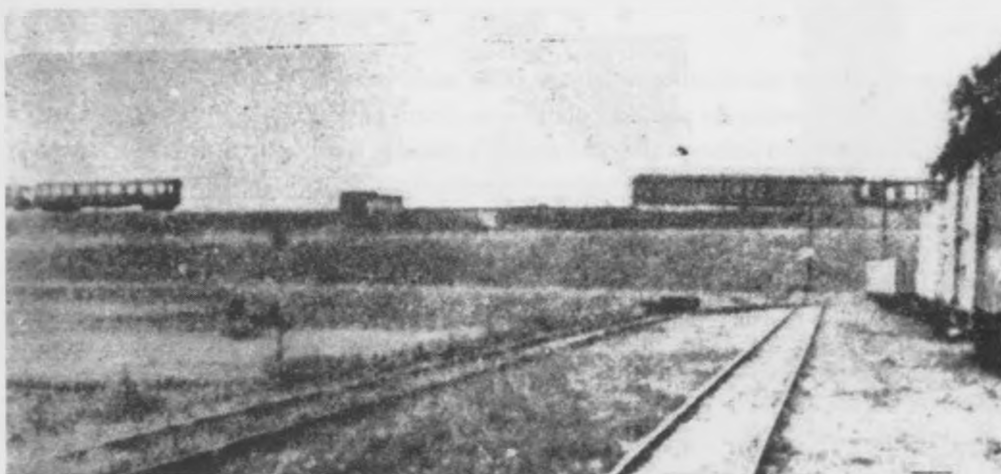


Dom inspektorów z oszczerczym napisem

Wspominaliśmy już rocznicę wydarzeń, jakie miały miejsce w Kałdowie w dn. 20 maja 1939 r. Doszło wówczas do napaści i podpalenia domu polskich inspektorów celnych oraz przypadkowej śmierci jednego z miejscowych SA-manów. Nawiasem mówiąc, nie do końca wiadomo czy zginął on od kuli polskiego inspektora. Sytuacja bowiem wyglądała tak, że Polak uciekał przed goniącymi go i strzelającymi doń Niemcami. Broniąc się oddał kilka strzałów. Zginął napastnik znajdujący się najbliżej niego. Lecz od czyjej kuli? Może swoich współtowarzyszy? Strona niemiecka nie zgodziła się na sekcję zwłok.

Idźmy dalej z opowieścią. Jako że wspomniany wyżej budynek nie nadawał się do użytku, już następnego dnia pracownicy tczewskich warsztatów kolejowych wykonali specjalną 50-metrową bocznicę na nasypie w Kałdowie. Ustawiono na niej dwa wagony pulmanowskie: jeden (2 klasy) służył za sypialnię, drugi (4 klasy) za kuchnię, jadalnię i świetlicę. W odpowiedzi na to, już 23 maja u podstawy nasypu „nieznani sprawcy” zrzucili kilka ciężarówek odpadów z malborskiej rzeźni, chcąc przy pomocy uciążliwego fetoru

usunąć niewygodnych inspektorów celnych. Zamiar ten nie powiódł się. Przeciwnie, placówkę wzmocniono, przy czym dotychczasowych pracowników pomocniczych (takich jak wspomniany wcześniej kierowca) dla „ochrony” mianowano inspektorami. W czerwcu, na zaproszenie Komisarjatu Generalnego RP w Gdańsku, w Kałdowie zjawili się kilku francuskich dziennikarzy, którzy m.in. wykonali zdjęcia antypolskich napisów na opuszczonym przez inspektorów domu i wiadukcie kolejki wąskotorowej. Ten drugi wykonano tak, by widzieli go pasażerowie pociągów tranzytowych.



Wiadukt kolejki wąskotorowej z oszczerczym napisem i wagony inspektorów na nasypie w Kałdowie, fot. wyszperane ze starych gazet

W trakcie pierwszej wojny światowej, w 1916 r. wprowadzono w Niemczech, początkowo w restauracjach, a później także w gospodarstwach domowych, dni bezmięsne i bez tłuszczowe. W rejencji kwidzyńskiej (tereny od Sztumu po Toruń i od Lubawy po Wałcz) mięsa nie wolno było jeść w poniedziałek i czwartek, a tłuszczu we wtorek i piątek. Zakazy te egzekwowano z bezwzględnością, o czym donosiła miejscowa prasa. Nie było wyjątków. Nawet we wtorek 26 grudnia tegoż roku.

Na obszarach stykających się z ówczesną granicą rosyjską wprowadzano także ograniczenia w piciu napojów alkoholowych. Dla wielu kobiet zarządzenie to okazało się zbawienne, gdyż uwalniało je od problemów związanych z uzależnieniem mężów. Jak donosiła „Gazeta Toruńska”: „W niektórych wypadkach władze otrzymywały nawet dziękczynne listy od żon, których mężowie z konieczności przestali się upijać. Jeden z takich listów kończy się życzeniem: Oby ten zakaz nigdy nie został cofnięty”.

Mimo dystrybucji żywności, niedożywienie i ciągły lęk przed głodem stale towarzyszyły mieszkańcom ówczesnych Prus. Smutną ilustracją panującej wówczas atmosfery jest relacja „Marienburger Zeitung” z lipca 1917 r.: *Przed tutejszą mleczarnią zdarzył się niezwykle wypadek. Otóż wóz mleczarza Kistlera napelniony konwiami z mlekiem i wielkimi pudłami z serem przewrócił się na ulicy. Wszystkie konwie i pudła z miękkim serem wypadły się na ulicę. W mgnieniu oka zgromadził się tłum kobiet i dzieci, zbierających ser do torebek, kapeluszy, garnków, fartuchów i chusteczek, a potem uciekających z zadowoleniem do domów.*



Jeden z typowych mleczarzy tamtych czasów (nie malborski), fot. archiwum autora

POGODNY PASCHKE

15 września 1864 r. w Dobrzewinie niedaleko Kartuz na świat przyszedł Serenus Paschke (zm.1938). Imię Serenus (łac. pogodny, jasny) nadała mu niewidoma matka. Po niej też odziedziczył zamiłowanie do sztuki, a zwłaszcza do muzyki. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Malborku podjął pracę w Żurawcu (Schwansdorf) nad jeziorem Drużno. W 1897 r. został pierwszym nauczycielem i rektorem nowo powołanej szkoły ludowej w podmalborskich wówczas Piaskach. Uczył niemieckiego i historii, a ze swoimi uczniami bardzo często wybierał się na wycieczki, pływał po Nogacie. Przede wszystkim jednak kochał muzykę. Jego życiową dewizą były słowa: „Wo man singt, da laß dich fröhlich nieder; böse Menschen kennen keine Lieder !“ (Gdzie śpiew brzmi, tam osiadz szczęśliwie; źli ludzie nie znają pieśni). Tu mała dygresja: na ironię losu zakrawać może fakt, że w latach 30-tych słowa te były mottem wielu śpiewników „Hitlerjugend”.

Był dyrygentem kilku chórów: „Sängerrunde“ w Żurawcu, „Männergesangverein Marienburg“ (1900-22), „Arbeitergesangverein“ i „Volkschor Sandhof“ w Malborku. W 1903 r. wraz ze swoimi uczniami wykonał po raz pierwszy publicznie „Westpreußenlied” – hymn Prus Zachodnich autorstwa Paula Felske i Hugo Hartmanna. Gdy w 1929 r. przeszedł na emeryturę, na pamiątkę od nauczycieli dostał złoty zegarek. Wrócił do Żurawca, gdzie skomponował m.in. pieśń „Westpreußenland”, która wraz z wyżej wymienioną, często śpiewana była na spotkaniach dawnych mieszkańców Malborka.



W kółku Serenus Paschke (najprawdopodobniej) w gronie nauczycielskim, fot. archiwum autora

Janusz Ryszkowski

PRZYPIS DO GOMBROWICZA

„Babka moja, Onufrowa Gombrowiczowa, była Dąbrowska (z lepszych), urodzona z Benisławskich (dobrze), która urodziła się z baronówny Toplickiej (dobrze), która rodziła się z Sołtanówny, córki marszałka nadwornego Sołtana i Radziwiłłówny (doskonale). Benisławscy też kilka razy z Radziwiłłami się łączyli.” Tak Witold Gombrowicz w „Dzienniku”, publikowanym w paryskiej „Kulturze”, przedstawiał „ku ucieście przyjaciół i zdenerwowaniu wrogów” jedną z gałęzi swojego drzewa genealogicznego.

Jedną z reakcji czytelnicych była dość nieoczekiwana. „Otóż otrzymałem list od Taidy Choińskiej-Dziaduszyckiej, staruszki 90-letniej w Anglii, której matka jest Benisławska - w sierpniu 1966 roku pisał z Vance do brata Jerzego w kraju. - Zapytuje, czy wiem, że jakaś Róża Benisławska wyszła za mąż za Anglika dr. Morisona - dawno przed wojną, w Nieświeżu się poznali i ślub wzięwszy uciekli, bo megalians był - że ten Morison zrobił ogromne pieniądze i że cała ta fortuna została zapisana Benisławskim przez tę Różę, która umarła. Jeśli coś w tym było prawdopodobnego, to może napisz do Stasia Rosseta (mieszka w Krakowie), żeby do mnie się odezwał. Ale chyba to majaki tej staruszki.”

Gombrowicz nie orientował się, bo i skąd niby, kim była czytelniczka jego „Dziennika”. Swoją drogą, to imponujące, że starsza pani z Londynu interesowała się paryską „Kulturą” i rozczytywała się w publikowanym tam „Dzienniku”.

Spróbujemy o Taidzie, jedynej córce Antoniego Donimirskiego opowiedzieć nieco więcej. Jakaś mgła tajemniczości unosi się nad jej matką - Eugenią z Benisławskich Donimirską, a potem Leszetycką, i kryje też wczesne lata jej córki Marii Taidy Zofii, używającej tylko tego drugiego imienia. Zofia została nazwana po babce ze strony ojca, Marią zapewne po drugiej Benisławskiej, a Taidą?

ZAGUBIONA METRYKA

Zagadką jest nie tylko rok, ale i miejsce jej urodzenia. List Gombrowicza sugeruje, że przyszła na świat około roku 1876. Dlaczego to jest takie ważne? Trudno snuć opowieść o Antonim Donimirskim bez tak istotnego zdarzenia, jak narodziny jego jedynej córki.

Mam przed sobą broszurkę zatytułowaną „Lista ewakuowanych z Z.S.R.R. rodzin polskich w ciągu sierpnia 1942 roku”, wydaną nakładem „Więści polskich” w Budapeszcie w grudniu tego samego roku. Pod literą D znajdujemy tam „Dziaduszycką Taidę”, rocznik 1884. Nie ma wątpliwości, mimo znaczącego błędu w nazwisku (sporządzający listę z góry



Taida Donimirska debiutowała na scenie ok. 1906 roku. Zdjęcie z tygodnika „Świat”, fot. archiwum

o tym uprzedzali), że chodzi o Taidę Choińską-Dzieduszycką. I ten rok uznałbym za bardzo prawdopodobny.

Ale inni badacze mają wątpliwości. „W pozostałych po jej śmierci [1972] dokumentach, wystawionych przez urzędy angielskie, nigdzie nie podano miejsca i dziennej daty urodzenia, a jedynie 1884 rok. Wiele wskazuje na to, że urodziła się kilka lat później, a z jakichś przyczyn (być może podczas deportacji) podała wcześniejszy rok urodzenia. Wątpliwości te podtrzymuje autor biogramu jej ojca [ks. Alfons Mańkowski w przedwojennym Polskim słowniku biograficznym], według którego Donimirscy pobrali się dopiero w 1886 roku, a więc w wiedeńskim okresie Antoniego” - pisze prof. Kazimierz Karolczak, znawca dziejów rodu Dzieduszyckich w artykule „Taida poznaje wschód. Nieznane losy Taidy Choińskiej-Dzieduszyckiej z Donimirskich”.

Albo pomylił się ks. Mańkowski, mogła też do jego tekstu wkraść się literówka. Donimirscy pobrali się w Moskwie 2 grudnia 1876 roku, o czym donosiła „Gazeta Toruńska”. Źródło bardzo wiarygodne, zważywszy na ścisłe powiązania pisma z panem Antonim i prowadzonym przez kiego bankiem w Toruniu.

W Wiedniu publicysta mieszkał od 1882 do lata 1887 roku, kiedy wyjechał na stałe do Warszawy. Zaczął prowadzić w „Niwie” kronikę handlową, wkrótce współredagował ten dwutygodnik. Żona pozostała w Wiedniu.

Można się domyślać, że kryzys ich związku nastąpił około 1886 roku. Donimirski opuścił mieszkanie przy Gürtelstrasse 103, o czym dowiadujemy się z wiedeńskiej książki adresowej Lehmana. Wydawca jeszcze nie wiedział, dokąd się przeprowadził. W 1887 roku zamieszkanie Donimirskiego było takie, jak i redakcja pisma „Centralblatt Österreichisch Ungarisch Industrieller und Exporteur“, z którą się wtedy związał. Taki adres widnieje jeszcze w 1891 roku, już po rozwodzie Donimirskich.

Dlatego ten 1884 roku urodzenia się Taidy nie musi być pomyłką, mylnym tropem, mającym coś z życia rodzinnego Donimirskich zatuszować. Na pewno wtedy mieszkali razem, sam Ignacy Paderewski świadkiem. Gościł u nich przecież na obiadach.

W RODZINNYM KRĘGU

O dzieciństwie i młodości Taidy niewiele pewnego można powiedzieć. Nie znalazłem śladu, aby była obecna w życiu matki Eugenii. W 1899 roku natrafiamy (dzięki gazecie) na pannę Donimirską w Warszawie wśród kwestujących dam w kościołach i kaplicach rzymsko-katolickich podczas Wielkiego Tygodnia. Z profesorową Teodorową Dydyńską, jej córką Zofią zbierała datki przy kościele św. Marcina na ul. Piwnej. Dwa lata wcześniej była z nimi także podczas „sprzedaży rabatowej „na rzecz kolonii letnich w sklepie papieru G. Wattsona przy ulicy Trębackiej”. Ile mogła mieć wtedy lat? Trzynaście, czternaście, bo chyba nie dużo młodsza? To by znowu potwierdzało, że mogła być z rocznika 1884.

Nie mógł to być czysty przypadek, że akurat spotkaliśmy ją z Dydyńskimi. Teodor Dydyński, urodzony w Bydgoszczy, był znanym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, zajmującym się prawem rzymskim. Miał opinię samotnika i człowieka mało rodzinnego. Znali się z Donimirskim, to raczej pewne. Publikowali w petersburskim „Kraju”. Ale to jeszcze nie powód, by przebywała z Dydyńskimi córka. Zagadka znajduje jednak dość

proste rozwiązanie. Żona naukowca, Jadwiga (z Wolańskich) była blisko spowinowacona z Donimirskimi. Jej młodsza siostra Helena poślubiła bowiem Edwarda Donimirskiego z Łysomic, czyli brata Antoniego.

Wychowaniem Taidy po rozpadzie małżeństwa zajmował się najpewniej ojciec i jego rodzina. Skąd o tym, poza przykładem z Dydyńskimi - znowu pośrednio - można się domyślać? Droga będzie okrężna.

W londyńskich „Wiadomościach” z 1966 roku natrafiłem na szkic biograficzny Lecha Paszkowskiego „O panu Czarlińskim co do Australii pojechał”. Autor, rodowity warszawiak, który po drugiej wojnie zamieszkał w Australii, podążył jako pisarz i reporter tamtejszymi tropami polskimi. Tytuł jego szkicu nawiązuje do kaszubskiego poematu Hieronima Derdowskiego „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” (1880). Derdowski był redaktorem „Gazety Toruńskiej”, znali się dobrze z Antonim Donimirskim. Paszkowski w szkicu przypomina postać Wiktora Czarlińskiego, urodzonego w Chwarznie na Kaszubach w 1849 roku, inżyniera, pioniera postępu technicznego i podróżnika. Szczególne miejsce jego działalności przypadło Australii. Aby portret inżyniera Czarlińskiego był pełniejszy, autor sięga po wspomnienia, m.in. Taidy Choińskiej-Dzieduszyckiej osiadłej w Londynie. Ta poznała go, jak pisze autor, będąc dzieckiem, a z jego córką Janiną uczęszczała do lwowskich „sercanek”.

Paszkowski nie ułatwia nam sprawy, raczej bardziej jeszcze wikła. Janina Czarlińska była starsza od Taidy o przynajmniej 10 lat, trudno więc, aby były szkolnymi koleżankami. Mogły jednak być (ewentualnie) wychowanekami lwowskiej Sacre Coeur. Na pewno uczęszczała tam córka Taidy, Wanda, ale w latach zdecydowanie późniejszych.

Fakt, że Taida miała w dziecińskiej kontakt z Czarlińskim coś jednak mówi. Inżynier wrócił z Australii w rodzinne pomorskie strony w 1896 roku. Przez kilka miesięcy mieszkał z żoną u swojego brata Emila. Jego zaś żoną była Hortensja, siostra ojca Taidy.

Te okruchy zdarzeń układają się moim zdaniem w pewną całość. Pokazują styczność Taidy od młodości kręgiem krewnych i powinowatych ojca.

W oderwaniu jednak od matki Eugenii...

ŻYCIE SCENICZNE

Ale przecież talent muzyczny odziedziczyła po niej. Taida studiowała śpiew w Berlinie u sławnego Giovanniego Battisty Lampertiego oraz u Teresy Arklowej w Mediolanie. U schyłku kariery ta pochodząca ze Lwowa popularna artystka operowa i pianistka założyła w 1903 roku własną szkołę.

Donimirska karierę sceniczną rozpoczęła ok. 1906 roku. W tygodniku „Świat” (nr 2/1907) zaprezentowano jej sylwetkę artystyczną ze zdjęciem. Dla debiutantki było to spore wyróżnienie, z drugiej strony to nie dziwi, pamiętajmy, że była córką wpływowego redaktora warszawskiego „Słowa”. Przeczytajmy:

„Śpiewaczka obdarzona pięknym głosem i dramatycznym temperamentem. (...) Pierwszy jej występ w Filharmonii [warszawskiej] publiczność nasza przyjęła bardzo życzliwie. Obecnie panna Donimirska opracowuje „Salome” Ryszarda Straussa, której to opery Filharmonia da wkrótce audycję”.

Debiutancki koncert, podczas którego zbierano pieniądze dla bezrobotnych, odbył się w okresie tuż przedsylwestrowym. Taida, jak napisano w *Gazecie Polskiej* „wykazała dużo muzykalności wrodzonej i pewną wprawę w posługiwaniu się środkami techniki wokalne”. Co zaśpiewała nie wiemy, ale orkiestra pod batutą Zygmunta Noskowskiego wykonała intermezzo z opery „Manru” dobrego znajomego jej ojca - Paderewskiego.

Niedługo potem, bo w styczniu 1907 roku Taida wzięła udział w poznańskim koncercie charytatywnym z pianistką Heleną Jaruzelską, śpiewakiem Marianem Więckowskim, Franiem Szpanowskim, cudownym dzieckiem skrzypiec oraz deklamatorem dr. Władysławem Seydą, znanym prawnikiem, a wkrótce nawet posłem. Zbierano pieniądze na fundusz żelazny „stacji sanitarnej”, obiektu kolonijnego dla dzieci w pobliskiej Kobylnicy, jednego z pierwszych takich w Polsce. Informacje o tym ukazały się w wielkopolskiej prasie. W „Kurierze Poznańskim” znalazło się miejsce na szersze sprawozdanie z koncertu organizowanego w Bazarze. Recenzent chwalił wykonawców. Jaruzelska to „niezwykły talent”, technika „prawie nieskazitelna”; Więckowski - „wypadł na ogół dodatnio”, „w stosunku do dawniejszych wstęp sobotni znamionowało pewnego rodzaju utemperowanie, Szpanowski - „rokuje bezsprzecznie wielkie nadzieje”, „wykonanie [Seydy] nie ustępuje innym produkcjom”. A Taida? „Skutkiem pewnej niedyspozycji p. Donimirskiej program jej produkcji uległy znacznej zmianie. Partie operowe ustąpiły w części utworom salonowym. Organ jej w średnich tonach miłe sprawiający wrażenie, w wysokich zwłaszcza w forte był trochę surowy; w pianach wpadał w niewysokich jeszcze tonach szybko w falset; równocześnie uderzało niewyraźne wymawiane tekstu, tak że chwilami śpiew jej czynił wrażenie półśpiewu”.

Jeszcze powróćmy do Heleny Jaruzelskiej, która nie tylko studiowała u słynnego Teodora Leszetyckiego, którego żoną w tym czasie była matka Taidy Eugenia, ale także była polską tłumaczką pracy Marii Pretner „Moje doświadczenia w technice i ekspresji gry fortepianowej oparte na zasadach Profesora Teodora Leszetyckiego” (Warszawa 1905).

KU CZCI ORZESZKOWEJ I KONOPNICKIEJ

6 stycznia 1908 roku Taida wystąpiła w Grodnie w Klubie Miejskim na wieczorze literackim Elizy Orzeszkowej. Jak do tego doszło? Pojechała tam z Eugenią Żmijewską, dziennikarką, dobrą znajomą ojca z redakcji „Słowa”, autorką powieści - „Płomyk. Z pamiętnika instytutki”. Do jej kontynuacji „Doli” słowo wstępne napisze potem Orzeszkowa. Żmijewska wyda jeszcze szczególną opowieść „Polak obywatel I. Paderewski” [wyd. 1917], była też pierwszą w Polsce tłumaczką przygód Sherlocka Holmesa Artura Conan Doyle'a.

Na wspomnianym wieczorze Orzeszkowa przeczytała nową nowelkę „Rocznica”. W części koncertowej Donimirska „odśpiewała z prawdziwą maestrią i wielki wdziękiem arię Mimi w „Cyganerii” a wprost porwała słuchaczy odtworzeniem słynnej arii z „Rigoletta” „Caro nome”. Nieczęsto zdarza się słyszeć tę arię w takim wykonaniu, nawet na scenach pierwszorzędnych. Oklaskom nie było końca” – pisał „Kurier Warszawski”.

W lutym tego samego roku Taida zaśpiewała na kolejnym raucie dobroczynnym w Filharmonii. Po przedstawieniu w wykonaniu „dystygnowanego” zespołu amatorskiego, włoski tenor Mattia Battistini zaśpiewał swoje najbardziej popularne piosenki, panna Do-

nimirska m.in. arię z opery „Manon” Julesa Masseneta. Zagrała także Janina Ładówna, uczennica Teodora Leszetyckiego, co uwypuklono w sprawozdaniu.

W czerwcu była wśród wykonawców koncertu na rzecz ochron Towarzystwa Opieki nad Dziećmi w warszawskim Ratuszu. Orkiestra pod batutą Jukuba Hirszfelda, dyrygenta Teatru Nowości i solistami Zofią Gozdawą, Colette Castilli Rzepecka, Władysław Siniarski.

W 1910 roku z hrabiną Łosiovą była organizatorką i wykonawczynią koncertu na rzecz innej placówki dziecięcej - Zakładu św. Stanisława Kostki w Płocku. W marcu następnego roku wystąpiła w Mławie na koncercie zorganizowanym przez miejscową „Lutnię” ku czci Marii Konopnickiej. „Pięknym sopranem wykonała arię z „Manon” i kilka pieśni Żeleńskiego, Karłowicza i Niewiadomskiego ze słowami Konopnickiej.”

W lutym 1912 roku Taida wystąpiła w Domu Ludowym (ul. Kaliska) na koncercie, z którego wpływy miały pomóc ambulatorium w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności. „Oczarowała słuchaczy”, jak pisał „Kurier Warszawski” wyjątkiem z „Quo vadis” Jeana Nouguèsa i „piosnkami” Karola Kurpińskiego.

Z początków maja 1912 roku pochodzi wiadomość o planach teatru polskiego w Wilnie. Aktor i zawiadujący zespołami scenicznymi Bronisław Oranowski zamierzał wystawić m.in. cykl dzieł Moniuszki. Sezon miała rozpocząć „Hrabina”, a potem w kolejności „Widma”, „Straszny dwór”, „Flis”, „Halka”. W tym celu zaangażował wielu artystów, a w tym składzie znalazła się Taida Brochwicz, czyli Donimirka. Pierwsze przedstawienie zaplanowano na 16 maja. Dwa dni przed zapowiadaną premierą umiera w Berlinie Antoni Donimirski.

Gdy wybuchła wojna (po latach nazwana pierwszą) Taida przebywała w Moskwie. Trochę występowała jeszcze w Rosji.

Z PAŁACU DO KURNIKA

Po wojnie wróciła do Polski. W czerwcu 1920 roku wyszła za Jana Choińskiego-Dzieduszyckiego. Zamieszkała w majątku męża w Jabłonowie (ówczesne województwo tarnopolskie). Z tego związku urodziły się dwie córki - Florentyna i Wanda.

W czasie agresji sowieckiej na Polskę Taida z niepełnosprawną córką Florentyną przebywała w Jabłonowie. Dalsze losy Taidy są znane głównie dzięki jej zapiskom, które sporządziła w Teheranie po ewakuacji z ZSRR. To na ich podstawie odtworzył jej wschodnie losy Kazimierz Korolczak. W kwietniu 1940 roku zostały deportowane w stepy Kazachstanu. Zamieszkały w kurniku ze zwierzętami. Potem w jakiejś lepiance, opuszczonej przez miejscowych. Florentyna nie wytrzymała tych nieludzkich warunków.

Taida bardzo przeżyła śmierć córki. Nie miała już dla kogo żyć w tych dalekich stepach. Była już bliska załamania, gdy po traktacie Sikorski-Majski pojawiła się nadzieja na tzw. amnestię i wstąpienie do polskiego wojska. Ostatecznie Taida w grudniu 1943 roku znalazła się w Londynie. Tam spotkała się z mężem, służącym w Polskich Siłach na Zachodzie.

W 1966 roku napisała do Gombrowicza...

Krystian Zdziennicki

POWIŚLAŃSKA WSPÓLNOTA ŻYWYCH I UMARŁYCH



Nagrobek ks. Petera Gaeblera na cmentarzu przykościelnym w Szumie, fot. K. Zdziennicki

Dla katolików śmierć od zawsze miała swój wymiar religijny. Dlatego też tak ważne było przygotowanie się do śmierci, która mogła nadejść praktycznie w każdej chwili. W nowotestamentalnej przypowieści zapisane jest: „Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny” (Mt 25,13). Katolicy zamieszkujący Powiśle na przełomie XIX i XX wieku wprowadzili niezwykle ciekawy ludowy element w podejściu do śmierci, który opisali etnografowie: Oskar Kolberg oraz, wywodzący się z Powiśla, Józef Łęgowski i ks. dr Władysław Łęga.

W tradycji kościoła katolickiego bardzo ważne było przygotowanie wiernych na chwilę śmierci. Ogromną rolę w tej materii odgrywała działalność bractw religijnych. Szczególną wagę do śmierci przywiązywały bractwa kapłańskie, do których pomimo nazwy należeli zarówno kapłani, jak i osoby świeckie. Cel zgromadzonych w tego rodzaju zrzeszeniu mocno związany był z śmiercią, a także okresem poprzedzającym i następującym po niej. Członkowie bractwa przygotowywali do szczęśliwej śmierci. Ponadto zajmowali się osobami śmiertelnie chorymi, których namawiali do sporządzania testamentów. Bractwo przywiązywało również dużą wagę do godnego pogrzebu oraz propagowało msze święte za zmarłych. Od 1869 roku bractwo kapłańskie funkcjonowało w Sztumie dla całego dekanatu, który wówczas obejmował całe Powiśle (włącznie z Dzierzgoniem, Kwidzynem i Prabutami).

Informacje o tym, jak wyglądało przygotowanie do śmierci osoby chorującej lub konającej, można odnaleźć w rytuałach. Dla okresu w XIX i XX wieku na terenie diecezji warmińskiej, do której Powiśle przynależało od 1821 roku, powstawały rytuały diecezjalne¹. Należy podkreślić, że dla katolików zamieszkujących Powiśle bardzo istotne było zaopatrzenie sakramentami, co ma swoje odzwierciedlenie w nekrologach, gdzie często informowano o tym fakcie. Duży niepokój wzbudzała śmierć bez przyjęcia namaszczenia chorych lub braku sakramentu pokuty i pojednania. Przykładem tego może być wpis we wspomnieniach Marii Donimirskiej: „Zmarł też w Podstolinie [...] Barra [...]. Udusił się słonią, którą sam sobie piekł. Księża miejscowi wyjechali na odpust do Kalwy i umarł bez zaopatrzenia sakramentami św. Po kolacji, gdy weszłam do kuchni, zastałam Bernarda prawiącego dziewczętom kazanie o zgonie Barry”².

Śmierć z całą pewnością była bardzo ważnym zdarzeniem w życiu mieszkańców Powiśla. Sporo informacji na jej temat z okresu sprzed 1945 roku dostarczają nam badacze kultury ludowej. Jak zauważył ks. dr Władysław Łęga, główny etnograf Powiśla, śmierć zawsze wywierała na otoczenie człowieka silne wrażenie. Według niego w umysłach miejscowej ludności bardzo istotne były „tajemnice związane ze śmiercią, jak nagła śmierć zdrowego na pozór człowieka, długie lub krótkie życie, zmiany fizjologiczne jak przestanie bicia serca, zatrzymanie się oddechu, losy duszy opuszczającej ciało, możliwość jej powrotu i podobne sprawy”³.

Niegdyś mieszkańcy Powiśla wierzyli w możliwość przepowiadania śmierci. Należały do nich powszechnie występujące, także w innych częściach Polski, zjawiska, tj. wycie psa, krzyk sowy, rycie kreta przed domem (szczególnie pod progiem), pianie kury, a także słyszany hałas potłuczonych szyb, trzykrotne pukanie w okno przez jakąś niewidzialną siłę czy

¹ W tym okresie obowiązywały: rytuał biskupa Karola Hohenzollerna z 1800 roku, bp. Filipa Krementza z 1873 roku oraz bp. Maksymiliana Kallera z 1939 roku.

² M. Donimirska, *Bóg dał nam czas próby. Wspomnienia z lat 1918-1935*, oprac. A. Lubiński, Sztum 2012, s. 103.

³ W. Łęga, *Ziemi malborska. Kultura ludowa*, Toruń 1933, s. 98.

nieobsianie części ziemi przez gospodarza w wyniku zapomnienia. Występowały też typowo miejscowe tradycje. Przykładowo we wsi Mirowice twierdzono, że jeśli dwie osoby oglądają sobie wzajemnie ręce, to znaczy, że ktoś umrze. W Postolinie śmierć miała przepowiadać wyciągnięta śledziona z zabitego wieprza, która przypominała trumnę, a w Mikołajkach Pomorskich słyszenie tykania zegara, jeśli taki nie znajdował się w izbie. Warto zaznaczyć, że niektórzy twierdzili, że owe zjawiska lub czynności można przerwać i odwrócić złą przepowiednię. Aby tak się stało, należało to uczynić w odpowiednim czasie.

W chwili konania mieszkańcy Powiśla nie wierzyli w możliwość zapobiegania śmierci, np. przez wykonanie zabiegów medycznych. Zbliżającą się śmierć przyjmowano z rezygnacją. Charakteryzowały to m.in. przysłowia: „śmierć przyczyny szuka”, „taka miała być jego śmierć”, „od śmierci nima lekarstwa”. Podobnie jak w innych częściach Polski konający otrzymywał do ręki gromnicę corocznie święconą w święto Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego). Wówczas też rodzina ponadto kropiła go wodą święconą. Ów rytuał religijny miał ułatwić rozłączenie duszy od ciała, a także odpędzać złe duchy. Podobnie jak na Mazurach również w powiślańskiej miejscowości Benowo wierzono, że skonanie utrudniała poduszka, która wypchana była piórami kur zamiast kaczki lub gęsi. W związku z powyższym niekiedy ją zamieniano lub zupełnie wyjmowano spod głowy, tak aby umierający mógł lepiej oddychać⁴.

⁴ Tamże, 99, 104.



Grób rodzinny Waldowskich z Michorowa na cmentarzu przykościelnym w Postolinie, fot. K. Zdziennicki

W momencie zgonu, tak jak w innych częściach Polski, zatrzymywano zegar. Ludność jako przyczynę tego zachowania podawała, że nie chciano, aby nieboszczyk wiedział, która była wówczas godzina. Należy też dodać, że ten przedmiot miał charakter symboliczny i był utożsamiany z zegarem życia. Ponadto zaśniano zwierciadła, aby zmarły siebie nie zobaczył, a pozostali domownicy jego upiora. Od tego momentu następowała również w domostwie cisza, gdyż nie chciano zakłócać spokoju nieboszczyka. W Mirowicach Łęga odnotował zanikający zwyczaj stawiania przed drzwiami stołka dla duszy zmarłego. Podobnie jak wśród niemieckiej ludności Warmii, panował tu przesąd, że w przypadku śmierci gospodarza należy zawiadomić o tym fakcie jego bydło i pszczoły, aby one też nie padły. Ludność Powiśla wierzyła, że każdemu człowiekowi przypisana jest gwiazda, która w momencie śmierci miała gasnąć lub spadać. Powszechnym przesądem był silny wiatr w przypadku nienaturalnej śmierci w postaci powieszenia się. Silniejszy wiatr miał następować po samobójstwie kobiety. Jak odnotował Józef Łęgowski, mieszkańcy Powiśla wierzyli, że zanim ciało zostanie złożone do grobu, to dusza nieboszczyka miała błąkać się w okolicy miejsca zamieszkania oraz, co ciekawe, siadała na śmietniku. Po pogrzebie dusza uchodziła. Wyjątkami były jedynie dusze osób, którym ciężko było rozstać się ze światem, albo opuścić go ze względu na winy. Wówczas to miały one pokutować w miejscu ziemskiego pobytu⁵.

Po śmierci bliskiej osoby rodzina zawiadamiała lokalną społeczność o zgonie oraz terminie tzw. pustej nocy i pogrzebu. Przed 1945 rokiem na Powiślu informację o śmierci danej osoby można było też odnaleźć na wywieszanych klepsydrach. Również prasa zamieszczała informacje dotyczącą śmierci osób, które odgrywały ważne znaczenie w regionie w postaci zamawianych przez rodzinę nekrologów, a niekiedy zamieszczonych not o śmierci danej osoby wraz z krótkim życiorysem.

Zmarły pozostawał do momentu pogrzebu w domu, w którym mieszkał. Tam też w noc poprzedzającą obrzęd pogrzebowy na zaproszenie rodziny schodzili się znajomi na tzw. pustą noc. Wybitny XIX wieczny etnograf Oskar Kolberg podał, że w miejscowej tradycji obrzęd ten wyglądał następująco: „[przybyli goście – K. Z.] śpiewają przy ciele nabożne pieśni przez całą noc ostatnią, jak go obuwają. Kto śmiały (nie boi się strachów), to obuwa trupa. Na koszulę kładą mu białe żgło długie aż do stóp (a kobiecie kładą je na suknię), a na nogi pończochy (jemu i jej) białe, czerwone itd. lub uszyte z tego samego płótna i trzewiki (buty) skórkowe i cejkowe (zeug, czarne). Na głowę czapkę (kobiecie czepek), a dziewczynie wianek mertowy”⁶. Wiadomo, że spotkanie, oprócz religijnej oprawy i zadumy wynikającej ze śmierci, musiało być przygotowane też z myślą o gościach. Dlatego też przybyłych częstowano wódką, chlebem, masłem, a czasami nawet kawą.

Eksportację zwłok z domu nieboszczyka do kościoła również opisali etnografowie. Pod koniec XIX wieku Józef Łęgowski napisał: „Jest tradycją, że dawniej niesiono trumnę otwartą aż na cmentarz; jeżeli po drodze stał krzyż, zatrzymywano się tam i jeden z wieśniaków powiadał słów kilka”⁷. Ponadto dalej stwierdził, że według miejscowego ludu: „Jeżeli ciało zmarłego wiozą lub niosą, nie dobrze jest przyglądać się przez okno, bo od tego zęby

⁵ J. Łęgowski, *Urządzenia społeczne, zwyczaje i gwara na malborskiem*, „Wisła”, 1889, t. 3, z. 4., s. 730.

⁶ O. Kolberg, *Dziła wszystkie. Pomorze*, oprac. J. Kądziołka, D. Pawlakowa, t. 39, Wrocław-Poznań 1965, s. 115-116.

⁷ J. Łęgowski, dz. cyt., s. 732.

wypadają⁸. Z kolei ks. Władysław Łęga po ponad 40 latach zapisał informację, że w regionie trumna była przewożona na zasłanym słomą wozie „kastowym”. Uczestniczący w kondukcje pogrzebowym przy każdym krzyżu oraz na krzyżówkach przystawali i głośno odmawiali pacierz za zmarłego. Panowała wówczas też przepowiednia, aby do przewożenia zwłok nigdy nie używać ciężarnej kobyły, gdyż miałyby „porzucić”. Również nigdy nie powinien powozić sam gospodarz, gdyż panował przesąd, że „całą rodzinę wywiezie. Trumnę zatem nieśli z domu i do grobu sąsiedzi.

Pogrzeb był zaliczany w Kościele katolickim do sakramentaliów, czyli obrzędów, które zostały ustanowione nie przez Chrystusa (w odróżnieniu od sakramentów), ale przez Kościół, aby wyjednać u Boga łaskę i błogosławieństwo. W diecezji warmińskiej regulował to rytuał z 1873 roku. Obrzęd pogrzebu według tego rytuału rozpoczynał się od eksportacji zwłok z miejsca, gdzie spoczywało ciało zmarłego, tj. zazwyczaj z domu, do kościoła. Po wejściu do kościoła trumnę zawsze ustawiano na katafalku. Jeżeli nabożeństwo żałobne odbywało się tego samego dnia, kapłan przebierał się, aby odprawić mszę świętą. Po prześpiewaniu egzekwii oraz po obrzędach mszalnych duchowny przygotowywał się do konduktu pogrzebowego i przeniesienia trumny na cmentarz oraz obrzęd pochówku⁹.

⁸ Tamże.

⁹ Jak zanotował ks. Łęga po ukończeniu obrzędu pogrzebowego rodzina zapraszała uczestników na posiłek, który niekiedy przerywany był modłami za zmarłego.



Brama cmentarna w 2007 roku prowadząca na część katolicką cmentarza w Sztumie przy ul. Kochanowskiego, fot. K. Zdziennicki

Z kolei cmentarz - jak zaznaczył Jacek Kolbuszewski - jest przestrzenią pamięci: „kreującą osobliwą, nigdzie bodaj indziej tak się wyraźnie nie rysującą, wspólnotę żywych i umarłych”¹⁰. Na przełomie XIX i XX wieku cmentarze katolickie zakładano już z reguły na obrzeżach miejscowości, gdyż już w czasach oświeceniach zaczęto zwracać uwagę na bezpieczeństwo sanitarne i postulowano, aby nekropole przenieść poza miasta, a później również poza wsie. Warto pamiętać, że w regionie równolegle funkcjonowały nadal stare cmentarze przykościelne. Ponadto część rodzin ziemiańskich chowała swoich bliskich w specjalnie wybudowanych kaplicach grobowych. W omawianym okresie na Powiślu takie obiekty postawili Sierakowscy z Waplewa i Donimirscy z Czernina.

Dziś wśród wielu osób zainteresowanie wzbudzają zabytkowe pomniki. Jednakże ks. Władysław Łęga zaznaczył, że w I połowie XX wieku nie każdy mógł liczyć na okazały nagrobek. Wówczas na cmentarzach można było często spotkać drewniane krzyże ustawione w miejscu pochówku. Jedynie zmarli wywodzący się z lepiej sytuowanych rodzin mogli liczyć na postawienie nagrobka w postaci kutego ręcznie krzyża nagrobnego lub pomnika wykonanego z kamienia. Charakterystyczne dla nagrobków z przełomu XIX i XX wieku były też otaczające nagrobek żeliwne płotki.

Współcześnie niestety coraz trudniej na cmentarzach Powiśla szukać śladów po pochowanych w regionie mieszkańców tych ziem sprzed 1945 roku. Z biegiem lat w okresie po II wojnie światowej, z powodu zaniedbania, a niekiedy nawet dewastacji, nagrobki naszych poprzedników mieszkających w tym regionie ulegały degradacji. W ostatnich latach można zauważyć wzrost zainteresowania przedwojennymi cmentarzami w naszym regionie. Mam więc nadzieję, że coraz częstsze dobre praktyki będą sprzyjać o kultywowaniu pamięci o dawnych mieszkańcach Powiśla.



Grób rodziny Majewskich na cmentarzu przykościelnym w Pietrzwałdzie, fot. K. Zdziennicki

¹⁰ J. Kolbuszewski, *Cmentarze*, Wrocław 1996, s. 18.

Wspomnienia



Anna Kopisto, Włochy 1944 rok, fot. archiwum rodzinne

Barbara Kozdroń

ANNY KOPISTO

długa droga do domu

WSPOMNIENIA, CZ. 1

Pani Anna Kopisto przez ponad sześćdziesiąt lat mieszkała w Kwidzynie, dokąd po długiej i dramatycznej wędrówce przez Syberię, Uzbekistan, Iran, Irak, Palestynę, Egipt, Włochy, rzuciły ją wichry II wojny światowej. Przed wojną mieszkała na tzw. Kresach, na wschodzie Polski i podzieliła los wielu tysięcy Polaków wywiezionych ze swoich miejsc zamieszkania w głąb ZSRR lub uwięzionych przez władzę radziecką po 17 września 1939 roku. Każdy z takich życiorysów to dramatyczna i ciekawa opowieść. Przeżycia pani Anny z jednej strony są podobne do doświadczeń innych zestańców, z drugiej, odmienne od nich, gdyż było ich tak dużo i były tak różnorodne, jakby dotyczyły kilku osób. Można z nich poznać i część historii Polski i dowiedzieć się o rzeczach, którymi nie zajmują się podręczniki historii i które nie są znane. I choć dziś powstaje wiele publikacji i filmów dotyczących losów Polaków w czasie II wojny światowej, o kobietach – żołnierzach nadal nie wiadomo zbyt dużo i nie jest to wiedza powszechnie dostępna. A przecież ochotniczki z Pomocniczej Służby Kobiet, tzw. „pestki”, szły razem z żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, potem z Armią Polską na Wschodzie i 2 Korpusem Polskim – od ZSRR do Włoch, będąc pielęgniarkami i łącznościowcami; pełniły służbę w szpitalach, świetlicach, sierocińcach, szkołach, były też kierownicami i zaopatrzeniowcami, tzw. „drajwerkami”, wykonując niezwykle zadania, o których przed rozpoczęciem wojny nie mogłyby nawet myśleć, gdyż były dla nich niedostępne. Na szczególne przypomnienie zasługuje historia dwóch kobiecych kompanii transportowych nr 316 i nr 317, a szczególnie plutonu nr 4 do zadań specjalnych.

Za zgodą Pani Anny, postanowiłam spisać jej wspomnienia nie tylko na pamiątkę, ale także po to, by nie uległy zapomnieniu i by poznali je inni. Jestem Jej bardzo wdzięczna, że zechciała podzielić się nimi ze mną i powrócić, do trudnych i bolesnych chwili ze swojego życia. Mimo wielu rozmów i pracy nad tekstem, są one dla mnie nadal tak samo wzruszające i przejmujące jak wówczas, gdy słyszałam je po raz pierwszy. Mogą znaleźć się w nich błędy lub nieścisłości, gdyż z upływem lat pewne daty i nazwy miejscowości zatarły się w pamięci pani Anny. Ale to co opisałam zdarzyło się naprawdę. Te wspomnienia spisywałam kilka lat temu, kiedy Pani Anna jeszcze żyła. Zmarła w 2019 roku i dziś Jej wspomnienia są cennym dokumentem dramatycznych dla wielu Polaków czasów wojny.

Z KOSTOPOLA NA WOJENNĄ TUŁACZKĘ

Anna Kopisto, urodziła się w 1922 roku w Starej Wilejce, na ziemi litewskiej, która wówczas leżała w granicach II Rzeczypospolitej. Rodzice pochodzili z Litwy. Ojciec, Jakub Siedow, pochodził z dość zamożnej rodziny, rosyjsko-polskiej. Był oficerem w carskiej armii. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nie wstąpił do wojska polskiego i zajął się działalnością gospodarczą. Otrzymał sporą spłatę od swojego ojca, którą inwestował, z nienajlepszym skutkiem, w coraz to inne przedsięwzięcia. Po bankructwie posiadanego na Litwie sklepu, wraz z żoną Malwiną i trojgiem dzieci, przeniósł się do miasta Kostopol, leżącego na dalekim wschodzie Polski, w województwie wołyńskim, które obecnie znajduje się w granicach Ukrainy. Zakupił tam dom, stajnię i 10 arów ziemi. Matka Anny hodowała prosiaki, kury, gęsi, w ogrodzie, którym opiekowała się Anna uprawiano warzywa i kwiaty. Jakub otworzył sklep, tym razem masarniczy, skupował świnie, jednak nie wiodło mu się dobrze - albo nie specjalnie się na tym znał, albo nie było to opłacalne. Zmienił branżę kupując dwa konie, najpierw pod wierzch, potem pociągowe i zaczął pracować jako wozak. Dobra passa nie trwała długo, a pieniądze z ojcowizny skończyły się. Pani Malwina miała trochę własnego grosza w postaci kilku złotych pięciorubłówek, które dostała jako spłatę od swojej rodziny z wileńszczyzny (sprzedawała ziemię na działki), wydawała je na utrzymanie rodziny, bo nie mieli stałych dochodów. Namawiała męża, żeby starał się o rentę wojskową od rządu polskiego (przez pewien czas obowiązywała taka ustawa wobec Polaków będących wojskowymi pod zaborami), jednak on zwlekał, a kiedy w końcu chciał złożyć wniosek, okazało się, że jest za późno.

Kostopol był miastem wielonarodowościowym. Większość ludności stanowili Ukraińcy, poza tym żyli w nim Żydzi, Polacy, Rosjanie. Rodzina nie czuła się jednak związana z Kostopolem, ich korzenie były na ziemi litewskiej. Anna chodziła do szkoły podstawowej w Kostopolu, potem rozpoczęła naukę w gimnazjum w Sarnach, w którym ukończyła dwie klasy. Do gimnazjum jeździła pociągiem, około 50 km. W szkole byli uczniowie różnych nacji i religii, ale nie zdarzały się żadne zatargi na tym tle. W niedziele Anna często jeździła do Sarn na zbiórki harcerskie lub na wspólne ze szkołą nabożeństwa w kościele. Uczniowie innych wyznań chodzili do swoich świątyń, taka była praktyka i nikomu to nie przeszkadzało. Szkoła powszechna była obowiązkowa i bezpłatna, ale za gimnazjum trzeba było płacić dość wysokie czesne. Pani Malwina opłacała je ze swojej „spłaty”, z trudem wiążąc koniec z końcem. Sytuacja rodziny pogorszyła się kiedy w 1937 roku ojciec Anny po kolejnym niepowodzeniu w interesach wyjechał z Kostopola wraz z synem i zatrudnił się jako rządca w majątku swojego znajomego pana Rodziewiczza, koło Wilna. Być może rodzice Anny po prostu się rozstali, gdyż ojciec od czasu wyjazdu nie pomagał im, ani nie kontaktował się z nimi. Rodzina nie miała zobaczyć już żywych ani ojca, ani brata. (Po wojnie Anna dowiedziała się, że obaj zostali zamordowani przez Ukraińców w 1941 roku). Po wyjeździe pana Jakuba, Anna i jej matka zostały właściwie bez środków do życia. Pani Malwina wydawała złote rubłówki, jednak wiedziała, że nie wystarczy ich na długo. W utrzymaniu pomagała jej najstarsza córka Helena, która po wyjściu za mąż zamieszkała u nich wraz z mężem pracującym jako górnik w pobliskich kamieniołomach. Ówczesny Kostopol był miastem prężnie rozwijającym się dzięki, między innymi tym kamieniołomom, w których wydobywano

znaczne ilości bazaltu, granitu, sprzedawane do innych województw Polski i używane jako budulec w mieście. Z tej przyczyny w okolicy powstała Janowa Dolina, nowoczesne osiedle specjalnie zbudowane dla pracowników kamieniołomów, do którego przyjeżdżali ludzie z zachodnich województw Polski, między innymi państwo Zientarowie, z którymi los miał niebawem Annę zetknąć. Mąż Heleny, dobrze zarabiał, ale zamierzał wybudować własny dom, oszczędzał każdy grosz, więc pomoc finansowa z jego strony nie mogła trwać długo. Matka widziała ratunek jedynie w zamążpójściu Anny. Na jakimś spotkaniu u znajomych zapoznano Annę z Zygmuntem Pichetą, pochodzącym z Sosnowca podchorążym, pracującym jako cywil w stacjonującym w Kostopolu pułku kawalerzystów, który zaczął zabiegać o jej względy. Anna broniła się przed tą znajomością, nie chciała wychodzić za mąż, bo miała przecież dopiero 16 lat! Uciekała przed swoim konkurentem, była dla niego opryskliwa, w końcu... postanowiła odebrać sobie życie. Pewnego marcowego dnia poszła nad staw i zaczęła moczyć w nim nogi żeby się przeziębici i umrzeć. Pomysł nie był zbyt poważny, ale zgodnie z założeniem doprowadził ją do choroby, która mogła zakończyć się tragicznie. Anna nabawiła się zapalenia płuc, które owym czasie często było śmiertelne. Była bardzo chora, jednak Zygmunt Picheta zrobił wszystko, żeby ją uratować. Poprosił o pomoc dwóch lekarzy wojskowych z pułku, którzy zajęli się jej leczeniem. (Z jednym z nich, doktorem Gaikiem, Anna spotkała się ponownie w zgoła nieprzewidzianych okolicznościach, w czasie wojny w armii generała Andersa...). Nie było wówczas penicyliny, ale lekarze zastosowali leczenie spirytusem z zasobów apteki wojskowej. Kilka razy dziennie owijali jej klatkę piersiową bandażami namoczonymi w spirytusie i wodzie oraz podawali do picia miód ze spirytusem. Takie leczenie, opieka lekarzy i matki okazały się skuteczne. Anna wyzdrowiała, a pozycja pana Zygmunta w jej rodzinie znacznie wzrosła. Pod naciskiem rodziny, w 1938 roku wyszła za niego za mąż. Na ślub przyjechała rodzina Pichetów z Sosnowca – wszyscy bardzo eleganccy, kulturalni, zrobili duże wrażenie na rodzinie Anny („szczęki im opadły”). Annie chciało się płakać i na ślubie, i na weselu, które odbywało się w wynajętym dla nich przez pana Zygmunta, mieszkaniu. Były nawet tańce. Wraz z Anną i jej mężem zamieszkała w ich nowym mieszkaniu jej matka, która prowadziła dom i wszystkim się zajmowała, nawet rządziła pieniędzmi, Anna nie orientowała się ani w cenach, ani w gospodarowaniu finansami. Nie zbywało jej na niczym i choć nie była szczęśliwa, pogodziła się z losem. W kwietniu 1939 roku urodziła córeczkę Alicję i zajęła się wychowaniem dziecka, w czym wydatnie pomagała jej matka. Pan Zygmunt nie był skąpy, dobrze zarabiał, sprezentował nawet Annie eleganckie futro z fok, które rzadko można było spotkać w Kostopolu. Bezpośrednio przed wybuchem wojny przyjechała do nich z Sosnowca w odwiedziny siostra Zygmunta z mężem. Wizyta ta na zawsze pozostała w pamięci Anny, gdyż byli to bardzo serdeczni ludzie, polubili ją i zaprzyjaźnili się. Obdarowali ją i dziecko wieloma pięknymi prezentami, ubraniami, wyprawką. Anna nie wiedziała, że niebawem te rzeczy będą stanowić jej jedyny majątek i pomocą w przeżyciu.

1 września 1939 roku Niemcy napadli na Polskę i rozpoczęła się II wojna światowa. Do Kostopola działania wojenne wprawdzie nie dotarły, toczyły się na zachodzie kraju, jednak wojnę czuło się wszędzie, a wśród ludzi panował lęk i niepewność. Znakiem wojny były przyjeżdżające pociągi załadowane młodymi mężczyznami zmierzającymi do miejsc mobilizacji oraz przemieszczające się wojsko. Mieszkańcy Kostopola, także Anna, spontanicznie,

wychodzili na dworzec kolejowy, podawali żołnierzom jedzenie i picie, rozmawiali z nimi, wypytywali i dodawali otuchy. Zygmunt Picheta nie został zmobilizowany i tak jak część pracowników administracji państwowej został urlopowany z pracy i otrzymał dość wysoką odprawę pieniężną (odprawy wynosiły od kilku do kilkunastomiesięcznych pensji, pan Zygmunt dostał chyba ze 3000 złotych). Ustalono, że część odprawy przeznaczą na zgromadzenie zapasów na czas wojny, w związku z czym matka Anny za znaczną sumę zakupiła bardzo dużą ilość jedzenia, i zmagazynowała ją w swoim domku. Część gotówki zabrał ze sobą Picheta, który postanowił wraz z kolegami z pracy uciec do Rumunii, gdzie po klęsce wrześniowej przedostawała się część wojskowych i polskiego rządu. Anna pozostała z dzieckiem i matką w swoim mieszkaniu. Pewnego dnia kiedy szła do siostry mieszkającej w ich starym domku za torami kolejowymi, zobaczyła przy torach leżących pokotem na ziemi żołnierzy. Już z daleka widziała, że to nie są Polacy, byli brudni, większość z nich nie miała butów, a nogi owinięte w onuce. Okazało się, że są to Rosjanie, a przecież Polska nie była w stanie wojny z ZSRR, ani też nie podano komunikatów, że rząd radziecki wypowiedział Polsce wojnę! Ale to właśnie żołnierze radzieccy byli w polskim Kostopolu. Jeden z nich wszedł do mieszkania siostry Anny i poprosił o wodę. Kiedy Helena poczęstowała go wodą, on uśmiechając się powiedział „nu, my przisli k wam, wy tak dołgo nas źdali” (przyszliśmy do was, długo na nas czekaliście). Obecna przy tym Anna krzyknęła po polsku, „po co tu przyszliście, po co diabli was tu nadali?”. Siostra przerażona zaczęła ją uciszać, ale żołnierz nie zareagował, na pewno nie znał języka polskiego. Taki był pierwszy kontakt Anny z przedstawicielami Związku Radzieckiego.

Zygmuntowi Pichecie udało się powrócić do Kostopola, ale nie miał on złudzeń, czego można spodziewać się pod rządami Rosjan. Od początku ich postępowanie wobec obywateli narodowości polskiej było zdecydowanie negatywne. Przede wszystkim ogłoszono, że wojska radzieckie przybyły na wschodnie tereny Polski, aby wyzwolić ludność ukraińską i białoruską od polskich „panów”, wprowadzić na zajętych ziemiach ustrój komunistyczny, czyli „ustrój sprawiedliwości społecznej” oraz ochronić bratnią ludność przed okupacją niemiecką. Wielu ludzi narodowości niepolskiej witało Rosjan jeśli nie z radością, to z nadzieją, że obronią ich przed Niemcami, a może dzięki nowym władzom poprawi się ich status materialny? Zygmunt widział aresztowanie polskich wojskowych, aroganckie odnoszenie się władz do Polaków i bojąc się, że może być zadencjonowany przez jakiegoś sąsiada, iż pracował w pułku, postanowił wraz z Anną i córeczką powrócić do swojego rodzinnego Sosnowca. Jego siostrze udało się uzyskać zezwolenie Rosjan na powrót do domu. Choć Sosnowiec był pod okupacją niemiecką, Zygmunt miał nadzieję, że tam nikt nie będzie wiedział, gdzie był zatrudniony. Polacy nie wiedzieli jeszcze jakimi okupantami okażą się niemieccy hitlerowcy... Nie wiedzieli, że Polska jako państwo nie istniała. Niemcy część zajętych ziem nazwali Generalną Gubernią, zaś województwo śląskie wraz z Sosnowcem włączyli po prostu do Rzeszy Niemieckiej. Skoro mąż podjął decyzję o wyjeździe Anna musiała jechać wraz z nim, nie kwestionowała jego decyzji. Zakupione zapasy żywnościowe zostawili matce, rzeczy zapakowali w walizki, zwinęli pierzynę i poduszkę, i wyruszyli pociągiem do Włodzimierza Wołyńskiego, gdyż ogłoszono, że stamtąd będą transporty na zachód.



Rodzina Anny w 1938 roku. Anna stoi pomiędzy Z. Pichetą (z prawej) i szwagrem. Siedzą od lewej – siostra Anny, Helena i jej matka Malwina z wnuczką

We Włodzimierzu wynajęli niewielkie mieszkanie i rozpoczęli starania o wydanie im zezwolenia na wyjazd do Sosnowca. Poznali wówczas rodzinę Zientarów, którzy także starali się o zezwolenie na wyjazd. Zezwolenia – przepustkę wydawały radzieckie władze wojskowe. Wśród starających się o wyjazd byli tacy, którzy na ziemi wschodnie przyjechali w odwiedziny do rodzin na wakacje i chcieli powrócić do swoich domów, inni chcieli przywieźć z zachodu dzieci, które wyjechały latem na wakacje, jeszcze inni chcieli uciec przed Rosjanami. Niektórym udało się wyjechać. Mieli nadzieję, że i im się uda.

Byli ludzie, którzy udawali się na zachód przez „zieloną granicę”. Anna nie wiedziała, że w ten sposób powrócił do swojego domu pod okupacją niemiecką jej wujek Kazimierz, który przyjechał do Kostopola z Lubartowa latem 1939 roku w odwiedziny, do swojej siostry, pani Malwiny. Nie wiedziała, że jej matka pomagała mu przedostać się przez granicę wraz grupą przypadkowych kobiet, które dołączyły do nich. Wyruszyli nocą, ale na skutek jakiegoś głupiego zdarzenia (jedna z kobiet zgubiła buty, więc wszystkie kobiety wróciły i pomagały jej szukać), tylko bratu udało się przekroczyć granicę, zaś panią Malwinę i pozostałe kobiety zatrzymali Rosjanie. Wszystkie zostały uwięzione w twierdzy w Brześciu. Tylko jedna z kobiet została wypuszczona po kilku miesiącach i zawiadomiła siostrę Anny, że jej matka zaziębła się w więzieniu i umarła. Pani Malwina miała 46 lat. O tym Anna dowiedziała się po wojnie.

ZA URALEM JEST SYBERIA

Ani Anna, ani jej mąż nie wiedzieli, że Rosjanie od zimy 1940 roku zaczęli wywożenie ludności polskiej z zajętych po 17 września terenów polskich, w głąb Rosji, do przymusowych miejsc osiedlenia, do obozów pracy, więzień. Tych z nich, których „tylko” wysiedlono, nie stawiano przed sądem, nie oskarżono ich o „wrogą” wobec ZSRR działalność, nie zarzucano im popełnienia przestępstwa. W ich mieszkaniach pojawiali się wojskowi i oznajmiali, że w ciągu, kilku minut mają opuścić swój dom, mogą zabrać swoje rzeczy i udać się do czekających pojazdów, które zawiozą ich „tam, gdzie się dowiedzą w swoim czasie”. Rodzina Anny miała podzielić los innych Polaków. Na razie oczekiwali na wydanie zezwolenia na wyjazd, chodzili do urzędu, gdzie złożyli podanie o przepustkę, w którym podali swój aktualny adres. Oczekiwanie przedłużało się, a Anna musiała sprzedać swoje eleganckie futro, żeby mieć czym opłacić czynsz. I nagle pewnego dnia w jej mieszkaniu pojawił się żołnierz, który powiedział, że mają spakować się i opuścić mieszkanie. „Bierzcie tyle, ile możecie, wszystko co ciepłe wam się przyda”, dodał, a na ich pytania dokąd mają się udać, odpowiedział tylko, że na razie na dworzec kolejowy. Widzieli, że Rosjanie chodzą po innych mieszkaniach i każą ludziom się pakować. Anna z mężem pośpiesznie spakowali wszystkie swoje rzeczy i wsiedli do czekającej przed domem furmanki. Zawieziono ich na dworzec, na którym było już pełno ludzi i kazano wejść do wagonu towarowego. Na tej stacji spędzili trzy dni, w czasie których zapełniano pociąg przywożonymi Polakami - kobietami, mężczyznami, w różnym wieku wraz z dziećmi, niosących tobołki i walizki. Nikt nie informował ich dokąd i dlaczego jada, niektórzy mówili, że wywiozą ich na zachód. Ludzie w milczeniu czekali na rozwój wypadków.

Po trzech dniach pociąg ruszył i zatrzymał się w Kostopolu, gdzie nastąpił dalszy „załadunek” ludzi i ich dobytku. Anna widziała, że załadowywano ludźmi także inne po-

ciagi. W wagonie Anny zmieściło się 84 osoby. Ludzie rozkładali swoje rzeczy, żywili się jedzeniem, które zabrali z domu i czekali. Nikt nie był rozmowny, wszyscy przygnębieni i załamani, milczący. Oprócz stanu przygnębienia nasuwały się niewypowiedziane na głos pytania - dokąd pojedą, co się z nimi stanie? Kiedy pociąg opuścił Kostopol dopiero po pewnym czasie zorientowali się, że jadą na wschód a nie na zachód. Każdy wiedział co znaczy droga na wschód. To znaczy w głąb Rosji, może na Syberię?

Minęła doba kiedy po raz pierwszy otwarto ich drzwi i żołnierz postawił wiadro z zupą. Pozwolono ludziom wyjść z wagonów, żeby skorzystać z „toalety”, na torach, obok pociągu. Po krótkim postoju, zamykano wagony, i znów jazda. Wagony były zamykane od zewnątrz, więc o ucieczce lub zorientowaniu się dokąd jadą, nie było mowy. Podczas jazdy ludzie w wagonie posilali się zupą, oprócz tego jedli żywność, o ile ją ze sobą wzięli. Na jednym z postojów do Anny, która stała przy drzwiach, odezwał się do niej młody żołnierz „ubieżaj” (uciekaj). Czy wzruszył się losem jaki czekał tak młodą dziewczynę, czy też chciał ją sprowokować? Zdaniem Anny, wzruszył. Ale ona odpowiedziała tylko „u mienia rebionok, ja nie mogu” (ja mam dziecko, nie mogę). Wtedy on pokiwał głową, „oczeń żalko” (szkoda). Więc jednak jej współczuł.

Jechali przez pustkowia, a zatrzymywali się w polach, albo na niewielkich stacjach. Najczęściej była to odludne miejsca, w których nie było sklepów, ani ludzi, którzy mogliby zaoferować im coś do jedzenia. Tylko raz, na początku jazdy, kiedy jechali jeszcze przez tereny leżące w granicach Polski, zdarzyło się, że ktoś z pociągu wypatrzył w pobliżu sklep. Ludzie uprosili NKWD-zistów, żeby pozwolili im pobiec i szybko zrobić zakupy. O dziwo konwojenci okazali wspaniałomyślność i pozwolili na krótkie wyjście z wagonu. Do sklepu pośpieszył tłum ludzi, kiedy zaś Anna do niego dobiegła, nie było już nic do kupienia za wyjątkiem ośmiu kilogramów grochu - Anna kupiła wszystko i przytargała do pociągu. Groch okazał się przydatny, cały zużyła na Syberii.

Jazda trwała około trzech miesięcy. Podczas całej drogi ludzie byli przybici, wydawało się im, że ich świat i ich dotychczasowe życie skończyło się. Dzieci płakały, marudziły. Niektórzy z ludzi uważali, że Rosjanie wywiozą ich i zabiją gdzieś na odludziu. Podczas jazdy ludzie posilali się zapasami z domu, wkrótce jednak skończyły się, wówczas do jedzenia pozostała tylko zupa. Głodowali. Zaczęli przyzwyczajać się do głodu.

Po wielu tygodniach pociąg dojechał do rzeki, która jak im powiedziano nazywała się Ob, w województwie (obłasti) nowosybirskim. Było to kilka tysięcy kilometrów od Kostopola, daleko za Uralem, w samym sercu Syberii. Kiedy zatrzymali się, po raz pierwszy od 3 miesięcy mogli umyć się... w rzece. Woda była bardzo zimna, choć był już maj, mimo to ludzie kąpali się, myli się wodą i piaskiem. Mydło, o ile ktoś je miał, oszczędzano, używano tylko do mycia twarzy i głowy. Po tym niezwykłym przystanku, kazano im wrócić do pociągów i znów jechali w nieznane, na południe, ale już niezbyt długo. Ponownie zatrzymali się nad rzeką Czutyłm, gdzie zapakowano ich na niewielki statek, którym płynęli całą dobę. Nareszcie mogli odetchnąć powietrzem i nie byli zamknięci, więc nawet cieszyli się, że mogą miło spędzić czas. Rejs zakończył się w małej przystani, gdzie przesiedli się na furmanki zaprzężone w konie, którymi przez las, dojechali do niewielkiej wsi, gdzie nastąpił kres ich wędrówki. Powiedziano, że wieś (pasiołek) nazywa się „Suchoj Łoch”, leży w po-

wiecie (sielsowiet) jerańskim, województwie (oblast) nowosybirskim. Na ulicy, na której „zatrzymali się”, stali miejscowi ludzie, zaś wojskowy ogłosił, że „Polacy są przesiedleńcami specjalnego rodzaju i że zostali przywiezieni do miejsca nowego i dożywotniego zamieszkania”. Miejscowi stali w szpalerze, Polacy szli jeden za drugim, a NKWD-dziści przydzielali ich do poszczególnych rodzin. Anna szczęśliwie trafiła wraz z rodziną do starszego małżeństwa Kołopkowych. To byli dobrzy ludzie, a od Marii dużo się nauczyła. Jeszcze dziś Anna modli się za Marię Kołopkową.

NA „NIELUDZKIEJ ZIEMI”

Suchoj Łoch było kiedyś dużą wsią, z długą ulicą przy której mieściły się drewniane domki. W latach trzydziestych wieś nawiedził głód, dużo ludzi zmarło, znaczna część domów stała pusta, a ludzie mieszkali w chatach po sąsiedzku, skupieni na jednej ulicy. Kołopkowowie byli Rosjanami, którzy już wcześniej mieszkali na Syberii, tam dorobili się, mieli oranżerię, w niej własne warzywa, którymi handlowali. Za to tylko, że byli zamożni, zostali przez władze komunistyczne wysiedleni ze swojego domu i zesłani 50 km od domu do tej zapyziałej wsi, bez prawa jej opuszczenia. We wsi mieszkali Rosjanie zesłani na przymusowe osiedlenie za tzw. „kułactwo” oraz więźniowie (zakluczeni), skazani wyrokami sądów radzieckich za przestępstwa polityczne. Więźniowie pracowali przymusowo, a w nocy byli zamykani w barakach i pilnowani przez wojskowych.

Kołopkowowie mieli córkę, którą przed swoim przesiedleniem wysłali na studia medyczne do Moskwy, gdzie została lekarzem samego Stalina. Na Syberię już nie wróciła, więc prawdopodobnie nigdy się nie spotkali, bo ani im, ani jej nie pozwolono na odwiedzin. Mówili, że córka prosiła samego Stalina o zgodę na ich przyjazd, ale on nie zgodził się, gdyż jak powiedział, „tam gdzie są rodzice jest tak dobrze, że nic im nie potrzeba”. Córka Kołopkowów czasami przysyłała paczki rodzicom, w których były np. konfitury czy herbata, czyli nie najbardziej potrzebne wiktuały. Bardziej przydałaby się mąka, cukier, fasola, ale rodzice, ze względu na cenzurę, bali się jej się o to poprosić.

Kołopkowowie mieli szczęście, bo pozostawiono im krowę, resztki dawnej zamożności, dzięki której później dziecko Anny czasami miało mleko. Mieszkał z nimi wnuk Wołodia. On akurat nie był ani więźniem, ani zesłanym, po prostu przyjechał do dziadków po śmierci rodziców, których spalili żywcem w ich domu żołnierze sowieccy, bo nie miał dokąd się udać. Był myśliwym i jako „wolnonajomny” (człowiek wolny, najęty do pracy), za zgodą NKWD zaopatrywał wojskowych w zwierzynę. Dostał od nich strzelbę i przydział - 10 naboí, ale Anna nie wie na jaki czas ten przydział był, w każdym razie musiał przynieść im co najmniej z 9 sztuk zwierzyny. Na szczęście dobrze strzelał, więc jeśli nie spudłował, to zwierzę zabite dziesiątym strzałem przynosił (w tajemnicy) dla rodziny. Dzięki temu Maria mogła dać czasem Annie kawałek mięsa lub złowioną przez Wołodię rybę. Był to dzielny chłopak, rodem z Syberii, więc potrafił korzystać z bogactw tej ziemi. Umiał nawet sam zrobić śrut, którym strzelał do ptaszków – jarząbków. Anna miała w jednej z sukienek wszystkie obciążniki z ołowiu, żeby ładnie się układała, wypruła je i dała Wołodii na polowanie. Zdarzało się, że przyniósł jej kilka ptaszków. Ale to było później.

Po przyjeździe okazało się, że Anna ma wszy, być mieli je też inni, co nie dziwi, skoro przeżyli trzy miesiące bez mycia. Anna była bezradna i przerażona, na szczęście zajęła się nią Maria Kołopkowa. Najpierw obcięła jej włosy, potem myła jej głowę w ługu, potem smarowała czymś i owijała. Wszy zostały zlikwidowane i już więcej się nie pojawiły. Ale na wszelki wypadek Anna obcinała krótko włosy.

Nie tylko głowa była problemem. Problemem było wszystko: czym się myć, jak pracć, dbać o dziecko, problemem było przygotowanie jedzenia. Jak pracć bez proszku czy mydła? Anna nie wiedziała jak sobie poradzić, przecież nie była przyzwyczajona ani nauczona pracy fizycznej, postanowiła więc nająć do prania jedną z kobiet ze wsi, w zamian oferując jakąś bluzkę czy spódnice. Kobieta wprawdzie zabrała się do pracy, ale powiedziała krótko „musisz się tego nauczyć, skoro zostaniesz tu na zawsze, bo ubrań nie wystarczy ci nawet na pół roku”. I pokazała jej jak się pierze. Przede wszystkim trzeba było zrobić ług, który zastępował proszek do prania, a także służył ludziom do mycia, bo nic innego nie było. W tym celu do wiadra zbierano popiół z węgla drzewnego (w piecach palono tylko drewnem, węgla kamiennego nie było), po zakryciu go szmatą, do wiadra powoli wlewano gorącą wodę i zostawiano. Po pewnym czasie delikatnie zlewano z wiadra wodę z wierzchu, a resztę zalanego popiołu wyrzucano. Ta woda, dodana do prania wspaniale się pieniła, i mimo, że miała brunatny kolor, doskonale wybielała rzeczy. Z wodą zresztą było tam krucho, gdyż we wsi była tylko jedna studnia, służąca wszystkim ludziom, w dodatku oddalona od ich mieszkań o 200 metrów. Latem wodę racjonowano, bo studnia szybko wysychała. Zimą było „łatwiej”, po prostu topiono śnieg. Po nauce, którą udzieliła jej Rosjanka, Anna sama robiła pranie. Nie było lekko i często łykała łzy.

Pani Maria powiedziała jej, że przed przyjazdem Polaków, zebrano wszystkich mieszkańców wsi i powiedziano im, że przybędą bogacze z Polski, „którzy przyzwyczajeni są bić



KOSTOPOL. Kościół parafialny.

służbę, i trzeba uważać, co się przy nich mówi”. Taki zabieg propagandowy żeby utrudnić życie zesłańcom. Na szczęście Rosjanie zbytnio nie wzięli sobie tego do serca, choć na pewno postrzegali Polaków jako przybyłych z dobrobytu (co częściowo było prawdą, kiedy porówna się warunki w jakich żyli mieszkańcy Syberii). Anna nigdy nie spotkała się z negatywnym stosunkiem Rosjan do niej ani do innych zesłanych Polaków, przeciwnie, zwykli ludzie byli życzliwi i wyrozumiali.

U Kołopoków Anna mieszkała przez półtora miesiąca, ale przez cały czas pobytu w Suchoj Łoch utrzymywała z nimi serdeczne stosunki, a Maria często wspomagała ją jak mogła, a to mlekiem, rybą, czy kawałkiem dziczyzny od Wołodii. W międzyczasie więźniowie (zakluczeni) wyremontowali dla przesiedleńców puste domy ze wsi. Dom, w którym zamieszkała Anna miał dwie izby, jedną zajęła rodzina państwa Zientarów z dwójką dzieci, drugą Anna z rodziną. Anna miała szczęście - u niej w pokoju „zakluczeni” wybudowali piec, który ogrzewał cały pokój i było w nim naprawdę ciepło. Zrobiono nawet dla nich „łóżka”, to znaczy prycze drewniane, na które położono słomę. Zesłańcy kładli na nią pościel, o ile ją mieli, albo ubrania.

Niebawem po przyjeździe zmarła jedna z przybyłych z nimi kobiet, Żydówka. Wszyscy zesłańcy zgromadzili się nad jej grobem, bardzo przybici tą śmiercią, zjednoczeni wspólną niedolą. Syn zmarłej, żegnając matkę wygłosił mowę, którą zakończył słowami „oby ten pogrzeb był pierwszym i ostatnim na tej ziemi”. Następnego dnia chłopaka zabrali NKWD-ziści i nikt więcej go nie widział. Prawdopodobnie wysłano go do obozu pracy. Tak więc oprócz smutku między Polakami zapanował lęk, bano się, aby jakieś nieopatrznie wypowiedziane słowa nie naraziły ich na większe represje. Po tym wydarzeniu Annę prześladowała myśl, że w razie śmierci nikt nie powiadomi jej rodziny, która nie odnajdzie jej grobu. Ale była szara rzeczywistość. Polacy, aby się utrzymać, musieli pracować. Jediną pracą, jaką im zaoferowano, była praca w lesie, który rozciągał się gdzie sięgnąć okiem. Główne zajęcie - wyrąbywanie drzew, spławianie bali, rąbanie pni. Normą dla dwóch kobiet były 2 m³ porąbanego drzewa, a zapłatą kilka rubli. Za taką sumę można było kupić na przykład - rarytas - jedno jajko, głównie jednak pieniądze wydawano na chleb, reszty pozostało niewiele. Raz na kilka miesięcy w sklepie można było kupić szklankę oleju. Była też do kupienia ciepła zupa, czasami także solone dorsze, ale tak potwornie wyglądały, że nie dało się ich jeść. Anna w sklepie kupowała jedynie chleb i sporadycznie olej. Przy pracy nie można było się lenić, bo powiedziano im „kto nie rabotajet, nie kusza” (kto nie pracuje, ten nie je). A ten kto normy „nie wyrobił” dostał połowę zapłaty. Rąbanie drzewa należało do mężczyzn, kobiety miały ciąć pnie, najpierw piłą na kozłach, a potem siekierą na pniaki długości 50 cm. Początkowo Anna nie dawała rady, płakała, nie potrafiła pociąć drzewa, a pracowała w parze z kobietą, która też nie miała wiele więcej siły. Nadzorca - Rosjanin nazwiskiem Chrystolubow, naczelnik wsi i więzienia, widząc ich nieporadność pokazał jak należy to robić. Wystrugał klin z drewna, wbił go w pień i zaczął rąbać pniaki. Anna i jej towarzyszka zastosowały jego sposób i rzeczywiście odtąd praca szła łatwiej, choć nadal kosztowała ich dużo wysiłku. Były wdzięczne Chrystolubowowi za ten instruktaż, uważając, że „zachował się jak człowiek”. Może Chrystolubow nie był złym człowiekiem, bo raz jeszcze wspomógł Annę w związku z ziemniakami. Jedzenia we wsi było mało, więc ziemniaki obok chleba

były podstawą pożywienia. Miejscowi mieli jakieś poletka, w których sadzili ziemniaki i część pozostawiali na ponowne zasadzenie na wiosnę. Polacy po przybyciu do wsi ziemniaków w ogóle nie mieli, więc rozpoczęli handel wymienny z Rosjanami. Dostawali od nich ziemniaki w zamian za części swojej garderoby, bo np. sukienek, spódnic nie można nigdzie kupić. Anna również wymieniła część ubrań za ziemniaki, ale niestety wszystkie zostały zjedzone przez nią i jej męża podczas jesieni i zimy 1940 roku. Nie wiedziała, że należało część z nich zaoszczędzić, aby posadzić je wiosną, nikt jej o tym nie powiedział. Inni Polacy byli bardziej zapobiegliwi i pozostawili sobie część ziemniaków na sadzenie. Kiedy przyszła wiosna 1941 roku okazało się, że nikt z miejscowych nie ma już sadzeniaków na zbyciu, a Anna nie ma czego posadzić. Zrozumiała, że zimą pozostaną bez ziemniaków, grozi im głód, a może nawet śmierć głodowa. Zapłakana i wzburzona pobiegła do Chrystolubowa, krzycząc „Po co nas tu przywieźliście? Chcecie nas zagłodzić?”. Pomyślała wprawdzie, że Chrystolubow może wyciągnąć pistolet i nawet ją zastrzelić, ale było jej wszystko jedno. Chrystolubow nie zareagował, ale wieczorem przywiózł jej na kwaterę dwa wiadra ziemniaków. Anna zaskoczona tą szczodrością, niezbyt mądrze powiedziała, że chciała „tylko jedno wiadro”. „Jedno wiadro masz do posadzenia, a drugie do jedzenia, żebyś przeżyła...”, odrzekł nadzorca. Dwa wiadra ziemniaków to prawie majątek, oszczędzono je, dziennie zużywano tylko jednego lub dwa, dodając je do zupy ze szczawiu lub z pokrzyw.

Dzień powszedni wypełniała Polakom praca i zmaganie się ze zdobywaniem żywności, nie było czasu na myślenie o przyszłości. Przyszłość... Wszyscy przebywający we wsi Polacy, także i Anna, sądzili, że pozostaną na Syberii na zawsze, powiedziano im, że nigdy do Polski nie wrócą. Wiedzieli, że Polska nie ma, została napadnięta i podzielona pomiędzy Niemców i Rosjan. Rosjanie wyrzucili ich z własnych domów i wywieźli tysiące kilometrów w głąb Rosji, powiedzieli, że tu mają żyć. Anna nie miała więc nadziei, że kiedykolwiek powróci do domu. Ale trzeba było pracować, bo inaczej groziła śmierć głodowa. Więc posadziła wiosną ziemniaki, sądząc, że jesienią je wykopie i dzięki temu przeżyją następną zimą, zaoszczędzą część na sadzeniaki, znów zasadzą na wiosnę, i tak będzie do końca jej dni. Ziemniaków tych nie zdążyła wykopać na jesieni 1941 roku. Póki co pracowała, dostawała ruble, kupowała za nie chleb w kołchozowym sklepie, opiekowała się dzieckiem. Chleb był na kartki – 20 dkg na dziecko, 1/2 kg dla pracującego, pół chleba dziennie za jedną kartkę. W sklepie pracował kolega wnuka państwa Kołopkowych – Aleksander. Zdarzało się, że Aleksander wydawał jej trzy bochenki chleba i mówił „dziś wytnę 3 kartki, to będzie od razu za jutro i pojutrze, bo jutro może dla ciebie chleba nie wystarczyć”. Anna początkowo nie rozumiała go, aż w końcu zauważyła, że wycinał on tylko jedną kartkę przydziałową, a mówił tak specjalnie, aby słyszeli to ludzie stojący w kolejce. Ale Anna nie zajadała się nadwyżką - część chleba suszyła i zbierała na „czarną godzinę”. W sklepie nie można było kupić potrzebnych artykułów, np. herbaty, mydła, cukru, oleju, ale za to był w nim... puder i perfumy, których nikt nie kupował, bo nikt nie miał na to pieniędzy i nikomu nie były potrzebne. Natomiast inne artykuły były na kartki - nawet materiał na ubranie - kobiety dostawały np. 3 metry perkalu na rok. Ale ludzie zamieniali się na różne produkty między sobą, a poza tym kombinowali i oszukiwali władze jak mogli. Oczywiście, rodziny wojskowych nie zaopatrywały się w wiejskim sklepie, miały swój, a w nim była nawet słonina. Anna wymieniła kiedyś jakieś ubranie na kawałek słoniny, tzw. „sało”.

Annie podczas pobytu na Syberii zezwolono na napisanie jednego listu do rodziny. Napisała do matki i podała swój adres, a po pewnym czasie dostała dwie paczki - jedną od siostry - z mydłem, drugą od koleżanki z kaszą manną. Do paczek nie załączono listów, więc nie wiedziała, jak żyła jej rodzina, o tym dowiedziała się dopiero po wojnie w 1947 roku. Wezwanie do odbioru paczek Anna zachowała i jak się okazało w przyszłości nawet taki świsstek papieru był przydatny.

W Suchoj Łoch rodzina Pichetów powiększyła się, Anna urodziła syna. Poród, który odbył się w okolicznym szpitalu, odebrała akuszerka, miła kobieta. Dzieci Anna umieściła w wiejskim żłobku, w którym miały dobrą opiekę, były zadbane, córka dostawała w nim mleko, a nawet biały chleb, synka Anna karmiła piersią. Po wyjściu ze szpitala prawie zaraz musiała stanąć znów do piłowania drewna, synek był w żłobku - chodziła tylko go karmić - nie było daleko. W tym żłobku przebywały dzieci i wojskowych Rosjan, i zesłańców. Jednak starsze dzieci Polaków nie miały zapewnionej żadnej opieki i zostawały same w domu, kiedy rodzice szli do pracy. Oczywiście, nie chodziły do szkoły, a nauczanie ich było zabronione.

Zima na Syberii była ciężka i długa. Śnieg leżał do wysokości półtora metra, tak że więźniom nakazywano wycinanie w nim tuneli, żeby ludzie wąskimi ścieżkami mogli dojść do miejsc pracy. Kiedy w czerwcu zaczynała się odwilż, z dachu raptownie spadały ogromne bryły śniegu. Latem było widno, trudno było zasnąć. Tak upłynęło ponad półtora roku, podczas którego Polacy i Anna, zmagali się z ciężką pracą, głodowali, chorowali, byli przegnębieni i zniechęceni trudnymi warunkami, a głównie świadomością, że są zesłańcami bezterminowymi, to znaczy dożywotnimi, o czym wielokrotnie przypominali im ich nadzorcy. Anna cały czas pracowała przy rąbaniu drzewa, czasem nawet w lesie widziała niedźwiedzie. Część Polaków, w tym jej męża oraz więźniów, pod nadzorem wojskowych zatrudniano przy spalwaniu bali drzewa, co było ciężkim i niebezpiecznym zajęciem, a przy tym ludzie dostawali bardzo słabe wyżywienie. Spławy odbywały się w miejscu znacznie oddalonym od „pasiołka”, więc mąż Anny rzadko pojawiał się w „domu”. Najczęściej Anna musiała sama dawać sobie radę, troszczyć się o dzieci i o pożywienie.

NADZIEJA

22 czerwca 1941 roku Niemcy napadli na Związek Radziecki i teraz dla Rosjan zaczęła się II wojna światowa. Ale na daleką Syberię takie wiadomości nie docierały. Nie było radia, ani gazet. Nikt z mieszkańców, może nawet Chrystolubow, nie wiedział, co się dzieje na zachodzie ich kraju. Nie zauważono żeby on lub żołnierze inaczej się zachowywali, więc może nie wiedzieli o wojnie, bo nikt ich nie zawiadomił. Wczesną jesienią 1941 roku pewien Polak, który zastępował chorego Rosjanina, będącego kierowcą dowódcy i pojechał z nim samochodem do miasta, po powrocie z wyjazdu powiedział Polakom, że będąc tam „coś słyszał”. To „coś” dotyczyło Polaków, „coś” się prawdopodobnie wydarzyło. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale jego słowa wywołały wrzenie wśród zesłańców. Tego wieczoru wszyscy zaczęli się burzyć, zbierać, debatować, pytać. Nagle dostali energii i wstąpiła w nich nadzieja, że może coś się zmieni. Postanowili nie pracować, dopóty dopóki nie wyjaśnią im, co się dzieje. I dziwna sprawa, do tej pory musieli słuchać się nadzorców, nie mieli żadnych praw, a teraz na skutek ich „buntu”, z Nowosybirsk przylecieli samolotem NKWD-ziści,

żeby się spotkać z Polakami. Rozmowa z nimi też była inna, dziwna. Otóż nagle urzędnicy powiedzieli, że Polacy są wolnymi ludźmi i mogą z tej wsi jechać gdzie chcą, ale w Rosji trwa wojna, więc właściwie nie ma po co wyjeżdżać. Było to niesamowite przeżycie.

30 lipca 1941 roku Stalin zawarł z rządem polskim na uchodźstwie umowę o współdziałaniu w wojnie z Niemcami i utworzeniu armii polskiej w ZSRR. Zgoda Stalina była przejściowym ustępstwem wymuszonym katastrofalną sytuacją militarną ZSRR latem 1941 roku spowodowaną zmasowanym i postępującym błyskawicznie przez terytorium ZSRR natarciem wojsk niemieckich. W załączonym do umowy protokole rząd ZSRR zobowiązał się zwrócić wolność obywatelom polskim wywiezionym z ich miejsc zamieszkania po 17 września. 12 sierpnia Prezydium Rady najwyższej ZSRR wydało dekret o amnestii, w myśl którego „Polacy uzyskali prawo do swobodnego **wyboru** miejsca zamieszkania na terytorium ZSRR”. Twórcą i dowódcą Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR władze polskie mianowały generała Władysława Andersa, internowanego przez wojska radzieckie w 1939 roku, uwolnionego z więzienia w Moskwie w lipcu 1941 roku.

O umowie między rządami ani też o dekrete Polacy z Suchoj Łoch oczywiście nic nie wiedzieli, a wypowiedzi rosyjskich wojskowych były pełne niedomówień. Anna słuchając ich wiedziała, że na pewno dłużej tam nie pozostanie. Postanowiła za wszelką cenę wynieść się stamtąd, choć nie wiedziała po co i dokąd. Wiedziała, że w tej głuszy, z dala od miast i osiedli, nie może się niczego dobrego spodziewać i nie było szans na poprawę warunków życia, może gdzie indziej będzie lepiej?

Nie mieli map ani atlasu, aby umiejscowić Suchoj Łoch. Od ich domu, w województwie wołyńskim dzieliło ich około pięć tysięcy kilometrów, a województwo nowosybirskie leżało za Uralem, w azjatyckiej części ZSRR, w samym sercu Syberii, której nie znali. A jednak



Kostopol na Wołyniu.

Dworzec kolejowy

zdecydowali się, nie pytając Chrystolubowa o zgodę, potajemnie opuścić wieś. Wspólnie z rodziną Anny postanowili uciec państwo Zientarowie. Wiedzieli tylko, że „niedaleko”, jakieś 100 km stąd, jest stacja kolejowa, więc trzeba udać się w tamtym kierunku, gdzie chodzą jakieś pociągi. Pewien chłop z „pasiołka” miał konia i za jakieś prezenty zgodził się zawieźć ich do Asyna, na kolej, Anna dała mu za to wełniany pasiak (koc), Zientarowie też coś dali mu jako zapłatę. W nocy zapakowali dzieci i swój dobytek i wyruszyli wraz z Zientarami. Nie była to łatwa droga, jechali kilka dni, spali na wozie i żywili się swoimi zapasami. Na szczęście nikt ich nie ścigał i dojechali do miejscowości Asyno.

Na stacji kolejowej w Asyno spotkali tłumy Polaków koczujących na peronach, ławkach, w budynku dworca, z tobołami, dziećmi, dobytkiem. Wszyscy na coś czekali, nawet nie wiedzieli na co, nikt nie wiedział kiedy przyjedzie pociąg i dokąd będzie jechał. Wypytywali się wzajemnie i czekali z nadzieją, że pojawi się pociąg i gdzieś (gdzie?) ich zawiezie. Rodzina Anny i rodzina Zientarów żywiła się suchym chlebem, spali przez kilka dni na ławce w parku, mimo to tak jak inni zdeterminowani czekali. Kiedy w końcu przyjechał pociąg, wszyscy Polacy zapakowali się do niego, choć nadal nie wiedzieli, dokąd będą jechać. Warunki w pociągu były inne niż z poprzedniego transportu, gdyż był to pociąg osobowy i nikt nie drutował wagonów. Początkowo, mimo, że podróż była ciężka, mieli poczucie że, są wolni i nawet zastanawiali się, że może jadać do Polski? Ale kiedy w końcu pociąg zatrzymał się, okazało się, że takie myśli to mrzonki. Przybyli do Uzbekistanu, jeszcze dalej od domu.

Marta Psuja

PAMIĘTNIK MARTYSI

Wojna oczami dziecka wygląda zupełnie inaczej niż obrazy, które nasze, powojenne pokolenia oglądają na ekranach kin czy telewizorów. Martysia z podzamajskiej wsi w 1939 r. miała cztery lata. Wojnę przeżyła, a w latach 50. trafiła do Sztumu, gdzie mieszka do dziś. Po 80 latach Marta Psuja (z domu Szykuła) postanowiła spisać pamiętnik. W tym roku udało się go wydać w formie książki, pod tytułem „Martysia. Opowiem Wam moją historię”. Poniżej kilka niewielkich fragmentów.

Mając 83 lata, postanowiłam uwolnić się od smutnych i trudnych przeżyć z lat dziecięcych, które są ze mną całe życie. Im więcej mam wolnego czasu, tym trudniej wyleczyć serce i duszę z przeżyć mojego dzieciństwa. Zdaję sobie sprawę, że tylko starsze pokolenie jest w stanie w to uwierzyć i zrozumieć przekaz moich wspomnień. Dla młodych będzie to smutna bajeczka, którą babcia wymyśliła z nadmiaru wolnego czasu. Ale może ta babcina historia poruszy serca młodych ludzi i choć na chwilę zatrzymają się w tamtym czasie.

Czy to możliwe, by to przeżyć? (...)

Urodziłam się 11 maja w roku 1935, jako czwarta córka Józefy i Władysława w małej i biednej miejscowości Dąbrowa, powiat Zamość. Nasza wieś liczyła 21 małych gospodarstw. (...) Moja mama mając 16 lat wyszła za mąż za 25-letniego, przystojnego mężczyznę. Oboje biedni. Tata pochodził z sąsiedniej miejscowości Łabuńki. Był półsierotą, podobnie jak mama.

Rodzice mamy mieszkali w Galicji. Tam też jej ojciec zmarł na tyfus, więc babcia z synem i córkami przyjechała na wieś, do Dąbrowy, gdzie zaczęli nowe życie.

Wydając córkę Józefę za mąż, babcia podarowała młodym trzy morgi ziemi. Tata jako zawodowy cieśla od razu zabrał się za budowę domu. Oboje, własnym rękami, zbudowali mały biały domek i tam zaczęło się nowe życie.



Zdjęcie legitymacyjne Marty Psuji, fot. archiwum rodzinne

POŻEGNANIE TATY

Jeszcze przed 1 września 1939 roku rozpoczęła się mobilizacja. W naszej wiosce wytypowano sześcioro mężczyzn, wśród nich był nasz ukochany tata. Niektórzy zostawili rodziny w zasobniejszych warunkach. U Szykułów została sama kobieta z czwórka dzieci (Fredzia, Zdzisia, Krysią i najmłodszą - Martynką), bez żadnych zapasów zboża czy drewna na zimę. Jak żyć? Tylko usiąść i płakać. Tata zdążył jeszcze trochę drewna z lasu przywieść, ale to kropla w morzu potrzeb. Nie było więcej czasu, żeby zabezpieczyć rodzinę przed głodem i zimmem. A zima zbliżała się wielkimi krokami.

Tu nadchodzi dzień, którego wspomnienie boję się przywołać z pamięci. Ciśnienie sżybuje w górę. 1 września nie zapomnę nigdy. Tej strasznej rozpacz, kiedy trzeba pożegnać najbliższą sercu osobę. Z naszej Dąbrowy wyruszyły dwa wozy drabiniaste, zaprzężone w dwa konie do każdego. Na wozach siedziały kobiety i dzieci. Mężczyźni szli wolno obok wozów. Nikt z rodzin przyszyłych żołnierzy nie chciał zostać w domu. Przed nami było 14 km do dworca w Zamościu. Po drodze dołączały wozy z sąsiednich wiosek - Bródka, Łabuń, Łabuniek, Barchaczowa, Jatutowa. Powstał z wozów konnych tabor bez końca. Słychać było tylko miarowy stukot kopyt, modlitwy i płacz kobiet i dzieci.

Mężczyźni szli obok wozów w wielkim smutku i skupieniu rozmyślając, czy jeszcze kiedyś zobaczą swoich bliskich. Jaki los spotka ich rodziny? Gdzie rzucą ich losy wojny? Czy się odnajdą?

1 września był pięknym, słonecznym dniem. Tabor wozów przesuwiał się wolno. Ja płakałam tak bardzo, że tatuś wziął mnie w końcu na ramiona i niósł, choć było mu bardzo ciężko. Pamiętam, że małymi rączkami ścierałam mu pot płynący po twarzy. I zamęczałam pytaniami, kiedy skończy się wojna, czy tata na pewno zabije Hitlera i wróci do domu.

Przed dworcem w Zamościu był olbrzymi plac, a na nim mnóstwo wozów, ludzi i płaczących dzieci. My, dzieci z Dąbrowy, nigdy nie widzieliśmy wcześniej takich tłumów, więc mocno trzymaliśmy się spódnic mam. Moja biedna mama była ledwie żywa, nie starczało już łez, stała w osłupieniu. Alfredzia, najstarsza córka - trzynastoletnia podtrzymywała mamę, by nie upadła.

Nagle podjechały wojskowe ciężarówki, z których wyskoczyli żołnierze Wojska Polskiego i podali komendę na zbiórkę. Kazali pożegnać się z rodzinami i „do szeregu marsz”.

Trudno to nazwać pożegnaniem, to był chyba koniec świata. Nasza spokojna Zdzisia zamieniła się w demona, uczepiła się nogi taty wrzeszcząc w niebogłoty: „tato, nie idź na tą głupią wojnę”. Tata uwięziony przez Zdzisję wtulił się w mamy ramiona, płakał jak dziecko. Ale tak naprawdę płakali wszyscy. (...)

Szare chmury zawisły nad naszą babską rodziną, chociaż nie tylko naszą, bo takich rodzin było więcej. Czy uda nam się przeżyć bez żadnych zapasów i pieniędzy? Na szczęście mamy jeszcze krasulę, ona nam pomoże przeżyć ten trudny czas. Tylko że jej trzeba dać jeść i podzielić się sromą, a tej mamy niewiele. (...)

Zapasy malały. W domu zimno. Ogrzewanie gałkami i chrustem nie dawało ciepła, a grube kawałki drewna już się kończyły. Jak przeżyć w takich warunkach? Bez prądu, bo jeszcze wiele lat trzeba było korzystać z lampy naftowej, do której coraz trudniej było o naf-

tę. Świeciło się tylko wtedy, gdy było to konieczne. Nie marudziłyśmy mamie, że za zimno, że jesteśmy głodne, bo patrząc na nas skulone na łóżku i tak zalewała się łzami. Zresztą ona też była głodna. Tata nie dawał znaku życia. Inni żołnierze z naszej wsi też.

Miejscowi partyzanci rozkopywali piwnice przy domach, które były w każdym sadzie i służyły do przechowywania ziemniaków na zimę. Kopali w nich tunele i dalej schrony z wejściem przez piwnicę. Wejście było przykryte drewnianą klapą pokrytą cienką warstwą ziemniaków i workami. Robili to pod osłoną nocy. Około czterech metrów od podkopu, w gęstych krzakach, wkopywali blaszaną rurę, która służyła jako wentylacja lub do wrzucania wiadomości, co dzieje się na zewnątrz i czy można wyjść ze schronu. Partyzanci wiedzieli, że Niemcy już wysiedlają ludzi z okolicznych wiosek, płądrują i palą, a ludzi transportują w nieznanym kierunku. A dzieci oddzielają od rodziców i wywożą do obozu w Majdanku. W nocy widać było łuny na niebie i czuć zapach spalenizny. Zapanowała trwoga. Co z nami będzie?

Niemcy przyjeżdżali do wiosek nocami. Mieszkańcy zdecydowali więc, że będą przed północą opuszczać domy, zabierając krowy i wszystko, co da się ocalić, i spędzać nocę na leśnej polanie. Kto miał konie i duży drabiniasty wóz, zabierał małe dzieci i starszki. W lesie co kto miał do jedzenia, dzielił się z innymi. Tam wszyscy byli równi. Dzieci na wozach spały, a dorośli czuwali, czy nasza wioska nie płonie i czy będzie gdzie wrócić. Ciągłe widać było łuny na niebie. To był znak, że inne wioski płoną. Ale na razie nie nasza. Wracaliśmy więc o świcie, do pustych zabudowań. Tylko koty czekały na powrót swoich opiekunów.

(...) Brak stabilności, snu i normalnego życia sprawiały, że coraz więcej mieszkańców zostawało jednak na noc w domach. Po mniej więcej tygodniu mama też zdecydowała, że nie damy rady więcej chodzić do lasu i „wola Boża, co się z nami stanie”.

Ludzie z Dąbrowy ostatecznie nie zostali wywiezieni. Niemcy zajęli tylko domy - na kwatery albo magazyny (jak nasz). Nie przeszkadzało im, że mieszkańcy przenieśli się do stodoły.

(...) Na razie nie robili krzywdy mieszkańcom. Czasem dali dzieciom jakieś herbatniki lub puszkę mięsna. Ale i tak bardzo się ich baliśmy, gdy byli w pobliżu. Uciekaliśmy do stodoły, gdzie stała przebywała nasza babcia, ciężarna ciocia no i dzieci wujostwa. Wujek się ukrywał, bo był w partyzantce. Żyliśmy jak na bombie.

(...)

Mieszkańcom groziła śmierć głodowa. Mama unikała naszego wzroku i pytań, czy dostaniemy kawałek chleba, którego najczęściej nie było, bo nie było mąki a zboże już się kończyło. Zrobić nie było gdzie, więc musiała wystarczyć zupa z mleka od naszej krasuli, na pół z wodą i ziemniakami. To było bardzo mało, aby się najęść. Nie prosiłyśmy o dokładkę bo i tak widziałyśmy, że mama wyciera ciągle mokre oczy fartuchem. Jest niespokojna, zestresowana, często podchodzi do okien, jakby na kogoś czekała. Bo tylko mama wiedziała, co może się lada chwila wydarzyć.

Pewnego dnia do naszego obejścia zawitał jakiś Niemiec w towarzystwie sołtysa. Niemiec szwargotał coś i pokazywał w stronę naszej obory, a sołtys nie mógł z siebie wydusić ni słowa, by mamie przekazać, że chcą nam zabrać krowę. Z siostrami, wrzeszcząc, stanęłyśmy przy drzwiach obory, chcąc bronić krasuli. Rozwścieczony Niemiec zamierzył się kolbą na

mamę. Sołtys nie czekając na rozwój wypadków wszedł do obory, odwiązał łańcuch i wyszedł z krową na podwórze. Mama płakała, ale stała jak posąg i bała się ruszyć z miejsca, by niemiecki bandyta nie zrobił jej krzywdy, bo „co by się stało z dziećmi”. Gdy sołtys ruszył z krową, Zdzisia płacząc podbiegła do niej i chwyciła się łańcucha. Niemiec uderzył krowę kolbą, sołtys wypuścił łańcuch, Zdzisia upadła trzymając łańcuch w dłoni i wrzeszczała na całą wioskę. Krowa przerażona pobiegła truchtem, ciągnąc Zdzisę po ziemi. Niemiec był ubawiony takim widokiem. Nie pozwolił sołtysowi odebrać Zdzisi łańcucha, tylko delectował się widokiem sponiewieranego dziecka. W końcu podbiegł i uderzył leżącą dziewczynkę kolbą po ręce. No i zabawa się skończyła. Trzymając się mamy spódnicy patrzyłam, jak nasza krasula odchodzi, wolno człapiąc. Tak straciliśmy naszą żywicielkę. To był koniec naszej białej zupy z ziemniakami.

Brak krasuli „fizycznie” był bardziej dotkliwy niż brak taty. (...) Mama uklękła przed obrazem i płacząc wołała, „Boże ratuj nas. Nie daj nam zginąć z głodu i zimna. Chroń mojej dzieci by przeżyły wojnę i doczekały powrotu ojca”. To wołanie do Boga towarzyszy mi do dziś. To boli całe życie.

LUDZKI NIEMIEC

Nadszedł dzień 17 grudnia. Po południu przybiegła Krysia z krzykiem, że ciocia chce rodzić. Dziewczynki zaczęły płakać, że znowu zostaną same, bo zawsze mama z Fredzią chodziły razem, gdyż bały się Niemców. Ale iść musiały - po „babkę od porodów”, która mieszkała na drugim końcu wsi. Wszyscy wiedzieli, że babka lubi sobie wypić, więc martwiły się, czy popołudniu będzie jeszcze trzeźwa.

Drogą nie szły, bo zawsze mógł przejeżdżać niemiecki samochód, przemykały więc między drzewami. Były już blisko, gdy z samochodu stojącego w jednym z sadów wyszło dwóch Niemców. Widząc skradające się i wystraszone kobiety, zatrzymali je do wylegitymowania. Nie miały przy sobie dokumentów, a dogadać się nie mogli. Fredzia „ręcznie” tłumaczyła, że rodzi się dziecko, a tu w pobliżu mieszka akuszerka. Częściowo zrozumieli, ale postanowili towarzyszyć im do końca. Gdy weszły do domu babki, widać było, że ta jest już po kilku szklankach samogonu. Wiedziała, po co przyszły kobiety, ale przestraszona szybko wskoczyła do łóżka i udawała, że jest chora. Mama i Fredzia były zrozpaczone, nie wiedziały co robić. Jeden z Niemców nie dał za wygraną, podniósł pierzynę i krzyknął „raus”. Akuszerka natychmiast wyskoczyła z łóżka. Chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, szybko nakładając kurtkę i chustkę. Bardzo przy tym płakała. Chciała wziąć jeszcze kawałek chleba, bo była pewna, że została aresztowana.



Komunijne zdjęcie Marty (pierwsza z lewej),
 fot. archiwum rodzinne

Kiedy wyszli przed dom, Niemców poszedł do sadu, gdzie za samochodem stał duży motocykl z przyczepką. Kazał kobietom wsiąść do przyczepki. Wszystkie już żegnały się z życiem. Ruszyli, Niemiec pędził jak szalony aż na drugi koniec wsi. Tam stanął, czekając na wskazanie domu. Kobiety rozumiały, że chodzi pewnie o dom z rodzącą kobietą. Fredzia policzyła na palcach, przy którym budynku ma się zatrzymać. Był piąty z kolei.

Niemiec wysiadł razem z nimi. Wszedł do domu by sprawdzić, czy opowieść o porodzie to prawda. Bratowa mamy, widząc w drzwiach Niemca i przerażone kobiety, zaczęła drzeć się w niebogłoso, niekoniecznie z bólów porodowych. Razem z nią darły się i małe dzieci, w tym ja. Akuszerka, widząc co się dzieje, od razu wytrzeźwiała. A Niemiec... po prostu wyszedł.

Dwie godziny później urodziła się śliczna dziewczynka, której dano na imię Stasia. Wszyscy cieszyli się z narodzin dziewczynki, tylko tata małej Stasi nie wiedział o jej narodzinach, bo był gdzieś w lesie.

Bardzo przeżywaliśmy te niezwykle narodziny. Niemiecki żołnierz okazał się po prostu człowiekiem, nie zrobił nikomu krzywdy, a jeszcze pomógł. I jeszcze wrócił po kilku dniach by sprawdzić, jak się czuje noworodek. Przyniósł kakao i puszkę landrynek. Ciocia z duszą na ramieniu przyjęła niezwykle gościa, a przerażone dzieci pochowały się po kątach.

Ta historia ma bardzo ciekawe zakończenie. Dorosła Stasia wyszła za chłopca niemieckiego pochodzenia. Razem wyjechali z Polski i do dziś mieszkają w Niemczech.

WYZWOLENIE

Około 23 lipca 1944 r. sołtys ogłosił mieszkańcom, że rosyjskie wojska zbliżają się do Zamościa, jednak napotykają ciężki opór okupanta. Lotnisko w Łabuniach już nie funkcjonowało, więc mama nie miała pracy, a my jedzenia. Jednak latem łatwiej jest przeżyć niż zimą, musieliśmy dać radę.

W polu była pora żniw, ale rolnicy nie zbierali plonów. Czekali, aż wojska przemaszerują przez Dąbrowę, co miało nastąpić w ciągu dwóch-trzech dni. I trzeba ich godnie przywitać, okazać wdzięczność za wolność, bo przecież oni ginęli pomagając nam.

Nad ranem obudził nas dziwny odgłos. To mógł być 26 lipca. Pamiętam, że czuliśmy wszyscy, jakby powiało grozą. Mieszkańcy wychodzili z domów, przerażone dzieci trzymały się rodziców. Najpierw wioskę okryły tumany kurzu. Z dala słychać było tupot butów, brzęk metalu i chrzęst gąsienic. Było głośniejsze i głośniejsze, aż z kurzu wyłoniły się zmęczone żołnierskie postacie w brudnych, poszarpanych mundurach, z bardzo dużymi ładunkami na plecach. Niektórzy żołnierze byli obandażowani. Ludzie płakali, widząc ich w takim stanie.

Kiedy już oswoiliśmy się z niezwykłym i przygnębiającym widokiem, dzieci z Dąbrowy postanowiły nazrywać kwiaty z pól i rzucać żołnierzom pod stopy. Ten odruch wdzięczności przeniósł się na całą wioskę. Ogródki zostały ogołoczone ze wszystkiego, co dało się wyrwać. Nikt niczego nie żałował, najważniejsza była odzyskana wolność.

Na żołnierzach nie robiło to żadnego wrażenia. Szli jak zaprogramowani. Czasem tylko jakiś dowódca podniósł rękę, w geście podziękowania.

Gdy kolumna piechoty zakończyła przemarsz, naszym oczom ukazał się jeszcze bardziej niezwykły widok. To była kolumna pomocy medycznej. Łóżka na kółkach ciągnęły... psy. Przy każdym łóżku po cztery. Wszyscy płakaliśmy widząc tych czworonożnych żołnierzy, potwornie zmęczonych, z pianą na pyskach i śladami krwi na sierści.

Na prawie każdym wózku był pasażer - siedzący lub leżący, często w bandażach. Przepuszczalnie to żołnierze zebrani z pola walki. Na jednym z psich zaprzęgów zauważyliśmy niezwykły widok. Siedzący na wózku żołnierz trzymał na kolanach swego wojennego przyjaciela - obandażowanego psa bez przedniej łapy.

Mając przed oczyma taki straszny widok, zadawaliśmy sobie pytanie, co z naszymi żołnierzami. Gdzie są? Czy maszerują po bitwie zmęczeni? Czy im też ktoś rzuca kwiaty pod nogi? A przede wszystkim: czy żyją? Czekamy na nich. (...)

Życie na wsi powoli wracało do normy. Ludzie wzięli się do pracy w polu. Zboże trzeba zebrać, bo potrzeba chleba. Mama nas pocieszała, że damy radę. Ona z Fredzią będą pracować u gospodarza przy żniwach. Trochę wujek nam pomoże i sąsiad Antoni. No i pewnie już szybko tata wróci, to na pewno kupimy krowę.

LIST

No i nadszedł taki dzień. Kiedy wróciliśmy z siostrami ze szkoły, Fredzi akurat nie było w domu. Mama jak zwykle czekała z gorącą zupą. Zabrałyśmy się za jedzenie, opowiadając mamie, co było w szkole. Trajkotałam jak najęta, więc mamusia nie musiała o nic pytać. (...) I w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. To był sołtys, a za moment pojawiła się Fredzia. Sołtys trzymał w ręku kartkę. Przerażone nie mogłyśmy wydobyć słowa, myśląc o najgorszym.

Widząc naszą reakcję, sołtys podał kartkę Fredzi. Była to pocztówka z pieczętą z Włoch. I kilka zdań od taty, że żyje, ale tak szybko nie wróci, bo nie może [Władysław Szykuła trafił do Włoch jako żołnierz armii Andersa]. Jak tylko będzie mógł, to napisze. I podpis - Władek. „Charakter pisma taty” - powiedziała mama, bo tylko ona знаła jego pismo. Płacz i niedowierzanie - to, że nie może wrócić, rozbiło nas do reszty. Sołtys widząc, że nie zwracamy na niego uwagi skierował się do wyjścia. Mama jednak oprzytomniała na tyle, by podziękować mu za wiadomość, którą ponoć przyniósł do niego jakiś obcy były żołnierz.

Po chwili już się cieszyłyśmy, że nasz żołnierz żyje, choć jest gdzieś bardzo daleko. Ale dlaczego nie może wrócić? Czy jest ranny? A my nie wiemy, co dalej będzie z nami. Wyjechać nie możemy... Boże, co za przewrotny los.

Nasza rozpacz nic nie pomoże. Tatuś na pewno napisze do nas i wyjaśni, o co chodzi. Korzystając z zamieszania, chwyciłam pocztówkę i pobiegłam do wujka Antoniego i cioci Kasi, by pochwalić się, że żyje nasz biedaczysko. A potem pobiegłam dalej przez wioskę, by pocztówkę pokazać dalszym sąsiadom, ciągle używając określenia „żyje nasz biedaczysko”.

(...)

Ważne, że żyje! Fredzia wzięła się za pisanie listu do Krysi i wujków [Krysia mieszkała wówczas w Sztumie u rodziny], by przekazać im tę ważną wiadomość. Tylko Zdzisia, jak zawsze, w sposób umiarkowany brała udział w tym wielkim wydarzeniu. Choć bardzo tatę kochała, taki był jej sposób bycia. W prosty sposób i po swojemu odbierała każdą sytuację.

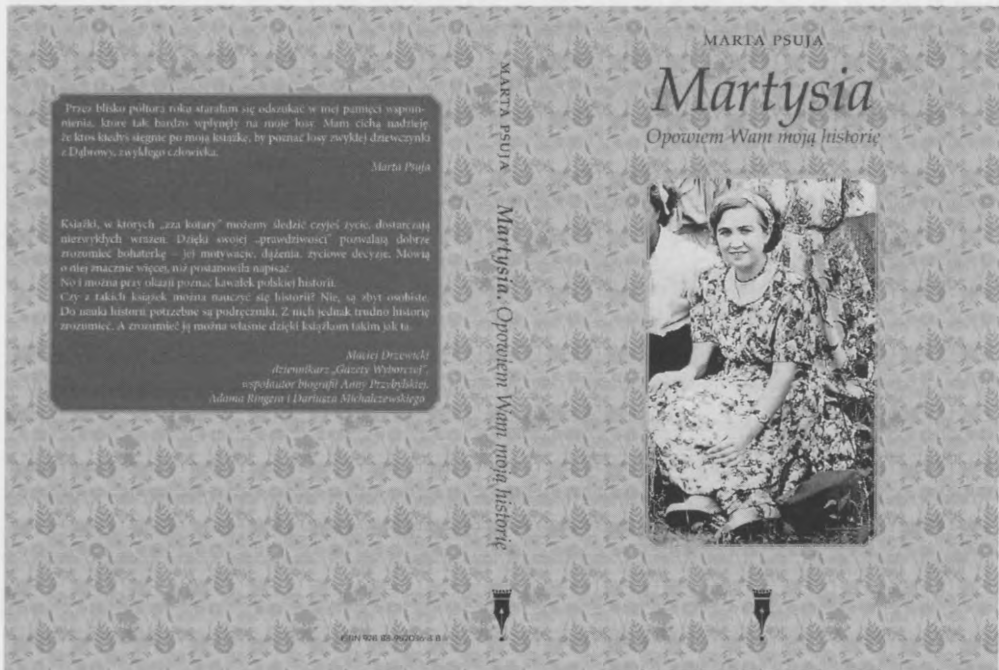
W tym przypadku czuła się pewnie zawiedziona, że miał wrócić tata, a na razie nie wróci. Dziewczynka odbierała to jak wielką niesprawiedliwość. - Nic nam się nie udaje - powiedziała ze złością. I znowu mama musiała dziewczynkom wszystko tłumaczyć, choć cierpieła bardziej niż one.

NIE MAMY NAWET NADZIEI

Jak szybko mija czas. Dopiero była piękna złota jesień, babie lato i złote liście na drzewach, a teraz już mamy grudzień i zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Aż strach pomyśleć, jak spędzimy te bardzo rodzinne święto. Nie ma części rodziny, nie ma sąsiadów, tatuś tak szybko nie wróci. Tak strasznie smutno i pustka dookoła. Tylko opuszczone domy wypełniają jeszcze tę przestrzeń i stwarzają złudzenie, że tutaj jeszcze toczy się życie. Ale nawet pozostawione koty, zrezygnowane, przeniosły się gdzieś dalej, by być bliżej ludzi. Czy je ktoś przygarnie, nie wiadomo. A co do świąt, to mama rozmawia z wujkiem Antkiem i cocią Kasią, że spędzimy je razem. Ich dwoje samotnych i nas samotnych czwórka. Ustroimy małą choinkę, powiesimy czerwone jabłuszka, duże i małe szyszki przywiezione z lasu na rozpałkę. Fredzia upiecze z ciemnej mąki ciasteczka, bo tylko taką zmieloną w żarnach mąkę mamy. Młyny, zniszczone przez Niemców, są ciągle nieczynne. Sołtys ogłosił, że w Zamościu na święta będzie można wymienić 50 kilogramów zboża na 30 kilo mąki.

Bardzo się cieszymy, że będą pierogi z grzybami i kołaczki z kapustą. Ciocia Kasia ugotuje fasolowej zupy, upiecze chleb i podplomyki z cebulą, tak że najemy się do syta. Przełamujemy się w wigilijny wieczór opłatkiem i na pewno nasze łzy nie przyniosą nam ulgi.



Okladka książki Marty Psuji

Tęsknoty za bliskimi, których kochamy, nie da się niczym zastąpić. Ale trzeba żyć i czekać, co znowu przyniesie los.

No i przyniósł coś jak najpiękniejsze światełko na choinkę. To był krótki list od taty, na który tak długo czekałyśmy. List wędrował do nas parę miesięcy. Jakiś żołnierz z okolic Zamościa przywiózł go z sobą. Tak list dotarł do poczty w Łabuniach, a później do naszego sołtysa i wreszcie do nas. Ileż to było radości, łez i zamieszania. List był krótki pisany jego ręką. Już to, że żyje było dla nas zapłatą za długi czas oczekiwania i niepewności. Ale dzięki Bogu, pisze że żyje i że jest leżący po poniesionych ranach...

Stan jego zdrowia jest poważny, ale lekarze robią co mogą, by mógł powrócić do Polski i do rodziny. Tata pisze, że z Anglii do Polski wracają trzech jego kolegów, bo stan ich zdrowia był zadowalający. Dotarli tylko do granicy i... słuch po nich zaginął. Nigdy nie wrócili do domów, a przecież wojnę przeżyli. Jak tylko będzie mógł pisać, to napisze więcej i poda adres swojego szpitala. Na razie wożą go po różnych szpitalach w Anglii, szukając dla niego ratunku. „Nie mówcie nikomu o liście, bo może to być dla was zagrożeniem. Nie płaczcie, będzie co Bóg da. Kocham Was, Władek”.

Nasza kochana mama, po przeczytaniu tego listu wpadła w rozpacz. Nie chciała z nami rozmawiać, a my płakałyśmy razem z nią. Gdzie jest nasza lepsza przyszłość? Gdzie nasze marzenia, które miały się spełnić po powrocie taty do domu? Ostatnie światełko w tunelu gaśnie, a z nim nasza lepsza przeszłość.

Mama jak w letargu długo leżała w łóżku z zamkniętymi oczyma. Bałyśmy się, że umrze i zostaniemy same. Siedziałyśmy więc cichutko. Fredzia ugotowała zupę, ale nie miałyśmy nawet uczucia głodu.

Dopiero wieczorem mama, bardzo osłabiona, wstała z łóżka. Poprosiła, abyśmy usiadły przy niej. Przytuliła nas do serca i już spokojnie mówiła, że trudno jej spojrzeć nam w oczy. Bo cały czas nam obiecywała, że już niedługo, gdy wojna się skończy i tata wróci będziemy szczęśliwe, a nasze życie się odmieni. „A teraz, co ja wam mogę dać? Nie mamy nic, nawet nadziei”.

SZTUM

Po Pierwszej Komunii mała Martynka wyjeżdża na wakacje do Sztumu, gdzie kilkanaście miesięcy wcześniej wyjechał spod Zamościa jej wujek z rodziną.

Dojeżdżamy do Sztumu. Dworzec kolejowy jest w dużo gorszym stanie niż ten w Zamościu. Sprawia przygnębiające wrażenie, tak jak i reszta Sztumu. Widziałam to, bo szliśmy piechotą około trzech kilometrów. Miasto było częściowo w gruzach, ale miejscami widać już, że Sztum wraca do życia. Są firanki w oknach, gdzieś dym z komina. Wujek chętnie odpowiada na moje docieklive pytania. A widok wielkiej wody w jeziorze po prostu mnie zachwyca, nigdy nie widziałam tak dużo wody.

Przez całą drogę wszystko wkoło mnie interesowało. Nawet nie byłam zmęczona i - na razie - smutna, że jestem daleko od mamy i kochanej Dąbrowy. Krystia martwiła się, że jak będziemy na miejscu, dołączę płakać za rodziną. Ale mój głód poznawania świata jest zdumiewająco wielki i nie wiadomo, czy na tęsknotę będzie czas.

Nie wiem, co mnie czeka. Ale myślę, że sprostam każdemu zadaniu, bo lubię wyzwania. Dziecko wojny, zahartowane głodem, zimnem i strachem... Teraz może być tylko lepiej. I na to liczę ze swoją dzieciinną roztropnością.

Sztum przywitał nas czerwcowym, ale chłodnym i szarym dniem. Dla mnie jednak i tak było pięknie. Kiedy weszliśmy na długą alejkę od szosy, widać było dwa gospodarstwa blisko siebie. A wkoło łąki i pola, i duże domy z ogrodami - dużo kwiatów, a wszystko ogrodzone.

ZOSTAJĘ W SZTUMIE

Pokusa pozostania w Sztumie była bardzo duża. Oprócz tych dobrodziejstw, z których dane mi było obecnie korzystać, to jeszcze uczyłam się posługiwania się igłą i nożną maszyną do szycia. Ciocia miała wielki dar do szycia i wszystkich nas obszywała. Zawsze mówiłam, że muszę zostać albo nauczycielką, albo krawcową, a predyspozycje podobno miałam do obu zawodów. Kiedy tylko ciocia miała coś do szycia, nie odstępowałam jej na krok. Pomagałam, co byłam w stanie pomóc, zachwycałam się, jak ciocia wyczarowywała jakąś ładną spódniczkę ze starej sukienki - i to dla mnie! Uszyła mi wiele innych rzeczy, które w razie powrotu do domu miałam zabrać ze sobą do Dąbrowy.

Czas powrotu się zbliżał, negocjacje trwały, a ja nie mogłam się zdecydować. Zrobiliśmy naradę rodzinną, a Krysia miała decydujący głos. Widziała jak rozwijam się w Sztumie, jak garnę się do szycia i różnych prac w polu czy ogrodzie i wszystko to mnie cieszy. Uznała - jako dobra starsza siostra, że utracone przez wojnę beztrioskie dzieciństwo powinnam tu choć trochę nadrobić. Po długim namyśle, że łzami w oczach, bezgłośnie kiwnęłam głową, że zostaję. Dzieci radośnie krzyknęły „hura”, wujek mnie przytulił i powiedział, że pójdzie mnie zapisać do szkoły, do trzeciej klasy. A wieczorem napiszemy list do mamy. Krysia obiecała, że jesienią pojedzie na kilka dni do mamy i wszystko im opowie. Jeśli Fredzia się zgodzi, to przywiezie ją do Sztumu, by zobaczyła jak tu jest. I jeśli tylko tatuś napisze, to uzgodnimy i zdecydujemy o dalszych losach rodziny. A dobry Bóg nam dopomoże.

A już za kilka dni rozpoczyna się rok szkolny. Chwilami wpadam w panikę, czy dam radę sprostać wymogom szkoły w mieście. Czy społeczność klasowa zaakceptuje mnie z moim śpiewnym zamojskim akcentem? Bo już to nie raz słyszałam uwagi na jego temat, ale się tego nie wstydzę. Bo kocham miejsce, gdzie się urodziłam. Myślę, że tutaj w Sztumie też sobie poradzę i udowodnię, że dziewczynka z małej wioski też ma ambicje, by spełniać swoje marzenia. Choć nie mam tatusia, który by mnie wspierał i dodawał otuchy, by było mi łatwiej osiągnąć wymarzony cel. Już teraz wiem, że na łatwiej nie mam co liczyć.

Nadszedł dzień 1 września 1946 roku. Wybieramy się do szkoły, a moje serce bije jak oszalałe, co mnie tam czeka. Krzyś, Todzia i ja jesteśmy odświętnie ubrani. Jeszcze Krysia pobiegła do ogródka po kwiaty, a my z nią. Wybrałam trzy piękne białe lilie, Todzia kolorowe astry, a Krzyś uznał, że chłopcy nie muszą wręczać kwiatów nauczycielom. Tak przygotowani, pod opieką Krysi, ruszyliśmy do szkoły. Mała Stasia i jej braciszek Antoś, płacząc, próbowali za nami dreptać. Ciocia zamknęła bramę. Na podwórzu na pewno Neron tego dnia będzie ich opiekunem, bo uwielbiał dzieci i nie robił im krzywdy.

W szkole zastaliśmy bardzo dużo dzieci na szkolnym boisku. To szkoła siedmioklasowa, wielu nauczycieli. Na razie czuję się bardzo onieśmielona. Próbuję jakoś nabrać pewności siebie, ale nie jest to łatwe w tak wielkiej gromadzie dzieci. Krysia widząc moją smutną minę i rozbiegane oczy chce mnie pocieszyć, ale ja wiem swoje, nie będzie łatwo. Część oficjalna dobiega końca. Oddycham z ulgą, bo i tak nie słuchałam, myślałam jak będzie w klasie i komu będę mogła wręczyć kwiaty. Krzys i Todzia są spokojni, bo już chodzili do tej szkoły i dobrze wspominają miniony rok. Trwa dzielenie klas, wyczytywanie nazwisk. No i w końcu słyszę: Martysia Szykułówna, klasa trzecia C, opiekunka Janina Maciukiewicz. Podbiegam do niej, kłaniam się i wręczam kwiaty. Trochę zawstydzona, chcę już odejść na bok, ale Pani mnie zatrzymuje i pyta skąd pochodzę, bo widzi że jestem nowa. Nowych, jak się okazało, jest więcej, bo sześć osób z różnych stron Polski. Z różnymi akcentami, jak zabużański, zamojski, śląski. Byli też autochtoni. Te akcenty najbardziej się wyróżniały, a w klasie było 24 uczniów. Bardzo miłą i uśmiechniętą wychowawczynię polubiłam od razu i emocje już opadły.

Gospodarze w Sztumie mieli bardzo dużo pracy, bo dostali wielkie jak na owe czasy wielohektarowe gospodarstwa, a ziemia była zaniedbana i trzeba ją było użyźnić, obsiać i dopiero oczekiwać na plon. To w większości małorolni gospodarze z małych i biednych wiosek. Na tych terenach trzeba się wykazać pracowitością i zaradnością. Nasz wujek z rodziną ma takie predyspozycje, bo - choć są tu dopiero od roku - żyje się im dość dobrze i wszystkim go przybywa. Na każdym kroku widać gospodarność i porządek. Wujek martwi się, że brakuje mu jeszcze maszyn rolniczych i inwentarza, czeka na dotację od państwa, taką doraźną pomoc dla osiedleńców. I będzie już tylko lepiej. Ja zaś marzę, by moją rodzinę tutaj sprowadzić. Tylko, że nie dostanie tutaj gospodarstwa, bo w Dąbrowie ma tylko mały domek i trzy morgi ziemi. To za mało, by dostać tu choć małe gospodarstwo. Takie są kryteria dla osiedleńców. Ale wujek już dowiadywał się w urzędzie, że nasza rodziny to tylko do spółdzielni albo do PGR-u, gdzie mieszkanie i praca są zapewnione.

Z POWROTEM W DĄBROWIE

Martysia po roku w Sztumie wraca do rodziny na Zamojszczyznę

Nasz biedny tatuś pisze listy, w których jest coraz więcej bólu i cierpienia. Literki coraz mniej czytelne, więc i dłonie prawdopodobnie odmawiają posłuszeństwa. Ciągłe pyta, na ile nam się poprawiło, od kiedy nam pomaga. Oczywiście teraz jesteśmy lepiej ubrane i w miarę najedzone, niczym jednak nie różnimy się od reszty mieszkańców. Chałupa wybielona, w ogródku dużo kwitnących krzewów i kwiatów, ale czy kiedyś je zobaczy?

Pod koniec szóstej klasy, tatuś przysłał kawałek materiału w kolorze khaki, z którego szyte były letnie mundury dla wojska. To prezent dla mnie, na szkolny mundur na zakończenie roku. Krawcowa uszyła z niego szeroką plisowaną spódniczkę i pięknie dopasowaną bluzę. Chuda Martysia wyglądała w niej jak księżniczka. Byłam szczęśliwa, kiedy kierownik szkoły na lekcji matematyki wziął mnie za rękę i wyprowadził na środek klasy, aby pokazać dzieciom, jak może wyglądać mundur szkolny. I że nie musi być granatowy. Byłam taka dumna, że nie mogłam opanować łez. Jaki mój tatuś jest dobry i kocha mnie - wiedział, co ma być uszyte z tego materiału. Starczyło go jeszcze na spódniczkę dla Zdzisi, z której

była dumna... Wujek Antek zrobił nam zdjęcie, z mamą w środku, które wysłaliśmy tacie. Odpisał, że w szpitalu wszyscy to zdjęcie oglądali i podziwiali, że tak pięknie wyglądałyśmy. Pisał, że płakał ze szczęścia, a pielęgniarki razem z nim. Jak wielkim przeżyciem musi być list od najbliższej rodziny, wiedząc, że nie ma się szans na powrót do domu...

„Są wśród nas tacy - pisze tata - których nikt nie szuka i nikt do nich listów nie pisze. Wspomagamy ich w cierpieniu, choć i nam ciężko jest żyć w obcym kraju, z dala od rodziny. Ważne, że Bóg trzyma nas przy życiu i za to wielkie mu dzięki”.

„WINY” TATY

Tymczasem w szkole na godzinie wychowawczej pani poinformowała nas, że w małym miasteczku koło Zamościa, w nowo otwartej szkole pedagogicznej zaczyna się rekrutacja do pierwszej klasy. Już teraz trzeba składać zgłoszenia. Rada pedagogiczna wybrała z naszej klasy trzy dziewczynki i jedną z nich była Martysia Szykułówna.

Nie posiadałam się ze szczęścia. Szkoła wypisała nam opinie i świadectwa za półrocze, potrzebne są jeszcze metryki ślubu rodziców i informacje, gdzie pracują. Dokumenty trzeba złożyć na wskazany przez szkołę adres. W ciągu dwóch tygodni razem z Fredzią dokumenty dostarczyłyśmy gdzie trzeba, a za miesiąc trzeba się jeszcze zgłosić w celu uzyskania potwierdzenia przyjęcia. Dla przyjętych miała być duża pomoc państwa. I nie tylko dla nich, ale i ich rodzin.

Nieskromnie myślałam, że jeśli nie ja, to kto. Byłam jednak świadoma, jakie niebezpieczeństwo na mnie czyha. W dokumentach, zgodnie z prawdą, napisałam że mama razem z córkami gospodarzy na trzech morgach ziemi, bez konia i krowy, którą zabili Niemcy. Tata zaś wojnę przeżył, ale był ranny i przebywa w angielskim szpitalu. I że tylko takie mamy o nim wiadomości.

Po miesiącu razem z moją koleżanką z Bródka wybrałyśmy się po wyniki. W tamtym miasteczku pracował w oświacie brat koleżanki, który obiecał nam, że w razie czego będzie nas wspierał i pomagał. Całą drogę do Zamościa, 12 kilometrów pieszo, przegadałyśmy jakie to będą z nas nauczycielki. Ona dobrze zbudowana, wygadana i zaradna, a ja tylko zaradna i wygadana, ale chucherko. W Zamościu wsiadłyśmy do autobusu, który wioził nas do wymarzonej szkoły. Choć wszystko mogło się zdarzyć, to jednak byłam podekscytowana i dobrej myśli. Z serca bił żar, a na białych zwykle policzkach pojawił się niespodziewany rumieniec. Koleżanka dotknęła nawet mego czoła by sprawdzić, czy z tego wzruszenia i podekscytowania nie dostałam gorączki.

Już żyłam tą chwilą, co usłyszę w sekretariacie i z jaką nowiną będę wracać do domu. Koleżanka trzymała mnie za rękę, by ostudzić moje emocje. Już za chwilę staniemy oko w oko z osobą, która przekaże nam decyzję, która być może odmieni nasze monotonne wiejskie życie.

Do szkoły dotarliśmy bez problemu, bo koleżanka już nie raz była u brata w tym małym, zadbanym miasteczku. Szkoła była duża, z czerwonej cegły, w ścianach mniejsze i większe wyrwy po kulach, ale wewnątrz było przestronnie, pachniało farbą i nowymi meblami. Na

oknach w doniczkach stały pelargonie, co stwarzało przyjazny klimat. Przyjechało już trochę dzieci z rodzicami lub rodzeństwem, nazwiska były wyczytywane, więc siadłyśmy zmęczone blisko sekretariatu, czekając na swoją kolej. Koleżanka była spokojna, bez emocji, z uśmiechem na twarzy. Mnie zżerała trema i lęk, że znowu może być coś nie tak. W końcu zostałyśmy wyczytane. „Dobrze, że to już, bo zaraz się tu do reszty rozsypię” - pomyślałam.

Za biurkiem siedział barczysty mężczyzna w średnim wieku. Dobrze ubrany, tubalny głos i krzaczaste brwi, typowy urzędnik z dystansem do drugiej osoby. Brakowało mu ciepła i przychylności do innych, w dodatku dzieci. Na biurku leżały rozłożone dokumenty, jak się okazało - koleżanki, a moje były chyba obok, w kopercie. Mężczyzna zadawał koleżance wiele pytań i tłumaczył, co należy jeszcze uzupełnić. Ciągłe typtał na mnie spod krzaczastych brwi. Od razu sobie pomyślałam, że odpadam, bo jestem za mała i za chuda. Sama już się dyskwalifikowałam. Ale, o zgrozo, najgorsze miało dopiero nastąpić. Nie pytana sama wyrecytowałam, że przez rok na pewno jeszcze podrosnę i przytyję, a lży same cisnęły mi się do oczu. Mężczyzna patrzył na to chucherko, jak się miota w swojej obronie. Milczał przez chwilę, kombinując w myślach jakich słów użyć, by przekazać dziecku, że dla dzieci andersowców mury szkoły są zamknięte.

Najpierw zapytał, dlaczego nie ma ze mną mamy lub starszej siostry. „Bo ty dziecko nie zrozumiesz, co mam ci do powiedzenia”.

Nie planował nawet zajrzeć do szarej koperty, tylko stukał w nią palcami. Najprościej jak umiał przekazał mi to straszne określenie - że mój ukochany tatuś „zdradził swoją ojczyznę, jest wrogiem numer jeden i nie zasługuje na miano polskiego żołnierza, a jeśli wróci do Polski zostanie surowo ukarany”.

Nijk nie mogłam zrozumieć, co tak straszego dla Polski zrobił tata, że trzeba go ukarać. Przecież walczył na wojnie, był ranny pod Monte Casino i cały czas cierpi.

Mężczyzna podał mi kopertę, powiedział, że w środku jest decyzja odmawiająca przyjęcia mnie do szkoły i jest napisane, dlaczego państwo polskie nie dołoży nawet złotówki do dzieci żołnierzy, którzy są wrogami i sprzeniewierzyli się ojczyźnie. „Najlepiej nie mówić nic nikomu gdzie jest wasz ojciec i uważajcie na siebie, bo wasz ojciec to wasze niebezpieczeństwo”. Jego dokumenty czy listy od niego najlepiej spalić, bo to zagrożenie dla całej rodziny.

W drodze powrotnej cały czas chlipałam, aż mi oczy spuchły. Jak mamie i siostrom mam powiedzieć coś tak straszego? Był to dla mnie prawdziwy dramat. Tu na wsi nie ma sekretów i wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, ażeby cokolwiek ukrywać.

Na wsi nikt się nie zna na polityce, bo nie ma skąd czerpać takiej wiedzy. Tata w listach wiele razy pisał, że kilku jego znajomych zaryzykowało powrót do kraju, ale żaden z nich do domu nie dotarł. I taka nagroda czeka tych, co przelali krew, również za Polskę.

Koleżanka szczęśliwa, ja rozdarta na strzępy, dotarłyśmy do Zamościa. Jeszcze 12 kilometrów na piechotę do domu, a ja już ledwo trzymałam się na nogach. Koleżanka pod-

trzymywała mnie na duchu, że może trafi się jakaś furmanka jadąca w stronę Dąbrowy i zabierze dwie zmęczone dziewczynki. I miała rację, bo do Barchaczowa dojechałyśmy wozem, a do domu zostało nam około 3,5 kilometra.

Koleżanka odprowadziła mnie do domu, bo bała się że padnę po drodze z fizycznego i psychicznego wyczerpania. Bałam się powrotu, bo jak mam przekazać mamie, że nasz tatuś to zły człowiek? I nawet jakby wyzdrowiał - choć szanse są niewielkie - to i tak nie może do nas powrócić. Nie chciałam mojej rodzinie sprawiać bólu słowami, jakie usłyszałam od mężczyzny z krzaczastymi brwiami i tubalnym głosem.

W domu szarą kopertę z dokumentami podałam Fredzi. Przeczytała te okropności drżącym głosem, a słowa te nie chciały jej przejść przez gardło. Było tam napisane, że nie jestem godna uczyć się w tej szkole, korzystając z pomocy państwa, skoro mój tata splamił honor polskiego munduru. Nie ma też pomocy dla jego rodziny. Najlepiej więc siedzieć cicho i niczego nie ujawniać - była to tak zwana „dobra rada”.

25 CZERWCA 1950

Był rok 1950. Jeśli dobrze pamiętam, niedziela 25 czerwca. Wybrałyśmy się z koleżankami do kościoła na mszę dla dzieci. Wystroiłam się w granatową spódniczkę i białą bluzeczkę z falbankami, uszytą oczywiście z nylonu, który przysłał tatuś. No i założyłam czerwone korale, które dostałam w paczce od tatusia, a podarowała je siostra przełożona z jego szpitala. Musiałam je założyć, by pochwalić się, jakie są piękne.

Kiedy msza dobiegała końca, usłyszeliśmy głośny płacz kobiet dobiegający z zewnątrz kościoła. Drzwi były otwarte, kobiety weszły do środka, cały czas płacząc. W kościele konsternacja, ksiądz na chwilę przerwał odprawianie mszy, wszystkie oczy zwrócone były w stronę płaczących kobiet zmierzających do ławki, w której zawsze siedziałam. W pewnym momencie poczułam na szyi ręce. To były ręce mojej mamy, która odpinała mi czerwone korale. Zdejmując mi korale z szyi głośno wołała: „Boże, dlaczego zabrałeś moim dzieciom ojca i są już sierotami”. Dopiero wtedy zrozumiałam, co się stało.

Był to dla nas koniec świata. Na samo wspomnienie trzęsą mi się ręce. Ksiądz poprosił, byśmy jeszcze chwilę wytrzymały w cierpieniu, a po mszy spróbuje nam pomóc. Tylko jak?

Nie pomogły jego słowa pocieszenia, choć działał w dobrej wierze. Ten dzień na zawsze pozostał w mojej pamięci - z czerwonymi koralami w tle.

Umarł nam tatuś, którego nawet nie mogłyśmy dobrze poznać, a mama na zawsze straciła męża, którym nawet nie miała kiedy się nacieszyć. Rozdział jej życia jako żony się zakończył. Nigdy nie pokochała innego mężczyzny, choć była jeszcze bardzo młoda. Zawsze uczyła nas, jak szanować mężczyznę, jak dbać o rodzinę i związek małżeński. Jej czasu zabrakło, a zły los zabrał jej człowieka, którego bardzo kochała. Nauki mamy aż za bardzo wzięłyśmy sobie do serca, bo w dalszym życiu nie zawsze było to dla nas korzystne. Byłyśmy jednak posłuszne mamie i przeżyłyśmy w małżeństwach długie lata. Moje trwało sześćdziesiąt jeden i pół roku, niewielu małżeństwom udaje się przeżyć razem tyle lat. Tylko Zdzisia nie wyszła nigdy za mąż. Po prostu nie chciała, choć mogła, taki był jej wybór. To ona mieszkała razem z mamą do końca, a obie otoczone były naszą opieką, bo bardzo jej potrzebowały. W tym pamiętnym dniu 25 czerwca 1950 roku czerwone korale i w ogóle czerwony kolor straciły dla mnie swój urok - na całe życie.

A tę mszę pełną łez i wrażeń parafianie na długo mieli w pamięci. Wielu ojców i mężów nie wróciło z wojny, a rozpacz rodzin utknęła w ich czterech ścianach. Nam tak się nie udało, bo nasz ból wy dostał się z domu w sposób niekontrolowany.

Martyśia w końcu postawiła na swoim - przeniosta się na stałe do Sztumu, zabierając ze sobą mamę, siostrę Zdzisię i siostrę Fredzię z mężem. *Przez lata prowadziła zakład krawiecki. Zawodu wyuczyła się jeszcze na Zamojszczyźnie.*

KOCHAM CIĘ, SZYCIE

Powoli moje życie w Sztumie zaczynało się stabilizować. O dziwo, nieźle też radziłam sobie w zawodzie. Klientki na szczęście nie odchodziły ode mnie, a raczej przyprowadzały następne.

W roku 1955, już jako dwudziestolatka, wyszłam za mąż za Franciszka, kowala i kombajnistę.

Franciszek też wywodził się wielodzietnej rodziny. Całą moją rodzinę miał po swojej stronie. Obaj wujkowie uznali, że taki fachowiec to skarb. I tak zaczęliśmy nasze wspólne życie prawie od zera. Dobrze, że obydwójce mieliśmy pracę, a przy dobrym gospodarowaniu można było coś odłożyć, bo czekaliśmy na obiecane mieszkanie z urzędu.

Po kilku miesiącach dostaliśmy mały domek do remontu w Sztumie, z możliwością rozbudowy. I w tym domu urodziły się nasze dzieci. W roku 1956 Marek, w 1962 Tomek, w 1965 Jacek, a w roku 1972 Agnieszka.

Pracowałam w „Praktycznej Pani” pod patronatem PSS. W pięć lat uzupełniłam edukację i praktykę zawodową na czeladnika, po trzech latach ma mistrza. Ukończyłam też kurs pedagogiczny pozwalający na naukę młodych w zawodzie krawcowej. Należałam do cechu rzemiosł różnych.

Po pięciu latach pracy w „Praktycznej Pani” powróciłam do pracy w swoim zakładzie, który mieścił się w naszym domu (okazało się, że można go rozbudować na tyle, że znalazło się miejsce na zakład z osobnym wejściem). Było to moje wymarzone królestwo i miejsce dla uczennic i klientek. Miałam szczęście do wspaniałych uczennic i bardzo sympatycznych i wyrozumiałych klientek. Byłam więc nie tylko krawcową, ale i instruktorką zawodu. Pracy było bardzo dużo, więc często musiałam zatrudniać do pomocy dodatkowe osoby. Z łezką w oku mogę przyznać, że czułam się spełniona. Z Franciszkiem wychowaliśmy zdrowe i dobre dzieci. W małżeństwie przeżyliśmy 61 lat.

GRÓB TATY

Byłam zawsze gotowa, aby podejmować jakieś wyzwania. Jednym z ich było pragnienie, aby kiedyś odnaleźć grób ojca. W moich planach to było ostatnie duże wyzwanie. Cały czas liczyłam, że to musi się udać. Mama przez lata powtarzała: „Gdzie to nasze biedaczysko leży”.

Był rok 2007, blisko dziesięć lat po śmierci mamy. W końcu udało się ustalić, że tata został pochowany w mieście o nazwie Penley. Posiadaliśmy tylko małą mapę z zaznaczonym miejscem i numerem grobu. Dzieci szybko ogarnęły temat, skontaktowały się z mieszkającymi w tej okolicy Polakami i po paru dniach znalazły dwa małżeństwa Polaków, które z kolei odnalazły grób.



Marta Psuja z wizytą w rodzinnej wsi na Zamojszczyźnie w 2018 r., fot. archiwum rodzinne

Co prawda było to teraz tylko puste miejsce, bo grób dawno przestał istnieć. Jednak dobrzy ludzie w miejscu grobu ustawili masywny krzyż, a my dostaliśmy z Polski tabliczkę z danymi taty. Po jakimś czasie otrzymaliśmy zdjęcie na dowód, że wszystko już gotowe.

W krótkim czasie po tym wydarzeniu moje dzieci, Tomek i Agnieszka, zorganizowali wyjazd do Anglii. Wraz z nimi i siostrą Krysią oraz czterema podróżnymi torbami pełnymi polskiego chleba i innych produktów dla naszych pomocników w Penley odbyliśmy lotniczą podróż.

Dla mnie to był „kosmos”, że się w ogóle udało. Już na lotnisku w Liverpoolu dużo osób na nas czekało. Nasz przyjazd stał się wydarzeniem także dla innych. Najważniejsze jednak, że w końcu stanęliśmy nad grobem tatusia. „Boże, czy to dzieje się naprawdę?” - myślałam wtedy.

To było wielkie wydarzenie w moim i siostry życiu. Nigdy tego nie zapomnę.

Nie zapomnę też miłego zdarzenia, kiedy gościliśmy na kolacji u starszych, obcych nam ludzi. Okazało się, że gospodarz domu jest synem lekarza mieszkającego przed wojną w Malborku, który leczył i opiekował się andersowcami w Penley. Gospodarz miał w domu książkę o żołnierzach Andersa, którzy już na zawsze zostali w Anglii. Znalazł się tam dość duży fragment o moim ojcu oraz o tym, że był mianowany do stopnia podchorążego, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy. Było zaskoczenie i łyż niedowierzania.

Aż trudno uwierzyć, że życie w tak niekontrolowany sposób ciągle nas zaskakuje. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że dzięki dobrym ludziom grób mojego ojca jest oznaczony, ma tabliczkę z nazwiskiem i ładny krzyż. Posadzone zostały żonkile i zapalone polskie znicze, których w Anglii nie ma. Pod żonkile wysypaliśmy ziemię przywiezioną z grobu mamy, z Polski, z ojczyzny, o którą walczył i za którą umarł.

Nasze marzenia zostały spełnione.

** Los Władysława Szykuły, ojca Marty, to materiał na inną opowieść. We wrześniu 1939 roku jego oddział został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną. Trafił na Wschód, do łagru aż w Republice Komi. Potem z armią Andersa przeszedł prawie cały szlak bojowy. Został ciężko ranny w bitwie pod Monte Cassino. Już nie wrócił do pełni zdrowia. Ostatnie lata życia spędził w szpitalu wojskowym w Penley w Anglii, śląc do rodziny w Polsce listy i paczki. Umarł w 1950 r.*

Marta Psuja jest dziś wdową, mąż Franciszek zmarł ponad trzy lata temu. Ma czworo dzieci, dziewięcioro wnuków i czworo prawnuków. Pisanie pamiętnika zakończyła na razie na połowie lat 50, ale myśli nad kontynuacją.

Wiesław Olszewski

CZAS OSTATNICH ŚWIADKÓW

W lutym 2008 roku Muzeum Stutthof rozpoczęło realizację projektu „Ostatni Świadkowie” - zbierania relacji audio i wideo od byłych więźniów KL Stutthof. Powstała wystawa, a przede wszystkim film przedstawiający relacje kilkudziesięciu byłych więźniów obozu. Dzisiaj większości z nich nie ma już wśród żywych, pozostał już jedynie ten zapis filmowy. Tylko pojedynczy z nich są jeszcze w stanie uczestniczyć w uroczystościach rocznicowych organizowanych przez Muzeum. Tak jak 9 maja 2019 roku Marek Dunin-Wąsowicz, który w krótkim, emocjonalnym, motywowanym własnymi, tragicznymi przeżyciami wystąpieniu, przestrzegał nas przed obecnymi w naszym życiu zjawiskami do złudzenia przypominającymi te z lat trzydziestych w Niemczech, a których skutkiem był Holokaust, ludobójstwo, miliony ofiar i jeszcze więcej cierpiących. W uroczystościach wrześniowych już nie uczestniczył, z braku sił czy z innych powodów?



Anna Dąbrowska, fot. D. Andrzejewska

Na stronie Muzeum Stutthof niemal co drugi wpis zaczyna się słowami „Pro Memoria” – informacja o śmierci kolejnego z byłych więźniów. W 2019 roku powtórzyły się siedmiokrotnie, a dotyczyły tych osób, które utrzymywały kontakty z muzeum, a nie wszyscy je utrzymywali¹.

Do grona tych ostatnich należy Pani Anna Dąbrowska. Poznałem ją oprowadzając po Muzeum grupę członków Stowarzyszenia Polskich Dzieci Wojny z oddziału w Iławie. Wspominała o swoim pobycie w obozie, przypominała swoje przeżycia. Przebywała w obozie dość krótko jako kilkuletnie dziecko, doczekała w nim końca wojny i wyzwolenia. Poprosiłem Panią Annę o spotkanie, pojechałem do Iławy, aby spisać jej wspomnienia.

Anna Dąbrowska z domu Potęga urodziła się 30 czerwca 1935 roku w Nieckowie koło Grajewa, tuż przy ówczesnej granicy Prus Wschodnich. Podczas okupacji niemieckiej Nieckowo nazwane było Galindenhoff. Stało się ono centrum administracyjnym powiatu grajewskiego i rezydencją powiatowego starosty. Majątkiem tamtejszym kierował niemiecki zarządca. Majątek powiększono o 900 hektarów ziemi zabranej okolicznym rolnikom, którzy zostali wywiezieni do Prus Wschodnich na przymusowe roboty. Rolnicy, którzy zostali, dostali nakaz pracy jako robotnicy rolni w Nieckowie².

¹ <http://stutthof.org>

² <https://pl.wikipedia.org/wiki/Nieckowo>

Ojciec, Stanisław Potęga, z zawodu murarz, wybudował solidny murowany dom, zajęli go Niemcy na jeden z urzędów Landratu. Rodzina, jak większość ze wsi, trafiła na roboty przymusowe do Prus, na ponad trzy lata. Załadowani na grajewskim dworcu do bydłęcych wagonów, pojechali w okolice Królewca, do pracy u niemieckiego bauera. Cała rodzina, oprócz ojca – matka Józefa, syn Antek i córki Maria i Anna. W majątku dostali całkiem ładne, dwupokojowe mieszkanie w domu, który dzielili z niemiecką rodziną. On pochodził ze Śląska, ona zapewne miejscowa, mieli dwie córki w wieku Anny.

Matkę zatrudniono przy obsłudze krów, ojciec i brat pracowali przy koniach, w polu, a trzynastoletnia Maria pomagała w kuchni. Anna spędzała czas na zabawie z niemieckimi dziewczynkami, szybko nauczyła się sporo mówić po niemiecku. Często była wręcz karcona przez matkę za mówienie w tym języku.

Okresu tego nie wspomina źle, nie głodowali. Wprawdzie na przydziałowe kartki mogli kupić tylko kości, na których matka gotowała, ale i w inny sposób zdobywali jedzenie. Przy krowach z matką pracował również sąsiad Niemiec. Wprawdzie udojone mleko było zamykane, ale potrafił on, dostosowaną do tego rurką, ściągnąć część śmietany. W specjalnej menażce ukrywanej pod spódnicą wynosiła ją matka Anny. W ukrywanej na strychu maselnicy rodziny na przemian robiły masło, było go pod dostatkiem. Trzeba się było mocno kryć, bo dość częstymi były rewizje żandarmów. Miewali też mięso, zwłaszcza na święta. Zawdzięczali je polskiemu jeńcom wojennym pracującym w majątku, zwłaszcza jej późniejszemu szwagrowi, Sabinowi Paradowskiemu. Oni właśnie, w sobie tylko wiadomy sposób, sprawiali, że jeden z tuczników w chlewni zapadał na śmiertelną chorobę, wołali gospodarza, on stwierdziwszy padnięcie zwierzęcia kazał je wywieść poza budynek i zakopać, towarzyszył osobiście przy kopaniu dołu i wrzuceniu tam padliny, a po częściowym przysypaniu odchodził. To był czas, gdy jeszcze można było zwierzaka wydobyć, upuścić krew i zachować pełną wartość mięsa. Trudno uwierzyć, by postawa tego doświadczonego rolnika wynikała z jego naiwności! Tym bardziej, że podobne zachowania wykazywała też żona gospodarza. Bywało, że wołała: „Anna, komm, essen”. Kazała jej wtedy pilnować, by gęsi i kaczki nie wchodziły do ogrodu i sadu, nikt natomiast nie pilnował, by w tym czasie mała Ania nie korzystała z rosnących tam przysmaków. Stworzyli sobie wtedy Niemcy system, w którym jeśli mieli nawet ludzkie odruchy, to musieli się z nimi mocno kryć.

W gospodarstwach w tej wsi pracowali niewolnicy różnych narodowości, również jeńcy wojenni, wśród nich żołnierze wrześnie. Wojskowi zakwaterowani byli w długim baraku, specjalnie zapewne dla nich zbudowanym. Polscy jeńcy, po pracy, w święta, często bywali w mieszkaniu Potęgów. Z robotnikami innych narodowości rodzina raczej nie utrzymywała kontaktów.

Gdy przyszedł dla dziewczynek sąsiadów moment pójścia do szkoły, nie wyobrażały sobie, aby iść tam bez Ani, zdobyły nawet dla niej tabliczkę i „gryfel”. Poszła z nimi do szkoły, zdezorientowana nauczycielka nawet to tolerowała. Trzeciego dnia pojawił się jednak w klasie kierownik szkoły i kategorycznie zabronił jej dalszego przychodzenia. Przeżyła to jako okropną tragedię.

Pod koniec czerwca 1944 roku, niemal dokładnie po trzech latach niewolniczego wprawdzie, lecz dość spokojnego życia, pojawiły się zwiastuny zmian. *Lekkie, ledwo wyczuwalne*

tąpnięcia, jakby echo dalekiego trzęsienia ziemi, od którego drżała zalana słońcem kraina. Potem nagle drogi zapętniły się uchodźcami z Litwy, a na przelaj przez dojrzałe do żniw pola ciągnęło bezpańskie bydło, pchane tym samym, nieprzezwyciężonym parciem na zachód.³

Już jesienią, początkowo na niewielką skalę, rozpoczęto akcję ewakuacji, narastała wraz ze wzrastaniem zagrożenia. Pod koniec roku przyszedł rozkaz ewakuacji wsi zesłania Potęgów. Wtedy jeszcze odbywało się to w sposób zorganizowany, z zachowaniem porządku. Pierwsi wyjechali Niemcy, później robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni. Do transportu przydzielono wozy drabiniaste, jeden na dwie rodziny. Tak, pod strażą żandarmów, ruszyła ogromna kolumna na zachód. Początek zimy 1944 roku w Prusach Wschodnich był zaskakująco ciepły. Mieszkańców Warmii, Mazur i okolic Królewca nie dotknęły jeszcze 25-stopniowe mrozy, które miały nadejść już nie długo. Na razie temperatura wahała się w okolicach zera. Na noc zatrzymywali się w opuszczonych wsiach, nocowali w pustych domach. „Opuszczona ziemia, zagrody i wioski trwały jak zaczarowane w blasku tej niebywalej jesieni...” – opisuje dr Hans Lehndorff. Stały jeszcze nienaruszone, były w nich meble, naczynia, pościel, a także jedzenie. Często stały też choinki, jeszcze nieustrojone, gdyż było to przed świętami. Pamięta, że tych noclegów było co najmniej kilkanaście. Do czasu zajęcia Elbląga przez Armię Czerwoną ewakuację prowadzono przez Żuławy, do przepraw na Wiśle i dalej do Gdańska i Gdyni. Pierwsi uchodźcy z Litwy pojawili się w Elblągu już w początkach jesieni⁴. Później musieli ruszyć dalej: *Pierwsza fala uchodźców z krańców Prus Wschodnich[...] przeszła przez Żuławy i Tiegenhof w ostatnich tygodniach 1944 roku*⁵.

- *Widziałam uciekających Niemców z terenów Prus już od Bożego Narodzenia* – wspomina Regina Trzos pracująca wtedy przymusowo w Starocinie koło Nowego Dworu Gdańskiego⁶.

O tym okresie pisze Brunon Zwarra: *Pewnego dnia napiętnowano w gdańskim dzienniku mieszkańców za stanie na chodnikach i ostentacyjne przyglądanie się ciągnącym ulicami od kilku dni długim pochodom uchodźców z Prus Wschodnich*⁷. Do końca 1944 roku, mimo ograniczeń ze strony Hitlera i Kocho, w sposób zorganizowany ewakuowano z Prus Wschodnich około pół miliona mieszkańców. Plan ewakuacji obejmował również więźniów różnych kategorii i robotników przymusowych.

Ich kolumnę zatrzymano prawdopodobnie przed przeprawą promową w Mikoszewie, „konie i wozy zostały w lesie”. Ostatnie kilometry odbyli już pieszo, kazano zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, pamięta, że ona nie niosła nic. Nadeszły mrozy i głęboki śnieg, dzieciom sięgał wręcz po pachy. Prowadzeni byli długą kolumną do obozu w Stutthof.

Był to już styczeń 1945 roku, dokładnie nie wie kiedy. W obozie panował już chaos. Ich transport umieszczono w trzech barakach części zwanej Nowym Obozem. Były one w straszliwym stanie, nie było prycz, spali na podłodze. W podmurówkach baraków były dziury, przez które mógł się przecisnąć nawet dorosły człowiek, dzieci przechodziły swobodnie. Wiele wskazuje na to, że było to po 25 stycznia, gdy na „Marsz Śmierci” wyprowa-

³ Hans Lehndorff, *Dziennik z Prus Wschodnich. Zapiski lekarza z lat 1945-47*, Wydawnictwo Karta, Warszawa 2013.

⁴ Tomasz Stężala, *Elbing 1945 Odnalezione wspomnienia*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2010.

⁵ Marcin Owsiański, *Tiegenhof/Nowy Dwór w 1945 roku Koniec i początek miasta na Żuławach*, Sztutowo 2017.

⁶ *Taki był Malbork... wspomnienia*, w opracowaniu Bogusława Krauze i Piotra Topolskiego, Malbork 2016.

⁷ Brunon Zwarra, *Wspomnienia gdańskiego bówki*, T. 3, Wydawnictwo Marpress, Gdańsk 2001.

dzono ponad 11 tysięcy więźniów. Mogło to jednak być wcześniej, pierwsze objawy paniki i chaosu pojawiły się w obozie już bowiem zaraz po 13- tym stycznia, gdy ruszyła ogromna ofensywa dwóch frontów Armii Czerwonej⁸. Był to jeszcze okres, że ktoś zaintonował kołędę, po chwili śpiewał cały barak, jednak ryk funkcyjnych zamknął im usta - wszyscy tylko pospuszczali głowy – wspomina. W ich barakach funkcjonowała również instytucja „sztabowych”, w innych częściach obozu przebywali wtedy więźniowie w charakterystycznych pasiakach. Esesmanom pomagała, istniejąca od końca 1944 roku, policja obozowa złożona z niemieckich więźniów kryminalnych i politycznych⁹. Jako straszne przeżycie wspomina uderzenie w twarz przez jakiegoś, najprawdopodobniej, funkcyjnego więźnia.

Wprawdzie dopiero od połowy marca 1945 roku, za oficjalnym przyzwoleniem komendanta, zaczęto do obozu kierować uciekinierów niemieckich wraz z towarzyszącymi im robotnikami przymusowymi różnych narodowości¹⁰, w jakimś stopniu sankcjonowało to zapewne stan już istniejący.

Umieszczono ich całą rodziną razem. Panował straszliwy głód, posiłki otrzymywali z kuchni, „była to jakaś cuchnąca lura”, brak wody i niewyobrażalne wręcz roje wszy. Dzieciom na noc dłonie obwiązywano szmatami i wiązano, by się nie drapały, zagrażało to bowiem nawet ich życiu. Niedługo po przybyciu do obozu dzieci zabrano do rewiru, by

⁸ Marcin Owsiański, *Stutthof historia miejscowości i gminy od średniowiecza do maja 1945 roku*, Sztutowo 2014.

⁹ Danuta Drywa, *Zagłada Żydów w Obozie Koncentracyjnym Stutthof 1939 – 1945*, Muzeum Stutthof w Sztutowie, Gdańsk 2001.

¹⁰ Elżbieta M. Grot, *Ewakuacja morska więźniów KL Stutthof przez Rugię do Danii w 1945 r.*, Sztutowo 2015.



Uchodźcy uciekający z Prus Wschodnich, 1945. Źródło Bundesarchiv, licencja Attribution-Share Alike 3.0 Germany

dokonać szczepienia, „na odporność” – jak poinformowano. Ustawione w rządku otrzymały kolejno zastrzyk w ramię, po którym pojawiły się w tym miejscu bardzo bolące „gule” wielkości dziecięcej główki. Do dzisiaj ma w tym miejscu bliznę o rozmiarach 3x7 cm. „Ślady po tym czasie mam w pamięci i na głowie i na ręku.” Nie wie co to był za środek i czy nie był to jakiś medyczny pseudoeksperyment.

W obrębie ich trzech baraków mogli poruszać się swobodnie, dzieci bawiły się, najczęściej w ogromnej przymie zniszczonych butów i ubrań. Gdy nadeszła wiosna wyszukiwały kielkujące trawy, chwasty, by je jeść. Cały czas czuć było charakterystyczny odór dochodzący od strony krematorium. Dorośli nie pracowali, czasami tylko brano mężczyzn do różnych prac. W takich okolicznościach stracili ojca. Wraz z innymi zabrano go „nad Wisłę” do kopania dołów i grzebania zwłok. Najprawdopodobniej było to przy przeprawie w Mikoszewie, gdzie wielu uchodźców czekając w kolejce na prom umierało. Tam również esesmani zastrzelili co najmniej kilkanaście Żydówek w trakcie oczekiwania na ewakuację morską w kwietniu 1945 roku. O losie ojca dowiedzieli się od kolegi, który z nim tam był: *Był już mocno chory na astmę, nie miał siły pracować, to pewnie dlatego esesman zastrzelił i jego.*

Ewakuacją drogą morską, która miała miejsce w dniach 25 – 27/28 kwietnia, objęci zostali także i oni. Ustawionych w kolumnę poprowadzono „do morza” – zapewne do przeprawy w Mikoszewie, część kolumn prowadzono po plaży, brzegiem morza. Jako rodziny z dziećmi „wlekli się na końcu”, gdy doszli, miejsca na statku już nie było, zawrócono ich do obozu. Być może w ten sposób uniknęli jeszcze bardziej tragicznego losu.

W tym czasie, po wyprowadzeniu większości więźniarek, spalono baraki obozu żydowskiego.¹¹ Pozostających wtedy w obozie więźniów wypędzono z baraków, stojąc przy ogrodzeniu obozu żydowskiego musieli być świadkami. Przed podpaleniem pozabijano deskami otwory okienne i drzwiowe uniemożliwiając pozostającym jeszcze w barakach kobietom ucieczkę. Płonące baraki obserwujące to dzieci odbierały jako swoistą „atrakcję”, dorośli płakali. Matka powiedziała, że jutro pewnie to samo zrobią z nimi.

Po południu 7 maja, w przeddzień św. Stanisława, imienin ojca, matka zwołała całą ich trójkę, by wspólnie pomodlić się za jego duszę. To wtedy pojawiły się w obozie ulotki zrzucone przez radziecki samolot nawołujące Niemców do poddania i groźbie bombardowań. Wspomina o nich wielu więźniów, były pisane po rosyjsku i niemiecku.

Następnego dnia okazało się, że Niemców nie ma. Obawiając się bombardowań obozu (miały one miejsce już wcześniej), więźniowie przez dziurę wyciętą w ogrodzeniu uciekli do lasu. Działania te inicjował i przewodził im jej późniejszy szwagier, Sabin Paradowski i jego koledzy, również żołnierze września 1939 roku. Ukryli się w jednym ze schronów leśnych budowanych przez więźniów zimą i wiosną 1945 roku w pobliżu obozu. Schroniło się tam bardzo wielu ludzi, dla wielu jednak miejsca w schronach nie wystarczyło, tam przeczekali ostatnią nawałę ognia. Była to pewnie ta kanonada, która miała miejsce już po podpisaniu kapitulacji przez hitlerowskie Niemcy: *O 8 wieczorem do sztabów 17-tej 96-tej dywizji piechoty przyszedł radiogram o wstrzymaniu o 23.00 8 maja ognia ze wszystkich rodzajów*

¹¹ Danuta Drywa, *Zagłada Żydów w Obozie Koncentracyjnym Stutthof 1939 – 1945*, Muzeum Stutthof w Sztutowie, Gdańsk 2001.

broni, ale ponieważ do końca wojny pozostawały ponad trzy godziny, dowódca nacierających dywizji, za zgodą dowódcy 48-ej armii generała-pułkownika N.I. Gusiewa, postanowili dać ostatnią artyleryjską salwę ze wszystkich posiadanych dział i moździerzy. Po godzinie na niemieckie pozycje spadła nawalnica ogniowa, artylerzyści starali się z całej duszy, wszyscy chcieli wystrzelić na wroga jak najwięcej pocisków. Jednak na samym początku ostrzału artyleryjskiego na pozycji 96 dywizji piechoty wyszedł nasz jeńiec i oznajmił, że przed pozycjami dywizji znajduje się obóz koncentracyjny Stutthof i że go przysłał niemiecki oficer ze straży obozowej z prośbą, żeby dowództwo radzieckie zaprzestało ostrzeliwać obóz, jeżeli uzna to za możliwe. Z taką prośbą zwrócił się także i dowódca IX. Korpusu Armii generał artylerii Wuthman do dowodzącego 48. Armią. Ogień artylerii wstrzymano natychmiast¹².

Wyszli rano, gdy panowała kompletna, niezwykła cisza, wstawał piękny, słoneczny dzień 9 maja 1945 roku. Zapamiętały go miliony ludzi w Europie. Zobaczyli w pobliżu liczne ciała zabitych. W pobliżu schronu stał niemiecki wojskowy samochód. Gdy go otworzyli, okazało się, że jest wypełniony żywnością: konserwami, czekoladą, papierosami. Pozwoliło to przetrwać im pierwsze dni wolności.

Nie zatrzymywani przez nikogo, po wyściskaniu się i pożegnaniu z innymi, wyruszyli w kierunku domu: *Obok niewielkiej grupy więźniów obozu 9 maja swobodę odzyskała wielka masa robotników przymusowych oraz cywilnych uciekinierów przebywających od kilkunastu tygodni w barakach w Nowym Obozie. Było wśród nich wiele rodzin z małymi dziećmi. [...] Prawie wszystkie wyzwolone w obozie osoby, które były zdrowe i czuły się na siłach, opuściły teren obozu po południu 9 maja 1945 roku, [...] Uwolnieni kierowali się jedyną suchą drogą do Elbląga między kolumnami jeńców niemieckich¹³.*

Kierowali się na Białystok, żadne pociągi nie kursowały, szli pieszo. Czasami ktoś zabrał dzieci na furmankę. Wsiadali wtedy z jedną osobą dorosłą i choć kawałek podjeżdżały, później czekali na nadejście pozostałych. Nogi miała poranione straszliwie. Jedli to, co dostali od ludzi, a litowano się nad nimi, zwłaszcza nad dziećmi. Myli się przy studniach, spali w stodołach lub na dworze, na szczęście było ciepło. Te straszliwe ilości wszy, jakie nieśli na sobie, nie pozwalały im wchodzić do ludzkich domostw. Często byli zachęcani, zwłaszcza dzieci. Matka wtedy mówiła: „nie dziecko, narobiliśmy im krzywdy”. Pani Anna nie pamięta, by w trakcie tej wędrówki ktoś ich zatrzymywał czy kontrolował.

Ostatnią noc przed wsią rodzinną spędzili w wujostwa w leśniczówce. Myli się jak wcześniej przy studni. Próbując opanować wszawicę, jej pokaleczoną głowę wysmarowali naftą. Okropny ból wywołał szok, uciekła do lasu, zemdłała. Szukano jej długo.

Gdy dotarli do Niećkowa okazało się, że ich domu nie ma, wysadzili go w powietrze uciekający Niemcy, miejscowi powybiali ocalałe cegły, „została tylko kupka gruzu”. Zamieszkali kątem u sąsiadów.

Po ukończeniu szkoły podjęła naukę w szkole dla wychowawczyń przedszkoli w Grajewie. Szkoła był wprawdzie bezpłatna, ale już internat owszem. Rodziny nie było na to stać. Za namową zaprzyjaźnionej nauczycielki wyjechała do Olsztyna, gdzie podjęła naukę

¹² Marcin Owsiański, *Naznaczeni Stutthof—Obozy—Sztutowo w latach 1945—1962 Dzieje gminy, gromady i miejsca pamięci*. Sztutowo 2015.

¹³ Tamże.

w szkole pielęgniarstwie. Nauka, mieszkanie i utrzymanie było bezpłatne, szybko nadrobiła różnice programowe. Jako absolwentka dostała nakaz pracy do Kętrzyna, pracowała w zespole dr Łapucia. Gdy przeniesiono go do Ławy, przeniosła się również. Tam w dawnych pruskich koszarach od podstaw tworzyli szpital. Przepracowała w nim aż do momentu przejścia na emeryturę.

W archiwum Muzeum Stutthof nie zachowały się żadne dokumenty potwierdzające jej pobyt w obozie. Na podstawie oświadczeń świadków przyznano jej uprawnienia kombatanckie, otrzymała też świadczenie z tego tytułu, „przydało się, akurat wtedy dom budowaliśmy” – mówi z uśmiechem. Do dzisiaj jako filigranowa starsza pani zamieszkuje w nim wraz z synem.



Ucieczka z Prus Wschodnich jesień 1944 t. <http://historia-wyznanaelblaska.pl>

Danuta Zalewska

Żuławskie opowieści

LASOWICE WIELKIE – dobra wieś do mieszkania



Występ Kola Gospodyń Wiejskich z Lasowic Wielkich. Danuta Zalewska w środku, fot. archiwum

Nasza rodzina znalazła się w Lasowicach Wielkich na Żuławach w marcu 1949 roku. Jako osadnicy zamieszkali tutaj wówczas: moi rodzice Alfreda ze Stelmachów i Józef Piśkiewiczowie, którzy byli akurat świeżo po ślubie, a także mój dziadek Władysław Stelmach i babcia Marcela.

W czasie wojny ojciec został wywieziony na roboty przymusowe do III Rzeszy. Przebywał w głębi Niemiec i w czasie ataku aliantów na tamte tereny akurat pracował na polu. Dostał się pod ogień artyleryjski i był bardzo ciężko ranny. Nie dawano mu żadnych szans na przeżycie.

- Z tym to już chyba nic nie będzie – słyszał, jak go zabierali z tamtego pola do szpitala. Dlatego wzięli go na samym końcu, bo myśleli, że z nim już koniec.

W tym szpitalu w Niemczech, już po wyzwoleniu przez Amerykanów, przebywał dwa lata. A kiedy się już całkiem wykurował, ruszył do domu, do Polski. To było jesienią 1948 roku.

Mój ojciec pochodził z Lubelszczyzny, wioska Makowiska, gmina Żółkiewka, powiat Krasnystaw. Mój pradziadek Bandosz (nazwisko rodowe mojej babci) miał tam duże gospodarstwo, a mojemu ojcu należało się po nim pięć hektarów ziemi. Ale to już było trzy lata po wojnie, więc wszyscy w rodzinie myśleli, że ojciec już dawno nie żyje. Przecież jakby żył, to by chyba wrócił z tych Niemiec? Dlatego też ojciec został z niczym. Tam w Lubelskiem był straszny głód ziemi! Pola były wąskie, dzielone na niewielkie działki, ciasnota. Tak samo ciasno było w domach. Nieraz dwie gospodynie musiały gotować w jednej kuchni! Ciężko było tak gospodarować.

Po powrocie do domu, w styczniu 1949 roku, ojciec ożenił się z moją mamą, Alfredą Stelmach, która pochodziła z pobliskiej wioski Poperczyn. Stelmachowie mieli tylko dwie morgi ziemi, więc też nie było tam co dzielić.

Rodzice postanowili więc wyjechać na Ziemię Odzyskane. Ojciec wracał do domu z Niemiec przez Szczecin. Tam, w zachodniopomorskim, widział, jak wiele ziemi leży odłogiem, a domy po Niemcach wciąż stoją puste. Ojciec więc myślał, że pojedzie tam, poszuka jakiegoś pustego domu i tam się wprowadzą. Jak wyjeżdżał na te Ziemię Odzyskane, to zabrał się z nim teść, czyli mój dziadek Stelmach. Mieli po drodze zjechać na Żuławy, do Lasowic Wielkich, bo tutaj wcześniej już osiedlił się brat mojego dziadka. Mieszkali tu niedaleko, dwa domy dalej, teraz już tam mieszka kto inny. No i zamiast w Szczecińskim, wylądowali tutaj, bo tak im się tu spodobało.

Ten dom, w którym teraz mieszkamy, był już zajęty. W jednej połowie mieszkał sąsiad, a tę obecnie naszą połowę zajmował pierwszy osadnik, który zamierzał się stąd wyprowadzić. Ojciec wszystko obejrzał i spodobał mu się ten dom, bo był bardziej nowoczesny. Jak był na tych robotach u bauera w Niemczech, to widział, że oni tam mieli bardziej rozwiniętą technikę. A tu – dom był porządny, z cegły i miał centralne ogrzewanie. Była woda do pojenia zwierząt w oborze, a w domu był ponemiecki hydrofor, wprawdzie wtedy już nieczynny, bo ci pierwsi właściciele go trochę zdewastowali, ale zawsze był. Ojciec miał zapłacić temu właścicielowi odstępne i mógł się wprowadzać. Tutaj też łazienka była po

Niemcach, nawet z kotłem do grzania wody, ale to w tej drugiej części domu. My w tej naszej mieliśmy tylko pokoje. Więc z jednego pokoju zrobiliśmy sobie kuchnię, no i łazienkę swoją też zrobiliśmy, podłączyliśmy się do istniejącego szamba. Z wodą to z początku było trochę prymitywnie, bo tego hydroforu nie było, więc wodę pompowaliśmy do takiego dużego pojemnika, który ojciec umieścił na strychu. Wodę do niego pompował wieczorem, dzięki czemu przez cały dzień mieliśmy wodę do kuchni i do ubikacji. Bo tu była też ubikacja w domu, nie musieliśmy biegać za stodołą jak inni we wsi. No i pierwsi we wsi mieliśmy centralne ogrzewanie!

Tak więc, jak tylko zapłacili temu pierwszemu osadnikowi, to ojciec z dziadkiem pojechali z powrotem w Lubelskie, tam sprzedali co tylko się dało i wrócili do Lasowic z pieniędzmi. Zapłacili temu osadnikowi i mogli się tu już sprowadzać.

Na dobre osiedli w tym domu razem z dziadkami w marcu 1949 roku. Przyjechali koleją z całym dobytkiem. Z Lubelskiego przywieźli jednego konia, dwa prosiaki i jedną krowę. Mama tę krowę prowadziła pieszo z Malborka. Potem zawsze opowiadała, jak było jej ciężko iść wtedy, bo było zimno, był marzec, a ona szła w tenisówkach i strasznie marzły jej nogi. Taka była biedna, że nie miała żadnych innych butów, tylko te szmaciane tenisówki. Ojciec to sobie przywiózł z Niemiec jakieś lepsze buty, w ogóle lepiej był przyodziany, a mama to tak raczej biednie była ubrana. No i rodzice jako młoda para po ślubie zaczęli tutaj gospodarzyć razem z dziadkami.

Urodziłam się już tutaj, w tym domu, w 1951 roku. Jako pierwszy z naszego rodzeństwa urodził się w 1950 roku mój brat, ja byłam druga z kolei, a potem jeszcze dwie młodsze siostry. Razem była nas czwórka. Rodzice dostali od państwa Akt Nadania ziemi. Ojciec dostał 11 hektarów i 62 ary, a dziadek około dziewięciu hektarów. Tak więc razem mieli nieco ponad dwadzieścia hektarów.

Ten nasz dom to był jeden z najbardziej solidnych we wsi. Zdaje się, że on stoi w miejscu, gdzie od dawna, może jeszcze od czasów krzyżaków, było jakieś siedlisko. Jak się zaczęło to przyjeżdżanie Niemców do Polski, to nas tu kiedyś odwiedził syn ostatniego niemieckiego właściciela. On po wojnie wyjechał do Kanady i tam podobno zmarł w biedzie. Ten pan mi opowiadał, że oni tu wszystko zostawili, całe gospodarstwo, zwierzęta, krowy, konie...

Innym razem pojawił się u nas na podwórzu jakiś obcy człowiek, chodził i oglądał wszystko. Ojciec wyszedł i pyta, czego on szuka. I to też był Niemiec! I on mówi, że ogląda, bo podczas wojny tu były krowy i konie, a jak oni szli zimą 1945 roku i usłyszeli, że te krowy tak ryczały, to się tutaj zatrzymali na tydzień. Mieszkali tu i obrządzali te zwierzęta.

- A czemu żeście tu nie zostali? – zapytał go ojciec.



*Ślubne zdjęcie Danuty i Eugeniusza Zalewskich,
fot. archiwum*

- Bo Armia Czerwona była już w Malborku i trzeba było uciekać dalej – odpowiedział tamten.

Z początku to nasze gospodarstwo było indywidualne, ale jak nastąpiła spółdzielnia produkcyjna, to trzeba było oddać ziemię i zwierzęta do tej spółdzielni. Rodzice też tam pracowali w tej spółdzielni.

W 1956 roku, po śmierci Stalina, spółdzielnia zaczęła się rozwiązywać. I dopiero po rozwiązaniu spółdzielni Lasowice Wielkie zaczęły się naprawdę rozwijać. To był najlepszy okres w historii wsi, jaki pamiętam. W czasach PRL-u to była naprawdę dobra wieś do mieszkania. Zjechali się tu ludzie z różnych stron Polski: z Lubelskiego tak jak my, z Radomskiego, z Kieleckiego, Krakowskiego, a także zza Bugu, z terenów dzisiejszej Białorusi i Ukrainy (Wołyń). Nieraz trafiały tu całe rodziny. Największa i najbardziej rozgałęziona to była chyba rodzina Szyszków.

Jak moi rodzice wystąpili ze spółdzielni, to zaczęli znowu pracować na swoim. Budynki gospodarcze to całe lata mieliśmy z sąsiadami na spółkę. Dopiero w 1973 roku ojciec wystąpił do sądu o podział obory i stodoły. Wtedy my dostaliśmy tę stronę bliżej domu, gdzie stoi obora. Ale za to musieliśmy spłacić sąsiada i on wybudował sobie za to nową oborę. Stodoła też była wcześniej dzielona z sąsiadami, ale nie tak po równo, tylko tak, że te nasze części były przeplatane na przemian. Sąsiad był tu wcześniej, był starszy, bardziej doświadczony, więc wybrał sobie te lepsze miejsca w stodole, a ojcu zostały te gorsze. Jak już jednak przyszedł sąd, to nas dzielił po równo. Trzeba było się przenieść. W ten sposób musieliśmy przejść na koniec stodoły, bo tak nam wypadło z tego podziału.

Moja mama Alfreda od początku działała w Kole Gospodyń Wiejskich. Była pierwszą przewodniczącą tego koła. Zastępcą wtedy była Maria Stelmach, a skarbnikiem Łucja Kielbik. W działalności koła bardzo pomagał nam Bank Spółdzielczy w Malborku, wtedy to się nazywało Spółdzielnia Oszczędnościowo-Pożyczkowa. Tam właśnie powstała Rada Kobiet, w skład której weszła moja mama. Później ja także byłam w tej radzie, szesnaście lat tam zasiadałam. Trafiłam tam jako bardzo młoda dziewczyna. Ten bank współpracował z nami i sponsorował nam różne kursy takie jak: gotowania, pieczenia, krawiecki, robienia na drutach, haftowania i racjonalnego żywienia, szycia i kroju. Kobiety z naszej wsi chętnie uczęszczały na te kursy. Moja mama bardzo lubiła robótki ręczne, robiła na drutach i na szydełku. Ja też to lubię, teraz, kiedy jestem na emeryturze, robię szydełkowe ozdoby, takie jak aniołki na Boże Narodzenie, a jajeczki i jajeczka na Wielkanoc.

Dzięki bankowi i pomocy Powiatowego Związku Kótek Rolniczych w Malborku kobiety z naszej wsi już w latach 70. zaczęły gotować na gazie! A był to czas, kiedy jeszcze powszechne było na wsi gotowanie na płycie węglowej. Gaz był już bardzo nowoczesny! Polegało to na tym, że bank podpisał umowę na dostarczenie do gospodarstw kuchenek gazowych wraz z butlami, a gospodynie podpisały skrypt dłużny, rodzaj kredytu celowego i potem spłacały go w ratach.

W roku 1973 Powiatowy Związek Kótek Rolniczych w Malborku zakupił dla naszego Koła Gospodyń Wiejskich sprzęt gospodarstwa wiejskiego. W jego skład wchodziła kuchenka elektryczna, pralka automatyczna, magiel elektryczny, robot kuchenny i zastawa stołowa na 100 osób. To wszystko zostało umieszczone w naszej świetlicy. W latach 80.,

kiedy były modne odtwarzacze video, to bank kupił nam też taki odtwarzacz do świetlicy i ludzie mogli tam wspólnie oglądać filmy.

Nasze koło prowadziło też działalność dla wsi. Latem, w porze wzmożonych prac polowych, organizowało „zielone przedszkole”, taki rodzaj półkolonii dla dzieci ze wsi. Polegało to na tym, że jedna pani pilnowała i zabawiała dzieci, a także gotowała im kompoty do picia, bo nie było mowy o posiłkach. Nie było również żadnego pomieszczenia. Dzieci bawiły się w ogrodzie przy budynku szkolnym. Brak było jakichkolwiek gier. Matki same robiły skakanki ze sznurka, a ojcowie robili z desek jakieś huśtawki czy sprzęt do zabawy. Przygotowywano też paczki z prezentami dla dzieci na święta Bożego Narodzenia, w czym pomagał nam zarząd Kółka Rolniczego w naszej wsi. Poza tym członkinie koła co roku wiosną wspólnie zaopatrywały się grupowo w pisklęta kurze, kacze, gęsie i indyjskie. W prawie każdym gospodarstwie chowano wtedy całą masę drobiu!

Panie z koła gospodyń organizowały też różnego rodzaju spotkania mieszkańców i zabawy, a także wycieczki turystyczno-krajoznawcze. Początkowo spotkania odbywały się w domach prywatnych, gdyż nie było jeszcze świetlicy. Zawsze co roku 8. marca był organizowany Dzień Kobiet. Czasem organizowały zabawy biletowe, panie przygotowywały różne dania, które sprzedawały w czasie zabawy, a dochód z takiej imprezy przeznaczony był na potrzeby organizacji.

Przez pewien czas takie wiejskie zabawy i spotkania towarzyskie odbywały się w naszym domu, w tym dużym pokoju od frontu, w sali szkolnej. Spotykali się tutaj mieszkańcy wsi, było bardzo wesoło. Śmieliśmy się czasem, że u nas w domu to musi być często malowanie, bo jak były te zabawy, to trzeba było potem nieraz ściany odświeżać. Ale rodzice chętnie ludzi zapraszali. Wtedy wieś się spotykała ze sobą, nie to, co teraz, kiedy każdy siedzi tylko zamknięty we własnym domu. Organizowano też wiele wycieczek turystycznych i pielgrzymek religijnych, a nawet był jeden wspólny rejs statkiem po morzu.

Wszystko się zmieniło, kiedy wybudowano we wsi świetlicę wiejską, która stała się centrum różnych spotkań towarzyskich. Nasza świetlica powstała w miejscu, gdzie wcześniej stał kościół ewangelicki. Budowali ją wszyscy mieszkańcy wsi w czynnie społecznym.

Moja mama była przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich przez kilkanaście lat, aż w końcu zrezygnowała z tej funkcji. W 1977 roku wybrano nowy zarząd, który jednak nie sprawdził się i na pewien czas nasze koło zaprzestało działalności. Kilka lat temu ponownie zostało reaktywowane.

Nową przewodniczącą została wybrana Zofia Gąsecka, a po niej Renata Szyszka. Nasze kobiety zaczęły brać udział w konkursach organizowanych przez Pomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Starym Polu. Nasze koło dwa razy zostało nagrodzone w plebiscycie Najlepszych Kół Gospodyń Wiejskich w powiecie malborskim. Panie co roku prezentowały swoje umiejętności kulinarne na przeglądzie Pomorskiego Stołu Wielkanocnego i Bożonarodzeniowego. Brały też udział w Pomorskim Przeglądzie Kolęd w Starym Polu i w turniejach.

W 2013 roku nasze koło po raz pierwszy wzięło udział w Wojewódzkim Turnieju Kół Gospodyń w Sztumie. Rok później reprezentowało powiat malborski w Pruszczu Gdań-

skim. Przystąpiło do nas wiele nowych, młodszych pań i reaktywowano zespół artystyczny, bierzemy udział w przeglądach takich zespołów. Na te występy ubieramy się w ludowy strój żuławski. To jest strój, który powstał niedawno, opracował go Zbigniew Jabłoński z Nowego Dworu Gdańskiego i jest to strój zatwierdzony jako regionalny. To jest strój tutejszy, dla Żuław Wiślanych, bo Żuławy Elbląskie i Żuławy Gdańskie mają już inne stroje. Nasz składa się z zielonej, długiej i marszczonej spódnicy i brązowego, sznurowanego gorsetu. Do tego jest biały fartuszek i biała bluzka ze stójką i żabotem. Z tą bluzką to jest pewien problem, bo chyba wygodniej byłoby nam w bluzce z dekoltem. Zwłaszcza, jak ktoś jest trochę tęższy, czy ma krótką szyję, to trochę ta stójka uwiera. Nasze stroje pozyskaliśmy w ramach projektu ,w którym udział brało nasze stowarzyszenie pomogła nam spółka z o.o. Agro Lavi z Lasowic Wielkich, Bank Spółdzielczy w Malborku, Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Malborku, Stacja Hodowli i Unasieniania Zwierząt w Bydgoszczy, Urząd Gminy w Malborku, firma „Żardud” z Korzeniewa i osoby fizyczne Jacek i Jakub Jewartowski, Jan Michalski i Bartłomiej Zalewski. Stroje szyte były na miarę w Nowym Dworze Gdańskim u pana Jabłońskiego.

Bardzo ważną rolę odgrywało w naszej wsi kółko rolnicze. Pierwszym jego prezesem był Franciszek Przebierała, senior. Jego syn miał tak samo na imię, więc na ojca mówiono Franciszek, a na syna Franek. Rodzina Przebierałów to też byli jedni z pierwszych osadników w Lasowicach. Trafili tutaj z Wieruszowa pod Wieluniem. Mieszkali nie w centrum wsi, ale w takim dużym domu w polu, razem z rodziną Misiów, z tych samych stron. Potem Miś się wyprowadził, a jego część domu i gospodarstwa kupił nasz organista Józef Kowalski i tam mieszkali razem z Przebierałami przez jakiś czas. Potem Kowalscy znowu wrócili do centrum wsi.

Nasze kółko rolnicze współpracowało z Instytutem Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa w Warszawie. Przeprowadzano tutaj badania prototypów maszyn rolniczych. Przyjeżdżał do nas jakiś profesor z tego instytutu. W Lasowicach robiono m. in. badania ciągników typu Ursus C-45, to były naprawdę wielkie molochy, była to wyprodukowana po wojnie w Polsce, kopia niemieckiego Lanz-Bulldoga. Potem był RS, czyli maszyna do pielenia buraków, były też u nas wypróbowywane siewniki do nawozów, brony, kosiarki do koszenia trawy, ciągniki typu Ursus C-350 i C-330 zwany „ciapkem”, bo był taki mały w porównaniu z innymi. W tamtym okresie Lasowice to była bardzo dobrze zmechanizowana wieś. Do tych maszyn trzeba było ustawić się w kolejce w kółku rolniczym. Tam ustalano, że dana maszyna w danym dniu pójdzie od tego do tego rolnika, ale i tak ludzie wyklócali się, aby się na nie załapać.

Te nasze badania polegały na tym, że rolnicy wykorzystywali te maszyny do pracy i pisali potem sprawozdania, jakie roboty polowe wykonywali. Ja też m. in. pisałam takie sprawozdania. Oni nam za to jeszcze płacili. My i Tadeusz Kowalski dostaliśmy na badania ciągnik typu Ursus C-325. Malutki taki był, po prostu pracował za konia. Musieliśmy co miesiąc napisać, co było nim robione.

Tak współpracowaliśmy z tym Instytutem przez trzy lata. I za tę współpracę dostaliśmy potem talon na zakup Ursusa C-330, i to nowego! Podkreślam, że nowego, bo tamte wcześniejsze ciągniki to były stare, popegeerowskie, a teraz mogliśmy sobie kupić zupełnie

nowe ciągniki. Te talony dawali nie bezpośrednio indywidualnym rolnikom, ale na zespoły rolnicze, jakie działały w naszej wsi. Tak więc jeden dostał mój ojciec do spółki z moim mężem, a drugi Tadeusz Kowalski z Jankiem Szyszka. I wtedy po raz pierwszy poczuliśmy, co to znaczy mieć własny ciągnik! Dalej jednak musieliśmy pisać te sprawozdania dla Instytutu. Ja także jeździłam tym ciągnikiem, korzystałam z różnych maszyn rolniczych, ale raczej takich lżejszych, tylko nie orałam. A w 1977 roku jako młody rolnik dostałam talon na swój własny C-330. Wtedy byłam już po ślubie, bo w 1972 roku wyszłam za mąż za Eugeniusza Zalewskiego.

Lasowice były kiedyś wsią bardzo rozwiniętą, ale nie tak pokazową jak na przykład Kościeleczyki, gdzie za komuny wożono wszystkie delegacje partyjne, które przyjeżdżały do Malborka. Tam było wiele bardzo starych domów, więc ludzie zaczęli budować nowe i było co pokazać władzom. A tu u nas część domów była pokazowa, a część to już nie. Z takich ładniejszych to był nasz dom, ten ceglany naprzeciwko, plebania, dom podcieniowy na początku wsi, też Radziewiczowie mieli dom podcieniowy, no i dom Zieniewiczów – to był podobno dawny dworzec kolejowy przewieziony z Gdańska, ale tego nie jestem do końca pewna.

W naszej wsi bardzo ważną rolę odgrywała niegdyś kolejka wąskotorowa, czyli ciuchcia. Wiele dla nas znaczyła, bo to był podstawowy środek transportu: do Malborka, do Nowego Dworu, do Nowego Stawu, a stamtąd dalej. Do Nowego Dworu czy do Nowego Stawu



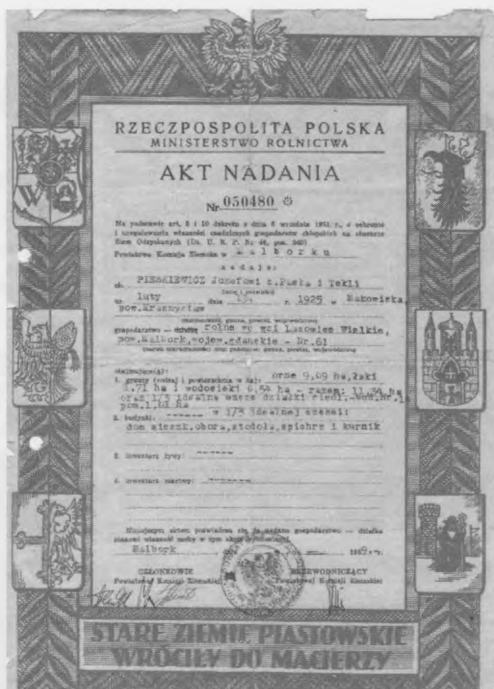
Fragment torów kolejowych dawnej kolejki wąskotorowej ułożony na terenie dawnego cmentarza niemieckiego w Lasowicach, fot. A. Łukawska

też jechała przez Lasowice. Kolejka była naszym łącznikiem ze światem, bo jak już dojechalśmy do Kałdowa, to z Kałdowa można było jechać do Gdańska na przykład, no i w ogóle, we wszystkie kierunki.

Do dzisiaj pamiętam rozkład jazdy: do Malborka był pierwszy kurs o 6.00 rano, to nim jeździli ludzie do pracy. A potem o 7.20 jechali uczniowie do szkół średnich. Później były kursy o 13.00, 16.00, 18.00 i 20.00. Kolejka jechała w jedną stronę, a potem wracała. Kursy, jak widać, były często. Potem to się zmniejszyło, ale te wczesne, o 6.00 i 7.20 były nadal. Kolejka woziła ludzi, ale też transportowała towary i płody rolne, przede wszystkim buraki cukrowe do cukrowni w Nowym Stawie. Ta dostawa buraków do cukrowni to była bardzo ważna dla rolników na Żuławach. Była wtedy bardzo obciążona i ciągnęła ją lokomotywa na węgiel. A jak woziła ludzi, to lokomotywa była spalinowa.

Jak likwidowano kolejkę i rozbierano tory, to zrobiło mi się żal, że to wszystko pójdzie w niepamięć. Dlatego zwróciłam się do dyrekcji kolei w Sopocie, bym nam zostawili we wsi na pamiątkę dwa kawałki szyn i podkłady kolejowe. Ułożyliśmy to w czynie społecznym na cmentarzu poniemieckim w centrum wsi. To jest taki nasz pomnik na pamiątkę tej kolejki. Marzy mi się jeszcze drezyna kolejowa w Lasowicach, chciałabym ją tutaj sprowadzić, staram się ją załatwić.

Spisała: Alicja Łukawska (wywiad przeprowadzony 18.08.2020 r., w tekście wykorzystano też fragmenty publikacji: „Opisnik-Przepiśnik”, w opracowaniu Eweliny Zalewskiej-Baranowskiej, wyd. SWAL Lasowice)



Akt Nadania ziemi Józefowi Piśkiewiczowi, fot. archiwum

Krzysztof Czyżewski

NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (12)

FICOWSKI GETTO

19 kwietnia 2020 rok

Wszystko, co dla mnie najważniejsze o getcie warszawskim i powstaniu, wiem od Jerzego Ficowskiego. Zaczęło się o szóstej rano. Za murem. Właśnie dlatego on ciągle stoi. Gdyby los nie usytuował nas na zewnątrz, mur nie ostałby się. A tak dalej są ci, co byli w środku, i pozostali. Chodził wzdłuż muru z przyjacielem, Zbyszkim Manysiem, już wtedy rozdarty oddzieleniem. Będzie je nosił w sobie



do końca życia. Po drugiej stronie był Icchak Kacnelson z żoną i dziećmi, przy ulicy Dzielnej zakopujący w ziemi swoje wiersze. Wszystko potem było już „poniewczasie”: „nie zdołałem ocalić / ani jednego życia”. Odczytując popioły, tłumaczyć będzie jego *Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim*. Współodczuwanie cierpienia niepostrzeżenie stanie się zobowiązaniem na życie, „sprawą ludzką” Jerzego Ficowskiego. Pochylając się nad wierszami z tomu *Odczytanie popiołów*, Stanisław Wygodzki napisze: „Nie pytam kiedy zaczęła się «sprawa żydowska» Jerzego Ficowskiego. Pytanie brzmi kiedy zaczęła się sprawa l u d z k a poety, która, z biegiem lat, przeistoczyła się w alegoryczne, duchowe, uczuciowe zespolenie z ludźmi skazanymi na okrutną śmierć tylko dlatego, że byli «innego pochodzenia». Nie można tak po prostu wejść w czasie cudzej śmierci, by ją przyjąć jako własną; nie można tak po prostu przyjąć cudzego cierpienia, poniżenia, bezdomności za swoje, własne, prywatne, tak bardzo osobiste, aby o nim pisać wiersze.”

Przy murze getta narodził się poeta, w czasie kiedy poezji przepowiadano niemożliwość.

Oprowadzając mnie po Muranowie, mówił: „Byłem oddzielony od getta murem. Tam wewnątrz uwięzieni byli ludzie, ale był to również akt obelżwy wobec mnie samego i innych czujących podobnie jak ja. Będąc na zewnątrz tych murów, byłem mimowolnie ich nadzorcą, tak jak ten, który jest na zewnątrz klatki, i jeżeli jest zamknięta, staje się jej strażnikiem, mimo że nie przyczynia się ani do jej budowy, ani jej szczelności czy nieprzenikalności. Byłem ubezwłasnowolnionym widzem.”

YAHYA HASSAN

29 kwietnia 2020

Yahya Hassan nie żyje. Poeta urodzony w Danii w rodzinie palestyńskich imigrantów. Był jedynym poetą nominowanym do nagrody Europejski Poeta Wolności (edycja 2016 roku), który nie dotarł do Gdańska. Kilka dni przed przyjazdem został aresztowany. Nie pierwszy raz. Jego tom poetycki wywołał burzę w Danii, zaostriżył debatę społeczno-polityczną o imigracji i integracji, Yahya został objęty ochroną policyjną. Nigdy też nie było takiego sporu o nagrodę jak przy edycji z jego udziałem - to bardzo mocne i bezkompromisowe wiersze. „Ma jeszcze czas na nagrody...”. Wiadomość o jego śmierci okrutna.



Przez całe krótkie życie balansował na granicy śmierci. W wierszach opisuje dramat dzieciństwa, potem gangi i więzienia, a gdy jego poetycki krzyk demaskujący hipokryzję religii i polityki przyniósł mu literacką sławę, stał się obiektem gróźb i ataków, też fizycznych, przez różnej maści fundamentalistów. Martwego w jego mieszkaniu w Aarhus znalazła go matka, po tym, jak od kilku dni się nie odzywał... Krzyczeń się chce.

W rozmowie z tłumaczką jego wierszy na polski, Bogusławą Sochańską, mówił: „... jestem odpowiedzialny za książkę, a nie za czyjąś interpretację. Byłbym naiwniakiem sądząc, że cały świat przyjmie te wiersze jako dialog (...) Pisarski spokój przyjdzie w razie potrzeby. Tematy przyjdą jeśli są istotne”.

FICOWSKI

9 maja 2020 rok

„wyzbyci / mowy daremnej / dopowiemy przerwane rozmowy / do kresu nieskończoności / nie martwiąc się / co dalej”¹.

Jerzy Ficowski odszedł 9 maja. Taki los. Pozostawił ślad na kartce kalendarza oznaczającej dzień zwycięstwa nad faszyzmem. Wkładał nogę w drzwi, przez wszystkie następne lata. Ślad powojennego życia - zamiast zamykać, coś odmykał. Zwycięstwo miał za nieostateczne. Coś wiedział, czego my, urodzeni po apokalipsie, nie byliśmy świadomi, albo co zamykaliśmy w szufladzie „przeszłość”. Smutek późnych lat jego życia również w tym miał swoje źródło: czuł to, co obecnie staje się dla nas coraz bardziej oczywiste; czuł że będziemy potrzebowali tej jego wiedzy także w świecie, w którym już nie będzie go pośród nas. I również dlatego tak bardzo go dzisiaj brakuje. Po tym, co się stało, żył „przyłapany na gorącym uczynku życia”². Uparcie próbował „zapobiec wszystkiemu / co się już stało”³.

¹ Wiersz „Siostrze” z tomu „Zawczas z poniewczasem” (2004).

² Wiersz „Spis abonentów sieci telefonów miasta stołecznego Warszawy na rok 1938/39” z tomu „Śmierć jednoroźca” (1981).

³ Wiersz „Dziś niegdyś” z tomu „Ptak poza ptakiem” (1968).

Potrafił znaleźć słowa, tą jedyną w swoim rodzaju ficowską „biel niedosłowania”⁴, byśmy zrozumieli, że tak się odrabia lekcję przeszłości; potrafił sprawić byśmy usłyszeli głuchy telefon od nieobecnych, już zawsze w poniewczasie.

Pozostał w Warszawie. Jego życie ułożyło się inaczej niż innych poetów tego czasu, dla których wspólna była wygnańcza matryca losu. Co by było gdyby Ausländer i Celan pozostali w Czerniowcach, a Miłosz i Suckewer w Wilnie? Mit tych miast powstawał na emigracji, w oddali. A opowieść Warszawy? „...chciałbym tylko milczeć / a milcząc kłamię / chciałbym tylko iść / a idąc depczę”. Wiersz „(Muranów górduje)” należy do najwybitniejszych jakie napisano po wojnie. Ale czy mógłby powstać pod piórem poety nie zamieszkującego miasta ruin i z tych ruin się dźwigającego?

Jechać do Warszawy, na Żoliborz, do Jerzego Ficowskiego! W jakie przestrzenie? Czy tam się mieszka czy już się gnieździ, jak na tych ulicach z jego opowieści, po których - w miarę oddalania się od dworca kolejowego - coraz bardziej zstępuje się do rzeczy martwych, zarosniętych egzystencją na bocznym torze. W jego gabinecie czuło się narastającą obecność rzeczy nie należących „od korzeni do dnia dzisiejszego”. Miał dziadka, który „wierzył w nieprzemijalność stołu, amarantowego obrusa z pluszu, okien dobrze opatrzonych na zimę...” Powszednia rzeczywistość nabierała takiego spiętrzenia, że w każdej chwili mogła eksplodować w mit. Był w gabinecie fotel, niby ten ze Strzelcowizny, o którym bajędy augustowskie mówią, że nasz Pokutny w nim siadał, nie więcej zajmując miejsca niż kot jakiś mizerny. Skąd u tego, który widział zagładę całego miasta sypiącego się w gruzy i całego narodu obracającego się w popiół, ta wiara w trwanie? Skąd ta pasja gromadzenia przedmiotów i uległość wobec wstępowania w związki serdeczne z nimi? Skąd ten gabinet na Żoliborzu, bogaty trwaniem rzeczy i pamięcią o odcisniętych w nich, „na podobieństwo kopalnych paproci”, historiach? Czy nie lepiej nauczyć się obojętności w stosunku do tego, co w każdej chwili może przestać istnieć? No tak, ale czy może, ot tak, na zawsze, zanieistnieć coś, co trwało w całej rzeczy oczywistości? „Dawne jest dożywotne”.

O MARANCIE

2 czerwca 2020 roku

Jakże brakowało nam w Polsce współczesnej powieści, która wprowadzałaby nas w świat Litwinów posiadających polskie obywatelstwo, dała świadectwo prawdzie i dramatom ich losów, a jednocześnie nie zamykała ich w etnograficznym skansenie, poszła śladem ich wędrówek do Wilna i Warszawy, Jerozolimy i Ameryki, uczyniła zadość ich ambicjom wchodzenia w dialog z nowoczesnością, w tym ze sztuką awangardową. Taką powieścią jest *Maranta*.



Biture Jonuškaitė pochodzi znad jeziora Sejwy, położonego pomiędzy Puńskiem a Sejnam. Od lat mieszka w Wilnie, pisze wiersze, tłumaczy literaturę polską. Wierna sobie, co

⁴ Wiersz „Kirá” z tomu „Śmierć jednoroźca”.

u nas oznacza, że duszę ma jaćwieską. Ci, którzy znają poezję Nijolė Milauskaitė, odnajdą w Marancie siostrzaną duszę. Życie kobiet, biorących tutaj imiona od słońca (Saulė) i rosy (Rasa), nie jest usiane różami, ale w tej opowieści słychać wyraźnie ich emancypujący się głos. I głos pieśni, które się tutaj *dejnuje* (cicho śpiewa), a nawet *suchta* (szepce). I tęsknotę za *wakaryszkami* (wieczornicami), których tak brakuje. I słychać jak dziewczyna z chłopakiem po polsku *brukuje* (grucha). Tutaj rogoże to *šwandry*, łachmany to *skundry*, socjaliści *cycyliki*, a szafki *šzapuki* (co mogło, jako germanizm przejść z jidysz, wszak sam Moris Rosenfeld, mistrz poezji pisanej po żydowsku, urodził się po sąsiedzku od Sejw, w rodzinie rybaków znad jeziora Boksze).

Miała czym się *rupieć* (przejmować) tłumaczka powieści Agnieszka Rembiałkowska. Rzecz bowiem partiami pisana jest w języku domowym Jonuškaitė, czyli w „dzukującej” gwarze okolic Puńska, brzmiącej inaczej niż litewski w Sejnach. Całe szczęście, że nie uległa pokusie fantazjowania na temat gwary ani też stylizacji, lecz stworzyła żywą mowę, inkrurowaną słownictwem litewsko-polskiego pogranicza, a nawet *cupnęła* się swojego dzieciństwa i starej mowy własnej babci.

„Pokrzywniki. Zwykle śpią aż do wiosny, ale widocznie obudziło je ciepło. Nie powstrzymasz ich - i tak polecą do światła.” W książce słowa te należą do człowieka, który zamiast twarzy ma maskę z motyli. Ale to samo można powiedzieć o „Marancie”, powieści przebudzonej w polszczyźnie ciepłem tak przecież bliskim, a nieznanym.

ALICE OSWALD

5 czerwca 2020 rok

Grecy powracają. Powinniśmy w Krasnogrudzie ukwiecić bramę na ich wejście. I dla Alice Oswald, która ich przyprowadzi. Miała być z nami już teraz. Przyjdzie poczekać. Za to jest już książka, drogocenne wykopalisko z „Iliady” - „Monument”. Przez pierwsze kilkanaście stron tłumaczka Magda Heydel nie miała prawie nic do roboty, jedynie przepisanie z przekładu „Iliady” Kazimiery Jeżewskiej imion bohaterów i nazw miejscowych. Za to potem czekało ją zmierzenie się z przekładem jednocześnie Homera i bardzo nowoczesnej poezji. Oswald bowiem nie tyle tłumaczy Homera słowo w słowo, ile skupia się na sposobie ułożenia słów w wersy, na sztuce syntaksy, na czymś, co Grecy nazywali „energeia” i o czym sama tak pisze: „Tego słowa używa się, gdy bogowie schodzą na ziemię, ale nie pod postacią ludzką, tylko we własnej osobie. ...by odtworzyć „energię” poematu, pozbyłam się narracji: to tak, jakby usunąć dach znad kościoła, żeby sobie przypomnieć, co tak naprawdę w nim czcimy.” W konsekwencji Oswald pozostawia siedem ósmych poematu niemalże nietknięte, tłumaczy zachwycające porównania homerowe i w formie parafrazy tworzy oryginalną poezję z esencji losów bohaterów. W ten sposób udaje jej się, i na równi jej tłumacze, przełożyć atmosferę „Iliady” i uwolnić świetlistą energię poematu.

ECHEPOLOS wojownik doskonały

Zawsze wyprzedzał swoich ludzi

Znano jego zimne skupienie jak ziarno

Zapuszczał się coraz dalej wśród włóczni...

Daje do myślenia fakt, że znakomite poetki brytyjskie łączy tak intymna więź z Grekami. Myślę o Ruth Padel i Alice Oswald. Obie ukończyły studia klasyczne w Oxfordzie. Nie tylko znają Greków na pamięć, ale także potrafią wspaniale ich recytować. Ruth podczas spotkania w Krasnogrudzie uraczyła nas obszernymi fragmentami „Medei” Eurypidesa, mówionymi w oryginale i z pamięci. Alice nie czyta „Monumentu”, wygłasza poemat z pamięci, jakby prowadziła wewnętrzną rozmowę z Homerem, dając jednocześnie świadectwo, że „Iliada” jest poematem wokacyjnym, że narodziła się z lamentu, że słychać w nim zawołanie greckiego poety, który nad grobem zmarłego przewodził lamentacjom, podczas gdy płaczki odpowiadały mu antyfonami własnych wspomnień bohatera. „Mój przekład – pisze we wstępie – przedstawia cały epos jako swoisty cmentarz z głosów – stanowi próbę zachowania po wojnie trojańskiej imion i żywotów bez użycia pisma.”

„Monument” jest poematem, który nie tylko, przez żywy dialog z Homerem stara się stworzyć „antyfoniczną opowieść o człowieku i jego świecie”. By uwolnić „energiei” potrzebne jest coś więcej, coś, co nosi znamiona podróży poza słowo pisane, do źródeł poezji ustnej. Wymagało to innej filozofii przekładu, o czym zajmująco pisze sama autorka: „Pracuję bardzo blisko greckiego tekstu, jednak zamiast przenosić słowa do angielszczyzny, traktuję je jako przeswity, przez które można spojrzeć na to, na co patrzył Homer. Piszę poprzez grekę, a nie według greki – dążę raczej do przejrzystości niż do przekładu. Myślę, że ta metoda, w połączeniu z niefrasobliwym gestem pozbycia się siedmiu ósmych tekstu poematu, odpowiada duchowi poezji ustnej, która wszak nie zastygała w trwałej postaci, ale zawsze dostosowywała się do nowej publiczności, jakby jej język, w odróżnieniu od języka pisanego, nigdy nie przestawał tętnić życiem”.

Do „Monumencie” (2011), Alice Oswald wydała tom poezji „Zapadać w jawę” (2016), także przełożony przez Magdę Heydel. Intymne obcowanie z Grekami przybiera w nim postać to czulej, to naznaczonej okrucieństwem bliskości z naturą. Tak, jak w życiu Alice jest zawołaną ogrodniczką, tak w jej poezji słowo staje się glebą, a zwykle pielenie fasoli „bazgraniem po ziemi”. Niewielki poemat o Orfeuszu („Odcięta głowa płynie z prądem”) otwiera obraz Eurydyki: „zapominając już kto to taki / bez butów / a trawa przerasta jej stopy / przeszukuje ziemię / za bransoletką z drobnego splotu na zwęglonym nadgarstku”. Tom zamyka wspaniały poemat „Titonos. 46 minut z życia Jutrzenki” i te wersy, blaknące na papierze, przygotowujące się do trwania w przekazie ustnym, które zapowiadał już „Monument”: „jakim słowem się nazywa / to co słuch czasem wyjawia / a co nigdy się całkiem / a co nigdy się całkiem / nie zjawia”.

DYLAN I HOLIDAY

6 lipca 2020 rok

Pośród życzeń urodzinowych, które otrzymałem, przyszły i te – pieśń Boba Dylana „Blind Willie McTell”. W tym przesywająco prostym *homage*, złożonym bluesowemu gitarzyście i śpiewakowi, Dylan dotknął nie tylko czystej nuty wdzięczności dla mistrza, ale także gorzkiej nuty losu, która ciągle podskórnie się nuci w naszym życiu, straszliwie gorzkiej, bo nie mającej końca. Żadne etapy tak zwanego rozwoju cywilizacyjnego ludzkości jej się nie imają. Każdy łeb ukręcony tej hydrze, odrasta. Pieśń Dylana porusza struny, które



nie dają spokoju i prowadzą dalej, do pieśni Billy Holiday „Inne owoce”. Zapach magnolii z tekstu jego piosenki nawiązuje do innego, napisanego przez nowojorskiego Żyda. I w nim coś poruszyło tę samą ciemną strunę, a były to wieści o okrutnym linczowaniu Czarnych na Południu. Nazywał się Abel Meeropol i urodził na Bronxie w rodzinie emigrantów z imperium rosyjskiego, a więc może gdzieś stąd. „Strange Fruit” wykonał wspólnie z żoną jako protest-song w Madison Square Garden, opublikował ją w 1937 roku, a dwa lata później piosenkę nagrała Billy Holiday. Są tacy, którzy uznają to wydarzenie za początek ruchu praw człowieka. Holiday przez lży śpiewała o swoim ojcu, po raz pierwszy w Café Society w Greenwich Village, czyli w pierwszym „integracyjnym” klubie nocnym Nowego Jorku. Zawsze kończyła koncert tą pieśnią – gasły światła poza jednym reflektorem na nią skierowanym, kelnerzy mieli zakaz podawania wtedy czegokolwiek, zamykały się oczy, zapadała cisza i pieśń snuła się jak modlitwa. Jeszcze jedna próba uciszenia tej strasznej nuty, która ciągle się nuci, teraz pośród nas, którzy nad rzeką chcielibyśmy poszaleć z miłości...

BLIND WILLIE McTELL

Widziałem strzałkę na drzwiach
 Znak: „Ta ziemia jest z piętnem winy
 Od Nowego Orleanu Do Jerozolimy”.
 Przemierzyłem Wschodni Texas
 Gdzie brał żniwo śmierci karzeł I
 wiem, nikt tak nie wyśpiewa
 Bluesa, jak Blind Willie McTell
 Tak, pisk sowy usłyszałem
 W czas zwijania ich namiotów

Gwiazdy w górze nagie drzewa
Były świadkiem ich odlotów
A z węgielków cyganczki
Rozwijały moc ich skrzydeł
I wiem, nikt tak nie wyśpiewa
luesa, jak Blind Willie McTell
Ich plantacje w ogniu widzę
Czuję chłosty trzaski z bicza
Słodką woń kwiatów magnolii
Statki duchów niewolniczych
Słyszę cmentarnych dzwonów trel
I wiem, nikt tak nie wyśpiewa
Bluesa, jak Blind Willie McTell
Tam nad rzeką jest kobieta
A z nią młody przystojniaczek
Wystrojony jak wiewiórka
W ręku whisky ma bukłaczek
Tu w łańcuchach gniew narasta
Słyszę buntu skowyt z gardeł
I wiem, nikt tak nie wyśpiewa
Bluesa, jak Blind Willie McTell
Oczywiście, Bóg jest w niebie
A my chcemy mieć to, co on
Lecz władza, ziarno skażone
To, zda się, jedyny nasz tron
Spoglądam sobie przez okno
Z pokoju w St. James Hotel
I wiem, nikt tak nie wyśpiewa
Bluesa, jak Blind Willie McTell

Abel Meeropol, INNE OWOCE

Inne owoce rodzą drzewa Południa
Krew mają na liściach, krew w korzeni studniach
Południowy wiatr kołysze czarne ciała
Inne owoce osiczyna wydała.

Dzielne Południe, kojące w swojej krasie
Oczy wytrzeszczone i usta w grymasie
Słodki zapach magnolii, orzeźwiający
I nagle swąd palonego ciała, gryzący

Oto owoce dla wron do rozdziobania
 Dla deszczu gromadzenia, wiatru zbierania
 Dla słońca by gniło, drzew by się zwały
 Oto zasiew, inny, gorzki, przegniły

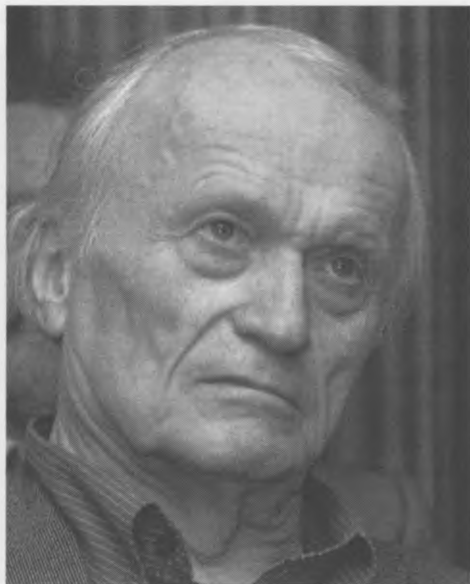
PETR KRAL

18 czerwca 2020 rok

Od Zbyszka Macheja nadeszła smutna wiadomość o śmierci Petra Krála. Był jednym z tych wspaniałych duchów Pragi, którzy w swoich emigracyjnych wędrówkach nigdy się z nią nie rozstali, ale też nigdy nie konserwowali jej w ramach staroświeckiego oleodruku. Emigrant 68', szybko odnalazł się w pasażach Paryża, zwłaszcza w tym surrealistycznym, zaczął nawet pisać po francusku. Z laurów, którymi go uhonorowano, choćby Akademii Francuskiej, najcenniejszym była nagroda imienia Jeana Arpa. Od dzieciństwa zamieszkał na praskim poddaszu nadrealizmu i żadna siła nie zmożła go stamtąd wykwaterować.

Pasjonował go surrealizm odkrywający magię poetycką nie w dziełach sztuki, ale w życiu samym. „Zdolność fotografii do uczynienia z rzeczywistości autorki poezji zdaje się rozbudzać wyobraźnię surrealistyczną, będąc żywym dowodem na twierdzenie Bretona, że «nadrealność niewątpliwie zawarta jest w realności».” Tak tworzyli Brasai, Man Ray, Medková, Nožička, Štyrský i inni, o których sztuce fotografii Petr pisał w „Krasnogrudzie”. Sam potrafił okrucy, ale też zgłiszcza rzeczywistości, cały zdruzgotany przez nieczułość świat przetwarzać i sublimować w dzieło sztuki. Doskonale to widać w jego poezji, ale też w „Pojęciach podstawowych”, lirycznych esejach, mistrzowsko spolszczonych przez Zbigniewa Macheja.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy na początku lat 90, w którejś z kafejek przy Václavských náměstích, przy których jeszcze wówczas mieścił się Instytut Polski. Petr w tamtych latach mieszkał cały czas w Paryżu (na stałe powrócił do Pragi w 2006 roku), ale - w odróżnieniu od swojego mentora Milana Kundery - często tu zaglądał. Pomógł mi wówczas bardzo w redagowaniu praskiego numeru „Krasnogrudy”. Skierował moją uwagę ku dzielnicom peryferyjnym, takim jak Holeszowice (i związane z nią poezja Michala Ajvaza oraz fotografia Miroslava Háka), Smichov Jáchyma Topola czy Žižkov (Daniela Hodrová, której prozą się zachwyciłem, nazywała tę dzielnicę „sromotnikiem bezwstydnym”). Josef Kroutvor, którego Zbyszek doprosił do naszej rozmowy, nazywał ten świat „Pragą mizerną”, w której



ciągle żył bliski im obu duch tego miasta, w centrum rozdeptywany przez masową turystykę i dziki merkantylizm.

Petr zdawał się potrzebować centrum – w końcu życie spędził w stolicach kultury wschodu i zachodu Europy – po to tylko, by zawiązywać przeciwko niemu ukryte spiski, by móc się z niego nieustannie wymykać, znajdując dla siebie „przeróżne podwórka, korytarze, zaplecza sklepowe, którymi przejść można od zegarmistrza do rzeźnika, z zakrystii do łoża operowej, a może nawet z poddasza do królewskiej komnaty”. Był kosmopolitą, który centrum metropolii oddawał różnej maści prowincjuszom i snobom, dla siebie rezerwując obrzeża, zaułki i poddasza. A może bardziej jeszcze fascynowało go odkrywanie spoiw między tymi światami, życie, które niewidzialnymi nićmi zszywało wielkie i małe, światowe i szarodziennie. Pisząc o jednym z praskich pasaży w centrum, gdzieś przy słynnym Pasażu Lucerna, najwięcej uwagi poświęcił sąsiadowi przypadkowo dostrzeżonemu przy pracy za oknem wystawy, którego znał wyłącznie z obrzeży Pragi: „Tak, jakby pasaż za pomocą jednego błysku mógł zszyć to, co bliskie, z tym, co jest w oddali, obcą, cywilną egzystencję sąsiada i intymność domu, który, podobnie jak on, pozostawiliśmy na przedmieściu”.

Spacer po Pradze z Petrem Králem to było coś więcej niż odkrywanie ukrytego miasta, przypominało wędrówkę po kręgach Rodzinnej Europy, przechodzącą w rekolacje z filozofii sztuki współczesnej. Bezgraniczną miłością darzył tramwaje i powracał do nich zawsze, gdy chciał przyłożyć ucho do serca miasta. Czepiał się okrucichów ich materialnego i zmysłowego enturażu (typy motorniczych, suchy trzask zwrotnicy przierzucanej ręcznie żelazną wajchą, pisk szyn i ich złota poświata w słońcu, małomówni podróżni, których tramwaje przywracają życiu dowożąc ich wieczorami do knajp, tych „enklaw nieprzymusowego współistnienia”), okrucichów rezonujących głęboko w pamięci dzieciństwa, i montował z nich filozoficzne mozaiki, pełne zaskakujących spięć i koincydencji, które można by układać w wersy poezji albo w hasła encyklopedii sztuki. Podpisywał się obiema rękami pod stwierdzeniem Voskoveca i Wericha – ikon przedwojennej Pragi, twórców Oswożonego divadla, nazywanego przez Petra „najbardziej ponętnym teatrem świata” – że duszę miasta czują najbardziej widząc tramwaj wjeżdżający pod gotycki łuk Bramy Prochowej. Uważał, że dar układania czulej ikebany ze szczątków rzeczywistości, z małych spraw i codziennego banału zderzających się z ludzkimi tragediami, przynależy Pradze i duchowi czeskiemu, potrzebującym „kompensacji niedostatków miasta i kraju, systematycznie odsuwanych na margines dziejów i okradanych z własnego losu. Kiedy inni zdobywają świat, Czesi wyciągają naukę z ich zdobyczy, klasyfikują je, wysubtelniają, układają nowe bukiety”. Sam wyciągnął z tego naukę tworzenia poezji i esejów, o których Kundera napisał, że są jak „dziwna i piękna encyklopedia życia codziennego”, w której do istnienia na nowo zostają przywrócone zdegradowane nieuważą drobiazgi.

Tak, jak kubizm był w Pradze barokowy, kelnerzy usposobieni równie poetycko jak bohema, a jej prowincjonalność demokratyczna („wystarczy odwiedzić sąsiadów, by znaleźć kogoś, kto zagląda w okno ministrowi”), tak proza Petra Krála była czystą poezją, jego wiersze surrealistycznym montażem filmowym, a jego życie „krótkim spięciem” nad zgłiszczami nudnego, monopolizującego centrum, spięciem przenikniętym „ciszą lekko

powstrzymanego oddechu” cudem ocalonej krętej uliczki w sąsiedztwie królewskiego Zamku i zawsze polemicznym, by nocy miasta nie pozbawiać gwarancji spotkania.

Tak by się chciało jeszcze raz pójść z Petrem Králem na spacer po Pradze. „Starczy parę schodków w górę, by nasz chód zyskał na znaczeniu”. To zdanie z „Pojęć podstawowych” układa się mi teraz w inne, które już na zawsze przy nim pozostanie: Wystarczyło parę schodków z nim, by nasz chód zyskał na znaczeniu.

MIŁOSZ W SZCZELINIE ISTNIENIA

30 czerwca 2020 rok



Będąc jeszcze chłopcem, Miłosz doświadczył tajemnicy, która niezmiennie towarzyszy człowiekowi od prawieku. Poezja potrafi zbliżyć się do niej.

Doświadczenie mistyczne pozostawia w psyche człowieka stygmat, staje się jego drażliwą tajemnicą powiązaną z dramatem w sferach osobistej i społecznej. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że obie te sfery przekracza. W odróżnieniu od wielu rodzajów bycia innym i *queer*, takich jak nadwaga, narodowość czy orientacja seksualna, nie daje się zamknąć w wymiarze międzyludzkich obcować. Człowiek naznaczony doświadczeniem mistycznym nie ma swojego środowiska, statusu mniejszości, fanklubu, nawet niewielkiej niszy w życiu towarzyskim czy zawodowym. Rany mu zadawane wymykają się pojęciu ksenofobii, gdyż szyderstwo, a co najmniej pobłażliwość i obojętność, nawet – a może zwłaszcza – ze strony ludzi uchodzących za oświeconych i tolerancyjnych, w świecie nie znającym tego doświadczenia zdają się być naturalne, a przez to nieuchwytnie. I nie ma większego znaczenia czy myślimy tu o ludziach niewierzących czy wierzących, a jeżeli już, to na niekorzyść tych

ostatnich. Doświadczenie, o którym tu mowa przynależy do innego porządku niż wiara człowieka w Boga, jest nagłym uderzeniem nieznanego, czasem gwałtem zadany naszymu rozumieniu i temu, w co wierzymy, wywracającym świat, który znaliśmy, także ten z rytuałów życia religijnego, na opak. „Dźwięk mnie uderzył – nagle moje ciało...” – notuje Mickiewicz przekładając na słowa swoje *Widzenie*.

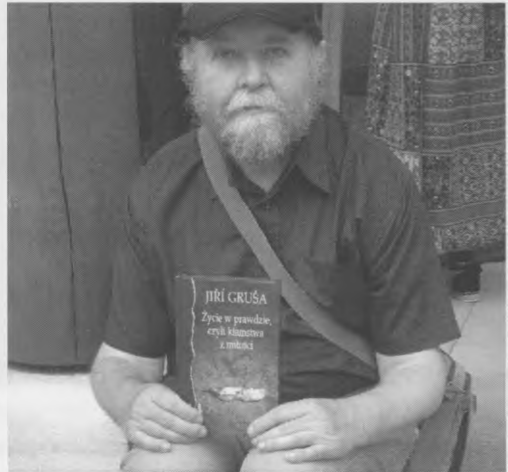
Tragiczny paradoks doświadczenia mistycznego skrywa się w tym, że spotkanie wydarzające się widzącemu czyni go samotnym pośród ludzi. Doświadczył tego Czesław Miłosz, będąc jeszcze chłopcem. Odtąd przyjdzie mu nosić w sobie intymną tajemnicę, zakopaną głęboko na peryferiach współżycia z innymi. Do późnej starości podejmował będzie próby znalezienia słów i formy by zgłębić i wyrazić widzenie chłopca, któremu dane było stanąć w szczelinie istnienia, a także późniejsze jego emanacje, także w snach. Ponad wszystkie talenty i profesje, które posiadał i przez które był kuszony, stanie się poetą. Nie ma przypadku w tej współzależności. Upływ lat tylko ją spotęguje, choć książką, w której Miłosz po raz pierwszy w tak otwarty sposób uchyli rąbka swojej peryferyjnej tajemnicy, nie będzie tom poezji lecz *Ziemia Ulro*, eseistyczna podróż po krainie ducha.

GUSA

3 lipca 2020 roku

Ileż to razy człowiek, skuty siłą ciężenia i skazany na spadanie, usiłuje oderwać się od ziemi. Nie wiedzieć, kiedy doświadcza lotu. Nie do końca wiadomo, czym on jest, po której stronie realności się znajduje, kiedy się kończy i jaką prawdę o nas wyjawia. Podobnie jest z opowieścią. Bywa, że mając skrzydła tylko urojone, opowieść uwalnia się od zmyślenia i staje realna, a przynajmniej równie realna jak uczucie nawiedzające nas, gdy doświadczamy lotu. Próbując opowiadać tak, jak próbujemy oderwać się od ziemi, i jeszcze raz, i jeszcze, otwieramy się na to coś, co może się prawdziwie wydarzyć, nie wiedzieć kiedy.

Coś takiego przytrafiło się małemu Kokešowi, który tylko czekał, aż jego stryjek się urżnie, bo wtedy zaczynał opowiadać. Opowiadał o Kysibelce, wielkim balonie, którym płynął nad Hradczanami. Najpierw robiło się tak cicho, że słyhać było piwo w dzbanku, a potem szewc Anton, który jeszcze chwilę wcześniej nosił imię „pilczystą” i zamiatał ziemię kapełuszem firmy Johnston & Co., zamieniał się w powietrznego pływaka i opowiadał. Mały słuchał opowieści aż do chwili, gdy stryjek zaczynał bełkotać, a wtedy zwykle wylewał na niego miskę zimnej wody. Aż któregoś razu, kiedy wydawało mu się, że już nigdzie ze strykiem nie polecą, popatrzył uważnie, poczuł, że opuszczają go siły, odstawił miskę na posadzkę i skamieniał. Zobaczył Antona wysoko w Kysibelce... „Nareszcie! Cieszę się, że



Na zdjęciu Andrzej Jagodziński z książką, która co dopiero dotarła do Krasnojarska z drukarni.

tego doczekał. Ile się naopowiadał o swoim lataniu, a ja nie miałem serca mu powiedzieć, że zmyśla i że o tym wiem. [...] Kysibelka się wznosi. Horyzont jest zamglony, lecz pola i łąki na dole pod koszem nie tracą nic ze swej ostrości i wyrazistości. Ja też, wychylny z okna, z ręką nad czołem, aby osłonić oczy, muszę być świetnie widoczny.”

Może tak narodził się pisarz Jiří Gruša, świetnie widoczny tam, gdzie go realnie nie ma? Nie ten, który opowiada o lataniu, a ten, którego opowieści wznoszą się jak Kysibelka nad ziemią, oczekujące, że miski z otrzeźwiajączą wodą odstawimy na podłogę; opowieści uwolnione z wiedzy o ich zmyśleniu, rządzące się jakimiś innymi prawami grawitacji? Takiego przynajmniej odnajdziemy go w opowiadaniu „Paltot stryja Antona”, pod postacią małego Kokeša. Na kilku stronach mieści się tu całe morze opowieści. Jakby autor nie miał miejsca ani czasu ani cierpliwości na rozwodzenie się o cokolwiek, na wprowadzenia, dygresje i zanurzenia w psychologię. Jego bohaterowie nie mają historii, nie poznajemy splotów ich życia, nie tracimy czasu na rozpoznawanie kontekstów kulturowych czy politycznych. Spotykamy ich nagle i na krótko, a przez to w jakiejś esencjonalnej nagości. Dostajemy dobrze wysuszony chrust, kilka gałązek i jest ogień, bez zbędnego dymu. Reszta jest wyobraźnią słuchacza/czytelnika. Cieszą go okruchy tu i tam porozrzucane, z których może sobie to i owo dopowiedzieć, a nawet wysnuć opowieść długą jak powieść. Jego sprawa. Reszta przypomina didaskalia z końcówki pewnej tragedii, napisanej przez aptekarza, w której w ostatnich słowach Książę Lutobor pyta: „Czy to ma być doskonałe? (*szarpie się i - jeśli trzeba - kona*) (*Reszta dramatu to uporczywe milczenie. Jego długość będzie ustalona w porozumieniu z reżyserem.*)”

Cóż to jest za opowiadanie! W pierwszych słowach „Próby czytanej” dowiadujemy się, że aptekarz Dolus powiesił się. („No, powiesił się. Czemu by się nie miał powiesić?”) Czekamy noc spędzona z kierownictwem amatorskiego teatru, do którego należał denat, co więcej był jego rewizorem. Rozczarowani postępkami Dolusa, na którym dotąd mogli polegać, zwołują zebranie, podczas którego odczytują na głos tragedię. Jej premiera miała uświetnić obchody jubileuszu teatru, a do jej napisania zobowiązał się aptekarz. Zanim popełnił samobójstwo, zadanie swoje wypełnił i to w taki sposób, że trudno nam jest rozgraniczyć gdzie kończy się fikcja aptekarza a zaczyna realność bohaterów Gruży, tym bardziej, że z didaskaliów dowiadujemy się, że: „Wszystkie postaci może grać jeden aktor, z wyjątkiem swobodnie wiszącego Księcia.” Jest to zresztą jeden z powodów, dla którego członkowie amatorskiego teatru nie mogą sobie wybaczyć, że nie postawili na „sprawdzony repertuar”. Wygląda to tak, jakby Dolus ze stryczka przysłuchiwał się zebraniu i wpisywał kwestie na nim zasłyszane do swojej tragedii. Zresztą tragedia to dużo powiedziane, choć co by nie powiedzieć samobójstwo pozostaje samobójstwem, my jednak tej nocy czujemy się bardziej jak widzowie „Rejsu”, w Wikipedii określonego jako „czarno-biała komedia filmowa”. Rozumiemy, że określenie to odnosi się do braku koloru, a przecież coś korci nas, coś „gruśowo-piwowoskiego”, aby myśleć o czarno-białej tragikomedii, w której żadna postać nie jest czarno-biała, a każda łąza jest słodko-kwaśna. Choć rzecz Gruży powstała w 1965 roku, kilka lat przed „Rejsem”, trudno uznać by Piwowski z Głowackim ją znali, więc temu powinowactwu winien musi być duch czasu. Małe świństwo moralne po jednej stronie polsko-czechosłowackiej granicy były zapowiedzią, a po drugiej rozliczeniem

z wielkiego świństwa jakim i tu i tam, choć z różnych powodów, okazał się być rok 68 (acz tak dobrze rozpoczęty, tu manifestacją w obronie „Dziadów”, tam Praską Wiosną). Kawiec Tyma mógłby być autorem wystąpienia rewizora Wohanki, który zwietrzył romans aptekarza z pewną nauczycielką: „... oboje zwracali się do siebie per ty, co mnie szczególnie mocno zastanowiło, ponieważ kol. Sporová nie jest członkiem LUTOBORA i jako taka podczas wspólnych wyjazdów płaciła zawsze o 5 koron więcej”. Sąd nad Dohalem jako żywo przypomina te koleżeńskie ze statku wycieczkowego między Warszawą a Płockiem. Banał i tu i tam staje się tajemnicą dramatu, bowiem – jak to ujął aptekarz – „skoro ma to być tragiczne, to musi być banalne”. Wypada też zgodzić się z twierdzeniem innego członka amatorskiego teatru: „Ogólnego zbioru faktów nie poszerzymy w żaden sposób jakościowo, możemy jedynie dodawać do niego kolejne wariactwa”. Możemy się śmiać do rozpuku, ale koniec końców pozostanie z nami to zdanie z tragedii napisanej przez pana Dolusa tuż przed odebraniem sobie życia: „Bo śmierć to strach z powodu tego, kim byliśmy”.

Jiří Gruša, jak przystało na czeskiego pisarza, nie obnosi się z moralnością jak weteran wojenny z orderami na piersi. Nawiasem mówiąc miałby ku temu powody, nie raz więziony, prześladowany jako sygnatariusz Karty 77, po roku 1980 emigrant pozbawiony obywatelstwa czechosłowackiego. Co by jednak nie powiedzieć o jego opowiadaniach i nowelach, pod naskórką groteskowego absurdu i szyderczej ironii daje się w nich wyczuć światłoczuły nonkonformizm, coś jak kościec moralny. Poucza o tym opowiadanie „Życie w prawdzie, czyli kłamstwa z miłości”, które tłumacz i autor wyboru Andrzej Jagodziński za autorem uczynił tytułowym i otwierającym całą książkę. Nosi ono datę roku 2011, czyli śmierci pisarza, przedwczesnej, która dosięgła go w Niemczech. Pobyt w Bad Oeynhausen, który miał być tylko etapem w jego życiowej wędrówce, poprawiającym pracę schorowanego serca, niespodziewanie okazał się być stacją końcową. Jednak opowiadanie to zaczął pisać wiele lat wcześniej, może trochę później od tego momentu w życiu, w którym Marek Hłasko pisał „Pierwszy krok w chmurach”, ale na pewno nie później od momentu, w którym Paweł Huelle zaczął pisać „Pierwszą miłość”. Musiało w tej opowieści być coś intymnie osobistego, co sprawiało, że do końca życia odkładał jej ukończenie i publikację. A może wciąż szukał takiego uwolnienia opowieści, które oczyszcza miłość z kłamstwa? Kłamiemy by ocalić pierwszą miłość. Jiří Řeřich, uczeń szkoły miejskiej numer trzy, który w dzień śmierci Stalina podpadł Píd'zie, nauczycielowi rosyjskiego, który przed wojną uczył niemieckiego, a który tego dnia kontrolował smutek uczniów, gdy tymczasem on przystawiał się do Hany Hladkiej proponując jej rękawiczkę z jednym palcem – tenże Jiří żyje nie tylko w Jiřím Grušy, także w każdej i każdym z nas. Czasem nasze kłamstwa mają szansę przeprowadzić nas od pożądania do miłości. Tak było z pierwszym kłamstwem Jiříego, które uwolniło go od Hany i sprawiło, że stał się liryczny, to znaczy: „Problem erotyczny interesował go tylko jako poetę”. Przybierając maskę jako autor wierszy miłosnych, ciągle czuł, że żyje w prawdzie. Podobnie jak wtedy, gdy okłamywał cały świat, ukrywając swoją prawdziwą miłość, tym bardziej, że była zakazana. Przyszedł jednak moment, gdy skłamał o jeden raz za dużo; taki moment, jeden jedyny, w którym jeśli nie wypowiemy prawdy o sobie, tracimy to, co dla nas najdroższe. Klucz do życia, w posiadaniu którego do tej pory byliśmy, niczego już nie otwiera.

Paweł Zbierski

DZIENNIK KATALOŃSKI

(9)

Nie ma strachu w Katalonii

*Stefanowi Chwinowi, odrobinę polemicznie**

Wiele ciekawych rzeczy działo się ostatnio. Wiele, wraz z osobliwym koncertem Mozarta, Brahmsa i Vivaldiego w wykonaniu solistów Radia France oraz Francuskiej Filharmonii Narodowej. Zagrali 9 sierpnia 2020 roku bez strachu, w warunkach pandemicznych, w naszej „Galerii Poraj” w Saint Laurent de Cardans. W hollu zaimprovizowaliśmy doraźnie maleńką ekspozycję wystawiając kilka numerów „Prowincji” z moim „Dziennikiem Katalońskim”. Miło, gdyż nawet nie rozumiejąc tekstu, publiczność brała te materiały do ręki, oglądając znane im dobrze z autopsji ilustracje.

To było prawdziwie gorące, słoneczne katalońskie popołudnie. Ludzie, którzy nie zmieścili się w środku, stanęli - absolutnie wszyscy z maseczkami na twarzach - pod otwartymi okiennicami i szeroko rozchyłonymi oknami galerii. Stanęli zajmując spory kawałek kamiennego chodnika, a nawet fragment ulicy Jean Jaures. Z zamkniętymi oczami - także kobiety z niemowlętami na rękach - kołysali się w rytm muzyki granej tym razem nie tylko na fortepianie, ale także na skrzypcach i wiolonczeli. Wyglądało to trochę jak zbiorowy seans psychoterapeutyczny, a może nawet jak demonstracja. Przeciw globalnej zarazie.



*

Przede wszystkim jednak - co w walecznej Katalonii wyraźnie odnotowano i wyakcentowano - ruszyło powstanie Białorusinów przeciw dyktaturze Łukaszenki. A w ślad za tym pojawiło także kilkuset protestujących z białoruskiej diaspory na ulicach Barcelony. Wraz z protestującymi Polacy nieoczekiwanie odgrzali spór: czy powstańcza pieśń śpiewana w kolejnej wersji zarówno w stolicy Białorusi jak i w stolicy Katalonii ma swój pierwowzór w kultowym utworze polskiego barda Jacka Kaczmarskiego czy też może Lluisa Llachy?

*

Wcześniej była ucieczka z kraju, z walizkami pełnymi dolarowych banknotów, skorumpowanego i doszczętnie skompromitowanego we własnym państwie emerytowanego króla Hiszpanii Juana Carlosa. Burbona - rzecz jasna.

*

Przy czym nie tylko koronawirus stał się narzędziem polityki europejskiej, dając szczególnie na terytorium doraźnie się centralizującej Hiszpanii opłakane skutki, także gospodarcze. Scentralizowanie decyzji gospodarczych i epidemiologicznych rząd w Madrycie tłumaczył własnym obywatelom, w tym zwłaszcza Katalończykom i Baskom, koniecznością dokonywania operacji z jednego tylko centrum decyzyjnego. Wśród tych skandalicznych, żeby nie powiedzieć zbrodniczych werdyktów, była oprostowana wielokrotnie przez rząd kataloński decyzja o nie zamknięciu Madrytu dla reszty obywateli, mimo alarmujących statystyk, zwłaszcza z tamtejszego zakażonego koronawirusem metra. Podobnie nietrafione decyzje hiszpańskie dotyczyły rynku pracy oraz szkolnictwa, które w całej Hiszpanii, już z początkiem września 2020 roku, stało się swoistą bombą epidemiczną. Dla Katalonii wszelkie skutki takiej polityki okazały się katastrofalne zarówno w wymiarze medycznym, jak i ekonomicznym i politycznym.

*

Z całą pewnością każdy z tych wątków to osobna historia domagająca się rozwinięcia i specjalnego traktowania. A wszystko to w kontekście europejskim i polskim, w dużej mierze za sprawą Stefana Chwina. Chwin bowiem popłynął mocno pod prąd publikując w Polsce ważny esej pod niesłychanie prowokacyjnym tytułem: „Historia strachu w Polsce”.

SZCZUPLI, GŁODNI, NIEPOZORNI...

... z całą pewnością nie przerażeni! Tacy wydają mi się Katalończycy Północni sprzed stu lat. Drabiniaste wozy albo drewniane pługi ciągną najczęściej osły lub jasnobrązowe krowy, rzadziej konie. Ci mniej zdolni albo biedniej urodzeni, nie tacy jak Gaudi i jemu podobni - którzy nie powędrowali w młodości albo do Paryża, albo do Barcelony czy Giroiny, muszą klepać straszliwą biedę, a ci z południa podlegać nawet eksterminacji. To widać choćby na archiwalnej fotografii z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. Bo oto na zdjęciu widzę - zapewne jeszcze przed śmiercią Franco - egzekucję dokonywaną na Katalończykach na jednym z cmentarzy.



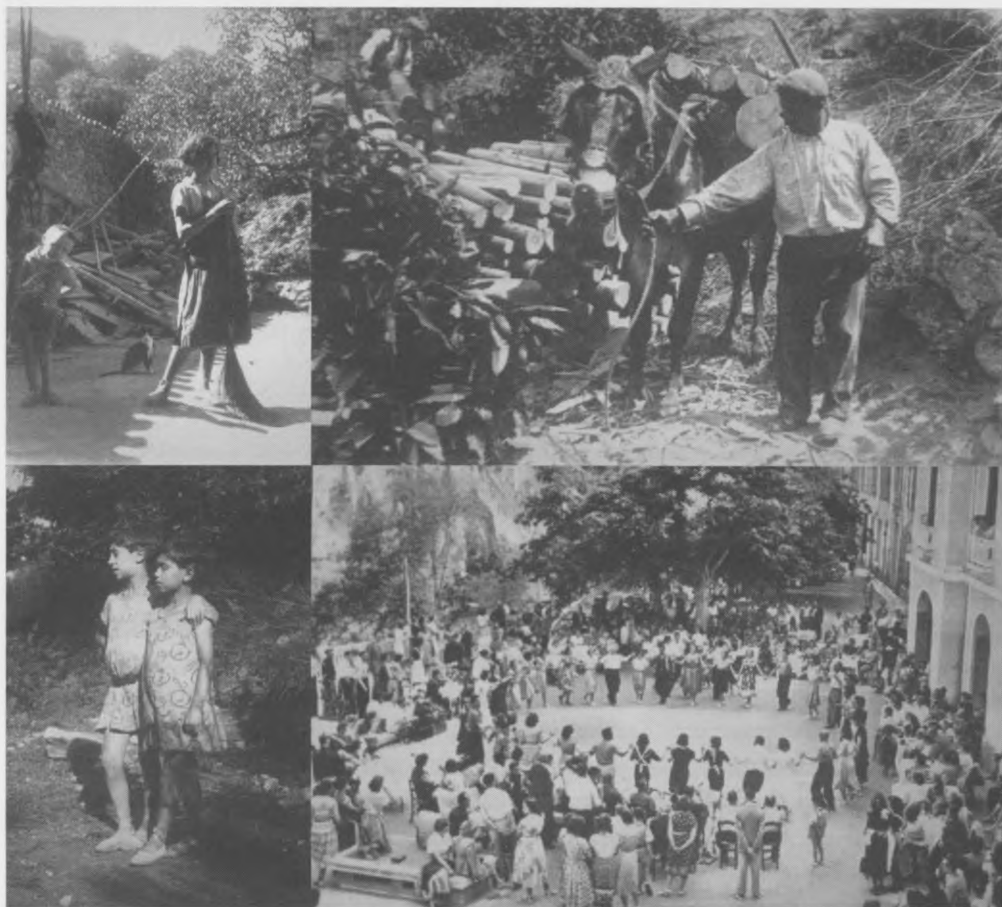
Ci, którzy mimo wszystko żyją, rozwijają - trochę w opozycji do krwawej buntowniczości bliskich sobie Basków - sztukę dyskretnego heroizmu wraz z pozytywistycznym etosem pracy i pragmatyzmem dającym zwłaszcza w metropolii barcelońskiej rewelacyjne skutki gospodarcze. Ale i na prowincji, mimo skrajnie trudnych warunków, Katalończycy dobrze sobie radzą. Jedni uprawiają rolę, inni wydobywają ze skał pirenejskich rudy metali, jeszcze inni, zwłaszcza kobiety, harują po kilkanaście godzin w fabrykach tkanin, tak jak w Saint Laurent de Cerdans, tworząc w Katalonii coraz silniejszy, lewicowy, ruch robotniczy. Wszyscy - zarówno po francuskiej, jak i hiszpańskiej stronie granicy gardzą Burbonami. Wszyscy jednakowo nienawidzą pobliskiej monarchii hiszpańskiej, gotowi bronić swej katalońskiej niepodległości tak samo, jak ich przodkowie w głębokim średniowieczu. Wszyscy też - zarówno na południu, jak i na północy - tańczą Sardane, ale nie jest to kataloński odpowiednik polskiego chocholego tańca. W Sardanie demonstrują raczej współpracę, mocno trzymając się za ramiona. Nie mają też w sobie, mimo powstańczego instynktu, tej typowo polskiej tromtadracji. Tak, to jest ta wielowiekowa, praktykowana z uporem osła odwaga, którą ktoś celnie nazwał właśnie dyskretnym heroizmem.

*

Żeby dojść do takiej konstatacji, wystarczyło mi opuścić sławne uzdrowisko i wspiąć się po stromych ścieżkach do wiszącej kaskadowo nad kurortem Amelie Les Bains Palady. Mijając po drodze dziesiątki kotów rezydentów. Mijając także setki domowych ogrodzeń, szczelnie opiętych liśćmi winogron, tuż za mostem i za szeroką, rwącą pirenejską rzeką Tech. I trafić tam nieoczekiwanie nie tylko na romański kościół, ale też na zagubione w labiryncie kamiennych uliczek Muzeum Poczty. Czynne, o dziwo, mimo pandemii. Właśnie tam przy-

szło mi trafić na nadgryzione zębem czasu widokówki i wizerunki dawnych Katalończyków Północnych z mojego Saint Laurent, z Ceret, z Coustouges, czy z Ameli Les Bains. Trafiam więc na bezcenne zdjęcia zupełnym przypadkiem. I od razu postanawiam zilustrować tymi właśnie archiwalnymi obrazami kolejny odcinek „Dziennika Katalońskiego”...

*



Do tej pory bardzo często tu bywałem w pobliżu - dwukrotnie jako kuracjusz pooperacyjny w słynnych termach. Podczas zmasowanego ataku koronawirusa wybieram się wczesnym latem 2020 roku, kolejny raz do Amelie Les Bains. Ale trafiam oto na pustkę w miejsce całorocznego gwaru i rozgardiaszu. Czynna tu jest tu teraz jedynie boulangeria z podstawowym asortymentem bagietek. Ludzie wszyscy w maskach, przemykają bokiem jak widma. Krąży w kółko ryneczku samochodowy patrol żandarmerii. Miasto umiera w atmosferze zbliżonej do „Śmierci w Wenecji”.

Zamknięte są wszystkie zbudowane z kamienia knajpy i kafejki. Zamknięty jest słynny uliczny marche. Nikt nie sprzedaje każdego poranka ostryg wyławianych wprost z Morza Śródziemnego, nikt nie przywozi z pobliskiej Hiszpanii aromatycznej cebuli oraz pierw-

szych pachnących pomidorów w dziesiątkach odmian, barw i zapachów. Wybieram się tam jednak, mimo wszystko, a może tym bardziej, żeby odsapnąć od dobrze znanych mi stamtąd kosmopolitycznych klimatów. I trochę podumać o Katalonii a może nawet odnaleźć tam grób Grottgera? Oczywiście muszę przedtem wypełnić specjalny papier, że jadę w sprawie życiowej. Pretekstem jest wizyta w tutejszej aptece i odbiór zaległych medykamentów.

Charakterystyczny widok kurortu to już tylko wspomnienie z przeszłości: zaparkowane sznurkiem auta z rejestracjami z całej Francji i kawałka Europy. Pozostają w pamięci jak fatamorgana kosztownie ubrane stare kobiety francuskie i modnie ostrzyżeni mężczyźni w wieku 60, 70 + w zwiewnych i kolorowych apaszkach i innych ciuchach, na luzie, z charakterystycznymi przeźroczystymi siatkami w dłoniach, w których widać wyraźnie modne, bawełniane ręczniki oraz kolorowe żurnale.

Jednak przekonałem się dzisiaj wybornie, że życie nie kończy się w Amelie Les Bains - tutejszym uzdrowisku, dobrze pamiętającym Alberta Einsteina i Tomasza Manna. Jutro spróbuję sprokurować nowy papier wyjazdowy i wrócić do Amelie-les-Bains, w poszukiwaniu śladów Grottgera. Bo powiedzmy sobie szczerze: ani Francuzi, ani Katalończycy nie interesują się tutaj Grottgerem... (Amelie-les-Bains, 15 maja 2020)



*

Drugi dzień w Muzeum Poczty i refleksja nad losem polskiego malarza-emigranta...

Po wykonaniu mnóstwa scen batalistycznych, w tym rozdierających polskie serca malarzkich wizjach klęski Powstania Styczniowego, a także - ku pokrzepieniu serc - pogoni polskiej szlachty za Tatarami, Grottger trafił z Wiednia do Paryża, dokładnie w czasie, gdy jego rodzony, młodszy brat Jarosław, gnął już na Syberii za udział w Powstaniu Styczniowym. W nadziei na osiągnięcie jakiegoś sukcesu w stolicy Francji zdołał tam zakończyć cykl *Wojna*, który sprzedał austriackiemu cesarzowi Franciszkowi. W grudniu 1867, nękany płucnymi krwotokami, opadający z sił, został wysłany przez lekarzy tutaj, do uzdrowiska Amelies-les-Bains, właśnie w Katalonii, we francuskich Pirenejach, gdzie zmarł 13 grudnia 1867... Fakt, że pojechałem szukać grobu Grottgera, ale go nie znalazłem. Znalazłem w zamian portrety Katalończyków, po których grzbietach wojna domowa w Hiszpanii, a potem reżim generała Franco wraz z obozami koncentracyjnymi i egzekucjami w centrach wsi katalońskich, przejechał się w nie mniejszym stopniu niż Powstanie Styczniowe po plecach Polaków...

(Amelie -les-Bains, 16 maja 2020)



KRÓL JEST NAGI

Im bardziej boją się członkowie rządu hiszpańskiego z premierem Sanchezem na czele, w im większej trwodze pograża się cała hiszpańska monarchia, w tym bardziej wyprostowanej pozycji wydaje się być republikańska - na razie jedynie w sferze intencji - Katalonia. Realny król hiszpański staje się pośmiewiskiem całej Hiszpanii...

Śmieszny, groteskowy, powszechnie nielubiany. Przynajmniej od czasu masakry zorganizowanej Katalończykom przez policję hiszpańską w trakcie referendum niepodległościowego z roku 2017, Filip VI, wraz całą swoją królewską rodziną - nie wyłączając Księstwa Asturii - jest w Katalonii traktowany jako persona non grata. Właśnie wtedy Filip pochwalił publicznie przemoc policjantów wobec uczestników demokratycznych wyborów uznanych jednak w Madrycie za nielegalne. Od tamtej pory na drzewach, słupach elektrycznych, wiaduktach, a także wysoko, na skałach pirenejskich, widnieje odwrócona karta do gry z podobizną króla stojącego na głowie. To zresztą nie jedyna, zdecydowana demonstracja Katalończyków przeciwko Burbonom. Dziś Sąd Najwyższy Hiszpanii ogłosił wszczęcie śledztwa przeciwko Juanowi Carlosowi, ojcu Filipa. Jest on podejrzany o udział w gigantycznej korupcji podczas uczestnictwa w konsorcjum dwunastu hiszpańskich spółek w przetargu na budowę szybkiej kolei AVE w Arabii Saudyjskiej. Wszystkie najważniejsze media na świecie publikują raporty na temat hiszpańskiej monarchii, a Katalończycy inaugurują nieformalnie spontaniczny festiwal karykatur nie tylko Juana Carlosa, ale w ogóle Burbonów.... Na każdym kroku te karykatury widać już zresztą od kilku miesięcy nawet w najmniejszej katalońskiej wiosce. Zarówno po hiszpańskiej, jak i po francuskiej stronie granicy.

(Ceret, 8 czerwca, 2020)

W zderzeniu z wieściami kompromitującymi dynastię Burbonów dociera informacja smutna dla koneserów literatury na całym świecie: umarł na emigracji Carlos Ruiz Zafón. Choćby taki jego „Cień wiatru” wydano w 40 krajach i przetłumaczono na ponad 30 języków. Na całym świecie powieść ta rozeszła się w nakładzie 15 milionów egzemplarzy i została nagrodzona bardzo licznymi nagrodami w wielu krajach. Pomimo licznych propozycji, Zafón nigdy nie zgodził się na ekranizację „Cienia wiatru”. Swoją decyzję argumentował tym, że nie potrzebuje pieniędzy, które by na tym zarobił, oraz tym, że nie wierzy, iż film mógłby być w jakimkolwiek stopniu lepszy od obrazu, jaki czytelnik sam tworzy w swojej głowie, gdy zasiada do czytania jego powieści... Żal okrutny - bo jeśli można być rzeczywistym, niekoronowanym królem literackiej Katalonii, Katalończykiem i kosmopolitą w jednym, to on był...

(Saint Laurent, 20 czerwca 2020)

Porażający swoim dosadnym skrótem obraz skompromitowanego króla obiega sieć internetową na Półwyspie Iberyjskim. Ubrany we frak dobrze odżywiony król-emeryt, z czarną maską na twarzy jak gangster, ugina się pod dwiema walizkami wypełnionymi dolarami - oto gorzko-satyryczna esencja sytuacji odbijającej się w oczach przytłaczającej większości Hiszpanów, nie tylko już Katalończyków. Były monarcha Juan Carlos postanowił opuścić Hiszpanię – podają wszystkie media katalońskie, a obszerną depezę publikuje agencja Reutera. Dramatyczna decyzja jest związana ze skandalem korupcyjnym trapiącymi rodzinę królewską.

Wyjazd eks-monarchy zaskoczył i podzielił krajową opinię publiczną. Hiszpanie zastanawiają się, czy 82-letni „król na emeryturze” dokonał prawidłowego wyboru.

Jak przypomina Reuter, w ostatnim czasie obecny król Felipe i jego ojciec znajdowali się pod naciskiem opinii publicznej żądającej uzdrowienia instytucji hiszpańskiej monarchii. Przyczyną, dla której rodzina królewska znalazła się w ogniu społecznej krytyki, jest antykorupcyjne śledztwo prowadzone przez hiszpańskich i szwajcarskich prokuratorów.

Głównym punktem jest oskarżenie Juana Carlosa o przyjęcie od saudyjskiego monarchy łapówki w wysokości 100 mln euro.

Skandal korupcyjny ma też podłoże obyczajowe. Większość łapówki były monarcha oddał bowiem swojej kochance.

Reuter podkreśla, że emigracja została odebrana przez Hiszpanów jak ucieczka przed odpowiedzialnością uderzając w autorytet monarchii. Została podjęta w czasie trudnym dla Hiszpanii. Kraj przeszedł ciężką fazę epidemii, a obywatele są politycznie spolaryzowani – komentuje agencja.

*

A ja czuję, że Filip VI będzie już ostatnim królem w dziejach Hiszpanii. (Ceret, 4 sierpnia 2020)

Przewidując kolejny szturm pandemii i kolejne zamknięcie francuskiej granicy z Hiszpanią jedziemy z Aleksandrą Fontaine do Andorry, a wkrótce potem do Barcelony. I właśnie w stolicy Katalonii dopada nas dość sensacyjna wieść:

Na mocy specjalnej uchwały Rada Miasta Barcelony unieważnia złoty medal otrzymany niegdyś od byłego króla Juana Carlosa.

*

Ciekawe czy inne miasta europejskie będą się wkrótce pozbywać nagród i prezentów od skompromitowanej hiszpańskiej rodziny królewskiej ?

(Barcelona, 27 sierpnia 2020)

KATALOŃSKIE ZWŁOKI GROTTGERA

Moje kolejne studyjne wizyty w Muzeum Poczty zbiegły się w czasie z lekturą eseju Stefana Chwina. Tekst w wersji papierowej przysłał mi z Polski brat Tomasz: „...Niewiele narodów bało się tak jak my całkowitego zniknięcia z powierzchni ziemi – i w sensie politycznym, i w XX wieku nawet najzupełniej biologicznym. Czy mogło to nie zostawić trwałych śladów w polskiej psychice i dziełach polskiej kultury? Małe mamy dzisiaj pojęcie, czym dla Polaków z XVIII wieku był choćby szok rozbiorów i deportacji w głąb Rosji, które nastąpiły od razu po zduszeniu konfederacji barskiej i trwały nieprzerwanie do roku 1918...” Taki lęk najprawdopodobniej nie był obcy także Grottgerowi, jednak w żaden sposób nie tłumaczy to jego pobytu w słynnym uzdrowisku...

Odbywający tam kurację artyści mieli zwyczaj pozostawiania tam jakiegoś swojego dzieła, czy pamiątki. Niewykluczone, że Grottger był jednak w tak krytycznym stanie, że o tym nie pomyślał... Z dzisiejszego punktu widzenia za stratę uznać jednak trzeba brak jakiegokolwiek twórczego śladu po wolnościowym Grottgerze w tak bardzo radykalnie wolnościowej Katalonii. Z drugiej strony los tułacza-emigranta wędrującego do Katalonii przez Wiedeń i Paryż wydać się przecież może atrakcyjny dla odbiorcy szukającego w losie malarza uniwersalnej prawdy Grottgera-Europejczyka krzyżującego swoją linię życia z innymi Europejczykami, wymykającego się w ten sposób z ksenofobicznej polskiej pułapki...

*

Wędrując do Amelie-les-Bains w poszukiwaniu archiwaliów katalońskich wciąż więc mimochodem myślałem o polskim strachu przed obczyzną, co musiało mocno dolegać Grottgerowi.



*

Nie ma żadnego przekazu na temat okoliczności zgonu malarza w uzdrowisku Amelieles-Bains. Można się tylko domyślać, że odchodził w lęku wobec postępującej, wyniszczającej płuca gruźlicy, a może i właśnie umierał w śmiertelnej obawie o Polskę i o własną spuściznę malarską. Sam się zresztą przekonałem, że ustalenie okoliczności pochówku w słynnym uzdrowisku mija się z celem, gdyż ciało malarza po jego śmierci 13 grudnia 1867 sprowadziła do Lwowa 4 lipca 1868 jego narzeczona i pochowała na cmentarzu Łyczakowskim.

W ten w sposób dopełniła się arcy polska tradycja, by polskie zwłoki grzebać w Polsce, a nie na obczyźnie, a przynajmniej - jak choćby w przypadku Chopina - wrywać z tych zwłok polskie serce. Myślę, że zubożony o wymiar wiedeński, paryski i kataloński - a w każdym razie potraktowany w Europie czysto opisowo, a nie egzystencjalnie - jest Grottger w jakiś sposób upupiony, wtłoczony, bo z pewnością nie wyzwolony z fatalnego genotypu polskiej kultury. Pozostawia nam też po sobie obronną, wycofaną wersję samego siebie. Nie jest wyzwolony z czegoś co bezpowrotnie zamyka nam horyzont kultury : ze strachu polszczyzny wobec obczyzny. Niczego więcej nie pozostawił Grottger w biurze uzdrowiska, poza historią własnej choroby. I może jeszcze poza strachem śmierci na obcej ziemi, poza czysto polską martyrologią strachu. Według Chwina skutki takiej kultury strachu są fatalne dla kolejnych pokoleń:

„Psychologiczne pozostałości kultury strachu, w której żyliśmy przez 123 lata zaborów i 45 lat komunizmu, nadal pozostają jedną z przyczyn słabości społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Nie narażać się, nie podskakiwać, lepiej siedzieć cicho – to dzisiaj hasło wielu Polaków, chociaż łudzimy się, że jest inaczej. Jak będziesz się wychylać, możesz mieć kłopoty z właściwie ustawionym sądem. Powiesz w niewłaściwym miejscu niewłaściwą flagę, trafisz za kratki. Tak rodzi się na naszych oczach nowa polska kultura strachu.”

Bardzo dobrze, że w końcu taki tekst powstał, że „Tygodnik Powszechny” odważył się 22 sierpnia 2020 roku taką rzecz opublikować. Trzeba mieć odwagę, by pisać o strachu w Polsce, który nie był jedynie domeną Grottgera, ani specjalnością polskiego romantyzmu. Bo strach to jest uniwersalny, polski temat tabu.

(Saint Laurent de Cerdans, 31 sierpnia 2020)

BLIŻEJ KACZMARSKIEGO?

Już mniej więcej od 10 sierpnia 2020 Katalończycy zamieszczają na swoich osobistych profilach internetowych filmy i fotografie z Białorusi. Podobnie jest na profesjonalnych stronach katalońskich ruchów niepodległościowych. Internauci szukają analogii, bo rzeczywistość potęgująca się przemoc łukaszenkowego OMONu do złudzenia przypomina w obrazy krwawą rzeźnię jaką zgotowuje Katalończykom już kilkakrotnie po referendum z roku 2017 działająca na rozkaz rządu hiszpańskiego policja hiszpańska. Tu i tam zbuntowanych i niepokornych bije się do nieprzytomności. Jozep Goded, jeden z dziennikarzy anglojęzycznych prowadzących regularnie serwis kataloński, rozpętuje w sieci dyskusję o białorusko-katalońskich analogiach. Bo tu walka o niepodległość i tam walka o niepodległość. Tu naród z grubsza 8-milionowy i tam naród 8-milionowy. Tu buntownicy są pacyfistami i tam buntownicy są pacyfistami. Tam byli niechciani władcy i dyktatorzy (Stalin, Putin,

Łukaszenka) i tu są niechciani władcy i dyktatorzy (Franco, dynastia Burbonów, Sanchez). Tu krętaczem w sprawach katalońskich okazuje się szef europejskiej dyplomacji Borell i tam w sprawach białoruskich krętaczem jest tenże sam Borell, pozostający zresztą z jakimś kompleksem katalońskim, jak rodowity eks-Katalończyk. Borell z niewyjaśnionymi okolicznościami życiowymi wokół własnej domniemanej korupcji, a także z dość mało klarownymi kontaktami z Arabią Saudyjską w przeszłości. Ktoś wrzuca do internetu białoruską wersję „Murów”, a kto inny zestawia to z katalońską „Estacą” Lluisa Llacha.

(Perpignan, 14 sierpnia)

24 sierpnia około 200 osób gromadzi się w Barcelonie przeciwko sfałszowanym wyborom i przywódcy Białorusi Aleksandrowi Łukaszence. Wieści na ten temat przynoszą niepodległościowe portale katalońskie.



Wydarzenie mające miejsce tuż przed katedrą barcelońską zostało zorganizowane w proteście przeciwko białoruskim wyborom prezydenckim z 9 sierpnia, które protestujący uważają za „sfałszowane”, a także w celu wyrażenia sprzeciwu wobec prezydenta-dyktatora Aleksandra Łukaszenki.

Białorusini w Katalonii są zorganizowani przez grupę zwaną „Białoruską Diasporą w Katalonii”, której rzecznikiem jest Alena Turawa.

„Przez wiele lat mieliśmy w naszym kraju dyktaturę, a 9 sierpnia przeprowadziliśmy ponownie sfałszowane wybory” - powiedziała Katalońskiej Agencji Informacyjnej (ACN). „Ludzie wyszli na ulice, a w więzieniu było wielu przetrzymywanych i torturowanych”.

„My, emigranci, którzy potrafią się swobodnie wypowiadać, chcemy nagłośnić tę sytuację w każdym kraju”.

Według najnowszych danych Idescat (2019) w Katalonii mieszka 1823 Białorusinów, a jednym z nich jest Paweł Kirylionak, były więzień Łukaszenki.

W niedawnym wywiadzie dla „Catalan News” wyjaśnił, że po wzięciu udziału w proteście w 1999 roku przeciwko planom dalszej integracji kraju z Rosją, został aresztowany i torturowany.

„Mogę potwierdzić wszystkie te historie o torturach w białoruskich więzieniach, ponieważ mnie samemu się to także przydarzyło. Jediną różnicą jest to, że w 1999 przesładowano dziesiątki ludzi, a teraz tysiące” - mówi.

Kirylionak mówi, że spędził dziesięć dni w więzieniu. Historie innych więźniów przywołują surowe wspomnienia z jego własnych przeżyć.

„Kiedy biją cię bez przerwy godzinami, to jest tortura. I nadal cię biją, nawet jeśli stracisz przytomność. To nieludzkie” - mówi. „Umieszczają cię również w 2-3-metrowych celach z 20 lub 25 osobami, więc wszyscy muszą cały czas stać na baczność”.

Kirylionak, który przebywa w Barcelonie od 12 lat, jest przekonany, że obecne protesty są dla kraju punktem zwrotnym. (Barcelona, 24 sierpnia)

*

Wielu zacnych Polaków z dumą nuciło „Mury” Jacka Kaczmarskiego na wieść o rewolucji w Białorusi. Niejednemu bowiem goręcej w żyłach popłynęła krew i serce mocniej zabiło w odpowiedzi na relacje zwłaszcza z Grodna i Brześcia, ale także z Mińska, a nawet z Witebska. W niektórych wypadkach była to nostalgia za Księstwem Litewskim, a w ślad za tym za szczególną dziejową misją Polski. W innych sytuacjach dominowała dumą, że Białoruś idzie wiernie śladem polskiej „Solidarności”, która w sierpniu roku 80 dokonywała prekursorsko w niemałej części świata bezkrwawej rewolucji. W tym podziwie dla Białorusi czai się jeszcze większy podziw: dla Polski. Gdyż to Polska właśnie - bez specjalnych samodzielnych zabiegów pielęgnacyjnych - jest europejskim strażnikiem wolności. Wolności przez zasiedzenie. Za niezwykle cenny w tym arcypolskim i patriotycznym amoku uznaję jednak wpis na osobistym swoim profilu fb redaktora „Tygodnika Powszechnego” Tomka Fiałkowskiego. 10 sierpnia o 23:46 - YouTube:

Prośba do piszących o Białorusi - nie dawajcie tytułu „Hymnem protestów stała się polska pieśń”! Ta pieśń jest katalońska, nazywa się „L`Estaca”, skomponował ją i tekst napisał Lluís Llach - pieśniarz i orędownik niepodległości Katalonii. Jacek Kaczmarski wziął melodię niemal bez zmian, tekst zmienił, potem tekst Kaczmarskiego przełożył na białoruski Andriej Chadanowicz i teraz Białorusini śpiewają kolejną wersję Llacha. Pamiętajcie jednak o historii pieśni, zwłaszcza że we wszystkich wersjach chodzi o to samo: o wolność!

Saint Laurent de Cerdans, 10 września 2020

* Stefan Chwin, *Historia strachu w Polsce*, Tygodnik Powszechny, 24.08.2020

Radosław Wiśniewski

Listy do TYMOTEUSZA

(2)

1. PIERWSZE DWADZIEŚCIA EUROCENTÓW

Pisałem ci Synku, że już chyba inaczej nie umiemy. Nie wyobrażam nas sobie w auto-karze z wycieczką z biura podróży, ani w hotelu z rezydentem firmy turystycznej. Pewnie coś tracimy, może odpoczynek, może poczucie komfortu, ale nie tylko tracimy. Gdybyśmy bazowali w hotelu z hotelową plażą, pomijając śmiertelną nudę i sztuczność, nigdy byśmy nie pojechali pociągiem do Fontane Bianche czy Modicy, bo i po co. I nigdy byś nie spotkał tego Pana, który ci dał dwadzieścia eurocentów, które - jak oświadczyłeś w odpowiedzi na pytanie co za to kupisz - wydasz na Dudzie Ato.

Ten Pan był być może bezdomny, chociaż mnie wydawało się, że wyszedł z więzienia po wielu latach. Cały wytatuowany, w zdezelowanych klapkach-krokodyłkach, lekko poplamionej koszuli, nieogolony, w rozpadającym się dyskretnie słomkowym kapeluszu. Ale kiedy kręcił sztuczki z monetą w rękę, Ty zaśmiewałeś swoim wdzięcznym, dziecięcym śmiechem mimo upału i on też się śmiał. Trochę tylko niepokoiło mnie, że kiedy zaciskał monetę w prawej dłoni - literki, które miał wytatuowane na paliczkach palców układały się w słowo K.I.L.L. Tak jak na dłoniach Jake Bluesa z „Blues Borthers” wytatuowane litery składały się w słowo B.L.U.E.S.

Potem, kiedy zbliżała się stacja końcowa, Pan poszedł zapalić do toalety, a potem się ogolić, a potem odniósł mi, kiedy wysiadaliśmy, plan Modicy, który dostałem za darmo w miejskiej informacji turystycznej. Podziękowałem, uśmiechnął się i popatrzył mi w oczy. Jakby chciał powiedzieć, że nieważne jak wyglądam, ale dla niego jestem już uczciwym gościem. Miałem mu powiedzieć, że oddał mi rzecz równie bezwartościową jak zgnieciona plastikowa butelka po wodzie mineralnej? A przecież właśnie ta rzecz nabrała wartości, nie dlatego, że ją miała sama z siebie, ale dlatego, że nawiązaliśmy na sekundę relację, w której coś się wydarzyło. I ta bezwartościowa rzecz - znaczyła przez chwilę między nami.

To wszystko wydało mi się bardziej znaczące niż kolejowa wyprawa do Modicy, w czasie której upał osiągnął rekordowe 43 stopnie i nie chciało nam się jeść słynnej czekolady, ani wędrować stromymi uliczkami z Tobą w wózku lub z Tobą na rękę. Dodajmy mocno rozmarudzonym Tobą po porannej jeździe rozgrzanym wagonem kolei regionalnych. I tak zostało ogólne wrażenie po skupisku miejskim, ciekawym, pięknym, rozległym oraz wspomnienie Twojego spotkania z tym człowiekiem, wyraziste, jaskrawe, niedopowiedziane do końca.

Jaką historię ze sobą niósł ten człowiek w wypłowiałej walizce na kółkach, wypchanym do granic możliwości niedużym plecaku? Jaki los dał ci w tych 20 eurocentach z dłoni, na której połączonych palcach wytatuowany miał wyraz K.I.L.L.?

Podobne czyste dobro, może pochodzić od złego człowieka, bo czyste dobro nim jest, niezależnie od tego przez kogo czynione. Mam na myśli takie dobro, jak poprawienie poduszki pod głową ciężko chorego, albo na przykład sprawienie, że zmęczone upałem dziecko zapomina o wszystkim i po prostu się śmieje.

Patrzyłem jak skaczesz, wyciągasz rączkę i pokazujesz temu Panu, że masz, masz swoje pierwsze dwadzieścia euro centów na Dudzie Ato. Tak jakby ten Pan przed chwilą sam ci nie dał tej monety, kto wie, może sam bardzo niewiele posiadając. Zupełnie nie obchodziły cię tatuaże tego Pana, K.I.L.L. na palcach jednej ręki, widoczne oznaki zużycia i braku zakotwiczenia w świecie, tygodniowy zarost, rozpadający się dyskretnie słomkowy kapelusz. Byłeś zadowolony z życia oraz tego spotkania.

I kiedy na to patrzyłem - zastanawiałem się czy to nie o tym mówił ten facet od chodzenia po wodzie i zamieniania wody w wino - żebyśmy byli wszyscy jak dzieci.

Takie jak Ty, Synku.

2. STAROŻYTNA DUSZA

Pojechaliśmy wynajętym samochodem do Katanii. Sporą część dnia spędziliśmy w okolicy centrum handlowego, które było klimatyzowane, zatem stanowiło miłą alternatywę dla rozgrzanej słońcem reszty wokół. Spałeś, potem się obudziłeś, potem kupiliśmy Ci „Dudzie Ato”. I ty wiedziałeś, że ono jest dudzie, mimo że fizycznie było małe. No ale każdy widział, że przecież to plastikowy model wielkiego TIR-a. Na swoją zgubę kupiliśmy Ci ciężarówkę z naczepą, która bez przerwy odczepiała się od ciągnika, a Ty nauczony już, że nie wypada się denerwować na zabawkę mówiłeś tylko:

- Tata Oć

No i Tata łączył, co rozdzielone, bo jak wiadomo, póki co Tata ma takie supermoce składania tego, co połamane, naprawiania tego, co zepsute i Ty w nie ufasz. Chociaż zapewne zwróciłeś uwagę, że Laktol po kąpieli piaskowo-morskiej nie działa jak poprzednio i nawet Tata nie dał rady nic z tym zrobić. O wykąpanej w garnku z wodą lokomotywie na baterie nie wspomnę. Zatem Dudzie Ato było z Tobą tego dnia wszędzie i musiało być w jednym kawałku cały czas, co nas doprowadzało do tłumionej furii, szczególnie w Muzeum Lądowania Aliantów na Sycylii, gdzie zająć Ciebie miały po raz kolejny inne dudzie rzeczy, na przykład czołgi, armaty, torpedy, a nic z tego nie wyszło bo Dudzie Ato kasowało wszystkie atrakcje.

Popołudniu zbliżyliśmy się do newralgicznego momentu, kiedy wszyscy byli już głodni i rozdrażnieni, a ci cholerni Włosi właśnie w najlepsze zamykali wszelkie lokale, gdzie można było coś zjeść, bo sjest. Poszliśmy więc w stronę centro storico, no bo gdzie, jak gdzie, ale tam zawsze coś powinno się trafić, co żywi turystów z pogwałceniem wielowiekowej tradycji.

Swoją drogą, zastanawiałem się wiele razy jak taki kraj, jak Włochy jest w stanie wytwarzać takie rzeczy jak produkt krajowy brutto w tym trybie funkcjonowania. No bo coś wytwarza, tylko nie wiem kiedy. Ale pewnie nie wiem wszystkiego. I gdzieś tam, na jednym z placów,

chyba koło kościoła św. Agaty jeden facet grał na indyjskim instrumencie, który wyglądał jak połączenie dwóch miednic, albo ufo, niepotrzebne skreślić. Potem się dowiedziałem, że to się nazywa hangdrum. Brzmienie było głębokie, wibrujące, kojące i czyste. Grał ukryty w cieniu, spokojnie, niespiesznie, przerywał, kiedy mijał go skuter jakby nie chciał marnować energii na przekrzykiwanie się z gwarem świata. Obaj zatrzymaliśmy się, Ty niby nie miałeś wyjścia, bo byłeś w wózku, ale byłeś wyraźnie poruszony tym dźwiękiem, co poznałem po tym, że przestałeś się poruszać. Kiedy umysł się porusza, ciało musi się zatrzymać, czyż nie? Dziewczyny oddaliły się, korzystając z chwili nieuwagi przeciwnika, aby czym prędzej znaleźć jakieś koryto, a myśmy stali i słuchali. Człowiek grał, Ty patrzyłeś na niego, a on na Ciebie i to trwało dosyć długo, dużo dłużej niż wynosi przeciętny czas skupienia na jednej rzeczy u dwulatka. W końcu przestał, wyraźnie opuścił ręce, a Ty, Synku, zacząłeś bić brawo i uśmiechałeś się, nie zwracając uwagi, że wypuściłeś z rąk swoje Dudzie Ato.

- Dokonałeś cudu - powiedziałem po angielsku do człowieka z modelem ufo w rękach.
- Mój syn, żeby bić Ci brawo puścił autko!

- To on mnie zahipnotyzował - odpowiedział muzyk, składając dłonie do hinduskiego gestu podziękowania - grałem jak w transie.

- Wiem, wiem – powiedziałem. - Ma niebieskie oczy, to potrafi hipnotyzować.

- To nie kolor oczu – powiedział. - Wiesz, czułem, że zza tych oczu patrzy na mnie starożytna dusza. On uczeni świat lepszym.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu Ty pomachałeś ręką, jakbyś się zęgnął, a oczy ci się śmiały, jak rzadko.

- Do zobaczenia - powiedziałem .

- Tak, w tym, albo innym wcieleniu - odpowiedział człowiek grający na ufo.

- Bez znaczenia...

- Pa, pa-paaaa... - dorzuciłeś z boku śmiejąc się i machając rączką ponad wszystkim, co można było w tej sekundzie pomyśleć. O starożytności, wcieleniach, widzeniu się, spotykaniu, rozstawianiu, żegnaniu, powitaniu, odejściu i czynienia świata innym, niż jest.

Odrzuciłem sprawnie wózek i poszedłem w dół placu. Nie chciałem żeby on widział, żebyś Ty widział, że mam mokre oczy. Spocily mi się od tego upału.

3.

Wynajęliśmy dwa pokoje na poddaszu pokręconej, włoskiej kamienicy w starej części Syrakuz, kilka minut spacerem, no z Tobą kilkanaście, a czasem jeszcze więcej, od Ortigi, która skrzy się od eleganckich witryn, kipi od dyskretnie uroczych restauracyjek i knajpek. Wpadaliśmy tam czasem. Tam był Twój konik przy fontannie na placu Archimedes, który był niezawodnym lekiem na całe zło o każdej porze upału.

Z balkonu, na który nie wolno było Ci wchodzić samemu, żeby nie było, jak to sam mówiłeś „Ała-ała, bam i o nie!” mieliśmy widok na kamienice porastające suchorostami i pękające od żaru dachówki, które wydawały się niczym nie różnić od dachówek, które widziałem na ilustracjach niejednej książki o Starożytnym Rzymie. Wiele z tych domów było oznaczonych wielkimi, spłowiałymi naklejkami, kartkami z napisem „se vende” albo

„vendesì”, co zdaje się nie wróżyć niczego dobrego dla domu, bo oznacza na przykład to, że jest pusty, jałowy, opuszczony i wystawiony na sprzedaż, na pośmiewisko. Kolor tych naklejek świadczył też o tym, że chętnych ogólnie brak i to od dawna.

Brakowało tutaj cienia, bo w całym kwartale nie rośło ani jedno drzewo, ani pół klombu, ani ćwierć krzaka. Cała połać była nagrzana i było to czuć szczególnie o zmierzchu, kiedy oddawała ciepło niebu, na którym chwilowo nie było słońca. Patrzyliśmy z góry naszego balkonu na wejście prowadzonego przez Pakistańczyka sklepu, okupowanego do późnych godzin nocnych przez zmotoryzowanych amatorów piwa, którzy podjeżdżali na skuterach na jedną, dwie piany i zostawiali butelki po zamknięciu sklepu w plastikowych transporterach pod drzwiami. Kiedy rano przyjeżdżał koło siódmej wóz zbierający śmieci, jeden z wielu trójkołowców typu „Piaggio”, łoskot sygnalizujący się szkła do metalowej skrzyni niezawodnie budził nas wszystkich w tym ciebie. W tych cowieczornych sympozjach brał udział też polski Syrakuzańczyk, co poznaliśmy po tym, że pewnego wieczoru popłynęły ku nam, ku górze, słowa niczym inwokacja, akt strzelisty:

- Aaaaa, kurwa chuj pierdolony myślał że co, kurwa, że na gówniarza trafił...?! No, kurwa!

Do dzisiaj nie wiem, o co chodziło. I chyba nie chcę wiedzieć. Ale kilka dni później pod sklepem stał wóz „Carabinieri” na sygnale i pakowali kogoś do środka, a Pakistańczyk i jego koledzy z różnych stron świata coś wyjaśniali włoskim stróżom prawa. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że ten człowiek, którego upychano w radiowozie, był podobny do tamtego rozeźlonego rodaka. Także, Synku, nie do końca to był urlop. Raczej ćwiczenia z obcowania ze światem innym, niż ten, który znasz. Bo to nie jest tak, jak niektórzy próbują ci udowodnić, że cała reszta świata to taka Polska, w której mówi się innym językiem. Nie. Świat jest wielki, ciekawy, pełen barw, zapachów, pejzaży, odcieni. Ludzie miewają różne poczucie czasu, inny rytm życia, inny rytm mówienia. I to wszystko ich kształtuje od urodzenia i są inni. Naprawdę. A przez to są ciekawi, warci poznania. Zatem jeżeli wystawiliśmy siebie i Ciebie na trudniejszą wersję wakacji, która jednak oprócz elementów turystyki, zwiedzania i zabawy była także próbą zamieszkania na chwilę gdzie indziej, ze wszystkimi tego elementami takimi jak poranny spacer Taty po bułki, wieczorne harce na jedynym miejskim placu zabaw, na jakim dało się wytrzymać - to właśnie dlatego, żebyś doświadczał całym sobą, że to co jest inne - jest inne. Po prostu.

Wacław Bielecki

Zapiski melomana w czasie zarazy (2)

Czas zarazy wydłuża się i o koncertach muzyki klasycznej na żywo w takiej ilości i formie jak przed pandemią koronawirusa trudno marzyć. Z moich obserwacji wynika, że jeśli chodzi o koncerty na żywo, to najczęściej dostępne są występy solistów i najróżniejszych zespołów kameralnych i – co nie dziwi - muzyki organowej. Zawsze w czasie wakacji najróżniejszych festiwalu organowych było wiele. Najstarszy i najbardziej znany w Gdańsku Oliwie, odbywa się w tym roku tylko w częściowo zmienionej formie. Przed wejściem do katedry należy podpisać stosowne oświadczenie wymagane przez przepisy sanitarne, zdezynfekować ręce, założyć maseczkę i zająć miejsce w ławce niezbyt blisko innych melomanów.

Odbyły się także, chociaż w mocno okrojonej formie znane polskie festiwale: 75 Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju oraz 16 Festiwal Chopin i jego Europa w Warszawie. Natomiast na październik został przeniesiony 24. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena organizowany przez Elżbietę Penderecką. Na świecie też coś się dzieje. Słynna La Scala w Mediolanie poinformowała, że od jesieni wznawia przedstawienia operowe, ale tylko w wersji koncertowej. Jako pierwsza będzie prezentowana *Traviata* pod batutą Zubina Mehty. W niepotykanej dotąd formie odbył się koncert muzyki klasycznej w Szwajcarii. W alpejskiej scenerii publiczność siedziała w samochodach na olbrzymim parkingu mając przed sobą dużą estradę i odpowiednie nagłośnienie. Podczas koncertu melomani musieli pozostać zamknięci w autach z zakazem wyjazdu, mogli otwierać okna i trąbić przy okłaskach na zakończenie utworów.

Z powodu pandemii zostało mi głównie słuchanie muzyki z internetu i radia, a takiej nie brakowało, było i jest czego słuchać. Spośród licznych koncertów wybrałem w tej relacji transmitowane na żywo w formie przekazu internetowego, czyli streamingu. Niestety, od początku marca do końca sierpnia, czyli przez pół roku, tylko dwa razy byłem na prawdziwych koncertach z udziałem publiczności, raz był to plenerowy koncert na Mazurach, a drugi raz koncert organowy w Sztumie.

niedziela 14 czerwca 2020

Z okazji 75-lecia Opery Śląskiej odbył się koncert galowy transmitowany on-line na żywo. W programie zaprezentowano, m.in. fragmenty wielu oper: *Nabucco*, *Don Carlos*,

Traviata Giuseppe Verdiego, *Rokiczana* Stanisława Moniuszki, *La rondine*, *Madama Butterfly* Giacomina Pucciniego, *Romeo i Julia* Charles'a Gounoda, *Carmen* Georges'a Bizeta, *Łucja z Lammermoor* Gaetana Donizettiego i wiele innych.

Na mocno zawirusowanym Śląsku nie mógł się odbyć koncert z udziałem publiczności i z wielką orkiestrą symfoniczną. Liczni soliści zespołu, naliczyłem ich prawie dwudziestu, oraz występujący gościnnie - Małgorzata Walewska, mezzosopran i Aleksander Teliga, bas - śpiewali nie ze sceny, tylko z miejsc na widowni z akompaniamentem fortepianu lub kameralnych zespołów, np. w składzie: flet, klarnet, fagot, fortepian. Był to ładny koncert wyreżyserowany starannie przez Floriana Znanickiego i pod kierownictwem Francka Chastusse'a Colombiera, kierownika muzycznego Opery Śląskiej.

niedziela, 21 czerwca 2020 r.

Ze Studia Koncertowego im. Witolda Lutosławskiego Polskiego Radia w Warszawie słu-chałem na żywo występu na zakończenie sezonu 2019/2020. Orkiestra Polskiego Radia, podobnie jak inne zespoły, w okresie pandemii nie nagrywała i nie koncertowała. W niedzielę, instrumentalisci OPR spotkali się, by zakończyć ten niepełny sezon. W programie koncertu znalazły się kompozycje: Krzysztofa Pendereckiego *Trzy utwory w dawnym stylu na orkiestrę smyczkową*, Wolfganga Amadeusza Mozarta *Symfonia nr 6 F-dur K. 43* oraz *Symfonia nr 7 D-dur K. 45*, Antona Brucknera *Adagio z Kwintetu smyczkowego F-dur na orkiestrę smyczkową* w transkrypcji Stanisława Skrowaczewskiego tudzież *Orawa* Wojciecha Kilara. Dyrygował szef OPR Michał Klauza.

Był to krótki koncert, bez udziału publiczności. Orkiestra rozstawiona na scenie grała w zmniejszonym składzie. Muzycy z wyjątkiem jednego skrzypka występowali bez masek. Dyrygent w czasie zapowiedzi kolejnych utworów nie wychodził za kulisy, tylko siadał na widowni na najbliższym fotelu.

środa, 24 czerwca 2020 r.

Czeska Filharmonia zagrała koncert plenerowy z udziałem słuchaczy w czasie drobnego deszczu pod zamkiem Sychrov niedaleko Liberca. Widzów ubranych w peleryny było sporo. Muzycy wykonali *Suitę do Snu nocy letniej* Mendelssohna oraz *V Symfonię* Beethovena pod dyrekcją korpulentnego maestra Semjona Byčkova.

piątek, 26 czerwca 2020 r.

NOSPR, czyli Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach zagrała na koniec tegorocznego sezonu koncert poświęcony pamięci zmarłego niedawno Krzysztofa Pendereckiego. Muzycy wykonali jego *Fanfarę* i *Chaconnę* oraz *Symfonię Pożegnalną* Józefa Haydna. Był to pierwszy od trzech miesięcy koncert tej orkiestry z udziałem publiczności, ograniczonej liczebnie przez przepisy sanitarne. Urna z prochami Krzysztofa Pendereckiego zmarłego w czasie pandemii została tymczasowo złożona w bazylice św. Floriana w Krakowie i czeka na uroczysty pochówek - nie na Skałce, ale w nowym Panteonie Narodowym w Krakowie znajdującym się w kościele św. Piotra i Pawła. Są tam m.in. sarkofagi z prochami wybitnego kaznodziei ks. Piotra Skargi, chemików Karola Olszewskiego i Zygmunta Wróblewskiego oraz pisarza Sławomira Mrożka.

sobota, 27 czerwca 2020

Zacząłem lekturę książki *Michała Piekarskiego – Muzyka we Lwowie*. Na początku natknąłem się na ciekawą informację o prof. Kazimierzu Twardowskim, filozofie, twórcy tzw. szkoły lwowsko-warszawskiej. Wśród jego znanych uczniów byli: Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Kotarbiński oraz mój nauczyciel pedagogiki na Uniwersytecie Gdańskim prof. Kazimierz Sośnicki.

Kazimierz Twardowski jako rektor Uniwersytetu Lwowskiego „raz w miesiącu urządził wieczory muzyczne w swoim domu przy ul. Zofii 46 (obecnie ul. Iwana Franki 130). Zapraszał do siebie zaprzyjaźnionych wykładowców wyższych uczelni oraz zawodowych muzyków. Bywali u niego, m.in. Jan Kasprowicz, Adolf Chybiński – muzykolog, śpiewaczka Ada Sari oraz niektórzy uczniowie: Władysław Witwicki i Kazimierz Ajdukiewicz – późniejszy zięć Twardowskiego. Kazimierz Twardowski chętnie muzykował, akompaniując na fortepianie, m.in. do pieśni *Mieczysława Kasprowicza*. Skąd inąd wiadomo, że Twardowski studiując w Wiedniu zarabiał na opłaty za swoje lekcje fortepianu grając na organach. Napisał też rozprawę: *Filozofia i muzyka*, a nawet trochę komponował. Jego kompozycje zostały nagrane na płycie i można je kupić w księgarniach muzycznych.

środa, 1, czwartek, 2 lipca 2020 r.

Przez dwa wieczory słuchałem na FB transmisji on-line z IV Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego w Kwidzynie pn. Pożegnanie wiosny - przywitanie lata zorganizowanego przez dr Iwonę Glinkę, flecistkę i propagatorkę nowej muzyki z fundacji „Phasma Music” w Kwidzynie. Ideą przewodnią festiwalu była prezentacja muzyki od dawnej aż po dzisiejszą wśród mieszkańców miasta i pewnie dlatego koncerty dofinansowano ze środków Burmistrza Kwidzyna.

W pierwszym dniu festiwalu zagrał pianista dr hab. Gajusz Kęska z Akademii Muzycznej w Krakowie (pod obrazem na FB zapisano błędnie: Keska). Wykonał kilka utworów Chopina, *Mazurki z op. 50* Szymanowskiego oraz okolicznościowy utwór Michaila Travlosa (męża Iwony Glinki, Greka,) poświęcony Beethovenowi. Muzyk grał nieźle, ale realizacja telewizyjna była fatalna. Pianistę usadzono na tle brzydkiej, brązowej kotary. Utwory muzyczne były montowane z przebitkami ze zdjęciami: mola w Sopocie, gwiaździstego nieba, smukłych topoli, kwiatów czerwonej róży, topniejące kry na rzece, jesiennych liściach na drzewach, czerwonymi makami, itp. Wszystkie zdjęcia były dobrane zupełnie przypadkowo i powtarzały się, bo np. *Preludium Des-dur* Chopina, zwane deszczowym, powinno być ilustrowane zdjęciami z deszczem. Dlaczego pokazywano molo w Sopocie, a nie zdjęcia z Kwidzyna i okolic?

Na początku transmisji przeczytałem na FB następującą informację: *Premiera w toku: jesteś jednym z pierwszych fanów, którzy oglądają ten film. Baw się dobrze na premierze, oglądając i rozmawiając z innymi fanami w czasie rzeczywistym. Nie zapomnij o ochronie prywatności i przestrzeganiu wytycznych dla społeczności*. Niestety, nie miałem z kim rozmawiać, bo z informacji umieszczonej na FB wynika, że koncert oglądałem tylko ja i jeszcze jedna osoba. Szkoda, że transmisja nie była nadawane „na żywo”, jak zapowiadano to wydarzenie, tylko z wcześniej zmontowanych nagrań. Nie poprzedziła ich żadna zapowiedź przez to całość wyszła, delikatnie ujmując, niezbyt udanie.

W drugim dniu odbyła się także transmisja on-line koncertu kameralnego – „ÉxQuartetu” ze Szczecina. Muzycy wykonali mało znane współczesne utwory: Phillipa Glassa, Dorothe’y Eberhardt, Carla Loewe’go, Arisa Carastathisa, Aarona Alter’a.

Najbardziej spodobał mi się pierwszy utwór: Quartet nr 1 Glassa. To bardzo przyjemna w słuchaniu muzyka zwana minimalistyczną. Tym razem realizacja telewizyjna bardziej pasowała do współczesnych utworów. Członkowie kwartetu siedzieli w sali z murem z czerwonej cegły na betonowej podłodze, a za nimi było wielkie okno w którym pojawiały się obrazy: drzewa bez liści i przelatujące białe ptaki lub chmury, zielone i niebieskie trawy, pomost nad jeziorem, planety w kosmosie lub koła ze schematem sfer niebieskich, powiększający się okrągły otwór w abstrakcyjnej dekoracji a przezeń pojawiający się muzycy kwartetu.

piątki - 10 i 17 lipca 2020 r.

Przy pomocy iPhone’a słuchałem na FB transmisji z V Festiwalu Organowego im. Christiana Schlaga z Kościoła Pokoju w Świdnicy. Na zabytkowych, mechanicznych organach Schlaga grał Mateusz Rzewuski, a na klawercie Krzysztof Grzybowski. Christian Schalg to znany, niemiecki producent organów. W Świdnicy na przełomie XIX i XX wieku działała przez wiele lat fabryka organów należąca do rodziny Schalgów. Jeden z wykonanych tam instrumentów znajduje się w kościele w Stegnie Gdańskiej.

Koncert pod względem muzycznym był na niezłym poziomie, jednak przekaz filmowy okazał się beznadziejny. Organizatorzy mieli tylko jedną kamerę umiejscowioną na chórze, która pokazywała tylko organistę. Słabo słyszalne głosy prowadzących koncert dochodziły z dołu kościoła. Kamera prawie nie pokazywała klawercisty stojącego daleko za organistą. Te niedostatki wizji popsują przyjemność słuchania koncertu.

W następny piątek na **festiwalu organowym Schlaga w Świdnicy** grał młody Niemiec - Thomas Cornelius. Koncert był urozmaicony pod względem dobru repertuaru: po utworach lirycznych następowały dynamiczne. Usłyszeliśmy także świetną improwizację na zadany temat - pieśni kościelnej. Występ zakończyła nieśmiertelna *Toccata i fuga d-moll* Bacha. Realizacja telewizyjna nie poprawiła się, była fatalna: tylko jedno, statyczne ujęcie kamery pokazujące organistę. Dudniące głosy prowadzących koncert dochodziły gdzieś z głównej nawy Kościoła Pokoju, a publiczności w ogóle nie pokazano.

środa, 19 lipca 2020 r.

Obejrzałem na FB cztery odcinki filmu pt. „Dyrygent w domu” z Bassem Akiki, libańskim dyrygentem od dawna zamieszkałym w Polsce i pracującym we Wrocławiu. Widziałem go na żywo podczas spektaklu *Raj utracony* Pendereckiego we Operze Wrocławskiej. W oglądanych filmach opowiada w zabawny sposób o roli dyrygenta, często sięgając do porównań ze sztuką komponowania potraw lub ogrodów.

wtorek, 21 lipca 2020 r.

Przez przypadek natknąłem się na FB na koncert Izraelskiej Orkiestry Symfonicznej obchodzącej jubileusz 85-lecia istnienia. Muzycy grali w Grecji w stylowej sali Megaron

w Atenach. Dyrygował sławny mistrz batuty Zubin Mehta. W pierwszej części, po uwerturnie do opery *Oberon* C. M. von Webera wystąpiła grecka sopranistka Christina Poulitsi. Zaśpiewała trzy arie: Królowej Nocy z *Czarodziejskiego fletu* Mozarta, Gildy z *Rigoletta* Verdiego oraz Rozyny „Una voce poco fa” z *Cyrulika sewilskiego* Rossiniego. Po przerwie usłyszeliśmy *Symfonię nr 6 „Patetyczną”* Czajkowskiego, a na bis, *Walca* z baletu *Jezioro łabędzie* tego kompozytora.

Był to przyjemny koncert w nieznannej mi dotąd sali. Trochę zdziwiony byłem zachowaniem słynnego dyrygenta, albowiem Zubin Mehta, chociaż dyrygował cały koncert z pamięci bez partytury, to w gestach był bardzo oszczędny, nieco spowolniały i bardzo poważny, nawet po burzliwych oklaskach nie okazywał radości. Młoda grecka sopranistka wspaniale brała wysokie dźwięki w najeżonej trudnościami arii „Królowej nocy”, która jest jej popisowa arią i pięknie, z dużym zacięciem aktorskim zaśpiewała cavatinę z *Cyrulika sewilskiego*.

Organizatorzy całego cyklu koncertów odbywających się co wtorek o godzinie 21:00 w wiodących salach europejskich, chcą dostarczać muzykę bezpośrednio do domu melomanów w czasie pandemii, gdy większość tych obiektów jest tymczasowo zamknięta. *Jest to – jak piszą – zasadniczy środek, który traktujemy bardzo poważnie jako część podstawowego wysiłku obywatelskiego, który wszyscy musimy podjąć, aby spowolnić rozprzestrzenianie się COVID-19.* Darmowe koncerty transmitowane na żywo na FB z różnymi orkiestrami i wykonawcami zostały zaplanowane w Dreźnie, Barcelonie, Atenach, Budapeszcie, Lizbonie, Hamburgu, Kolonii i Amsterdamie. Wypada więc tyłko słuchać.

ANDRZEJ KORYCKI – DOMINIKA ŻUKOWSKA ŚPIEWAJĄ SZANTY I BALLADY

niedziela, 2 sierpnia 2020 r.

W czasie pobytu na Mazurach w ogrodzie przy kościele Dobrego Pasterza w Węgorzewie wysłuchałem na żywo koncertu znanego duetu szantowego: Andrzej Korycki – Dominika Żukowska. Było to dla mnie, co wydaje się wręcz nieprawdopodobne, pierwsze od pięciu miesięcy słuchanie muzyki na żywo. Ostatni raz na takim koncercie byłem na początku marca w Szczecinie. Takie są skutki pandemii.

Rok temu ci sami wykonawcy śpiewali przy akompaniamencie gitar wewnątrz kościoła (zob. relację w „Prowincji” nr 3 z 3019 r.), a obecnie był to koncert plenerowy. W ogrodzie ustawiona została mała, zadaszona estrada dla artystów, a wokół niej publiczność, około 200 osób, zajęła miejsce na leżakach lub plastikowych fotelach. Wszyscy siedzieliśmy bez maseczek w prawie przepisowych odległościach od siebie.

Na program koncertu złożyły się ballady, głównie Bułata Okudźawy, śpiewane najczęściej w języku rosyjskim oraz pieśni żeglarski – szanty. W czasie półtoragodzinnego występu usłyszeliśmy 25 pieśni. Artyści zaczęli występ od ballady *A przecież mi żal* i zakończyli bismem *Niebieski trolejbus* Okudźawy. Były też mniej znane pieśni tego barda, np. *Hej malarze pędzle w farbie zanurzajcie, czy Raz pewien żołnierz*. Z pieśni żeglarskich usłyszeliśmy, m.in. *Chciałem być żeglarzem, Na koniec ciężkiego dnia, Byle dalej, dalej, dalej*.



Sluchacze rozkoszowali się muzyką rozmieszczeni w ogrodzie na leżakach lub plastikowych fotelach, fot. W. Bielecki

Z wielką przyjemnością słuchałem pieśni na żywo podziwiając przy tym rzadko spotykany kunszt Andrzeja Koryckiego dotyczący włączania publiczności do wspólnego śpiewania. Piosenki i ballady były przeważnie sentymentalne i smutne, ale tak piękne, że pozwoliły na chwilę na oderwanie się od zewnętrznego świata opanowanego przez straszliwego wirusa.

niedziela, 2 sierpnia 2020 r.

„Oblicza romantyzmu” to nadawany na żywo na FB koncert z poznańskiej Fary w wykonaniu młodego organisty Jakuba Kapały, studenta Akademii Muzycznej w Krakowie. Można by dodać do tytułu: „niemieckiego” romantyzmu, bo usłyszeliśmy dwa krótkie utwory J. Brahmsa i S. Karg-Elerta, a potem monumentalną *Sonatę organową d-moll op. 60 nr 2* Maxa Regeera składającą się z trzech części: Improwizacja, Inwokacja, Introdukcja i Fuga. Utwór ten świetnie zabrzmiał na sławnych organach Ladegasta ze starą, tzw. mechaniczną trakturą. Organista dobrze wykorzystywał możliwości brzmieniowe instrumentu wprowadzając liczne zmiany rejestracji piszczałek i możliwości dynamiczne poznańskich organów - od pianissimo do fortissimo.

Max Reger uznawany jest w Niemczech za największego po Bachu kompozytora muzyki organowej. Przez całe swoje krótkie życie, 43 lata, zmagał się z nawrotami choroby alkoholowej. Jako ciekawostkę, za internetowym artykułem Roberta Dziemby, można podać, że często bywał w nadmorskim kurorcie Kolberg, dzisiejszym Kołobrzegu. Wysoko sobie

ceniał 45-głosowe organy kołobrzeskiej kolegiaty, które w 1890 roku wykonała firma Sauer z Frankfurtu nad Odrą. Zaliczył ten instrument „do najbardziej cennych w Niemczech w ogóle”. Reger ożenił się w 1902 roku z kołobrzeżanką, Elsą z domu von Bagensky. Życzeniem kompozytora było, aby jego ciało po śmierci spoczęło w Kołobrzegu. Zwykł podobno mawiać: „Chciałbym, żeby mi morze śpiewało w Kołobrzegu”. Jego wola nie została jednak spełniona, bo został pochowany na Cmentarzu Leśnym w Monachium.

Koncert mimo koronawirusa miał tradycyjną formę. Każdy utwór był poprzedzony krótką, fachową informacją konferansjera. Publiczność musiała siedzieć w kościelnych ławkach w odpowiedniej odległości od siebie z nałożonymi maseczkami. Nie widziałem tego, bo kamera ani razu nie pokazała słuchaczy siedzących w głównej nawie kolegiaty, była nastawiona na organistę. Niestety, pokazywany był on bardzo niefortunnie, albowiem kamerzysta pokazywał najczęściej plecy osoby pomagającej organiście przy przewracaniu nut i przełączaniu rejestrów. Moim zdaniem, można było przestawić kamerę na drugą stronę, tak aby organista był na pierwszym planie, ale do tego nie doszło. Przyznać jednak trzeba, że w monumentalnej *Sonacie* Regera pomocnik organisty miał pełne ręce roboty i biegał z prawej strony na lewą i odwrotnie. Tak to wyglądał jeden z koncertów organowych z udziałem publiczności w czasie zarazy. Ważne, że mimo trudności znajdują się osoby pragnące posłuchać muzyki na żywo i że na żywo przeprowadzane są transmisje internetowe.

piątek, 7 sierpnia 2020 r.

Transmisja na FB recitalu klawesynowego na żywo w wykonaniu młodego dra Aleksandra Mocka z Katedry Muzyki Dawnej Akademii Muzycznej w Krakowie. Koncert odbył się w ramach Festiwalu Bachowskiego w Świdnicy w tamtejszej Świątyni Pokoju.

Po krótkiej zapowiedzi konferansjera, który nie zgodził się z twierdzeniem, że: *Nad gustami się nie dyskutuje, bo Bach udowodnił, że potrafi napisać utwór, i w stylu włoskim, i francuskim* - usłyszeliśmy dwa wieloczęściowe utwory J. S. Bacha: *Koncert włoski* (trzy części) oraz *Uwerturę francuską* (osiem części). Nazwa drugiego dzieła może wprowadzić w błąd, bo nie jest to uwertura, tylko suita, czyli cykl ośmiu barkowych tańców. Przyjęta nazwa wywodzi się od pierwszego utworu cyklu - uwertury.

Artysta grał z nut, bez maseczki, na dużym, czarnym klawesynie z dwoma klawiaturami z pomalowaną na białą klapą od wewnątrz. Wykonywał utwory niespiesznie, spokojnie, mocno zdołując linię melodyczną, jak to jest przyjęte w muzyce barokowej. Jakże urokliwy jest dźwięk tego brzękłego instrumentu pod mistrzowskimi palcami. Było to piękne, czasem szybkie i leciutkie, a czasem wolne i dostojne, wykonanie muzyki Bacha.

Publiczność dość mocno przerzedzona słuchała muzyki w maseczkach. Po pierwszym utworze nie było oklasków, co mnie mocno zdziwiło, ale na zakończenie zagrzmiały one głośno i długo, więc usłyszeliśmy dwa bisy, których nie podejmuje się zidentyfikować, bo wiem za mało znam literaturę klawesynową.

Jak to dobrze, że można słuchać transmisji internetowych na żywo, bo na pewno nie wybrałbym się na koncert tak daleko. W Świdnicy byłem tylko raz ponad pół wieku temu na obozie wojskowym dla uczniów Liceów Pedagogicznych. Wtedy pół miasta zajęte było

przez Armię Czerwoną i słuchać było nie klawesyn, tylko pieśni wojskowe śpiewane po rosyjsku z rozmieszczonych na ulicach głośników.

niedziela, 9 sierpnia 2020 r.

Na 75 Festiwalu Chopinowskim w Dusznikach Zdroju grał młody, 25-letni pianista polski Szymon Nehring. W pierwszej części recitalu były utwory Chopina, m.in. *Polonez Fantazja*, a drugą część wypełniła w całości *III Sonata f-moll op. 5 J.* Brahmsa.

W rozmowie z redaktorką Różą Świątczyńską z PRRI pianista powiedział: - *Nie odczułem bardzo pandemii, bo miałem co robić. Nie miałem dłuższej przerwy od grania, bo tych koncertów on-line troszkę było, więc nie było okazji rozstać się z instrumentem, za to miałem okazję nauczyć się kilku nowych utworów. Ale jestem szczęśliwy, że mogę wrócić do grania przed ludźmi, bo to o to chodzi. To mój pierwszy koncert od kilku miesięcy, który zagram dla osób w sali, a nie tylko przed monitorami, więc daje mi to dużo ekscytacji.*

Organizatorzy festiwalu na czele z przewodniczącym profesorem Piotrem Palecznym musieli w związku z pandemią ograniczyć program festiwalu oraz zmodernizować warunki odbioru muzyki na żywo przez słuchaczy. Największa zmiana polegała na tym, że do małej sali w Teatrze Zdrojowym dostawiono namiot, w którym można było słuchać koncertu na żywo, ale na telebimie. Koncert był transmitowany przez program II Polskiego Radia, obrazu więc, jak to podczas transmisji radiowej, nie było. Właściwie to nie wiem dlaczego.

sobota, 15 sierpnia 2020 r.

W Filharmonii Narodowej w Warszawie odbył się koncert inauguracyjny 16 Festiwalu Chopin i jego Europa. Zgodnie z przepisami sanitarnymi sala była wypełniona w połowie przez publiczność siedzącą w maseczkach. Na scenie pojawił się argentyński pianista Nelson Goerner, dzisiaj, jak to piszą, jeden z najwyżej cenionych artystów swego pokolenia, świetny chopinista i niestrudzony ambasador muzyki polskiej. Goerner od wielu lat jest stałym gościem warszawskiego festiwalu.

Pianista wykonał następujące utwory: Ludwig van Beethoven *Sonata Es-dur „Les Adieux” op. 81a*, *Wariacje i Fuga Es-dur na temat „Eroiki” op.35*; Fryderyk Chopin *Ballada As-dur op. 47*; Franciszek Liszt *Harmonie poetyckie i religijne nr 7 „Funerailles”* oraz *Rapsodia hiszpańska*. Na bis był *Nokturn*, ślicznie wykonana miniatura Ignacego Paderewskiego.

Koncertu słuchałem na programie II Polskiego Radia. Osobliwością festiwalowych koncertów jest na nich także to, że odbywają się bez przerw dla artystów i publiczności. Taki to dziwny czas.

środa, 19 sierpnia 2020 r.

16 Festiwal „Chopin i jego Europa” z powodu koronawirusa został skrócony do dwóch tygodni i 30 koncertów. To i tak ogromna ilość koncertów na żywo. Mieli w czym wybierać warszawscy melomani. W programie festiwalu były głównie recitale fortepianowe oraz występy kwartetów smyczkowych. Dzisiejszy dzień był wyjątkowy, albowiem mogłem posłuchać internetowej transmisji opery *Hrabina* Stanisława Moniuszki. Włoską orkiestrą Europa Galante grającą na instrumentach z epoki dyrygował Fabio Biondi wielki miłośnik

dziel Moniuszki. W tytułowej roli usłyszeliśmy Meksykańską sopranistkę Karen Gardeazabel. Rok temu będąc na tym festiwalu w Warszawie słyszałem ją w operze Verdiego *Korsarz*, gdzie śpiewała rolę faworyty paszy Seida (zob. moją relację w numerze 3 „Prowincji” z ubiegłego roku).

Karen Gardeazabel ma piękny sopran o ciemnym zabarwieniu i dramatycznej naturze, dobrze pasujący do tej roli. Niestety, bardzo trudno było zrozumieć śpiewany przez nią tekst po polsku. Poprawnie wyśpiewywała tylko pojedyncze słowa, a ma w tej operze sporo pięknych arii, choćby tą z I aktu – *Suknio, coś mnie tak ubrała*, czy najślynniejsza arię z tej opery z III aktu gdzie musi się pogodzić z utratą ukochanego Kazimierza i dumnie śpiewa: *Zbudzić się z utrudnych snów*. Przypomina mi się tutaj tenor, Brazylijczyk Matheus Pompeu, który wykonywał rok temu partię Jontka w *Halce* pod tą samą dyrekcją. Wtedy wszyscy byli zdumieni wręcz niesamowitą poprawnością wymowy jego języka polskiego.

Pięknie zaprezentował się w roli Kazimierza tenor Rafała Bartmiński oraz w roli skromnej, patriotki Broni - Natalia Rubiś. Słowa uznania należą się chórowi z Opery i Filharmonii Podlaskiej przygotowanemu przez prof. Violetę Bielecką. Nade wszystko spodobała mi się orkiestra grająca na instrumentach z epoki, tzn. fletach nie metalowych tylko wykonanych w hebanowym drewnie, instrumentach smyczkowych z nie metalowymi strunami. Trzeba przyznać, że w tej operze Moniuszki jest wiele miejsc popisowych dla instrumentów: najślynniejszy *Polonez* na 4 wiolonczele (który na premierze w 1860 r. trzeba było bisować aż sześć razy), *Walc* czy *Kotylion* z finału.

Publiczność zgotowała wykonawcom prawie dziesięciminutową owację na stojąco, a trzeba odnotować, że była ona z powodów sanitarnych przerzedzona i przez cały czas musiała słuchać opery w maseczkach. Łatwiej było chyba wszystkim odbierającym spektakl przez internet. To dobrze, że prawie cały festiwal można śledzić przez to medium, w poprzednich latach tak nie było, trzeba było jechać do Warszawy. Jednym słowem, można by stwierdzić, że koronawirus przyczynia się do upowszechnienia muzyki klasycznej. Jakże to wręcz nieprawdopodobne stwierdzenie.

XI KONCERT PLEBISCYTOWY W SZTUMIE

niedziela, 23 sierpnia 2020 r.

W niedzielę 23 sierpnia br. o godz. 18:15 wnuczka Feliksa Nowowiejskiego, organistka Bogna Nowowiejska-Bielawska złożyła wiązanek kwiatów pod pomnikiem kompozytora na bulwarze nad Jeziorem Sztumskim. Zwyczaj składania kwiatów przed koncertem kulturowany jest od dziesięciu lat. Natomiast niecodzienne zwyczaje czekały na słuchaczy udających się do kościoła św. Anny w Sztumie. Wszyscy musieli w kruchcie kościoła wypełnić oświadczenie, że nie są chorzy na Covid-19, zdezynfekować ręce i założyć maseczkę.

Obie artystki biorące udział w XI Koncercie Plebiscytowym: Bognę Nowowiejską-Bielawską, organistkę i Katarzynę Hołysz, sopranistkę, w imieniu organizatorów i publiczności przywitała w krótkich słowach Kazimiera Dembińska. W programie były wykonywane tylko utwory Feliksa Nowowiejskiego. Koncert zaczął się od jego dwóch miniatur organowych za które kompozytor otrzymał nagrodę na konkursie w Paryżu w roku 1922: *Prelude*



Bogna Nowowiejska-Bielawska przy pomniku swojego dziadka Feliksa Nowowiejskiego. Czy wnuczka podobna jest do sławnego dziadka?, fot. W. Bielecki



Sopranistka Katarzyna Hołysz śpiewała przy akompaniamencie Bogny Nowowiejskiej na organach, fot. W. Bielecki

oraz *Marsche solennelle* (*Marsz uroczysty*). Następnie usłyszeliśmy dwie pieśni Maryjne – *Nie opuszczaj nas* i *Królowa niebios*. Zapowiadająca je Bogna Nowowiejska przypomniała, że Feliks Nowowiejski nasiąkł kultem Maryjnym podczas nauki w szkole organowej w Świętej Lipce. Po tych pieśniach usłyszeliśmy organowe *Adoremus*, a po nim trzy pieśni ludowe z Warmii: *Meszek w lesie*, *Słoneczko wysoczko* i *Z tamtej strony jeziora*.

Aria Bogny *Domanie wróć* z przepiękną melodią *Kocham Bałtyku fale* z opery „Legenda Bałtyku” była okazją do pokazania wielkiego kunsztu śpiewaczego Katarzyny Hołysz. Jest ona obdarzona ślicznym sopranem, bardzo silnym i pięknie brzmiącym zarówno w górnym jak i w dolnym rejestrze skali, przy tym prezentuje nienaganną dykcję i emisję głosu. Aż dziwne mi się zdało, że śpiewaczka ta nie wystąpiła w roli Bogny podczas premiery tej opery parę lat temu w Teatrze Wielkim w Poznaniu. A skoro mowa o głównej bohaterce opery, córce bogatego rybaka, to wtajemniczeni wiedzą, że rodzice Bogny Nowowiejskiej, obecnej organistki, nazwali ją tym imieniem, biorąc je właśnie od głównej bohaterki opery „Legenda Bałtyku”.

Drugim popisowym utworem, tym razem na organy solo był przesławny w swoim czasie *Marsz pretorianów* z oratorium „Quo vadis?” W oryginale jest on wykonywany przez wielką orkiestrę symfoniczną z organami. Aby przedstawić to dzieło sztumskim słuchaczom Bogna Nowowiejska-Bielawska musiała dokonać transkrypcji na organy. To niełatwe zadanie, bo w oryginale słychać - to z bliska czy z daleka - tryumfalne fanfary i bębny oraz główny temat grany głośno na instrumentach dętych. Trzeba przyznać, że to co usłyszeliśmy, było udaną transkrypcją, chociaż na sztumskich organach, a więc organach nie koncertowych, trudno było uwzględnić wszelkie niuansy dzieła.

Na koniec koncertu zostały wykonane dwie pieśni: *Muzyka mojej duszy* do słów Kazimierza Przerwy-Tetmajera oraz wielce patriotyczna *Dumka o Polsce*. Prelegentka opowiadała, że do tekstu pierwszej pieśni muzykę napisał także inny kompozytor – Mieczysław Karłowicz, u którego zaczyna się ona od pierwszych słów wiersza: *Idzie na pola*. Koncert zakończył się krótkim bisem, powtórzeniem piosenki warmińskiej *Meszek w lesie*.



Stuchacze musieli mieć założone maseczki w czasie całego koncertu, fot. Alicja Bartnicka

Cały program koncertu był sensownie ułożony i niezbyt długi. Usłyszeliśmy w nim utwory na organy solo oraz po raz pierwszy jedenastoletniej w historii sztumskich koncertów plebiscytowych – różne pieśni: religijne, ludowe, operowe. Sądząc ze spontanicznych oklasków, koncert spodobał się słuchaczom. Mieli oni sporą trudność w odbiorze, bo przez cały czas koncertu musieli mieć założone maseczki, a nikt do tego nie jest przyzwyczajony. Myślę, że oprócz muzyki spodobały się również treściwe zapowiedzi utworów wygłaszane przez obie wykonawczynie. Jedyne czego mi zabrakło w tym koncercie, to pewnego utworu, który został zapisany w programie, ale nie został wykonany. Była to aria Ligii z oratorium „Quo vadis?” *Ach, opuść Rzym*. Opowiada ona o tym, jak zgromadzeni w katakumbach chrześcijanie proszą św. Piotra, aby opuścił Rzym, aby nie narazić się na pewną śmierć z rąk pretorianów Nerona. Tę arię wykonywała sto lat temu, 9 maja 1920 r. w Sztumie, Helena Sosińska, śpiewaczka opery z Hamburga, której na pianinie akompaniował Feliks Nowowiejski. W obecnym programie miał to być jedyny utwór wykonywany tutaj tak, jak przed stu laty. Szkoda, bardzo szkoda, że go zabrakło.

Po koncercie udało mi się porozmawiać telefonicznie i wysłuchać kilku opinii sztumskich melomanów. Oto one:

- Najbardziej podobały mi się pieśni, bo skojarzyły mi się ze szkołą średnią, w której uczyliśmy się „Hymnu do Bałtyku” Feliksa Nowowiejskiego ze słowami w refrenie: <I póki kropla jest w Bałtyku, polskim morzem będziesz ty>. Muszę powiedzieć, że bardziej lubię koncerty z programem gdzie był, i Nowowiejski, i inni kompozytorzy, ale rozumiem to, że w 100-letnią rocznicę koncertu w Sztumie był tylko Nowowiejski. Podobał mi się śpiew sopranistki i jej konferansjerka, taka zachęcająca i otwarta do ludzi. W jej wykonaniu pieśni ludowe były in-

terpretowane innym, operowym głosem. Spodobata mi się aria Bogny z „Legendy Bałtyku” oraz „Marsz pretorianów” wykonany na organach.

- Jak zwykle koncert był dla mnie dużym wydarzeniem, czekałem na niego. Było to dla mnie przyjemne słuchanie. Ten pierwszy, krótki marsz na organach tak sobie mi się widział, ale sopranistka fajnie śpiewała, to były takie lekkie piosenki.

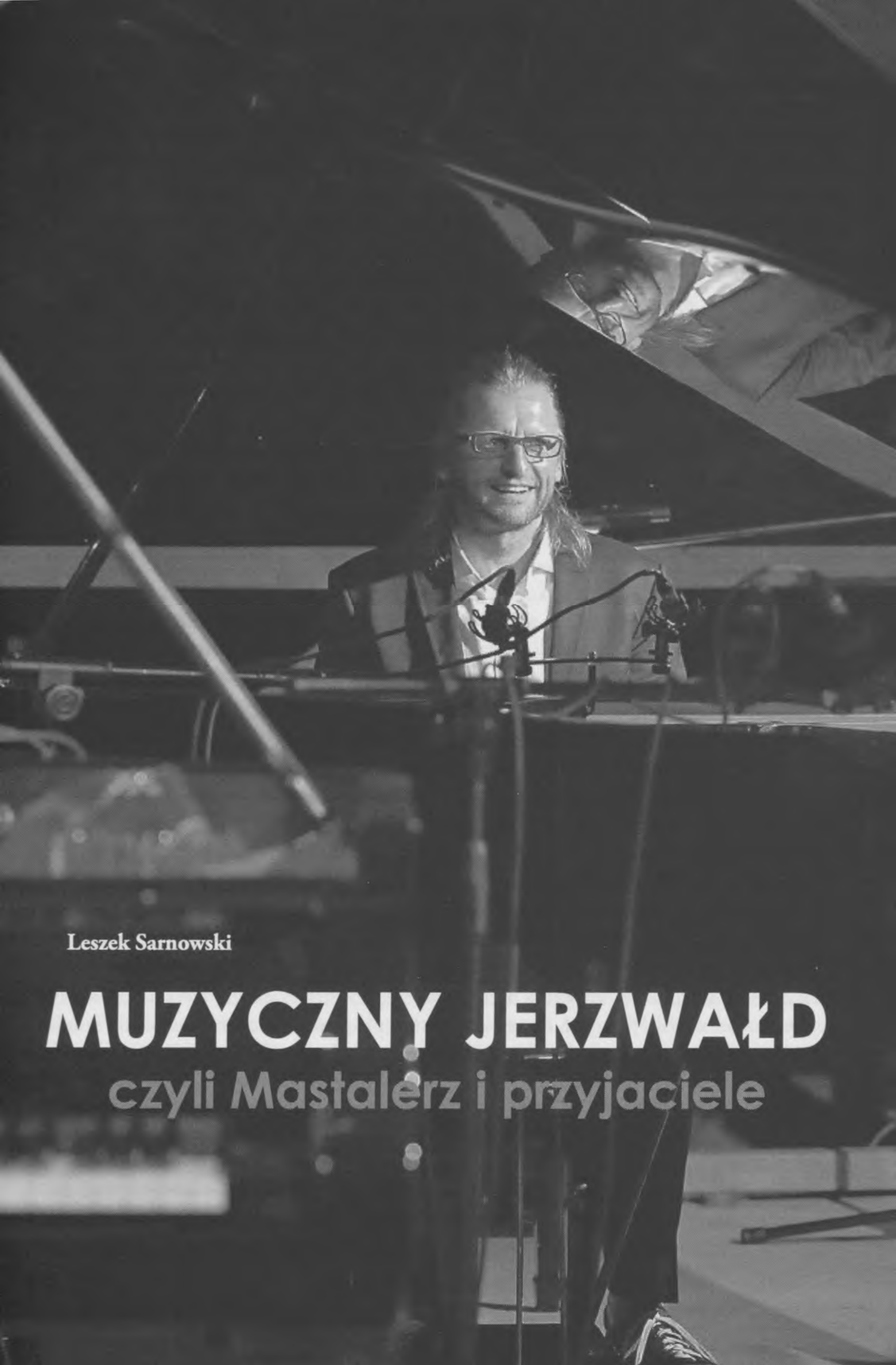
- Bardzo dobrze się stało, że śpiewaczka wzięła mikrofon do ręki i przekazywała swoje impresje i ciekawe uwagi związane z wykonywaną muzyką, takie słowo wiążące. W czasie śpiewania jej głos brzmiał znakomicie, był głęboki, słodki i czysty. To mi się bardzo podobało. Dla mnie było wzruszające, kiedy śpiewaczka opowiadała, że uczyła się pieśni warmińskich przy obieraniu ziemniaków. W pieśni „Słoneczko wysoczko” są używane zdrobnienia, które skojarzyły mi się z moją mamą, która w chwilach uniesienia też używała zdrobnień. Jeśli chodzi o utwory organowe, to wszystkie mi się podobały, ale szczególnych wzruszeń doznałam w czasie słuchania pieśni warmińskich, widocznie jestem bardzo czuła na słowo.

- Koncert ten był dla mnie ciekawy, bo po raz pierwszy były organy ze śpiewem. Organistka okazała się bardzo skromną artystką. Dobierała ciekawą rejestrację głosów do wykonywanych utworów, a śpiewaczka zaprezentowała wysoką klasę. Koncert był dla mnie bardzo udany.

- Bardzo pięknie, że jest taka inicjatywa, że w naszym niewielkim miasteczku odbywają się koncerty. Przyjeżdżają tu różne gwiazdy, a jedna z nich z nazwiskiem: Nowowiejska. To coś wspaniałego, bo „dotykaliśmy” prawie jej sławnego dziadka. Druga gwiazda, to śpiewaczka, sopran, która w swoim życiu zaśpiewała dużo partii operowych, i to w raczej trudnym repertuarze, w dużych teatrach w Polsce i za granicą. Wydaje mi się, że śpiewanie Nowowiejskiego jest łatwiejsze niż zaśpiewanie „Halki” czy „Toski”, ale zrobiła to bardzo ładnie, z interpretacją, z opowiadaniem, z odpowiednim zachowaniem na scenie. Obie panie to urocze artystki na wysokim poziomie. Cieszę się, że trafiłam na taki koncert i jestem wdzięczna organizatorom, że i mogłam być na tym wydarzeniu.



Niecodzienny duet czyli Janusz Olejniczak i Leszek Możdżer, fot. Mirosław Kliński



Leszek Sarnowski

MUZYCZNY JERZWAŁD

czyli Mastalerz i przyjaciele

O tym, że na prowincji dzieją się rzeczy niezwykle i ciekawe, nie musimy przekonywać naszych czytelników, bo od dziesięciu lat staramy się to udowodnić w każdym kolejnym numerze naszego kwartalnika. Miejsce i klimat są oczywiście ważne, ale w ostatecznym rozrachunku najważniejsi są ludzie, którzy mają pasję i zarażają innych, choć w czasach pandemicznych może nie jest to najlepsze słowo.

Jerzwałd to dawne pruskie Keysy, czy niemieckie Gerswalde. Urzędowało tu pruskie plemię Geriów, a potem ziemie ich rozdawał swoim poddanym komtur dzierzgoński Luther z Brunszwiku. W XVI wieku wieś podupała i ponownie była lokowana w 1707 roku przez króla pruskiego Fryderyk I. Z niemieckiej kroniki z 1871 roku wynika, że spośród mieszkańców 480 umiało czytać i pisać, a 218 było analfabetów i 278 dzieci do lat 10. Mieszkało tu wówczas 2 niewidomych, 2 głuchoniemych i 2 niespełna rozumu. W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego” z początku XX wieku czytamy, że wieś należała do regencji królewieckiej, mieszkało 980 osób, była stacja pocztowa i dwa jarmarki.

Jerzwałd dziś to około 370 dusz. Gmina Zalewo. Powiat iławski. Urokliwe położenie nad jeziorem Płaskim, które jest częścią Jezioraka. Od 1967 roku aż do śmierci, przez 27 lat, mieszkał tu i tworzył Zbigniew Nienacki, jeden z najpoczytniejszych pisarzy polskich. Z Jerzwałdem od dawna związany jest Mirek Mastalerz, człowiek wielu talentów. Gra na gitarze, zajmuje się renowacją starych pianin, stroi i wypożycza fortepiany, a od wielu lat organizuje klimatyczne koncerty muzyczne w swoim ogrodzie i domu.

W branży muzycznej działa od 25 lat. Rocznie obsługuje ponad 300 imprez: koncertów, eventów i programów telewizyjnych. Zaufało mu wielu wybitnych pianistów, między innymi Waldemar Malicki i Filharmonia Dowcipu, Leszek Możdżer, Janusz Olejniczak. Trzy auta Mastalerza przystosowane do transportu fortepianów i pianin kursują codziennie po całej Polsce. A od roku 2009 siedziba Pianoforte Concert Management, bo tak nazywa się firma Mirka i jego towarzyszkii życia Beaty, mieści się w Jerzwałdzie. Początkowo szukali swego miejsca w Gdańsku, ale od 2009 roku wrócili do rodzinnego Jerzwałdu i tu jest teraz ich stałe miejsce na ziemi.

Mastalerz mieszka tu od urodzenia, choć z przerwami. Dość spory gość, o którym Leszek Możdżer na ostatnim koncercie powiedział, że bliski jest osiągnięcia stanu Buddy. Przyjaciele mówią o nim, że Mirek jak jest wielki, tak wielkie ma serce do muzyki. To dzięki niemu właśnie Leszek Możdżer jest tu częstym gościem i próbuje się wpisywać w lokalną społeczność. Sam widziałem na Dniach Siemian, w pięknej scenerii nad Jeziorakiem. Duża scena, tłumy ludzi, bo wstęp prawie darmo. Piwo się leje strumieniami, kiełbasa skwierczy, ludzie chodzą, siedzą, polegają. Letnia klasyka. Ciepłe popołudnie. No i na scenie Leszek Możdżer. Jazzowe solo na fortepianie. My przyjechaliliśmy specjalnie dla Niego, ale większość to chyba czekała na wieczorną gwiazdę popowej sceny kabaretowej – męczące skecze czy jacyś inni paraniormalni, co to rozbawią i rozśmieszą każdego, od kombajnisty po doktora. Możdżer z odrobiną niepewności, bo raczej nie przerażenia, stanął przed suwerenem. Ośmieliły go pokrzykiwania wcale nie małej grupki fanów, a konwencja żartobliwo-jazzowo-popowa przekonała zebranych. Była zatem opowieść o muzyce tonalnej, przeplatana oryginalnymi akordami na fortepianie, no i w końcu kilka najbardziej popularnych kompozycji mistrza. „Nie było łatwo - jak później nam powiedział - ale chyba dałem radę”.

Z całą pewnością, choć nie zawsze te mniej dynamiczne nuty przebiły się przez rozgadany, podchmielony i wędrujący z miejsca na miejsce tłum. Zresztą wydaje mi się, że Możdźer jest mistrzem kontaktu z widownią i nawet tutaj to się udało. Kilka lat temu widziałem go w salce zakładu karnego, przed widownią znacznie trudniejszą, by się zdawało, ale to, co się tam wydarzyło, było niesamowite, patrząc na podrygujących rytmicznie skazanych, którym nawet łza w oku się zakręciła. Ale tam było kameralnie, więc i o nastrój łatwiej, niż w tłumie spod znaku „chleba i igrzysk”.

- Dla bohaterów powieści Zbigniewa Nienackiego, pisarza z Jerzwałdu, ta wioska była całym światem. I dla mnie też jest - wspominał Mirek Mastalerz na łamach lokalnych „Zapisków Zalewskich” - stąd kierujemy naszą firmą, tu najlepiej odpoczywam. Jeżdżę po całej Polsce, a czasami też po Europie, ale zawsze z tęsknotą wracam w rodzinne strony. W jerzwałdzkim porcie czeka Wiking, a w lodowce świeże leszcze do usmażenia. Jest też prywatna sala koncertowa w moim ogrodzie.

Mastalerz jak wrócił na stałe do rodzinnego Jerzwałdu wymyślił sobie, by kilka razy w roku rozbrzmiewała w jego ukochanej wiosce muzyka i to taka na wysokim poziomie. I rozbrzmiewa, a salon muzyczny Beaty i Mirka stał się nieoficjalnym ośrodkiem kultury muzycznej.

KONCERTOWO

Pierwszy koncert odbył się w Parku Krajobrazowym w Jerzwałdzie w 2009 roku i był dedykowany rodzinie - matce Mastalerza i teściowej. Zagrał pianista Maciej Markiewicz w koncercie „Classic meets Boogie”. Kilka miesięcy później jeszcze jeden koncert młodych adeptów fortepianu, absolwentów gdańskiej Akademii Muzycznej – Michała Krężlewskiego i Kiryła Keduka, pochodzącego z Białorusi. Spodobało się.

W 2011 na plenerowej scenie pojawiła się nowa nazwa imprezy czyli „Raz w roku w Jerzwałdzie” (nie dało się wszak nie nawiązać do Nienackiego „Raz w roku w Skiryławkach”). Wystąpili wtedy: Ewelina Duda - śpiew (muzyka rozrywkowa, taneczna), Stanisław Deja - fortepian (klasyka), Sławek Jaskulke - fortepian (jazz), Justyna Chmielowiec - fortepian (klasyka), Apolinary Polek - gitara, śpiew (poezja śpiewana) i Mirosław Duda - fortepian, syntezatory, akordeon.

Kolejne lata to koncerty w zagrodzie (pod dachem i w ogrodzie) Mastalerzów, pod słynną Katalpą (inaczej surmią, czyli egzotycznym drzewem rodem z Ameryki Północnej z pięknymi liśćmi i kwiatami). W ciągu kilku lat lista muzyków jest imponująca: Bogdan Hołownia, Oskar Stabno, czarnoskóra wokalistka jazzowa Amana Melone z zespołem, Jan Krzysztof Broja, Urszula Fryzka, Janusz Styczyński, Andrzej Kowalczyk, Anna Stankiewicz, Janusz Strobel, Barbara Drażkowska, Dutkiewicz, Jerzy Małek z zespołem, Józef Skrzek, Dominik Wania, Jorgos Skolias, Adam Korycki a nawet śpiewak operowy Bogusław Bidiński na co dzień mieszkający w Szwajcarii, Adam Palma z Manchesteru, Krzysztof Malinowski z Kanady, no i Leszek Możdźer, który stał się stałym gościem, najpierw uświetniając wernisaż wyjątkowego artysty Alfona Kufakowskiego (który kilkanaście lat temu wrócił z wygnania z kazachskich stepów i osiadł w pobliskich Witoszewie). Możdźera nie zabrakło także w kolejnych latach.



Olejniczak, Dębski, Serafińska, Palma i Możdżer, za fortepianem, ledwo widoczny, czyli finał, fot. Mirosław Kliński



Leszek Możdżer na polanie, fot. Mirosław Kliński

W ubiegłym roku Leszek Możdżer zagrał w duecie z Glorią Campaner, z którą właśnie wrócił ze wspólnej trasy koncertowej po Polsce. Prowadzący koncert krytyk muzyczny Jan Popis, tak zrecenzował wydarzenie: *Zaczęło się wszystko cudownie i... szczęśliwie, mimo grozy burzy, cudownie się zakończyło. Najpierw w ładnym, przydomowym ogrodzie, pod rozłożystym drzewem (wiadomośc dla dendrologów - pod katalpą) stanęły dwa Steinwaye nastrojone na a - 432. Publiczność przyjechała z bliska i z daleka. Po krótkiej mojej zapowiedzi, rozpoczął świetnym recitalem - „w swoim stylu” LESZEK MOŹDŻER, po czym poprosił do fortepianu, występującą z nim w duecie, cieszącą się wysoką renomą międzynarodową – GLORIĘ CAMPANER. Zaczęła od „Światła księżycy” Debussyego, w wolniejszym nieco tempie, dając nam szansę wsłuchania się w owo niezwykle „rozszczepianie” dźwięku na jego „składowe barwy”. Mniej więcej w połowie, dająca już znać o sobie burza, przybrała na sile, a jej błyskawice stworzyły jedyną w swoim rodzaju, acz groźną, scenerię. Słowem, mieliśmy i rozszczepienie na barwy muzycznego dźwięku i rozszczepienie światła burzowych błyskawic!. Dalej, już jak najszybciej trzeba było okryć fortepiany i ewakuować się do bezpiecznego miejsca. Takie się znalazło, bo przecież Jerzwałd to miejsce MIRKA MASTALERZA, który w swoim domostwie ma zawsze kilka instrumentów (pozostałych kilkanaście jest w tym czasie „w trasie”) i tym razem, na pianinach Förstera można było kontynuować koncert. Atmosfera była wspaniała. Usłyszeliśmy Asturię Albeniza, Dla Aliny Pärta, Wariacje n/t. Paganiniego Lutosławskiego, Toccate Prokofiewa, Libertango Piazzolli, Brasileirę Milhauda. Zaprezentowane wersje na 2 fortepiany są swojego rodzaju transkrypcjami, w których do tekstu oryginalnego Leszek Możdżer „dogrywa” swoje jazzowe kadencje i kontrapunkty. Znakomita idea, zwłaszcza gdy brane są pod uwagę także właśnie „hity” muzyki klasycznej. Świetny koncert, świetne atmosfera. Co znaczy spontaniczność, i w ogóle tzw. „bliskość muzyki”!*



Adam Palma ocalony po ciężkiej chorobie w nadzwyczajnej formie, fot. Mirosław Kliński

JAZZWAŁD 2020

No i w końcu Festiwal Jazzwałd 2020 i mimo pandemii zatrząsienie gości, szczególnie na scenie. Miało być w domu Mastalerzów, ale zainteresowanie widzów było tak duże, że imprezę trzeba było przenieść do Pensjonatu nad jeziorem Płaskim i to był strzał w dziesiątkę. Bo po pierwsze, udało się wpuścić znacznie więcej ludzi (ok. 150 przy zachowaniu wszelkich reżimów pandemicznych), a po drugie, to piękne miejsce i wspaniały klimat, na dużej polanie nad samym brzegiem jeziora. Publika zjechała z całego województwa pomorskiego i warmińsko-mazurskiego, plus goście z całej Polski wycieczający na Mazurach. Zestaw artystów był tak imponujący, a oczekiwania widzów tak

wielkie, że nawet deszcz, który próbował nieśmiało straszyć jednych i drugich, szybko wyniósł się w inne rejony.

Na początek Janusz Olejniczak. Wybitny pianista, wręcz legenda polskiej pianistyki. Laureat VI nagrody na VIII Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim w 1970 roku. Ze swoimi koncertami zjechał niemal cały świat. Zagrał większość partii fortepianowych w filmach „Chopin. Pragnienie miłości” i „Pianista”. Poza Chopinem ma swoim repertuarze utwory Liszta, Mozarta, Prokofiewa, Schuberta, Kilara, Góreckiego, ale jak się okazało na koncercie w Jerzwałdzie nie stroni też od Astora Piazzolli. Słuchać takiego mistrza w takich okolicznościach przyrody to była prawdziwa przyjemność.

Kolejny wykonawca rozpoczął od oświadczenia, że „lubią go przede wszystkim kompozytorzy, którzy już nie żyją, z nadzieją na szybki kontakt”. Nie mógłby to być nikt inny, jak Waldemar Malicki, wirtuoz fortepianu i przewrotnego dowcipu. Rano łowił z Mastalerzem leszcze, a wieczorem bawił gości melodiami z różnych stron Polski, także nie stroniąc od Chopina. Zresztą duch naszego najwybitniejszego i eksportowego kompozytora unosił się niemal przez cały wieczór, bo przywołał go także oryginalny gitarzysta Adam Palma, na co dzień mieszkający w Manchesterze, którego koncert w Jerzwałdzie był jednocześnie powrotem do świata żywych. Kilka miesięcy wcześniej Palma zakaził się koronawirusem i właściwie żegnał się już ze światem i rodziną. Było ciężko. Mirek Mastalerz na swoim fanpage’u i na facebooku zachęcał niewierzących do dobrych myśli, a wierzących do modlitwy za Adama, bo lekarze nie dawali żadnej nadziei. No i stał się cud. Zaledwie dwa miesiące po swoim ozdrowieniu Palma pojawił się w Jerzwałdzie, trochę w podziękowaniu swoim fanom za do-



Natchniony Krzesimir Dębski, fot. Mirosław Kliński

bre słowa które płynęły do niego z Polski w trudnym czasie. Adam Palma, doktor nauk medycznych, uznawany jest za jednego z najwybitniejszych polskich gitarzystów sesyjnych. Gra głównie na gitarze akustycznej, poruszając się swobodnie między stylami fingerstyle, rock, country, blues czy jazz. Jest jedynym Polakiem, którego do wspólnego koncertowania zaprosił słynny Al Di Meola. Poza solowymi utworami Adam Palma szczególnie zachwycał publiczność w duecie z Leszkiem Możdżerem w brawurowym Walcu h-moll op. 69 nr 2 z płyty artysty „Adam Palma Meets Chopin”, co na leśnej polanie zabrzmiało bardzo oryginalnie.

Leszek Możdżer zresztą był *spiritus movens* tego mini festiwalu. W swoim solowym występie zaprezentował kilka swoich najbardziej popularnych utworów, między innymi z płyty „The Time”, „Chopin”, ale towarzyszył każdemu artyście, także Krzesimirowi Dębskiemu, z którym wdał się w muzyczną polemikę, ale i dialog. Krzesimir Dębski dawno chyba nie koncertował na leśnej polanie, ale znając jego dowcip i umiejętności adaptacji do różnych sytuacji, nie obawiałem się, że zawiedzie. Nie dał oczywiście wielkiego solowego recitalu, ale za to sprowokował wszystkich niemal muzyków do pojawienia się na scenie i dobrej zabawy muzycznej

Krzesimir Dębski to historia jazzu i muzyki filmowej ostatnich lat. W mojej pamięci utkwiał szczególnie w czasach studenckich swoją formacją „String Connection”. To był jeden z najlepszych zespołów jazzowych lat 80-tych, a Dębski był uznawany przez prestiżowy amerykański periodyk muzyczny „Down Beat” za jednego z dziesięciu najlepszych skrzypków jazzowych na świecie. „String Connection” najbardziej zaśląnął w składzie Andrzej Olejniczak (saksofon), Janusz Skowron (piano), Krzysztof Ścierański (bas), Zbigniew



Jazzwzwałd nad jeziorem Płaskim, fot. Mirosław Kliński

Lewandowski (perkusja). To był wyjątkowy zespół i szkoda, że zakończył działalność. Była próba reaktywacji kilka lat temu, ale bez efektu. Krzesimir Dębski od końca lat 80-tych zajął się, z bardzo dobrym skutkiem, komponowaniem i aranżacją. Ma też na swoim koncie muzykę filmową, jak - *Sfora*, *Kingsajz*, *Plac Waszyngtona*, *Ogniem i mieczem*, *W pustyni i w puszczy*.

Krzesimir Dębski towarzyszył również na scenie Annie Serafińskiej, jednej z najwybitniejszych dziś wokalistek jazzowych. A kiedy doszedł do tego Adam Palma i przy dwóch fortepianach Janusz Olejniczak i Leszek Możdżer, to już był wielki finał i gratka dla fanów. Bo oprócz Chopina i Piazzolli pojawił się także Stevie Wonder. A wszystko to w ciepłą sierpniową noc, na polanie, nad brzegiem jeziora, w blasku księżyca. Oklaski.

Ot i takie to cuda dzieją się w prowincjonalnym - nieprowincjonalnym Jerzwaldzie.



Mirek Mastalerz ze swymi gośćmi, fot. Mirosław Kliński



Leszek Możdżer, fot. Mirosław Kliński



Waldemar Malicki, fot. Mirosław Kliński



Po występach w największych światowych salach koncertowych Janusz Olejniczak tym razem na jerzwałdzkiej polanie, fot. Mirosław Kliński

Janusz Ryszkowski

Z MOJEGO WIERSZONOTATNIKA

„TERAZ” I BEZCZAS

Małgorzata Wątor, Przeznaczona / Gréta Wątor, Namienionô, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I w Brzegu, Brzeg 2020.



Dwa tomiki pod jedną okładką, kryjącą w sobie także dwa oblicza poetki i zarazem jej odrębne światy. W pisanym po kaszubsku tomiku „Namienionô” (z wersjami polskimi) Małgorzata Wątor jest Grétą Wątor. Jakie to rodzi konsekwencje, bo nie tylko o zwykłe tłumaczenie imienia i nazwiska tu chodzi? Najprościej byłoby przypomnieć znaną maksymę Ludwiga Wittgensteina z „Traktatu logiczno-filozoficznego” - „Granice mojego języka są granicami mojego świata”.

Małgorzata Wątor sprawdza potencjał języka, zanim mu zaufa. To moim zdaniem

nie przypadek, że tomik „Przeznaczona” otwiera żartobliwy utwór, którego pierwsze wersy brzmią: „człowiek zrobiony z roweru/ scentrowało mi się oko, przez co noszę okulary/ na flaku stóp zrobił mi się odcisk i kuleję”. Wiersz budowany jest na rowerowym ciągu skojarzeń - „łańcuch”, „przerzutki”, „mechanizm”. Zacytujmy końcówkę: „kobiety tyle razy się na mnie przejechały, że/ Żadna z nich nie będzie chciała karnać się drugi raz”.

Co jeszcze zwraca uwagę w tym opartym koncepcie roweru wierszu? Czasownik „karnać” na Powiślu i Żuławach raczej nieużywany, znaczący tyle, co przejechać się. Pochodzi od „karocy, karety, kary (taczka)”, ale równie można go wywodzić od angielskiego „car”. I pewnie wielu młodych ludzi na to by wskazało, bo z karą (taczka) nie miało do czynienia. I jednocześnie „karnać” wywołuje skojarzenie z ukaraniem. Czyli związek z „człowiekiem z roweru” kończy się źle...

Na podobnym, tym razem samochodowym koncepcie opiera się wiersz „Zdrowy rajd”. Ale dalej poetka już po takie koncepty barokowo-lingwistyczne nie sięga, wyraźnie widać, że ciągle poszukuje dla siebie odpowiedniej dykcji, i zarazem siebie w nowej dykcji. I gdy już powoli zaczynamy się z jej światem oswajać, tomik się kończy (liczy 15 wierszy).

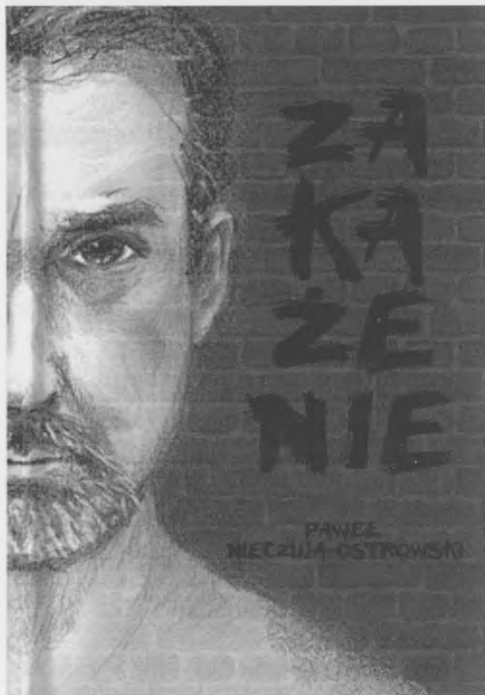
Część kaszubska (tyle samo utworów z wersjami polskimi) to już zupełnie inna rzeczywistość. Świat pełen jest słowiańskich

bóstw – m.in. z Mokošą, Daźbogą, Jarełą, Porewitem, Trzygłowem... Obcuje z nimi bohaterka. Mity zostają ożywione, beczas miesza się z konkretnym „teraz”.

Ciekawe, jak dalej będzie rozwijała się twórczość Małgorzaty Wątor?

SŁOWA WCIELONO W STRATEGIE

Paweł Nieczuja-Ostrowski, Zakażenia, ZAJDEL.pl, Gdańsk 2020.



„Wiersze (...) powstały w latach 2016-2019, w Polsce. Nie zachowują jednak porządku chronologicznego, mimo że ich układ ma oddać pewien proces” - czytamy w odautorskim słowie. Poeta, doktor nauk o polityce, co nie jest tu bez znaczenia, chce czytelnikowi wyraźnie wskazać, że to poetycki zapis tego, co doświadczył bohater liryczny w bardzo konkretnej rzeczywistości. Tytuł jednoznacznie wskazuje na stawianą diagnozę.

Tomik zaczyna się od liryki osobistej („Wdzięczność”, „Zaćmienie”, „Przerwany lot”), by przejść do wierszy obywatelskich, społecznie zaangażowanych (m.in. „Filozofia ministra, czyli ministrowi nie starcza do pierwszego”, „Sejm otoczony”, „Wirus monachijski”), by zakończyć inwokacją:

*więc dziś proszę Cię, Polsko!
bądź mym dzieciom nie walką
a życiem godziwym
nie znojem a wytchnieniem
nie oparem a tlenem
(„Polsko!”)*

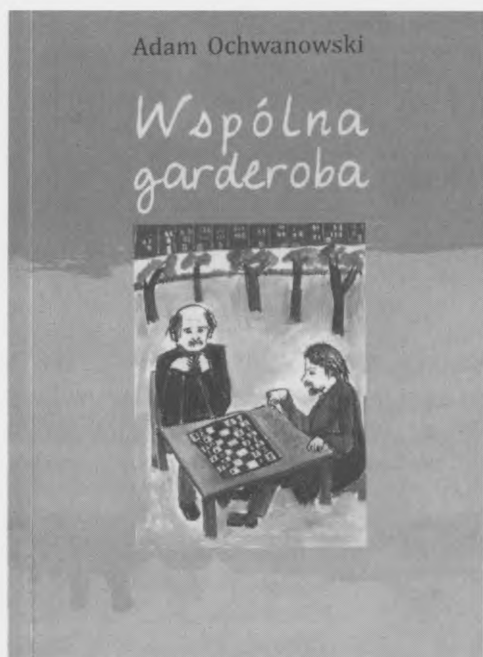
Nieczuja-Ostrowski, moim zdaniem, lepiej wypada w roli poety spraw prywatnych.

Doceniam głos obywatelski, lirykę interwencyjną, ale zbyt często z tych wierszy gdzieś wyparowuje walor poetycki. Tak reaguje słowo, gdy przestaje być wolne, ale – co zauważa autor - „wcielono w strategię dla poezji”. Pozostaje wtedy zbyt wiele publicystyki. Ale może taki był zamysł autora?

DWA POEMATY

Adam Ochwanowski, Wspólna garderoba, Ilustracje Ewa Maziarska, Instytut Kultury Ireneusza Ślusarczyka, Jędrzejów 2019.

Z poezją Adama Ochwanowskiego spotykałam się od czasu wydania „Dotyku Madonny”, drugiego tomiku, czyli już jakieś 35 lat. Do dziś pamiętam żółtą matową okładkę i kartki nie klejone, ale niedbale zszyte. To powodowało, że tomik puchł przy grzbiecie. Firmowało tę publikację renomowane Wydawnictwo Łódzkie, ale nie ono było do końca winne tej fuszerce, takie były w tamtych czasach zdolności poligraficzne. I jakby na przekór tej zgrzebnej



formy, mocno jaśniały klasycyzujące, mądre wiersze poety z Ponidzia...

Tomik „Wspólna garderoba” zawiera dwa poematy – „W mojej garderobie” i „Zdradzeni i porzuceni”. Garderoba (ta moja) jest przestrzenią prywatną, wręcz intymną. Poeta udostępnia ją na własnych zasadach, tak jak stara się urządzić po swojemu. Tu „czas często nie płynie”, „sny wychodzą z lustra”, „nie ma wojen/ ani codziennych swarów”. Szybko orientujemy się, że to jedynie pobożne życzenia, bo nie da się zostawić za drzwiami rzeczywistości, historii, tradycji oraz własnych traum. Garderoba staje się wspólna, pojawiają się w niej i Sokrates, i Hitler, Stalin, Tomasz z Akwinu, Marks, a nawet Jan Himilbach i Tadeusz Mazowiecki.

„W mojej garderobie/ ludzie ludziom zgotowali ten los/ według staropolskich przepisów/ na rosół/ schabowy/ i odwieczny bigos.”

Jak widać, Ochwanowski chętnie korzysta z cudzego słowa, lub jego parafrazy, aby

odesłać do bagażu skojarzeń, który niesie. Kiedy pisze: „W mojej garderobie/ świat się śmieje/ mało kto pamięta/ o osiem i pół Feliniego/ w bazie ludzi umarłych/ Marek Hłasko skarży się/ że wszyscy byli/ i nadal są odwróceny”) ma świadomość, że zwraca się do swojego pokolenia, bo komu z dziesiętnych dwudziestolatków, trzydziestolatków te tytuły coś mówią?

Poemat „Zdradzeni i porzuceni” jest kontynuacją „Mojej garderoby”, utrzymaną w tonie katastroficznym. Ochwanowski nie pozostawia złudzeń: „w krainie zdradzonych o zmroku (...) partyjne słowiki ruchają namiętnie/ narodową metaforę miłości ojczyzny (...) tylko świt błędnie ze strachu/ o szóstej rano”.

WPLATAŁ SIĘ WIERSZ, PRZYGARNAŁEM...

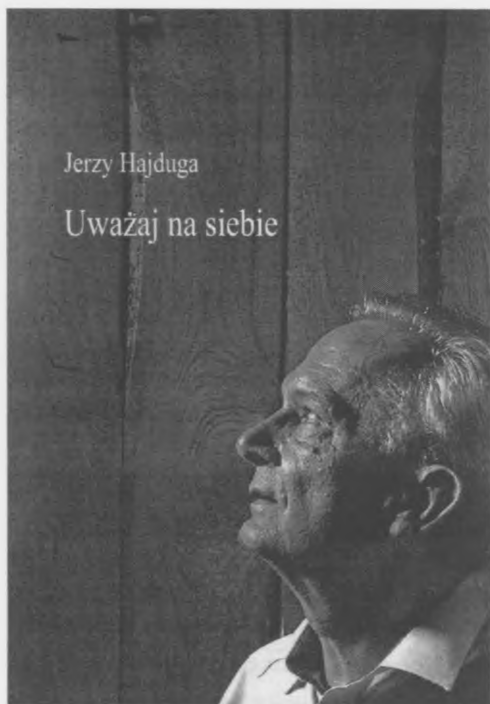
Jerzy Hajduga, Uważaj na siebie, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2020.

Po lekturze poematów sięgam dla odmiany po minimalistyczną poezję księdza Jerzego Hajdugi, zresztą rówieśnika Ochwanowskiego (rocznik 1952). „Uważaj na siebie” to nieco ponad 40 wierszy, a każdy z nich liczy trzy wersy i tytuł, co odróżnia je od haiku. Nawiasem mówiąc, nie tak niedawno Krzysztof Kuczkowski opublikował tomik złożony z wierszy siedmiowersowych („Siódemki”), a Marek Czuku na podobnej zasadzie cykl „Piątki”.

Otwieram książeczkę Hujdugi na chybił trafił i czytam:

*Masz pomysł na
Wyjście nocą
prowadź*

Tytuł „Moja mordko” wyjaśnia, o co chodzi z tym wyjściem. Banalne? Niewarte pióra? A to:



Jerzy Hajduga

Uważaj na siebie

Dbam o twoją nieobecność

Krzesełko lekko odsunięte

Kawa też

(„Spóźniony”)

W tych, nazwijmy je tak, „trójkach” wiele się dzieje, „sytuacja” została zaledwie naszkicowana, reszta zależy od czytelnika, który wypełni puste miejsca, skonkretyzuje po swojemu. Te migotliwe błyski mają coś rozświetlić, czasem rozpalić. Zapraszają do dialogu. Tego doświadczyłem. Przed laty krótkie wiersze Charlesa Reznikoffa i Richarda Brautigana wywoływały u mnie podobne wrażenie.

Tomik Hajdugi kończą „Fragmenty z czasów kwarantanny”: Oto jeden z nich: *z kąta w kąt tylko/ ściana kłóć się/ o mnie.*

Trudno o lepsze świadectwo psychicznego spustoszenia, wywołanego izolacją w czasach pandemii.

Katarzyna Gentkowska

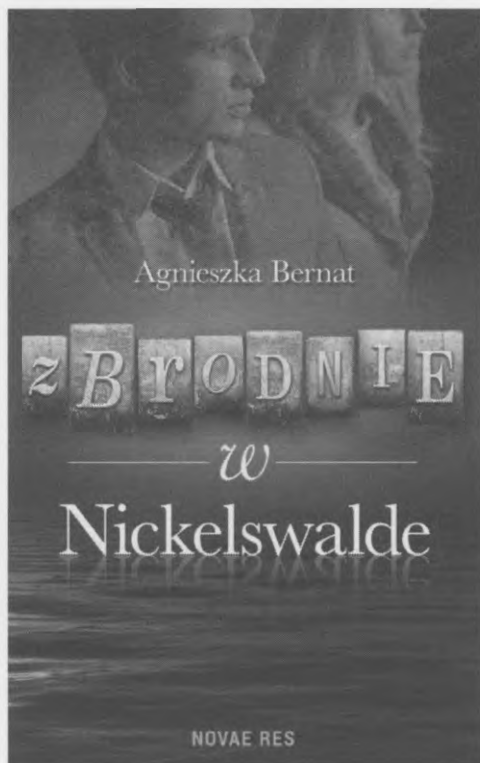
W CHOCHOLIM OBJĘCIU. OBRAZ MIKOSZEWSKIEJ PROWINCJI

Agnieszka Bernat, „Zbrodnie w Nickelswalde”, Gdynia 2016, Wydawnictwo Novae Res.

Zbrodnie w Nickelswalde Agnieszki Bernat to pozycja, której nie ominie prawdziwy miłośnik kryminału. Powieściopisarka nakreśliła w swym utworze obrazy zbrodni inspirowane kryminałami niedoścignio-

nej Agaty Christie. Akcja utworu została umiejscowiona w Mikoszewie. I właśnie za prezentowanie odmalowanego literackiego obrazu przywołanej nadmorskiej miejscowości jest celem poniższej refleksji.

Fabula powieści jest osnuta wokół śmierci młodej lekarki, która zginęła podczas wy-



poczynku na nadmorskiej plaży. Za sprawą młodego i ambitnego policjanta z Mikoszewa - Michała Deja oraz komisarza Cybulskiego dowiadujemy się, że turystka została odurzona narkotykami, a następnie upozorowano jej śmierć. Wkrótce na światło dzienne wychodzą skomplikowane relacje ofiary z mężem oraz romans z ekstrawaganckim kochankiem. Nieoczekiwanie w Mikoszewie dochodzi do kolejnych morderstw. Na mieszkańców pada błąd strach. Jednocześnie potencjalni podejrzani posiadają niepodważalne alibi. Rozwiązanie kryminalnej zagadki ujawnia, że ta powieść wyłamuje się ramom klasycznej powieści kryminalnej.

Wartością dodaną utworu są elementy topografii, które pozwalają zlokalizować wędrowki powieściowych bohaterów. Mamy także okazję towarzyszyć Michałowi

Dejowi w czasie powrotu z pracy do domu kolejką wąskotorową. To powoduje, iż czytelnik może odnieść wrażenie, że śledząc kolejne zdania powieści, przemieszcza się w wraz z bohaterami po realnym Mikoszewie. Oczywiście nie wszystkie elementy topograficzne możemy znaleźć na kartach powieści. Mowa choćby o barze *Santos* – próba odnalezienia go na mapie Mikoszewa zakończy się fiaskiem.

Należy zaznaczyć, że autorka dość wyraźnie zarysowała koloryt lokalny. Powieściowe Nickelswalde wpisuje się w konwencję miejscowości położonej w pobliżu morza, tym samym trudno odnaleźć w nim elementy żuławskości. Zdecydowanie swoje piętno odcisnęła w nim poprzednia epoka. Powieściowy obraz Mikoszewa przypomina zanurzoną w przeszłości (pod względem urbanistycznym i mentalnym) wieś, która zostaje ożywiona opisami beztroskich spacerów po bezkresnej plaży. Wspomniana miejscowość jawi się jako miejsce oddalone od zgiełku i tłumu turystów. Otóż do jedynych atrakcji Mikoszewa należą: „główna ulica (...), bar, kilka ośrodków wypoczynkowych, (...) dwa sklepy, kościół, cmentarz”. Nietrudno domyślić się, że egzystencja bohaterów powieści toczy się wokół tych miejsc. Autorka wciela się w rolę portrecisty, który odmalowuje aparycję postaci, ich język, usposobienie, mentalność oraz wydarzenia, które ich ukształtowały. Oczywiście nie zapomina o zarysowaniu całego kontekstu funkcjonowania bohaterów, ukazując przestrzeń bezpośrednio wpływającą na sylwetkę postaci.

Niezaprzeczalnym centrum rozrywki okolicznych mieszkańców jest miejscowy bar *Santos*, którego wystrój przywołuje na myśl wspomnienia z poprzedniej epoki – zewsząd unoszący się dym papieroso-

wy rozwiewany przez wentylator, herbata podawana w szklankach umieszczonych w plastikowych koszyczkach, ozdoby łączące różne porządki i obskurne toalety. Nikt nie przychodzi tu, by skosztować rozmrożonych hamburgerów czy zapiekanek. To pijalnia piwa. Można odnieść wrażenie, że ten bar jest drugim domem miejscowych wielbicieli trunków. Równie posępny obraz tej wsi wyłania się z innych miejsc przestrzeni publicznej. Kobiety w średnim wieku bowiem pozują na słabe i schorowane istoty, a jednocześnie są w stanie stoczyć bitwę na łokcie o każde wolne miejsce w autobusie.

W niewyszukanych rozrywkach lubuje się młodzież. Sobotnie wieczory spędza w miejscowej remizie, która wówczas pełni funkcję lokalnego klubu. Te intymne chwile umila głośna popularna muzyka oraz gwarne rozmowy związane z uciechami cielesnymi okraszone wulgaryzmami i unoszącym się dymem papierosowym. Wydaje się, że ta miejscowość tworzy swoisty skansen. Mieszkańcy żyją w zamkniętej przestrzeni. Nawet młodzi ludzie, którym często przypisuje się nierealistyczne ideały, gotowość do wznoszenia się ponad powszedniość. Tymczasem zdaje się że powieściowa młodzież nie przekracza terytorialnie i światopoglądowo granicy prowincjonalnej wsi. Nikt nie dąży do tego, by znaleźć się w swoistym centrum ferworu intelektualnego, za jaki jest postrzegany Gdańsk. Wyjątkiem od tej reguły jest policjant Michał Deja, który kształcił się w szkole policyjnej w Szczytnie. Ale sam przyznaje, że pobierane przez niego nauki niewiele wniosły do jego edukacji.

Okoliczni mieszkańcy wiodą uporządkowane życie podporządkowane pewnym rytuałom. Starsze proste kobiety zasiadają przed telewizorem „o świętej godzinie Teleexpressu”. Swoisty cykl życia bohatera jest

widoczny także w znacznie szerszej perspektywie – egzystencji. Otóż edukacja, związki towarzyskie oraz stosunki zawodowe, zamykają się w dość wąskim kręgu, jakim staje się powieściowe Mikoszewo. Mężczyźni zawierają małżeństwa w stosunkowo młodym wieku z pierwszą napotkaną w swoim życiu kobietą; będącą później poczciwą towarzyszką życia i skrzętną gospodynią. Z kolei ci, o znacznie mniejszych tradycjonalistycznych aspiracjach, prężą swoje mięśnie w siłowni o mało finezyjnej nazwie, ale za to amerykańskim brzmieniu („Bigger”), co staje się próbą doświadczenia zachodnioeuropejskich wzorców.

Na tle prostych ludzi troszczących się jedynie o codzienny byt pojawiają się bohaterowie, którzy mogliby obudzić z letargu okolicznych mieszkańców. Mimo że miejscowa lekarka i jej mąż pisarz, emerytowany nauczyciel oraz wdowa po marynarzu mają potencjalną możliwość podjęcia inicjatywy w zakresie krzewienia kultury i nauki wśród lokalnej społeczności, nie podejmują żadnych działań oraz inicjatyw. Są bierni. Tworzą jedynie przyjacielski krąg niespoufalający się z pozostałymi mieszkańcami. Stanowią elitę intelektualną, którą zajmują prozaiczne rozrywki.

Tak ukształtowana społeczność, której mieszkańcy spotykają się po to, aby porozmawiać o troskach dnia codziennego, staje się zamknięta na zewnętrzne wpływy oraz uniemożliwia rozwój jednostki. Dochodzi tu do całkowitej intelektualnej izolacji społecznej. Nie zmieniają tego faktu pojawiający się turyści, gdyż nie ma tu miejsca jakakolwiek wymiana w rozumieniu kulturowym i ekonomicznym. Powieściowe Mikoszewo jest traktowane jako miejscowość, która jest środkiem do celu – znajduje się na trasie do pobliskiej plaży pozwalającej tury-

stom na spacer wzdłuż morza i zanurzenie się w blasku piekącego słońca. Ten zespół czynników sprawia, że lokalną społeczność cechuje zaściankowość, co także zostało uwypuklone w światopoglądzie bohaterów.

Mieszkańcy Mikoszewa traktują edukację jako zbytek. Nauka nie stanowi wartości samej w sobie. Doskonale ilustrują to słowa jednego z bohaterów: „Po co mu studia, jak ma smaźalnię po rodzicach?”. Niejednokrotnie postaci zdają sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia: „Nie mam wykształcenia ani pieniędzy. Rodzice ledwo wiążą koniec z końcem. Trochę pola. Tyle. Co mogę zrobić?”. Jednocześnie nie dostrzegają możliwości zażegnania trudnej sytuacji. Skupiają się jedynie na braku, niedostatku i mankamentach. Ponadto panuje przyzwolenie na nadużywanie alkoholu. Obraz zataczającego się mężczyzny nikogo nie gorszy, bo „chłopy zawsze piły i pić będą”. W ten sposób tłumaczy się zachowania nieakceptowane społecznie.

Niezgoda na panujący ład oznaczała by zerwanie z tradycją, która jest gwarantem bezpieczeństwa. Widoczne jest to na przykładzie dziennikarza o nietuzinkowej aparycji, który pojawia się w Mikoszewie. To mężczyzna w różowej koszulce oraz niestandardowo skrojonej marynarce. Ten osobliwy wygląd skazuje go na miano homoseksualisty. Nietrudno dostrzec awersję przed tym, co nowe i inne. Nowoczesność i niecodziennosc stają się konkurentami prowincjonalnej obyczajowości nieskażonej wielkomiejskimi standardami. Jednocześnie mieszkańcy potrafią zjednoczyć się w obliczu wymyślanego zagrożenia. Otóż wszyscy bohaterowie zsolidaryzowali się w niechęci do mężczyzny przywdziejającego damską garderobę. Natomiast mężowie stają w gotowości do obrony

swoich żon, gdy okazuje się, że w spokojnej wsi dochodzi do serii zabójstw. Stoją na straży praworządności rozumianej w dość uproszczony sposób. Są gotowi wymierzać sprawiedliwość. Samosąd, w ich mniemaniu, jest jedyną skuteczną formą ukarania złoczyńcy. To obowiązek, do którego zostali nieformalnie zobligowani. Czują się odpowiedzialni za chronienie słabszych, za których w patriarchalnym ujęciu uchodzą kobiety i dzieci. Wśród tej społeczności dostrzegalna jest uproszczona religijność wiążąca się z kultem dewocjonaliów, a nie z obrzędowością. Mowa o portretach „przystojnego błękitnookiego papieża (oczywiście naszego, a nie tego Niemca)”. Po raz kolejny jest to przyczynkiem do gloryfikowania tego, co rodzime.

Znamienny jest także język mieszkańców powieści. Posługują się krótkimi zdawkowymi wypowiedziami. Nie konstruują zdań wielokrotnie złożonych. To nie jest kwiecista polszczyzna. Ich stwierdzenia są lapidarne. Z ust bohaterów padają frazesy („nauka to potęgi klucz”), kolokwialne gry słów („gej-srej”), niegdyś zasłyszane stwierdzenia, które nie są poddawane głębszej analizie („ten padół rozpaczy”). W dodatku słowa bohaterów są przeplatane błędami językowymi („jakby kontrol przyszła”). Z pewnością wypowiedzi postaci dopełniają posępny obraz powieściowej prowincji. Uwypuklają niski status społeczny ogółu, bezideowość oraz niechęć do podjęcia działania w jakimkolwiek obszarze życia.

Bez wątpienia można uznać, że powieściowi mieszkańcy Mikoszewa są zatopieni w marazmie. Wszystkich, bez względu na stopień wykształcenia posta ci, łączy zaściankowość, brak ideałów, ambicji i celów. Zastygli w bierności. Wiodą proste życie niezmacone marzeniami i intelektualną

myślą. Zadowolają się tym, co przyniesie im życie. Zdaje się, że czas zatrzymał się jeszcze w poprzednim ustroju politycznym. Od wielu lat bowiem nic się tutaj nie zmienia, co w warstwie symbolicznej unaoczniają obdrapane ściany mikoszewskich budynków. Powieściowi mieszkańcy Mikoszewa żyją w izolacji od cywilizacji i postępu. Tę lokalną społeczność stanowią przede wszystkim ludzie w podeszłym wieku. Tym samym staje się to pesymistyczną prognozą małej miejscowości. Brakuje tu pędu życiowego, postępowej myśli, witalności, energii, optymizmu. Mieszkańcy zbudowali sobie skorupę ze skrawków poprzedniej epoki, w której

czują się bezpiecznie. Bronią jej za wszelką cenę. Z pewnością brak ośrodka kulturowego, izolacja od postępowości, zachwianie proporcji społeczeństwa na rzecz ludzi w podeszłym wieku powoduje stagnację. Koleje losu człowieka sprowadzają się do zaspokojenia podstawowych potrzeb. W tym miejscu należałoby zadać pytanie, czy na taki los są skazane małe miejscowości pozbawione załączka aktywności? Być może antidotum stanowi powrót do przeszłości – przedwojennego Nickelswalde, które stało się symbolem zaprzepaszczonej szansy na poprawę koniunktury.

Maciej Badowicz

KAWA CZY NIE KAWA?

Kawa czy herbata? Archeologiczne świadectwa konsumpcji napojów w dawnym Gdańsku.
Kuratorki: Ewa Trawicka, Beata Ceynowa.
Wystawa czasowa: 8 VII – 31 XII 2020 r.
Dom Przyrodników, ul. Mariacka 25/26,
Gdańsk.

Konsumpcja napojów przez dawne społeczeństwa stanowi po dziś dzień istotne pole badacze dla historyków pragnących zgłębić dawne zwyczaje i gusta. Tym bardziej zasadnym było wybrać się na wystawę zorganizowaną przez Muzeum Archeologiczne w Gdańsku.

„Kawa czy herbata? Archeologiczne świadectwa konsumpcji napojów w dawnym Gdańsku” w swoich zapowiedziach medialnych zachęcała do odwiedzenia Domu Przyrodników. Sam jako badacz historii

Muzeum Archeologiczne
w Gdańsku, ul. Mariacka 25/26
www.archeologia.pl

wertując:
7 lipca 2020
godz. 13.00

wystawa 8.07–
31.12.2020

**KAWA
CZY
HERBA-
TA?**

Archeologiczne świadectwa
konsumpcji napojów
w dawnym Gdańsku

kuratorki:
Ewa Trawicka
Beata Ceynowa

konsumpcji wina w czasach średniowiecza czułem się zobligowany do poznania przygotowanej przez muzeum narracji o tym, jakie napitki konsumowano i które z nich zyskały w swoich czasach popularność. Z pewnością korzystnym przy spisaniu niniejszych spostrzeżeń na temat projektu jest katalog wystawy, dostępny zarówno w wersji papierowej jak i online.

Wystawę zlokalizowano w salce wystaw czasowych na piętrze Domu Przyrodników, w sąsiedztwie wystawy stałej i wystawy poświęconej bursztynowi i jego zastosowaniom. Przestrzeń pomieszczenia jest stosunkowo niewielka, co z pewnością determinowało dobór eksponatów i pozostałych elementów do stworzonej opowieści o napojach w dawnym Gdańsku. Dominuje przede wszystkim klasyczny układ wystawy - gabloty, przedzielone tablicami z tekstami przygotowanymi przez pracowników Muzeum i zaproszonych do współtworzenia autorów. W jednej sekcji stoją obok siebie pulpit multimedialny z interaktywną mapą, wskazującą na kierunki pochodzenia niektórych napojów, a także gra interaktywna w postaci układanki-puzzli do skomponowania naczynia.

W kwestii wizualnej wrażenie na odbiorcach z pewnością będą budzić cynowe konewy, nowożytnie zdobione motywami florystycznymi dzbany, charakterystyczna ceramiczna faszka podróżna czy pozostałości równie dekoracyjnie bogatych szklanic.

Część wystawy poświęcona naczyniom, przekształceniom w zakresie sposobów przechowywania trunków stanowi najmocniejszy punkt wystawy. Opracowanie merytoryczne pokazujące stopniowe odejście od naczyń ceramicznych na rzecz szklanych, informacje dotyczące rodzajów butelczyn, dzbanów i ich miar pozwala na precyzyjne określenie ich zastosowania przez mieszkańców średniowiecznego i nowożytnego Gdańska. Dowod-

nie wykazano, że w kwestii obecności rodzajów naczyń Gdańsk nie odbiegał w żadnym stopniu od przemian w konsumpcji zachodzących w tej części Europy.

O ile powyższe spostrzeżenia przemawiają na korzyść opowieści przygotowanej przez Muzeum Archeologiczne, to da się też zauważyć pewne słabości. Samą wątpliwość w proporcjach co do zagospodarowania treści do tematu wystawy budzi pierwszy człon tytułu. Mimo znaku zapytania wskazuje na dominację dwóch napitków - kawy i herbaty - i wybór między nimi, co nie do końca wynika z treści wystawy i katalogu. Być może był to celowy zabieg pewnego niedopowiedzenia (a może jeszcze inny napitek..?), nawiązującego trochę do pewnego popularnego programu śniadaniowego, lecz tytuł jest wyraźnie sugestywny. Poza tym zauważalne jest zarówno w treści wystawy, jak i w katalogu, szersze przygotowanie merytoryczne w zakresie konsumpcji piwa (browarnictwo gdańskie, piwo w Gdańsku i rodzaje piwa konsumowanego w mieście). Przy bardzo szerokim wachlarzu dostępnych napitków wskazane byłoby zachowanie proporcji tak w treści merytorycznej wystawy, jak i katalogu. Wrzucając jeszcze kamyczek do piwnego ogródka - w narracji katalogu wystawy zabrakło wyraźnej informacji na temat najsłynniejszego gdańskiego browarnika - Johanna Hevelke, inaczej- Jana Heweliusza.

Badając dzieje konsumpcji wina na Pomorzu nie da się nie zauważyć roli zakonu krzyżackiego w zakresie dystrybucji tego trunku w miastach należących do Hanzy. Gdańsk był jednym z najważniejszych ośrodków dystrybucji tego trunku, a szafarze - urzędnicy odpowiedzialni za sprawy gospodarcze - korzystali z pośrednictwa agentów handlowych działających w mieście. Przez Gdańsk, a także do samego Gdańska w XIV i XV wieku, sprowadzano przede

wszystkim wino reńskie. Warto także wspomnieć o uprawach winorośli na terytorium Zakonu w Prusach, skąd m.in. do faktorii hanzeatyckiej w Sztokholmie dla garnizonu gdańskiego, stacjonującego w mieście w czasach konfliktu Hanzy z Danią w 1395 roku sprowadzono ładunek wina liczący kilka tysięcy litrów. Co do win reńskich, o ile przy konsumpcji indywidualnej doprawianie i dosładzanie było kwestią samego konsumenta, o tyle taka czynność w przypadku transakcji była niedozwolona, wręcz prawnie zabroniona. Z Rostocku w 1417 roku wyszła instrukcja do innych miast Hanzy, aby każda beczka wina reńskiego pozostała nietknięta, a trunek był „takim, jakim go Pan Bóg pozwolił stworzyć”. Ingerencja w trunek mogła wiązać się z nieważnością transakcji, obowiązkiem zwrotu kosztów, uiszczenia zadośćuczynienia finansowego, a także ostracyzmem towarzyskim wśród kupców. Mało tego, gdański kodeks prawa lubeckiego przewidywał kary za fałszowanie miar trunku i złe odmierzenie.

Małmazja (inaczej *Malvasia*) i *Romania*, wedle narracji wystawy, była sprowadzana z terenów półwyspu Pirenejskiego. Warto nadmienić, że wyżej wymienione nazwy, odnoszące się do słodkich trunków, odnosiły się bardziej do wina pochodzącego z szerzej rozumianego basenu Morza Śródziemnego. *Romania* w tym względzie w swojej nazwie nosi tą wskazówkę, jako wino „romańskie”, „rzymskie”, a więc z terenów dawnego Cesarstwa Rzymskiego. Z kolei *Malvasia* jako nazwa ewoluowała, z nazwy odnoszącej się do kręgu geograficznego (Cypr, Kreta) do formy nazwy własnej, określającej najlepszy z możliwych trunków dostępnych na rynku, bardzo pożądanym. Z kolei „hiszpańskie wino” jako to domniemanie pochodzące z Półwyspu Pirenejskiego pojawia się już w rejestrach statków przyplływających do

Gdańska z początkiem XV wieku.

Warto wspomnieć o tym, że w świetle rachunków, inwentarzy i tekstów narracyjnych wino było też prawdopodobnie wytwarzane w rejonie dzisiejszej dzielnicy Gdańsk-Siedlce, niewykluczone, że wyłącznie na potrzeby lokalnej konsumpcji miejskiego patrycjatu.

Zauważalne jest także umieszczenie w ekspozycji naczyń pochodzących z XX wieku, uwzględniając tutaj filiżanki. Skoro umieszczono także bliskie współczesności naczynia konsumpcyjne, to zabrakło w narracji katalogu wystawy, a być może i w treści samej wystawy, zwyczaju spożywania *Machandla* przez gdańszczyzan XIX i XX wieku, zwłaszcza że naczynie do picia tej wódki jest przedstawione w zestawieniu eksponatów katalogu.

Być może dobrym pomysłem byłoby przygotowanie ilustrowanej osi czasu, klejonej, w wersji podłogowej lub ściennej, która prowadziłaby do kolejnych sekcji wystawy tworząc jej czytelny układ. Dla niektórych dobór kolorystyczny do wystawy w formie jaskrawych kolorów może być dyskusyjny. Uwagi budzi także ulotka zaopatrzona w ciekawostki, ale sprawiająca merytoryczny i artystyczny nieład.

Z pewnością elementy treści wystawy „Kawa czy herbata?” zachęcą niejednego odwiedzającego Muzeum Archeologiczne do zgłębienia wiedzy o gustach smakowych mieszkańców dawnego Gdańska. Jednakże, przy zgłębieniu treści wystawy, zauważa się pewne niedociągnięcia, być może wynikające z czasu dostępnego na przygotowanie wystawy, zwłaszcza w prowadzonej narracji Są to dominacja pewnych elementów nad pozostałymi i pewna chaotyczność w sporządzeniu treści oraz niedokończenie tematu, jakże fascynującego tak dla samych historyków, jak i zwiedzających.

Noty o autorach

Maciej Badowicz – ur. 1988 r. w Gdańsku. Absolwent historii i ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego. Przygotowuje rozprawę doktorską na Wydziale Historycznym UG. Dla Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku przygotował koncepcję merytoryczną wystawy do nowopowstającego obiektu. Licencjonowany przewodnik turystyczny PTTK po Trójmieście. Redaktor czasopism „Mówią Wieki”, „Sieci Historii”.

Wacław Bielecki – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krzysztof Bochus – ur. w Kwidzynie, absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował m.in. w „Nowej Wsi” i koncernie prasowym „Burda”, w latach 1998-2000 redaktor naczelny miesięcznika „Sukces”. Jego teksty ukazywały się m.in. w takich tytułach jak Przegląd Tygodniowy, Wprost, Focus. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor popularnych kryminałów, *Czarny manuskrypt* (2017), *Martwy błękit* (2017), *Szkarłatna głębia* (2018), *Lista Lucyfera* (2019), *Miasto duchów* (2019), *Boski znak* (2020), *Wachmistrz* (2020).

Jan Chłosta – dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu – *Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*, leksykonów - Słownik Warmii, prac o Wydawnictwie „Gazety Olsztyńskiej” i ludziach z nią związanych.

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztor i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Katarzyna Gentkowska – ur. w Golubiu-Dobrzyniu. Absolwentka polonistyki i historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauczyciel pasjonat. Współorganizatorka Ogólnouczelnianych Konkursów Recytatorskich na UMK. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół XIX-wiecznej literatury i obyczajowości

Adam Kamiński – ur. 1965 w Kwidzynie. Miłośnik gier mało popularnych – bocce, boules, cornhole. Lubi wędkarstwo, grzybobranie. Od urodzenia lokalny kwidzyński patriota. Miłośnik, laureat i finalista wielu telewizyjnych teleturniejów – Jeden z dziesięciu, Va banque, Najlepsze ogniwo. Dziennikarz i pasjonat kryminałów. Pracuje w Bibliotece Miejsko-Powiatowej w Kwidzynie.

Andrzej Kasperek – ur. 1958, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań pt. *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Barbara Kozdroń – notariusz, działaczka „Solidarności” i Duszpasterstwa Ludzi Pracy w Kwidzynie w 1980 roku i czasie stanu wojennego w Kwidzynie.

Andrzej C. Leszczyński – nauczyciel akademicki filozofii, eseista. Autor wielu publikacji z zakresu antropologii filozoficznej, estetyki i etyki. Ostatnio wydał: *Ojciec człowieka Szkice afiniczne* (2012), *Owoc tamtego grzechu* (2013), *Najgłębsze, spokojne morskie dno. Próby antropologiczne* (2014). Prowadzi warsztaty ekspresji i komunikacji. Mieszka w Gdańsku.

Tadeusz Majewski – ur. 1955 r. w Lęborku. Absolwent UMK Wydział Filologia Polska w Toruniu. Mieszka w Starogardzie Gdańskim. Założyciel i red. Nacz. „Gazety Kociewskiej”, „Tygodnika Kociewskiego”, red. prowadzący magazynu reportażowego „Kociewiak” w „Dzienniku Bałtyckim”. Autor wielu reportaży, tekstów publicystycznych i rysunków satyryczno-refleksyjnych. Twórca i redaktor pierwszego portalu na Kociewiu (2003) „Kociewiaci.pl” (alias WIRTUALNE KOCIEWIE). Autor książek m.in. *Przeplotnia* (2006), *Oj, oj, Ojczyzna* (2007) – wybory reportaży, opowiadań i krótkich form prozatorskich - i *Starsza pani pilnuje*. Od kilku lat częściej pisze prozę. Dwa z jego opowiadań wydrukował „Topos”.

Alicja Łukawska – absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy i pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka pism lokalnych. Pracowała m.in. w prasie bydgoskiej, gdańskiej, malborskiej i tczewskiej. Od kilkunastu lat stały współpracownik miesięcznika „Czwarty Wymiar”. Autorka książki *Duchy kresów wschodnich. Zjawiska paranormalne na dawnej Łotwie, Litwie, Białorusi i Ukrainie*, która ukaze się w tym roku. Mieszka w Malborku.

Henryk Michalik – zamieszkały w Kwidzynie. Absolwent Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Działacz turystyczny i krajoznawczy. Organizator wielu imprez turystycznych. Członek PTTK i TMZK (Towarzystwa Miłośników Ziemi Kwidzyńskiej). Autor i współautor wielu wydawnictw regionalnych, m.in. *Przewodnik po Powiślu. Powiat Kwidzyński; Przewodnik „Śladami Mennonitów w Dolinie Kwidzyńskiej”; Kultura materialna Doliny Kwidzyńskiej; Rowerem po ziemi kwidzyńskiej; Obrona polskości na ziemi kwidzyńskiej w latach 1918-1939*. Redaktor „Zeszytów Kwidzyńskich”.

Grażyna Nawrońska – ur. w Chodzieży. Absolwentka archeologii UAM w Poznaniu i Studium Podyplomowego Muzealnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1980 do 2010 roku badania archeologiczne na Starym Mieście w Elblągu. Od 2010 roku pracowała w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Autorka kilkadziesiątu publikacji naukowych w Polsce i Belgii, Irlandii, Szwajcarii, Niemczech. W 2010 roku obrona doktoratu na Uniwersytecie we Wrocławiu. Mieszka w Elblągu.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Marta Psuja – mieszkanka Sztumu, autorka wspomnień *Martysia. Opowiem Wam o swoim życiu*.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806-1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1953 r., historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej*.

Agnieszka Smugła – gdańszczanka, ekonomistka. Od listopada 2014 roku na portalu eMultipoetry (www.emultipoetry.eu) publikuje swoje własne utwory – głównie miniatury na konkurs „Wiersze na murach”. Dotychczas wybrano i wyświetlono na fasadzie kamienicy na rogu ulicy Brackiej i Rynku Głównego w Krakowie ponad 130 jej tekstów. Jest członkiem Gdańskiego Klubu Poetów. Jej wiersze znalazły się w antologiach Klubu pt. *Aspekty 2016, Aspekty 2017, Kochaj, albo... i jak po tym wszystkim wiersze pisać*. Publikowane były także w czasopiśmie literackich i artystycznych, takich jak „Czas Literatry”, „Neony Tożsamość”, pisarze.pl czy „Post Scriptum”.

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Bogumił Wiśniewski – ur. w Kwidzynie. Absolwent archeologii na UMK w Toruniu. Znanca i miłośnik Kwidzyna i okolic. Pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie.

Radosław Wiśniewski – ur. 1974 r. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu., związany z Brzegiem. Pisze wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Kałuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

Marcel Woźniak – ur. 1984 w Kwidzynie. Absolwent filologii polskiej na UMK w To-

runiu oraz adaptacji scenariuszowej w Warszawskiej Szkole Filmowej. Wieloletni dziennikarz i reporter. Pracował jako spiker i reporter w Radiu Sfera Toruń i Radio Plus Toruń. Prowadził serwisy internetowe Kulturalny Toruń i orbiToruń.pl. Przez długi czas był muzykiem, frontmanem zespołu Sitelights. Trzykrotnie był laureatem stypendium kulturalnego Prezydenta Torunia. Scenarzysta telewizyjny (TVN, Polsat Café), twórca filmów krótkometrażowych „Caissa” i „Snufit”, autor słuchowisk kryminalnych „Toruński Łącznik” (Radio PLUS Toruń) i „Legenda Dziwnego Miasta” (Radio SFERA UMK). Autor książki – *Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka jak moje życie* oraz *Tyrmand. Pisarz o białych oczach*.

Zalewska Danuta, rocznik 1951, urodzona w Lasowicach Wielkich na Żuławach, wykształcenie wyższe (Akademia Rolniczo-Techniczna w Olsztynie), wojt gminy wiejskiej Malbork w latach 2001-2006, prezes Stowarzyszenia Wspierania Aktywności Lokalnej od 2007 roku, członek Zarządu Banku Spółdzielczego w Malborku w latach 1988-2002, odznaczona brązowym krzyżem zasługi.

Paweł Zbierski – pochodzący z Gdańska scenarzysta i reżyser. Absolwent UJ i łódzkiej filmówki. Emigrant z Polski. Dyrektor artystyczny założonej w Paryżu firmy Fontaine Media. Wspólnie z Aleksandrą Fontaine wystawił w Teatrze w Perpignone w marcu 2018 francuskojęzyczną, kryminalną sztukę *La file a la valise* osnutą wokół wydarzeń związanych z atakiem terrorystycznym na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”. Od lipca 2018 współzałożyciel wybudowanej w Saint Laurent de Cerdans w Katalonii Galerii „Poray”.

Krystian Zdziennicki – ur. w 1992 r. w Sztumie. Absolwent historii oraz prawa na UG. Członek zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Zajmuje się badaniami historycznymi Pomorza ze szczególnym uwzględnieniem Powiśla. Autor bloga: www.ziemiasztumska.blogspot.com



